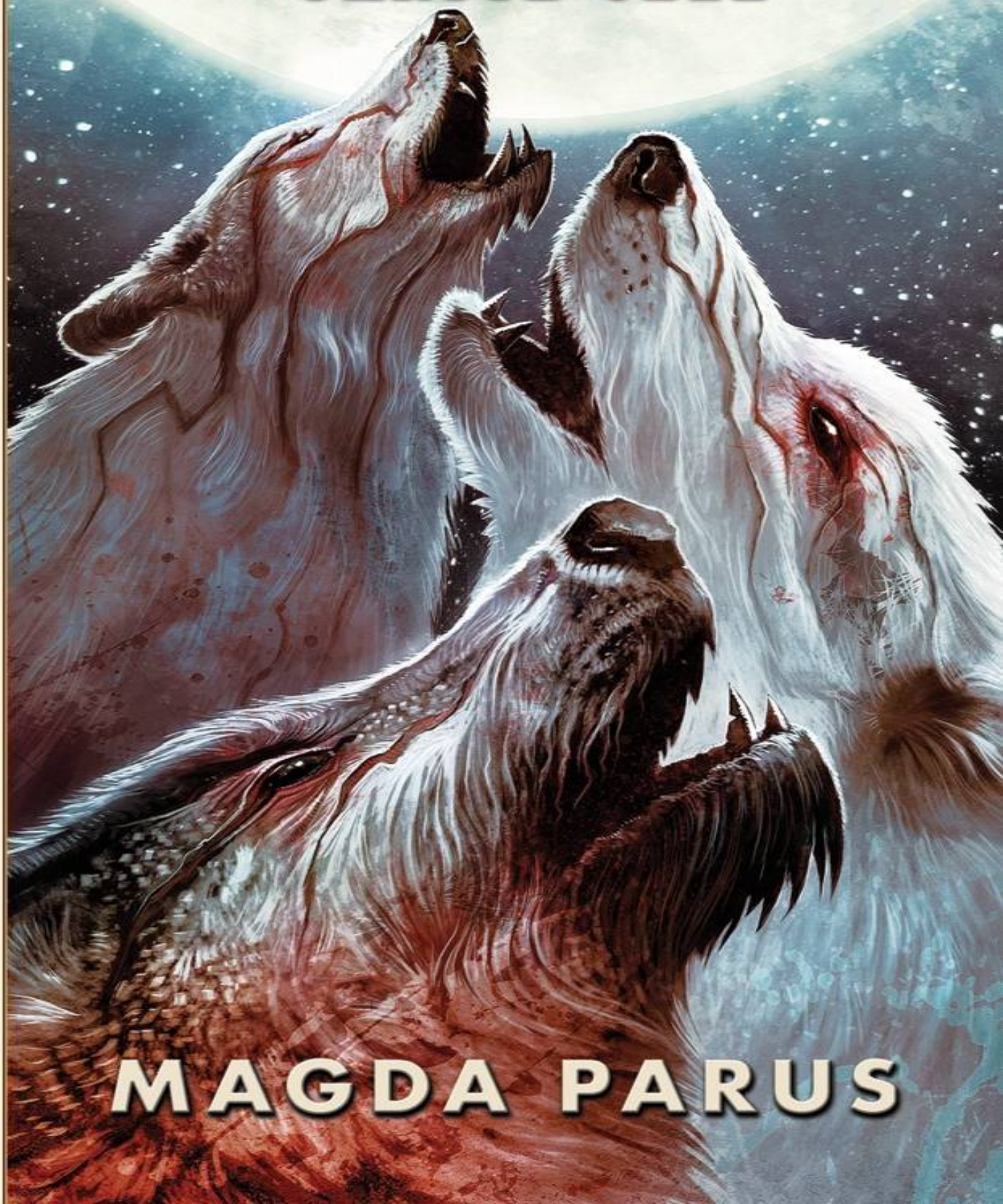




Wilcze DZIEDZICTWO

UKRYTE CELE



MAGDA PARUS

MAGDA PARUS

**WILCZE
DZIEDZICTWO:
UKRYTE CELE**



Agencja Wydawnicza
RUNA

Spis treści

- Karta tytułowa
- Karta redakcyjna
- ROZDZIAŁ 1
- ROZDZIAŁ 2
- ROZDZIAŁ 3
- ROZDZIAŁ 4
- ROZDZIAŁ 5
- ROZDZIAŁ 6
- ROZDZIAŁ 7
- ROZDZIAŁ 8
- ROZDZIAŁ 9
- ROZDZIAŁ 10
- ROZDZIAŁ 11
- ROZDZIAŁ 12
- ROZDZIAŁ 13

Copyright © by the Author, Warszawa 2010
Copyright © for the cover illustration by Jakub Jabłoński
Copyright © 2010 by Agencja Wydawnicza RUNA,
Warszawa 2010

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentu książki
możliwe tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki: Fabryka Wyobraźni
Opracowanie graficzne okładki: własne
Redakcja: Urszula Okrzeja
Korekta: Magdalena Górnicka
Skład: własny

Wydanie I
Warszawa 2010
ISBN: 978-83-89595-59-1
Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA A. Brzezińska, E.
Szulc sp. j.

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i
wysyłkowej:

Agencja Wydawnicza RUNA
00-844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 436
tel./fax: (0-22) 45 70 385
e-mail: runa@runa.pl

Zapraszamy na naszą stronę internetową:
www.runa.pl

W serii „Wilcze dziedzictwo” dotychczas ukazały się:

Magda Parus - Wilcze dziedzictwo: cienie przeszłości

Magda Parus - Wilcze dziedzictwo: Przeznaczona

Magda Parus - Wilcze dziedzictwo: ukryte cele

ROZDZIAŁ 1

- Emily.

Dziewczynka obejrzała się, zaskoczona. Przez moment miała wyraz twarzy osoby przyłapanej na niedozwolonym zajęciu, zaraz wszakże uśmiechnęła się pogodnie i wstała, odkładając na bok książkę. Oriana mignęła okładka, zbyt kolorowa jak na podręcznik matematyki, który zresztą zauważyła w tym momencie na ogrodowej ławce.

Emily wyszła na dziedziniec, żeby w ramach porannych lekcji przygotować się do popołudniowego testu z matematyki, a tymczasem czytała kryminał. Oriana powstrzymała się od komentarza. Jej podopieczna umiała przekonująco argumentować, okazałoby się więc zapewne, że kryminał stanowi jedynie krótki przerywnik w nauce, dzięki któremu przyswajanie wiedzy idzie małej znacznie sprawniej, względnie, że dziewczynka opanowała już cały materiał. Jeśli wynik testu będzie rozczarowujący, Oriana poruszy kwestię relacji obowiązek-przyjemność. Na razie zdecydowała się na inny rodzaj reprimendy.

- Chodzę cicho, ale nie bezszelestnie - powiedziała chłodno. - Powinnaś zawsze nasłuchiwać odgłosów płynących z otoczenia, bez względu na to, jak absorbującą czynność akurat wykonujesz.

- Przepraszam, mistrzyni. - Emily pokornie spuściła głowę. - Będę nad tym pracować.

Oriana leciuteńko zmrużyła oczy. Niekiedy irytowała ją przesadna grzeczność małej, tak ugładzona, że aż sztuczna.

- Mistrz Lars odwołał dzisiejsze zajęcia - poinformowała podopieczną Oriana. - Prosił, żebym go zastąpiła, zrobimy więc sobie lekcję historii.

- Społeczności? - upewniła się Emily.

Przez chwilę Oriana chciała zaprzeczyć, dla czystej satysfakcji sprawienia małej kolejnego zawodu – pierwszym była wiadomość o odwołaniu zajęć z Larsem. Nie lubiła tego dziecka, ale przecież Emily nie ponosiła winy za ów stan rzeczy. Oriana nie znosiłaby każdego dziecka, jakie powierzono by jej opiece.

- Tak – powiedziała, siadając na ławce. Rzeczywiście zaplanowała lekcję z historii społeczności. Wskazała dziewczynce miejsce obok siebie. - Gotowa? Skończyliśmy na Anthonym. Przekonajmy się, ile zapamiętałaś.

Emily zmarszczyła w skupieniu czoło i zaczęła recytować życiorys najszynniejszego lidera europejskiej społeczności. Nie dysponowała żadnymi materiałami, jako że wiedzy na temat społeczności nie wolno zapisywać na papierze, choćby takie notatki miały posłużyć jedynie utrwaleniu wiadomości, by zaraz potem ulec zniszczeniu.

Zdaniem Oriany Anthony nie był szczególnie wybitną postacią, a jedynie objął stanowisko lidera w wyjątkowym czasie. Wykazał się, integrując europejską społeczność w zawierusze II wojny światowej, a rok po jej zakończeniu zginął od wybuchu niewypału, pozostawiając trudną i nudną robotę organizacyjną swoim następcom, których imiona mało kto teraz pamiętał. Jednakże młodym świadomym podawano Anthony'ego za wzór, Oriana zaś nie widziała powodu, żeby przedstawiać dziewczynce wersję odmienną od oficjalnej.

- On naprawdę zginął od bomby? – zapytała Emily, gdy dotarła do finalnego punktu życiorysu wielkiego lidera. - No bo w trakcie wojny, to rozumiem, ale rok po nastaniu pokoju...

Oriana przyjrzała się małej spod oka. Niekiedy dziewczynka wykazywała się szokującą przenikliwością. Chociaż może zadała pytanie ze zwykłej ciekawości, nie sugerując bynajmniej, że to kapłani usunęli Anthony'ego, ujrawszy w nim zagrożenie dla swoich wpływów w społeczności. Prawdę mówiąc, nawet zapoczątkowane przezeń dzieło nie do końca było pożądane. Podległe

kapłanom służby funkcjonowały od wieków sprawnie, na ponadnarodową skalę, a manipulowanie szarymi członkami społeczności przebiegało łatwiej, kiedy czuli się oni zagubieni w ludzkim świecie. Anthony tchnął w nich wiarę w siebie. Zarazem jednak owych zmian nie dało się uniknąć. Gdyby było inaczej, kapłani by do nich nie dopuścili, zabijając lidera, zanimby cokolwiek zdołał. Rozumieli jednak, że przeobrażenia są nieuniknione i nie ma znaczenia to, kto ich dokona.

- Niekiedy ktoś latami walczy, pokonuje największe trudności, wychodzi cało z najgroźniejszych opresji, a miesiąc po wycofaniu się do spokojnego życia ginie w banalny sposób - odparła neutralnie Oriana. - Być może Anthony oszedł we właściwej chwili. Dokonał wielkich rzeczy, ale gdyby w kolejnych latach wypalił się i nie poradził sobie z pojawiającymi się problemami, nie zostałby zapamiętany jako najwybitniejszy lider w historii europejskiej społeczności.

- Czy przeciętny Pierwszy Kapłan nie dokonuje na co dzień donioślejszych czynów? - dociekała z powątpiewaniem Emily.

- Zapominasz, że o kapłanach wiedzą nieliczni - odparła Oriana, przekonana, że dziewczynka doskonale pamięta o tym fakcie. Emily zwyczajnie nie mieściło się w głowie, że ktoś może nie pożądać sławy czy choćby uznania ogółu. - Ty stanowisz bardzo szczególny przypadek, dlatego uczysz się naszej historii w innym trybie niż twoi rówieśnicy. Nawet dzieci kształcone na przyszłych kapłanów w tym wieku nie poznają jeszcze rzeczywistej struktury organizacji. Jeśli bowiem ostatecznie okażą się nie dość utalentowane, żeby dostąpić wtajemniczenia, przesuwa się je do wyspecjalizowanych służb, których szeregowi pracownicy nie wiedzą, komu naprawdę podlegają.

- Co to za przyjemność sprawować władzę, kiedy prawie nikt nie wie, że rządzicie?

Przyjemność. To dziecko używało dziwnych sformułowań. Z drugiej strony, skąd Oriana miała wiedzieć, jak zapatrują

się na władzę jedena... no, już prawie dwunastolatki? Emily marzyła o rządzeniu światem, rojąc sobie zapewne, że sprowadza się ono do siedzenia na tronie i uśmiechania się wyrozumiale do poddanych. Była wyjątkowa, wierzyła, że kiedyś społeczność legnie u jej stóp, a nie dostrzegała jeszcze ogromu związanej z władzą odpowiedzialności.

Wizje dziewczynki dotyczyły wszakże odległej przyszłości, na razie zaś czekało ją ważne zadanie. A tymczasem Colin przebywał Bóg wie gdzie, porzuciwszy poszukiwania siostry na rzecz innych zainteresowań. Jeśli wkrótce go nie namierzą, misterny, realizowany przez lata plan Larsa może zakończyć się porażką. Oriana powątpiewała, czy zostawianie chłopakowi swobody było trafnym posunięciem. Ale wówczas i tak nikt nie pytał jej o zdanie. W zasadzie w tej kwestii niewiele się zmieniło. Wszystkie decyzje podejmował Lars.

Na dworze rozległ się pisk opon hamującego gwałtownie samochodu. Colin podszedł do zamkniętego okna i zerknął przez nie z kwaśną miną. Tak jak podejrzewał, kolejny kierowca w ostatniej chwili stwierdził, że jednak nie zdąży przejechać przed pieszym na pasach. Cholerne miasto. W tym wszechobecnym, nieustającym nawet nocą hałasie nie sposób było odzyskać spokój ducha, ale Tin nie chciała słyszeć o wyjeździe na łono natury. Twierdziła, że tutaj czuje się świetnie.

Colin zacisnął pięści, starając się zdusić narastający w nim gniew. Jemu z pewnością nie służyła ta przeklęta Warszawa. Opór Tin wydawał mu się wyjątkowo głupi i szkodliwy, ilekroć jednak próbował na nią naciskać, choćby delikatnie, okazywało się, że jej nie rozumie, nie szanuje jej upodobań i - ogólnie - osobnik pokroju Colina nie zasługuje na taką dziewczynę. Nie mówiła tego, oczywiście, nie wyczytał też niczego z jej myśli, ale wystarczały mu jej sugestywne spojrzenia.

Kroki na klatce schodowej. Colin z niechęcią zmarszczył brwi: nie lubił przebywać w mieszkaniu sam na sam z Matem, ale gdyby teraz oznajmił, że wychodzi, wyglądałoby to na ucieczkę. Laski gdzieś wywędrowały, na zakupy albo do kina - nie spytał, bo na pewno nie powstrzymałby się od komentarza. Tin potrzebowała swobodnego biegu w zalanym blaskiem księżycza lesie, a nie cholernych miejskich rozrywek!

Mat wyszedł razem z Carol i Tin, dlatego Colin sądził, że chłopak im towarzyszy. A teraz spotkała go niemiła niespodzianka.

W zamku zgrzytnął klucz.

- O, jesteś - powiedział Mat. On także nie ucieszył się na widok Colina.

- Gdzie zostawiłeś dziewczyny?

- Poradzą sobie beze mnie.

Mat nieco zbyt gwałtownie zdjął kurtkę i cisnął ją na szafkę w przedpokoju, jakby zabawa z wieszakiem chwilowo go przerastała. Przeszedł do kuchni, zważył w rękę czajnik elektryczny, postawił go z powrotem na podstawce i włączył.

Colin obserwował brata, oparty o ościeżnicę swojej kanciapki. Wynajmowali coś, co tutaj nazywano mieszkaniem trzypokojowym, choć zdaniem Colina tylko jedno pomieszczenie - to zajmowane przez dziewczyny - od biedy dałoby się nazwać pokojem. Pozostałe dwa zasługiwały raczej na miano komórek. Zestaw uzupełniały: mikroskopijna łazienka z toaletą, ciasna kuchnia i mroczny przedpokoik.

- Gdzie je zostawiłeś? - powtórzył Colin, głównie dlatego, żeby gówniarz nie zbywał go jak byle pętaka.

- Rozstaliśmy się pod drzwiami kawiarni, okej? - burknął Mat. - Rano. Mówię ci, świetnie sobie radzą we dwie. Nie musimy ich niańczyć, więc zajmijmy się wreszcie poszukiwaniami, zamiast tkwić tu beczynnie.

Nie po raz pierwszy chłopak sugerował, że tracą w Polsce cenny czas, lecz nigdy dotąd nie wyraził tej myśli tak

otwarcie. I z taką pasją. Colin przyjrzał się bratu spode łba. Szczeniak coś wykombinował, przy czym właśnie zaczynał wątpić w słuszność swej decyzji. Jeśli zaś nawet Mat dostrzegął, że postąpił głupio...

- Nie ustaliliśmy przypadkiem, że poszukiwaniami zajmę się sam? - zapytał cicho Colin. Oczy mu się przebarwiły.

Mat cofnął się o krok, w głąb kuchni. Drgnął, kiedy pstryknął czajnik, sygnalizując koniec gotowania.

- Teraz robisz to celowo - powiedział chłopak tonem, który miał chyba wyrażać pewność siebie. - Przecież widzę. Wtedy... wtedy wyglądałeś inaczej, jakbyś faktycznie zamierzał mnie zaatakować.

Szczył miał rację, Colin w tej chwili kontrolował barwę oczu - po prostu podobał mu się efekt, jaki wywierało na bracie wilcze spojrzenie. Jednakże nawet gdyby jego oczy stały się bursztynowe pod wpływem wściekłości, sporo by go dzieliło od tamtej ślepej furii na autostradzie. Zamierzał zaatakować, cóż za niedomówienie! Rozszarpałby Mata, gdyby ten choć kilkadziesiąt sekund dłużej ociągał się z opuszczeniem samochodu.

Dziś Colin nie rozumiał, jak mógł do tego stopnia stracić panowanie na sobą, by realnie zagrażać bratu. Z drugiej strony, zdawał sobie sprawę, że tamta furia w nim drzemie, tuż pod powierzchnią codziennego spokoju, na którego osiągnięcie pracował ciężko w minionych tygodniach.

Pracował nad sobą tylko ze względu na Tin. Tin smutną i wyciszoną, w której obecności każdy jego wybuch wypadał wręcz karykaturalnie. Zarazem nic tak nie doprowadzało Colina do szału jak ten jej ponury spokój, milczące cierpienie, zupełnie, psiakrew, bezpodstawne. Wychodził, uciekał od niej i włóczył się po mieście, gdzie przecież próżno było szukać ukojenia dla nerwów - a jednak zdołał odzyskać samokontrolę. Zgoda, do pełnego opanowania wiele jeszcze Colinowi brakowało, niemniej sam czuł się zaskoczony poczynionymi postępami.

Nie wykluczał jednak, że gdyby nagle przyszło mu spędzić dwadzieścia cztery godziny w towarzystwie brata,

całą jego pracę nad sobą trafiłby szlag. W minionych tygodniach w miarę możliwości unikali się nawzajem; Colin nie spodziewał się, że chłopak okaże się tak tępy, by ponownie wyskakiwać z propozycją wspólnej wyprawy w poszukiwaniu Emily.

- Dobrze wiesz, że współpraca nam się nie ułoży - powiedział Colin, przywracając oczom normalną barwę. Żeby znowu nie było, że to on wszczyna spory. - Przestań naciskać.

- Nasza współpraca nie musi polegać na tym, że staniemy się nierozłączni. - Mat z wahaniem wyjął kubek z szafki. - Chcesz kawy?

Colin potrząsnął głową: nie chce żadnej cholernej kawy i niech gówniarz nie zmienia tematu.

- Podzielmy się zadaniami - podjął chłopak. - Ale zacznijmy wreszcie coś robić.

- Na przykład co? - rzucił wyzywająco Colin.

Był pewien, że Mat zna odpowiedź. Poruszył temat Emily w jednym celu: żeby zakomunikować Colinowi, co wymyślił. Tyle że najwyraźniej opuściła go odwaga. Zamiast odpowiedzieć na pytanie, zajął się starannym odmierzaniem wsypywanej do kubka rozpuszczalnej kawy.

- Planowałem objazd różnych miejsc kultu w nadziei na podpowiedź przeczucia. - odezwał się znów Colin. - Tylko że to Tin miała słuchać głosu przeczucia, a ona... sam widzisz. Sądziłem, że szybciej się otrząśnie. Bez jej pomocy miotałbym się bez sensu z miejsca na miejsce.

- Skąd wiesz? - zaatakował Mat. - Może byś się natknął na jakąś wskazówkę, kogoś zobaczył lub zwęszył? Albo twoje własne przeczucie by ci coś podsunęło? No bo wyjaśnij mi, czemu ono milczy, skoro wyzwoliłeś się spod wpływu Udon? Co? Może zwyczajnie nie chcesz, żeby przemówiło! Siedząc w Warszawie, nie osiągniesz absolutnie nic. Gdybyś ruszył tyłek, miałbyś choć ułamek procenta szansy!

- Skończyłeś? - Colin postąpił krok w jego stronę, znów pozwalając oczom zmienić barwę.

Mat sięgnął za plecy, po czym wymierzył w Colina z leciwego rewolweru.

- Chodziłeś z bronią po mieście? - zapytał wolno Colin, wpatrzony w wylot lufy.

- To Antoine'a.

- Domyślam się. Nie o to pytałem.

Tak, Colin nie wątpił, że rewolwer należał do Antoine'a, jak również, że był załadowany srebrnymi kulami. Smarkacz naprawdę strzeliłby do niego srebrem?

- Nie pozwolę, żebyś mi groził - rzucił Mat, niby buńczucznie, jednakże trzymająca broń ręka wyraźnie mu drżała. Założył, że w razie potrzeby postrzeli brata w bark lub udo, ale w stanie takiego podenerwowania równie dobrze mógł trafić w ścianę, jak i w serce Colina. - Zrób jeszcze krok...

- Spalisz nam kryjówkę.

- Co z tego? Przecież zależy ci na tym, żeby się stąd wynieść.

Cholera. Colin przyglądał się bratu. Chłopak chyba nie do końca przemyślał, co zamierza osiągnąć, wyciągając broń, teraz zaś, kiedy już ją trzymał, nabierał przekonania, że powinien jej użyć, jeśli pragnie z tej sytuacji wyjść z twarzą. I w jednym kawałku.

Co dalej? Colin zdołałby doskoczyć do Mata, unikając postrzału, nie zapobiegłby jednak pociągnięciu za spust. Owszem, chciał, żeby się wynieśli z Warszawy, ale niekoniecznie z wielkim hukiem.

- Napisałem do Bensaona - powiedział Mat. Gdyby strzelił, szok Colina byłby niewiele mniejszy.

- Nie podałem adresu - dorzucił natychmiast Mat. - Wyznaczyłem mu spotkanie na Dworcu Głównym.

Ale podał Bensonowi nazwę miasta. Gówniarz wyjawiał agentowi, gdzie ukrywa się Tin! Colinowi wyrosły pazury, a Mat oczywiście to zauważył. Dłoń z rewolwerem zaczęła mu jeszcze bardziej drżeć, więc podparł ją drugą ręką.

- Cofnij się, Colin - powiedział z desperacją. - Proszę cię. Posłuchaj... - ciągnął, mimo że Colin nie zastosował się do

jego polecenia. - Jeśli to on zabił Paula i pozostałych, chcę, żebyś go wykończył, rozumiesz? A jeśli przypadkiem... jeśli przypadkiem gra po naszej stronie, może udzieli nam cennej wskazówki.

- Powinieneś być najpierw zapytać mnie o zdanie - wycedził Colin.

Furia. Dawna towarzyszka, którą Colin powitał wręcz z lubością. Gdyby wtedy na autostradzie rozszarpał gówniarza, Tin nic by w tej chwili nie groziło.

- Dałem ci miesiąc - bronił się Mat. - Równy miesiąc. Rzuciłem aluzje. Czekałem, żebyś zaczął działać, wysunął jakąkolwiek koncepcję. Miałaś szansę. Odrzuciłaś ten pomysł tylko dlatego, że to ja na niego wpadłem. Sorry, ale lepszy nie przyszedł mi do głowy. Przynajmniej wreszcie coś zrobisz.

O tak, Colin zaraz coś zrobi. Matowi. Mierzył chłopaka wzrokiem. Gówniarz chyba jednak nie potrafiłby strzelić, ani do Colina, ani do nikogo innego. Czyżby dlatego sięgnął po broń, żeby dowieść samemu sobie, że jednak potrafi? I właśnie przekonywał się, że nie ma dość siły...

Niekiedy Mat zachowywał się tak, jakby wolał, żeby przed miesiącem wypadki potoczyły się nieco inaczej - żeby Carol odrobinę ucierpiała, pozwalając mu wejść w rolę troskliwego opiekuna. Albo przynajmniej doznała psychicznego wstrząsu, jak Tin. Tymczasem Carol świetnie sobie poradziła bez pomocy swego mężczyzny i w dodatku ani przez chwilę nie sprawiała wrażenia poruszonej zajściem.

Cóż, Colin także życzyłby sobie innego przebiegu zdarzeń. Marzyło mu się, by Tin okazała się bardziej samodzielna i bezwzględna, dzięki czemu on mógłby poświęcić się poszukiwaniom siostry spokojny, że w razie potrzeby jego dziewczyna obroni się sama. Cholera.

- Colin, stało się - powiedział Mat, teraz niemal błagalnie.

W korytarzu za drzwiami znów rozbrzmiały kroki. Co za idealne wyczucie czasu! Czyżby Tin zachowała swe

zdolności, a jedynie przed nim odgrywała biedną, zranioną istotkę...? Colin przymknął powieki. W tej chwili byle drobiazg wystarczył, żeby sprowokować go do zaatakowania Mata, a przy Tin nie mógł sobie pozwolić na podobny wyskok.

- Dziewczyny wracają - rzucił na kilka sekund przed zgrzytnięciem w zamku klucza, po czym szybko wycofał się do swojej klitki, zamykając za sobą drzwi.

Colin oparł się dłońmi o parapet. Słyszał wymianę zdań między Matem a Carol, banalne słowa powitania. Chłopak najwyraźniej zdążył schować rewolwer, ale z jego głosu przebijało zdenerwowanie, tak że Tin niewątpliwie zorientowała się, że coś nie gra. Nie skomentowała tego jednak. Normalka, ostatnimi czasy milczenie stało się jej podstawowym zajęciem.

Ponoć rozmawiała z Carol - ta ostatnia coś takiego sugerowała, niemniej Colina nie spotkał zaszczyt przysłuchiwania się takim pogaduszkom. No i jak właściwie Carol definiowała rozmowę? Wystarczyły dwa zdania na godzinę?

Do Colina Tin prawie się nie odzywała, a jeśli już, to wyłącznie na głos, zamykając przed nim swój umysł. Jakby winiła go za to, co się wydarzyło - a takiej sugestii nie potrafił znieść. Zgoda, sprawdziły się jego najgorsze obawy i podejrzenia, ale przecież nie zmieniłyby biegu wypadków, traktując Antoine'a jak zaufanego przyjaciela!

Przede wszystkim, Tin zdecydowanie przesadzała. Colin nie chciał zasłużyć na etykietkę nieczułego drania, ale jego zdaniem nie zaszło nic, co uzasadniałoby tak krańcową reakcję. Szczerze mówiąc, powinna się cieszyć... Stłumił tę myśl. Nie był pewien, czy ona nie wyłapuje jego gniewnych rozważań, mimo że pilnie pracował nad ukrywaniem ich.

No dobrze, wróćmy do spraw bieżących. Mat autentycznie zasługiwał na potraktowanie pazurami.

Miesiąc pracy nad sobą, coraz lepsze efekty, a potem gówniarz wyjechał z czymś takim i samokontrolę Colina diabli wzięli.

Odetchnął głęboko. W tej chwili stanął przed problemem znacznie istotniejszym niż własna niekontrolowana agresja. Gdyby dziewczyny im nie przerwały i Colin rozszarpałby Mata, chłopak byłby sam sobie winien, natomiast Benson oznaczał zagrożenie dla nich wszystkich. I znów, Colina na moment zaślepiła furia. Co za durny szczeniak!

Krążył po swojej klitce. W mieszkaniu panowała cisza – nikt nie chodził, nikt się nie odzywał, tak że Colin, wsłuchawszy się, wychwytywał oddechy i bicie serc wszystkich trojga. Siedzieli w pokoju dziewczyn.

W gruncie rzeczy chłopak postąpił jak zdrajca, a zdrajców... Colin ponownie musiał się upomnieć. Tą drogą nigdzie nie dojdzie. Nie zabije brata na oczach Tin, bez względu na okoliczności. Obawiał się nawet tego, co sobie pomyślała, jeśli wyczytała z jego wspomnień tamtą sytuację na autostradzie. Tak bardzo chciał ją zataić przed Tin... a jednocześnie nie potrafił opędzić się od krwawych wizji tego, do czego na szczęście nie doszło. „Krzyczał” tymi wizjami.

Poszukał pozytywnych stron zaistniałych okoliczności. Mat dał mu doskonały pretekst, żeby wreszcie wywieźć towarzystwo z miasta. Dziewczyny chciały zostać w Warszawie, sprzeciwiały się Colinowi, teraz jednak będą mogły zgłaszać pretensje jedynie do Mata.

Colin po raz ostatni odetchnął, policzył do pięciu i opuścił klitkę.

Rzeczywiście, wszyscy troje siedzieli w pokoju dziewczyn, w milczeniu, które Matowi ewidentnie ciążyło, ale zapewne nie chciał robić z siebie idioty, nawijając o bzdurach. Z kolei na to, by się pochwalić mejlem do Bensaona, zabrakło mu odwagi.

- Wyjeżdżamy - oznajmił Colin. - Jeszcze dzisiaj. Spakujcie się.

Dziewczyny spojrzały na niego, Mat natomiast wbił wzrok w podłogę, marszcząc brwi.

- Wydawało mi się... - zaczęła ostrożnie Carol.

- Twój chłopak powiadomił Bensona, gdzie jesteśmy - przerwał jej Colin. - Niewykluczone, że organizacja oddelegowała tu oddział agentów, którym dano do powąchania nasze rzeczy, nawet coś Tin, jeśli namierzyli jej dom w Langwedocji. Nie twierdzę, że w tak dużym mieście łatwo nas wytropią, ale nie ma sensu ryzykować.

Teraz obie patrzyły na Mata, tyle że nie z oburzeniem, jakiego Colin po nich oczekiwał. Tin wydawała się obojętna; nie przejęłaby się nawet informacją, że pięć minut temu Benson przechadzał się pod ich oknem. Może poruszyłaby ją wiadomość, że Colin widział pod ich blokiem Antoine'a. Z kolei Carol przyglądała się badawczo Matowi, jakby chciała poznać jego motyw, nim zajmie stanowisko.

- Dlaczego się z nim skontaktowałeś? - zapytała bez wyrzutu w głosie.

- Chciał, żebym go zabił - warknął Colin - bo twojemu chłopakowi nie wystarczy na to odwagi.

Mat poderwał się z fotela.

- Napisałem do niego dlatego, że już raz nam pomógł - rzucił Colinowi w twarz. - Nie wiesz, czy zrobił to na polecenie przełożonych, czy sam z siebie, łamiąc reguły. Nie wysłuchałeś jego argumentów, ale już mu przykleiłeś łatkę bezwzględnego mordercy na usługach organizacji! Kurde, Colin, ty groziłeś mi dwa razy... - Urwał, najwyraźniej zdawszy sobie sprawę, że zaognia sytuację.

Super. Najpierw szczeniak sam wyskakuje z zemstą za kumpli jako głównym powodem wezwania Bensona, a kiedy Colin wyraża tę myśl nieco precyzyjniej, wychodzi na wrednego typu, niezdolnego dostrzec szlachetnych intencji pseudołowcy.

- Więc leć na dworzec, rzuć się Bensonowi na szyję - poradził mu Colin. - A ja zabiorę stąd dziewczyny i tym

razem nie dowiesz się dokąd.

- Przestańcie - powiedziała Carol, nadal drażniąco bezstronna.

Spojrzała na Tin. Między tymi dwiema zawiązała się szalenie irytująca komitywa. Colin wiedział, że dziewczyny nie potrafią rozmawiać telepatycznie, jak on z Tin - w końcu Carol była tylko człowiekiem, pozbawionym choćby najskromniejszych zdolności parapsychicznych - odnosił jednak niemiłe wrażenie, że Indianka rozumie się z Tin bez słów i wymiany myśli tysiąc razy lepiej, niż Colin kiedykolwiek zdoła.

Pocieszał się, że to normalne, że dwie laski szybko się dogadały - nawet jeśli gadanie jako takie rzadko pojawiało się w ich relacjach. Tylko że, idąc tym tokiem rozumowania, Colin powinien bez problemu znaleźć wspólny język z Matem. Zaklął w duchu.

- Dobrze - odezwała się niespodziewanie Tin.

- Pakujmy się - zawtórowała jej Carol, wstając z kanapy.

- Dokąd pojedziemy? - zapytał z wahaniem Mat, kiedy stało się jasne, że dziewczyny nie poruszą tej kwestii.

- Zaszyjemy się gdzieś w lesie - mruknął Colin, wycofując się do swojej klitki.

Nie miał wiele do pakowania, podobnie zresztą jak pozostali. Odpalił laptopa i czekając, aż system wystartuje, szybko wrzucił swoje rzeczy do torby.

Wszedł na satelitarną mapę Polski. Szukał obiecującego lasu, bezpiecznie oddalonego od stolicy, skąd zarazem mógłby w miarę bez problemu wypuścić się na spotkanie z Bensonem. Skoro już drań miał przyjechać do Warszawy, żal byłoby zmarnować okazję do zdobycia informacji.

Musiał przyznać, że w tym kraju jest w czym wybierać. Aż skłaniał się, by uwierzyć opowieściom młodocianej francuskiej waderki o ponownej kolonizacji tych terenów przez członków społeczności. „Cudowne miejsce, gdzie można zaznać dzikości, ale na przyjazd tutaj trzeba sobie zasłużyć” - jakoś tak się wyraziła. Oczywiście, dla świadomego zza oceanu nie byłby to żaden cymes, biorąc

jednak pod uwagę lasy, jakie Colin widział dotąd na Starym Kontynencie, nie zdziwiłby się, gdyby każdy europejski świadomy pragnął przenieść się właśnie do Polski. Idealna kombinacja ciągle zdrowej natury z w miarę stabilną sytuacją polityczną.

Colin puknął palcem w ekran i zapamiętał nazwę miejscowości.

ROZDZIAŁ 2

Oriana stała w ogrodzie, wpatrzona w usiane gwiazdami niebo. W takich chwilach potrafiła sobie wmówić, że znajduje się w dziczy, z dala od politycznych rozgrywek i ciężaru trudnych decyzji. Wolna i bezpieczna.

Usłyszała kroki. Spodziewała się, że Lars przyjdzie. Co jakiś czas dołączał do Oriany późnym wieczorem, kiedy kontemplowała niebo, żeby wymienić z nią kilka uwag na temat dziewczynki, czy szerzej, przebiegu operacji. Dawno się nie pojawiał, właściwie oczekiwała go od paru dni, zaniepokojona nagłą izolacją kapłana. Odkąd zgubili Colina, Lars był podenerwowany. Nie mógł ścierpieć, kiedy zawodził punkt planu uważany przezeń za pewnik.

Zgodnie z pierwotnym zamysłem do ostatniego etapu mieli przejść po dwóch latach. W obliczu niespodziewanego buntu Colina musieli przyspieszyć finał, jednakże Emily nie była jeszcze gotowa, dlatego obecne, niezależne od nich opóźnienie działało poniekąd na korzyść operacji. Oczywiście, pod warunkiem, że Colin wkrótce się odnajdzie.

- Jego brat odezwał się do Richarda - poinformował ją beznamiętnie Lars. Nigdy nie silił się na wstępy. - Jest w Polsce. Nie wspomniał, czy Colin także.

Powstrzymała uśmiech. Brat należał do planu, stanowił zabezpieczenie na wypadek, gdyby Colin się im wymknął. Jako że Lars odrzucał taką możliwość, pierwotnie skłaniał się ku likwidacji Mata Stewarta. Zarazem nie chciał niczego zaniedbać, dlatego w końcu uległ argumentacji, że lepiej zostawić sobie dodatkową furtkę, zwłaszcza gdy koszt takiego działania jest niewielki. Teraz dzięki bratu odzyskają Colina.

- Zaproponował spotkanie? - zapytała Oriana, skrywając triumf.

- Tak, pierwszy termin wyznaczył na sobotę wieczorem. Richard jest w Norwegii, zdąży dojechać. Będzie wiedział, jak to rozegrać.

Domyślała się, że Lars jest bardzo podekscytowany, choć nie zaobserwowała u niego nawet minimalnie przyspieszonego tętna.

- Skieruje Colina na trop? - upewniła się.

- Musimy wybrać stosowne miejsce. Autentyczne, gdzie pokażemy Colinowi jakąś sztuczkę, żeby utwierdzić go w przekonaniu, że trafił właściwie.

- Liczysz na to, że Colin pojawi się w sobotę - skonstatowała.

Oriane obecność chłopaka na spotkaniu nie wydawała się taka oczywista. Zgodnie z ostatnim raportem, jaki otrzymali od Erasmusa, Colin wraz z bratem zajęli się poszukiwaniem eksperymentalnych dzieci z projektu Dietera. Ze względu na wrogie nastawienie Mata do jego osoby, Erasmus musiał się z nimi rozstać. Nie odezwał się więcej. Lars oddelegował dwóch ostatnich agentów, żeby go poszukali, ale zrobił to raczej dla formalności. Erasmus go nie interesował.

Zatem rzeczywiście, ostatni raz widziano Colina w towarzystwie brata. Od tamtego czasu minął wszakże miesiąc, a przeszło trzy tygodnie, odkąd zaginął chłopczyk od Dietera, na marginesie - bardzo obiecujący. Czyżby bracia wywieźli malca do Polski i tam też ukryli partnerki? Jeśli nawet tak było, Colin przypuszczalnie zrobił swoje i wyruszył w dalszą drogę, zostawiając dziecko i dziewczyny pod opieką brata.

Na pewno jednak oni dwaj utrzymywali ze sobą kontakt, tak więc jeśli Benson nie zobaczy się z Colinem w najbliższą sobotę, namówi Mata, żeby zorganizował kolejne spotkanie, tym razem w większym gronie. Oriane bardziej prawdopodobna wydawała się ta druga sytuacja, Lars prezentował odmienny pogląd.

- Jego brat już wie, kim jest Richard - oznajmił. - Nie zdecyduje się przyjść sam. W najgorszym razie Colin pozostanie w odwodzie, ale tego Richard szybko się dowie.

Przez Larsa przemawiała w tej chwili pogarda wobec ludzi. Jako człowiek, Mat nie miał prawa zdobyć się na odwagę, by stanąć twarzą w twarz ze świadomym. Oriana przeczytała na temat tego chłopaka dostatecznie dużo, żeby podejrzewać go o podobne szaleństwo. Powstrzymała się jednak od komentarza. Wkrótce się przekonają, kto przybędzie na spotkanie z Bensonem.

- Jak ją oceniasz? - odezwał się znowu Lars. - Poradzi sobie?

Zdziwiła się, że chce poznać jej zdanie, miast zawierzyć własnemu osądowi. Oriana pełniła zaledwie rolę guwernantki, która nie wtrąca się do zajęć podopiecznej z mistrzem.

Po krótkiej chwili zrozumiała, że Lars pyta ją jako kobietę. Właśnie z tego powodu przydzielił ją do Emily - ze względu na tożsamość płci, a nie dlatego, że - jak pierwotnie sądziła - w powszechnym mniemaniu kobieta potrafi zajmować się dziećmi lepiej niż mężczyzna.

Aktualnie żadna wadera nie piastowała stanowiska wyższego niż Oriana, tak więc wybór na opiekunkę dziewczynki akurat jej wydawał się oczywisty. Operacja była zbyt ważna i tajna, żeby angażować mniej zaufaną osobę. Niekiedy wszakże Oriane nachodziły wątpliwości, czy Lars rzeczywiście bezgranicznie jej wierzy. Zdarzało mu się wygłosić komentarz, który brzmiał jak otwarta deklaracja, że wie o jej działalności. Mimo to wprowadził ją w najgłębsze tajemnice kapłanów, punkt po punkcie objaśnił cały plan. Do tego stopnia zależało mu na niezależnej opinii?

- Domyślam się, że pytasz, czy podoła psychicznie - odezwała się wolno Oriana. Zakres umiejętności dziewczynki Lars znał o wiele lepiej od niej. - Jest bardzo silna i jak na swój wiek dojrzała, wręcz zbyt dojrzała dla naszych celów...

Lars prychnął cicho. No tak, bywał przerażająco przenikliwy w pewnych kwestiach, w innych zaś prezentował zdumiewającą tępotę. Przejawiał na przykład tendencję do lekceważenia kobiet. Oriane wykluczył z tego grona, ogólnie jednak zasada pozostawała w mocy. Dzieci również nie uznawał za pełnoprawne istoty. Emily zaś była zarazem kobietą i dzieckiem, nie uważał jej więc za godną siebie przeciwniczkę.

- Zmierzam do tego, że powinniśmy małą przekonywać, rzeczowymi argumentami, a nie manipulować nią, oddziałując na emocje - ciągnęła Oriana. - Moim zdaniem przejrzy tego rodzaju manipulację, a wtedy straci do nas zaufanie.

Dlaczego nazwała Emily „przeciwniczką”? Orianie coś się w tej dziewczynce nie podobało i być może chodziło właśnie o tę jej... nadmierną niezależność. Jakby mała ułożyła własny plan. Czyżby chciała maksymalnie rozwinąć swe zdolności, a potem uciec? Domyśliła się już, że kapłani wyznaczili dla niej konkretne zadanie, zapewne więc czekała, aż wyłożą jej, na czym ono polega. Kiedy zaś dowie się, że sprowadzą tutaj Colina, ujrzy w tym doskonałą okazję do ucieczki.

Dziewczynka była szalenie bystra; jeśli Lars zlekceważy tę okoliczność, popełni nieodwracalny w skutkach błąd. Oriana musiała jednak postępować bardzo ostrożnie, żeby jej słowa nie zostały uznane za próbę wywierania nacisku na kapłana.

Czy już nie posunęła się za daleko?

- Na razie za wcześnie na wyjaśnianie dziewczynce, czego od niej oczekujemy - stwierdził po dłuższym milczeniu Lars. - Nawet jeśli Colin stawi się na sobotnie spotkanie, chcę zapoznać się z raportem Richarda i dopiero na tej podstawie decydować o kolejnym kroku.

- Ufasz jego osądowi?

Lars utkwiał w niej przenikliwe spojrzenie i po raz kolejny Oriana nie zdołała pozbyć się wrażenia, że dawno ją rozszyfrował. Nie pozwoliła sobie jednak nawet na

nieostrożne mrugnięcie; zresztą rychło opuściła wzrok, żeby nie pojedynkować się z kapłanem. Lars oczekiwał podporządkowania, Orianie zaś wystarczyła świadomość, że w rzeczywistości nie podlega nikomu i słucha nakazów wyłącznie własnego sumienia.

Pocieszała się, że Lars często blefuje. Spoglądał na swych rozmówców tak, jakby znał ich najskrytsze myśli, potem zaś pilnie odnotowywał ich reakcje. Oriana nie zamierzała dać mu się sprowokować. Poza tym była kobietą. Sądziła, że akurat ją Lars darzy umiarkowanym szacunkiem, ale być może się myliła i on zwyczajnie nie dopuszczał do siebie myśli, że ktoś tak zasadniczo gorszy od kapłanów płci męskiej zdobyłby się na prowadzenie własnej gry.

Czekała. Lars w końcu jej odpowie.

- W tym konkretnym przypadku ufam - rzekł wreszcie. - Richard w pełni popiera operację. Zależy mu na doprowadzeniu jej do pomyślnego finału równie mocno jak nam.

Jego słowa znowu zabrzmiały dwuznacznie, jakby informował Oriane, że z dokładnie tych samych powodów obdarzył zaufaniem ją samą.

Zgadza się, Oriana szczerze popierała operację. Na początku. Teraz jednak, kiedy finał był tak blisko, zaczynały ją ogarniać wątpliwości. Nie miały solidnych podstaw i wynikały raczej z podszeptów intuicji, której nie zwykła traktować poważnie, niemniej narastały w niej z każdym dniem. Na razie zastanawiała się, czy dopuścić je do głosu.

Obserwowała Larsa kątem oka. Przeważnie oddalał się, kiedy uznał rozmowę za zakończoną. Czyżby chciał powiedzieć coś jeszcze? Nie zanosił się na to. Dziwne. Nie chciało jej się wierzyć, by zwyczajnie szukał wsparcia. Podjął się trudnego zadania, ale nigdy nie wywarł na Orianie wrażenia osoby, której ono ciąży.

Zbierał opinie, wysłuchiwał argumentów, niejednokrotnie się do nich stosował, lecz postępował tak ze względu na skrupulatnie budowany wizerunek rozsądnego przywódcy, otwartego na krytykę i pomysły podległych mu osób, nie zaś

dlatego, że sądził, iż potrzebuje rady. Nawet sytuacje takie jak ta z bratem Colina niewiele Larsa uczyły; wkrótce dojdzie do wniosku, że sam, rozważywszy wszystkie za i przeciw, zdecydowałby się wykorzystać chłopaka jako zabezpieczenie, a doradcy jedynie uprzedzili jego myśl.

Teraz stał obok Oriany w milczeniu i podobnie jak ona kontemplował niebo. Nie wiedziała, co o tym myśleć.

- Powinnaś się trochę przebiec - zaproponował Colin.

Milczała. Nawet na niego nie spojrzała, jakby się wcale nie odezwał. Mimo to próbował dalej:

- Niekoniecznie ze mną. Tin, proszę cię. Jesteś takim samym tworem natury, jak każda inna istota żywa. Nie jakimś jej wybrykiem. Tin... Masz określone cechy i wynikające z nich potrzeby. Umiesz zmieniać postać i powinnaś to robić, dla samej siebie, dla poprawy samopoczucia. Potrzebujesz biegu, poczucia wolności. Wierz mi. Cokolwiek usiłujesz sobie wmówić...

- Nie mam ochoty.

Zatem jednak go słyszała. Zacisnął pięści, bardziej przybity niż wściekły. Nie wiedział, z której strony ją podejść. Błagać ją, pocieszać czy może na nią wrzasnąć? Bał się, że jeśli dokona niewłaściwego wyboru, ostatecznie zerwie nadwerężoną już więź między nimi.

A swego czasu Tin twierdziła, że jest taka silna. Taka odporna.

- Przynajmniej spróbuj - odezwał się znowu. - Nie spodoba ci się, dasz sobie spokój. Dopóki chociaż raz nie pobiegniesz...

- Colin. - Zabrzmiało to, jakby mówiła: „Nie dręcz mnie”. Spojrzała na niego przelotnie, po czym znowu utkwiała wzrok w poszyciu z sosnowych igieł.

- Pojutrze wypada pierwszy termin spotkania, jaki wyznaczył Bensonowi Mat. - Colin zdecydował się uderzyć z innej strony. Jeśli choć trochę jej na nim zależało... - Nie

wiem, czy nie wpakuję się w zasadzkę. Wyczuwasz coś może? Mogłabyś się wsłuchać...

- Nie.

Dlaczego bez przerwy dawała mu do zrozumienia, że wini go za zachowanie Antoine'a? Co takiego Colin zrobił? Nakłonił normalnego, troskliwego, kochającego tatusia, by ten podjął próbę zabicia uwielbianej córki? Do diabła, przecież nie była blondynką!

W gruncie rzeczy jednak domyślał się, jak ona interpretuje sytuację. Gdyby Colin nie pojawił się w jej życiu, albo gdyby przynajmniej nie powstała między nimi tak silna więź, Tin żyłaby sobie spokojnie w Langwedocji, sprzedawała wino, pisała artykuły do durnej wiejskiej gazetki i przygotowywała tatusiowi obiady. Pozostałaby ukochaną córeczką Antoine'a. Cholerna szczęśliwa dwuosobowa rodzinka.

Nie przyjmowała do wiadomości, że piętnaście lat spędzonych przez nią z tym Francuzem było kłamstwem. Gdyby facet rzeczywiście kochał Tin, gdyby naprawdę traktował ją jak córkę, pojawienie się Colina nie zmieniłoby jego nastawienia.

Colin zdawał sobie sprawę, że ona nienawidzi przede wszystkim siebie - tej części, której nienawidził Antoine. Pieprzony wariat sądził, że da się wytyczyć granicę: Tin-dziewczyna i Tin-świadoma. Teraz zaś ona szła tym samym tropem, jakby w głębi duszy nie wiedziała, że stanowi niepodzielną jedność.

- Tin, twój upór jest dziecinny - odezwał się znowu. - Przecież bieg, sam bieg, w najmniejszym stopniu nie jest... folgowaniem krwiożerczym instynktom.

Popatrzyła na niego wymownie.

Nie miał pojęcia czy - po raz pierwszy od miesiąca - wychwycił jej myśl, czy też sam doszedł do wniosku, że to raczej on zachowuje się dziecinnie, nakłaniając ją do zmiany postaci, skoro wyraźnie powiedziała, że nie ma na to ochoty.

- Cholera, Tin.

Znowu utkwiała wzrok w ziemi pod stopami. Siedziała na ławeczce przed domkiem, który wynajęli wczoraj wieczorem, a Colin sterczał nad nią, jakby usiłował ją zdominować i w ten sposób wymusić na niej wyprawę do lasu.

Psiakrew, sam już się gubił, które z nich dwojga zachowuje się irracjonalnie. W końcu nic wielkiego się nie stało, jednego drania mniej na świecie. Zamiast wpędzać Tin w idiotyczną depresję, owo zdarzenie powinno otworzyć jej oczy na prawdę o Antoinie.

Colin najchętniej posłałby Tin do psychiatry. Niechby fachowiec wytłumaczył jej, że robi z siebie kretynkę. Minął miesiąc, a ona ciągle nie mogła się pozbierać! Ale cóż, psychiatra nie wchodził w grę.

Zostawił ją i wyszedł za bramę ogrodzenia z pojedynczych bali.

Trafili do wyjątkowo przyjemnego, niewielkiego ośrodka wypoczynkowego. Tworzyły go: jeden większy, drewniany budynek, pomalowany na biało i stylizowany na dawny zajazd, oraz pięć jego miniaterek, rozsianych po stosunkowo niewielkim terenie. Miejsce miało tę zasadniczą zaletę, że od kolejnych zabudowań dzieliło je siedemset metrów leśnej drogi. W dodatku o tej porze roku, przed sezonem, ich czworo było tu jedynymi gośćmi. Odosobnione, otulone lasami domki – Colin nie wymarzyłby sobie lepszych warunków dla Tin. A ona tego nie doceniała.

Nie, przesadzał. Chyba jej się tu podobało, wzbraniała się tylko przed skorzystaniem z możliwości, jakie oferował podchodzący pod same okna las.

Wynajęli jeden z pięciu mniejszych domków, z trzema sypialniami, salonikiem i niewielką kuchnią. W dużym budynku znajdowały się pokoje gościnne, sala wspólna z kominkiem i jadalnia, gdzie latem zapewne podawano gościom posiłki; gospodyni oprowadziła ich po nim, informując, że gdyby chcieli urządzić sobie wieczór przy kominku, nie ma problemu, byleby uprzedzili ją o tych planach dzień wcześniej.

Dotarli w te okolice wczoraj późną nocą, bo pięć godzin jazdy, jakie zasugerował komputer, w praktyce rozrosło się do siedmiu. Rozważali już nocleg w hotelu, zauważyli jednak tablicę ze zdjęciem ośrodka na ścianie domu, w którym nadal paliło się światło. Kobieta, raczej zarządzająca tym miejscem niż jego właścicielka, chętnie z nimi pojechała, łamaną angielszczyzną poinformowała o obowiązujących gości zasadach, spisała ich dane, zostawiła klucze do domku i odjechała, obiecując pojawić się rano z prowiantem. Rzeczywiście, przed dziesiątą dowiozła im świeży chleb, nabiał i wiejskie wędliny, bardzo przyzwoite, choć jak dla Colina nadmiernie doprawione. Zakładał jednak, że bez problemu znajdzie w okolicy żarcie bez przypraw.

Po południu wybrali się we czwórkę na spacer. Colin żywił cichą nadzieję, że Tin, zauroczona pięknem otoczenia, poczuje zew natury. Do diabła, po raz pierwszy w życiu znalazła się w prawdziwym lesie! To znaczy, po raz pierwszy od dnia, kiedy wpadła w łapy Antoine'a.

Cóż, chyba rzeczywiście za bardzo się pośpieszył z namowami. Jeden spacer, a Colin już chciałby ją widzieć w wilczej skórze. Tin w końcu dojrzeje do biegu, nauczy się rozkoszować zwierzęcą postacią.

Przyjazd tutaj był genialnym posunięciem. Szkoda tylko, że stanowił poniekąd zasługę Mata.

Colin rozebrał się w gąszczu, ukrył ciuchy pod krzakiem, przemienił się i ruszył przez las. Nieistotne, że księżyc był akurat w nowiu. Po miesiącu spędzonym w betonowym mieście, wśród drażniących hałasów i smrodu spalin, każde stąpienie po leśnej ściółce dostarczało Colinowi czystej rozkoszy, każda wychwycona woń wprowadzała go w rozmarzenie, każdy dźwięk koł uszy.

W dodatku te lasy były pełne zwierzyny. Wyczuwał jelenie, sarny, zające, dziki, lisy. Ach, zapolowałyby na dzika! Taki przeciwnik stanowiłby miłe wyzwanie. Zdecydował jednak, że ograniczy się do zająca. Nie powinien się

zanadto obzerać, skoro pojutrze rano czekało go trudne zadanie, do którego strategię musiał dopiero przemyśleć.

Przyjechał do Warszawy z dwugodzinnym wyprzedzeniem. Zostawił auto poza centrum i trochę pokłuczył środkami komunikacji miejskiej, żeby zgubić swój trop w tłumie. Nie chciał, by ewentualny agent organizacji namierzył go na dworcu, a potem po nitce zapachu trafił do toyoty i przyczepił do niej nadajnik.

Powłóczył się po hali dworca, labiryncie między peronami, zajrzał na same perony. Okropne miejsce. Hałas, smród, tłumy ludzi. Colina natychmiast rozboleła głowa, obawiał się, że wkrótce zawiodą go słuch i węch, zbombardowane zbyt wieloma intensywnymi doznaniem. Nie zwęszył agenta, ale też na to nie liczył – nie przysłano by tu osobnika, który nie opanowałby do perfekcji sztuki kamuflażu. Nie zauważył, żeby ktoś go śledził lub obserwował, ale również w tym przypadku naiwnością ze strony Colina byłoby spodziewać się, że dostrzeże zawodowca.

Nie sądził jednak, aby wysłannicy kapłanów planowali go zabić, co najwyżej chcieli na nowo złapać jego trop, który zgubili, gdy Caramel doprowadził do rozbicia poprzedniej, zaopatrzonej w nadajnik toyoty Colina. W drodze powrotnej czekało go zatem ponowne kluczenie.

Jechał tu z nastawieniem, że Benson się pojawi, choć w gruncie rzeczy wydawało się to mocno wątpliwe. Mat zaproponował agentowi trzy terminy spotkania, a pierwszy, dzisiejszy, przypadał zaledwie cztery dni po wysłaniu przez chłopaka mejla. Nawet gdyby Benson odebrał pocztę tego samego dnia, raczej nie zdążyłby dotrzeć do Warszawy ze Stanów, gdzie ponoć przebywał. Szczerze mówiąc, nawet jeśli okłamał Mata i kręcił się po Europie, miał marne szanse stawić się dziś na czas. Colin ewentualnie powinien oczekiwać nasłanych przez drania współpracowników.

Usiadł w pizzerii w hali dworca, skąd widział punkt informacji kolejowej, przy którym Mat wyznaczył Bensonowi spotkanie. Skorzystał z okazji, żeby coś zjeść, choć wolałby inny rodzaj żarcia. Cóż, wróci w Bory Tucholskie, to sobie upoluje kolejnego zająca. Albo tym razem właśnie dzika?

Odpędził myśli o polowaniu, zły, że buja w obłokach, zamiast skupić się na akcji. Wsłuchał się w siebie, ponaglał się, żeby wreszcie się odezwało. Mat miał słuszość: skoro Colin wyzwolił się spod wpływu Udon, skoro usłyszał podpowiedź przecucia w sprawie wyprawy do Dundee, dlaczego, u diabła, nie sugerowało mu ono następnych kroków? Dlaczego nie chciało wyjawic, czy Benson się dziś pokaże?

Skupił się na pytaniu o pseudołowcę i ewentualną pułapkę, zastawioną na dworcu na niego samego. Nic, totalna pustka. Cholera. Ponawiał pytanie, coraz bardziej wściekły... i w efekcie niemal przegapił moment nadejścia Bena. Zauważył agenta w chwili, gdy ten zatrzymał się w pobliżu punktu informacyjnego, rozglądając się po hali dworca, bacznie, ale bez śladu zdenerwowania, jakby nie spodziewał się ze strony Colina wrogich gestów. Ciekawe.

Colin podniósł się wolno od stolika. Rachunek uregulował, kiedy kelnerka przyniosła zamówienie, teraz więc bez pośpiechu wyszedł do hali. Nie krył się, ale też nie próbował machać do Bena. Jeszcze czego.

Chwilę później agent go zauważył. Uśmiechnął się i ruszył ku Colinowi, jakby chodziło o spotkanie dwóch dobrych kumpli.

W Colinie natychmiast wezbrała złość, skoncentrował się zatem na wyciszaniu emocji. Gdyby Benson był człowiekiem, wystarczyłyby pozory: spokojny głos, uprzejmy wyraz twarzy, ale jako świadomy, agent momentalnie odnotuje, że rozmówcy przyspieszył puls, i potraktuje go jak naburmuszonego nastolatka.

- Colin - rzekł Benson tonem na modłę: „Co za niespodzianka!”, zatrzymując się dwa kroki od niego. Nie

wyciągnął dłoni na powitanie, jednak trzymał obie ręce na widoku, sygnalizując, że nie ma złych zamiarów.

Mat ponoć nie wspomniał agentowi, że brat się do niego odezwał, ani przed spotkaniem z Colinem w Paryżu, ani pisząc tego nieszczęsnego mejla. Oczywiście, chłopakowi nie należało do końca wierzyć. Zdradliwy gnojek. W każdym razie jak na osobę zaskoczoną nagłym pojawieniem się Colina, Benson zachowywał niezwykle spokój.

- Jack - powiedział Colin, siląc się na równie swobodny, niemalże serdeczny uśmiech. - I pomyśleć, że ostatnio oglądałem cię z dziurą w piersi.

Benson roześmiał się niczym ze świetnego żartu. Wzruszył ramionami.

- Wiesz, jak jest - stwierdził. - Dostajesz rozkaz i go wypełniasz.

- Nie, nie wiem, jak to jest.

Agent znowu się zaśmiał. Jeśli zamierzał reagować w ten sposób na każdą wypowiedź Colina, zapanowanie nad emocjami okaże się cholernie trudne.

- Prawda - przyznał Benson. - Nigdy nie cechowała cię przesadna subordynacja.

Colin zacisnął zęby. Zgoda, sam się draniowi podłożył, chodziło mu jednak o fakt, że rozkazy padające z ust Gordona czy Fisha różniły się od tych, jakie kapłani wydają tajnym agentom. Wprawdzie akurat przedstawienie z pozorowaną śmiercią Bensa trudno byłoby określić niemoralnym, ale Colin pił w tej chwili do innego rozkazu.

- Kolegów mojego brata także zabiłeś bez szemrania? - zapytał zatem.

- Nie pochwalałem tej decyzji - odparł Benson, tym razem bez uśmiechu. - Niestety, choć czasem bierze się moją opinię pod uwagę, nie mam prawa głosu.

- Ale to ty ich zabiłeś - naciskał Colin.

- Liczyła się decyzja. Kiedy zapadła, kwestia wykonawstwa nie była istotna.

Ciekawe, jak do tej deklaracji odniósłby się Mat. Nadal uważałby, że Jack Benson to świetny gość, bijący Colina na

głowę?

- Miłe miejsce - Benson rozejrzał się po obskurnej hali dworca - ale może znajdziemy pub gdzieś na zewnątrz?

Kiedy Colin próbował wyobrazić sobie, jak przebiegnie spotkanie z Bensonem, zupełnie brakowało mu koncepcji. Znany mu Jack Benson, łowca, porządny gość, był jedynie rolą, a grający ją osobnik mógł się równie dobrze okazać przyzwoitym facetem, wplątany w realizację zadań sprzecznych z jego sumieniem, jak i bezwzględny, odrobinę psychopatycznym zawodowcem, który z radością powitał rozkaz likwidacji bandy wpatrzonych w niego nastolatków.

Ponieważ Colin nie potrafił się zawczasu zdecydować, czy bardziej prawdopodobne jest, że oni dwaj odbędą uprzejmą rozmowę, czy też - że rzucą się sobie do gardeł, nie czuł się zdziwiony przyjacielskim zachowaniem Bensa. Zadawał sobie natomiast pytanie, w jakim stopniu jest ono szczere. Dlaczego agent tu przyjechał? Wypełniał kolejne zadanie czy tym razem działał samowolnie?

- Nigdy nie pytasz o sens rozkazu? - zagadnął Colin, ze wzrokiem utkwionym w bezalkoholowe piwo.

Unikał patrzenia Bensonowi w oczy. W przypadku dwóch alf byłoby to oczywiste wyzwanie, a chwilowo chciał utrzymać przyjacielską atmosferę rozmowy.

- Dyskutować z kapłanem? - Agent uśmiechnął się.

Colin nie wiedział, czemu upozorowana śmierć Bensa rusza go bardziej niż wyrok na kumpli Mata. Zakpili sobie z niego z Gordonem, trudno, na tle innych dokonań tej dwójki akurat ów fakt wydawał się zdarzeniem pomniejszej wagi. A jednak... dlaczego zrobienie z Colina głupka było dla kapłanów takie ważne?

Nie podobało mu się, że jego osoba okazuje się w tej sprawie coraz bardziej istotna. Zgoda, upozorowana śmierć Bensa ani się umywała do podejrzenia, że Udo rozszarpał

Godfreyja tylko po to, by wyzwolić Colina spod ojcowskiego wpływu, niemniej stanowiła kolejny element układanki, niepasujący do obrazu sytuacji, jaki Colin odmalował sobie jeszcze w Stanach, kiedy usłyszał o nietypowych właściwościach swej siostry.

- Działasz jak maszyna? - drążył. - Wykonujesz zadanie, nie zastanawiając się, jaki ono ma cel?

- Cel niekiedy wynika z charakteru misji. Posiadasz parapsychiczne zdolności, które Udo starał się wytłumić, zgadza się? To był pierwszy test, czy mu się udało. Plama mojej krwi na piersi była prawdziwa, ale poza tym nie zastosowałem żadnych sztuczek. Oddychałem normalnie, biło mi serce. Powinieneś być to usłyszeć... Albo raczej słyszałeś, ale Udo zaprogramował cię tak, że odrzuciłeś informację przekazaną przez zmysły, a wewnętrzny głos nie powiedział ci, że się mylisz.

Najwyraźniej Udo nie do końca orientował się, jak działa przecucie. Choćby Colin je zachował, nie musiało informować go o tym, że właśnie wziął udział w przedstawieniu. Mimo wszystko jednak... czy nie wydało mu się wtedy, że ze śmiercią Bensona coś nie gra? Tak, chyba przecucie próbowało się przebić do świadomości Colina. Niestety, bezskutecznie.

- I dla tak błahego powodu został zniszczony Jack Benson, łowca na usługach agencji? - zapytał Colin.

- Agent rządowy udający łowcę - poprawił Benson, znowu się śmiejąc, cicho, nieco kpiąco, jakby Colin palnął głupstwo.

Czyżby facet usiłował sprowokować go do wybuchu? Podobnie postępował w Stanach: także testował Colina. Wówczas Colin sądził, że to łowca sprawdza, czy zwierzy nie można zaufać - i niewykluczone, że Benson po prostu wczuwał się w rolę. Ale wydawało się też całkiem prawdopodobne, że już wtedy chodziło o coś innego. Kapłani chcieli poznać poziom samokontroli Colina? Przepuszczalnie tak, pytanie tylko: w jakim celu?

- Kto widział moją śmierć? - odezwał się wreszcie Benson. - Tylko ty. Dla pozostałych po prostu zniknąłem na jakiś czas. Mało łowców tak postępuje? W firmie poprosiłem o urlop, sprawy prywatne.

- Tajny agent bierze sobie, ot tak, urlop - prychnął Colin.

- Jaki mieli wybór? Oficjalnie to praworządna jednostka, nie wypadało im mnie szantażować... nawet gdyby mieli czym. Naprawdę aż tak interesuje cię ta kwestia?

- Sam nie wiem, co powinno mnie najbardziej interesować - mruknął Colin.

Nie ufał facetowi i po omacku szukał argumentu, który przeważałby szalę na jedną lub drugą stronę.

Ponownie ogarnęła go złość na Tin. Gdyby okazała się silniejsza, nie straciłaby przeczucie i teraz towarzyszyłaby Colinowi duchem, nasłuchując tego, co wewnętrzny głos miałby jej do powiedzenia na temat intencji Bensaona.

- A gdybym się zorientował, że biorę udział w marnie przygotowanym przedstawieniu? - zapytał Colin.

Benson westchnął, jak ktoś zmęczony naleganiami rozkapryszonogo dziecka. Colin zmrużył oczy, ale postanowił go przeczekać.

- Wtedy zapewne Udo nie pozwoliłby ci zachować swobody - wyjaśnił wreszcie agent. - Albo spróbowałby ponownie cię zdominować. Jesteś bardzo cennym okazem...

- Ach, doprawdy - wtrącił z przekąsem Colin.

Zatem Benson powtarzał argumenty kapłana, niewątpliwie zgodnie z otrzymanymi instrukcjami. Chyba że jemu także Udo wcisnął bajeczkę o byku rozplodowym...

- Jesteś silną alfą, Colin - stwierdził Benson. Sprawiał wrażenie zdziwionego jego reakcją. - Udo nie chciał cię likwidować, nie mógł jednak pozwolić, żebyś zanadto mącił. Natomiast uwięzienie cię... Na to także za dużo wiedziałeś, bo przecież do pilnowania cię nie oddelegowano by nikogo na tyle wtajemniczonego w sprawy kapłanów, żeby twoje rewelacje nie zrobiły na nim wrażenia. Nie dysponują aż taką liczbą ludzi.

Colin przyglądał mu się z namysłem. Psiakrew, że też nie potrafił rozpoznać u typa kłamstwa. Drań faktycznie wierzył w tak banalne wyjaśnienie?

- Ja zdążyłem dojść do wniosku, że kapłani czegoś ode mnie chcą - powiedział Colin, odchylając się na oparcie krzesła. - Czegoś wiążącego się z Emily.

- Czego? - zapytał Benson, ewidentnie zaskoczony. Lub doskonale grający zaskoczenie.

- Liczyłem, że ty mi powiesz - odparł Colin. Nie zamierzał dzielić się z agentem teorią Caramela, że kapłanom zależy na nim, żeby w razie potrzeby wpłynął na siostrę. Sam coraz mocniej wątpił w takie wytłumaczenie. - Po co tu przyjechałeś? Kazali ci? Czy zaraz zaczniesz mi wmawiać, że postanowiłeś się zbuntować z sympatii do mnie?

Agent westchnął, także opierając się wygodnie. Spoglądali sobie w oczy, wyzywająco, jak dwie silne alfy na chwilę przed starciem. W końcu Benson opuścił wzrok.

- Przede wszystkim, mogłem tylko mieć nadzieję, że cię tu dziś spotkam, albo przynajmniej, że Mat zdoła mnie z tobą skontaktować - powiedział. - Między innymi dlatego mu pomogłem, żeby poprzez niego dotrzeć do ciebie. Oraz żeby zaskarbić sobie nieco twojej przychylności. - Uśmiechnął się ironicznie, jakby doskonale zdawał sobie sprawę, jak bliski zabicia Mata był Colin. Zapewne jednak chodziło raczej o to, że zdaniem Bensaona Colin rzadko bywał komukolwiek przychylny. - Cieszę się, że stawiałeś się osobiście. Znając twojego brata, wykorzystałby informacje, które usiłowałem ci przez niego przekazać. Zmarnowałyby je, pchając się tam, gdzie nie powinien się znaleźć.

- Planujesz wystawić mi kapłana? - zapytał Colin. Cholera, w co gość pogrywał? Sądził, że poda Colinowi namiar, a ten grzecznie podrepcze prosto w zasadzkę?

- Dawno temu przed kapłanami postawiono określone zadania - powiedział po dłuższym namyśle Benson. - Mają zapewnić spokojne istnienie społeczności i jej dobro rzeczywiście jest dla nich celem nadrzędnym. Czasem

wymaga ono likwidacji nieświadomego, niekiedy nawet świadomego...

- Na przykład Patricka? - wtrącił ironicznie Colin.

Chodziło o członka straży, czy może raczej jej współpracownika, który oficjalnie zginął z ręki łowcy. Z ręki Jacka Bensa. Jak się okazuje, dla dobra społeczności.

- Na przykład - potwierdził spokojnie Benson. - Chociaż miałem akurat na myśli twojego ojca.

Agent zamilkł na dłuższą chwilę, jakby zachęcał Colina do ulżenia sobie po raz kolejny, żeby wreszcie mogli przejść do konkretów.

- Kapłani chronią społeczność, a przy okazji także ludzi - podjął Benson, zrozumiawszy wreszcie, że Colin nie pozwoli sobą dyrygować. - Wypełniają swą misję sumiennie i w dobrej wierze. Problem polega na tym, że niekiedy ich wyobrażenie na temat tego, co jest właściwe, wydaje się kontrowersyjne.

- Tobie - uzupełnił Colin.

- Tak, odnoszę wrażenie, że kapłanom czasem brakuje kontaktu z rzeczywistością.

- Przecież rozkaz to rozkaz, a ty nie zadajesz pytań - wytknął mu Colin.

- A co by mi przyszło z otwartego buntu? - zdziwił się Benson. - Wyrażam głośno swoją opinię, to i tak dużo. Oni nie lubią osób z własnymi poglądami, nawet jeśli są one zgodne z ich stanowiskiem. Sprzeciwiając się wykonaniu rozkazu, podpisałbym na siebie wyrok.

- W głębi serca jednak czujesz, że powinieneś pomścić kolegów Mata? - ironizował Colin. - I pomóc mi w walce z bezwzględnymi kapłanami?

- Twoja siostra to potężna broń - odparł z ledwie słyszalnym westchnieniem Benson. - Bez żadnego szkolenia doprowadziła do przebudzenia ponad trzydziestu nieświadomych, a u sporej części przebywających w jej pobliżu świadomych wywołała rozkojarzenie. Jeśli jej umiejętności się rozwijają, docelowo będzie umiała zdominować każdego świadomego. Dzięki niej kapłani staną

się całkowicie bezkarni. Zdołają zmusić najsilniejsze alfy do biernego wykonywania najbardziej kontrowersyjnych poleceń. Nie podoba mi się myśl o byciu ich marionetką.

- STANĄ SIĘ bezkarni? - powtórzył Colin.

Benson skrzywił się, jakby wypsnęło mu się coś, czego absolutnie nie powinien był mówić. Milczał dłuższą chwilę.

- Teraz przynajmniej ktoś patrzy im na ręce - powiedział wreszcie. - Kapłani są w zasadzie nietykalni, niekiedy jednak można im odrobinę pokrzyżować plany. Jeżeli dzięki twojej siostrze zyskają kontrolę nad każdą alfą w społeczności...

- Kto? - przerwał mu Colin. - Kto im patrzy na ręce?

Czy Benson oznajmiał mu właśnie, że należy do wspomnianej przez Caramela tajnej grupy oporu? Tej samej, na której czele stał Gordon - i w której szeregach nastąpił rozłam w związku z rozbieżnością zdań na temat przyszłości Colina? I mimo to łajdak upierał się, że kapłanom zależy jedynie na jego genach silnej alfy?

- Są takie osoby - odparł niechętnie Benson. - Nie planują buntu, próby przejęcia władzy. Zależy im jedynie na tym, żeby kapłani nie zatarczyli się w przekonaniu o własnej nieomyślności.

Czy Colin powinien przyznać, że wie o istnieniu owej grupy? I przy okazji opowiedzieć o nasłanym przez Gordona zabójcy? Nie, niczego w ten sposób nie zyska, a Benson mógł blefować, usłyszawszy o opozycji od swoich szefów.

- Osoby - powtórzył Colin tonem sugerującym, że jego zdaniem pod tym określeniem kryje się tylko Jack Benson. - I te osoby chcą dostać moją siostrę?

- Nie, wyłącznie kapłani wiedzą, jak zapanować nad jej mocami. Oczywiście... gdybyś ją odnalazł i okazałoby się, że ona dostatecznie dużo się w międzyczasie nauczyła, mogłaby stać się cenną sojuzniczką w potyczkach z kapłanami. Wydaje mi się jednak, że korzystniejsze dla wszystkich stron, a zwłaszcza dla niej, będzie ulokowanie jej w spokojnym miejscu, z dala od społeczności. Taki masz plan, prawda?

Colin skinął głową. Benson faktycznie nie dbał o przysługi, jakie mogłaby wyświadczyć mu Emily? Czy raczej bał się, że nie zdołałby jej kontrolować? Colin zdecydowanie skłaniał się ku drugiemu wyjaśnieniu, a w związku z tym nie sądził, żeby Benson zadowolił się wywiezieniem małej w „spokojne miejsce”. Drań chciał jej śmierci. Najpierw wszakże musiał odnaleźć Em, a do tego potrzebował Colina. Choćby z tego powodu, że Bensaona dziewczynka zapewne w ogóle by do siebie nie dopuściła.

- Zależy mi, żebyś odnalazł siostrę i zabrał ją od kapłanów - ciągnął Benson. - Jak najszybciej, zanim całkiem ją przekabacą. Jeśli już to zrobili, czeka cię użycie wobec niej siły.

Siły, no właśnie.

- A ty podasz mi adres, pod którym ją przetrzymują? - spytał Colin, znów ironicznie.

- Gdybym miał pojęcie, gdzie ją trzymają, już dawno spróbowałbym ją odbić - odparł chłodno Benson.

- Chyba nie zaprzeczysz, że góruję nad tobą doświadczeniem w relacjach z kapłanami?

Drań wytykał mu amatorszczyznę! Colin zacisnął pięść, skrytą pod blatem stolika. Nie, psiakrew, nie pozwoli się sprowokować.

- Wiem natomiast o jednym miejscu, w które czasem zaglądamy kapłani - ciągnął Benson. - Chodzi o twoją siostrę. Może kiedy się tam znajdziesz, zdołasz przełamać to, co zrobił ci Udo, i odzyskasz swoje parapsychiczne zdolności.

Colin wyjechał z Warszawy późną nocą. Po rozstaniu z Bensonem kluczył trochę po mieście, choć nie sądził, żeby ktoś go śledził. Jeśli Benson rzeczywiście postanowił zdradzić kapłanów, zataił przed nimi to spotkanie, jeżeli zaś działał z ich polecenia, tak czy owak miał pozyskać zaufanie

Colina, czemu nie sprzyjałoby napuszczenie na niego agentów.

Trudno powiedzieć, która z tych dwóch możliwości była gorsza. Jeśli Benson uważał Emily za zagrożenie, spróbuje ją zabić - i Colina także - przy pierwszej nadarzającej się okazji. Najpierw jednak pomoże Colinowi uwolnić małą, tak więc przy zachowaniu czujności Colin miał szansę wyrwać siostrę z łap kapłanów, a potem uprzedzić atak Bensaona. Jeżeli zaś agent wypełniał polecenia przełożonych, dziewczynce raczej nic nie groziło, natomiast Colin mógł się wpakować w niezłe gówno, gdyby się okazało, że kapłani chcą od niego czegoś mniej przyjemnego niż przekonanie Emily, że powinna z nimi grzecznie współpracować.

Westchnął. W tej chwili musiał brać pod uwagę obie ewentualności, a taka niepewność była zdecydowanie najgorsza.

Miejsce, w które zagląдают kapłani. Benson wysyłał go na jakąś duńską wysepkę, co samo w sobie śmierdziało zasadzką. W dodatku chodziło o skupisko kamieni, jakby Colin nie dość się namęczył, podziwiając cholerne Stonehenge.

- Nie, nie, one nawet nie przypominają Stonehenge - zapewnił Benson, kiedy Colin pokusił się o takie porównanie, oczywiście bez nawiązywania do odbytej przez siebie wycieczki. - Wyglądają bardzo niepozornie. To pięć głazów, tworzących nieregularne półkole. Znalazły się tam przypuszczalnie w sposób całkowicie naturalny, a powstałe w nich wgłębienia i żłobienia także przypisuje się siłom przyrody. Z turystycznego punktu widzenia nie stanowią atrakcji. Co najwyżej może tam dotrzeć wielki entuzjasta dawnych wierzeń, świadom, że tego rodzaju twory natury wykorzystywano do oddawania czci bóstwom. Jednakże w dostępnych ludziom źródłach nie znajdziesz potwierdzonej informacji, że akurat te głazy kiedykolwiek służyły podobnym celom.

- Dlaczego więc akurat one tyle znaczą dla kapłanów? - zapytał z powątpiewaniem Colin.

Agent wzruszył ramionami.

- Podobno drzemie w nich dawna magia, ale nie powiem ci, czy kapłani uznają jej obecność za fakt albo przynajmniej szczerze w nią wierzą, czy też odwiedzają owo miejsce wyłącznie dla zachowania pozorów. Po kapłanach oczekuje się pełnienia obrzędów, a na Fionii mogą oddawać się takim praktykom w miarę bezpiecznie.

- Kto oczekuje? - nie ustępował Colin. - Przecież nikt nie wie o istnieniu kapłanów.

- Ja wiem - odparł z uśmiechem Benson. - Podobnie jak każdy, kto cokolwiek znaczy w organizacji. Oraz cała rzesza szarych członków, którzy boczną drogą weszli w posiadanie tajemnicy. Zdziwiłbyś się, jak wiele jest takich osób. Właśnie dla nich kapłani urządzają te przedstawienia, jeśli rzeczywiście są to tylko przedstawienia. Na takich „jeśli” bazują. Jako racjonalista, podchodzę sceptycznie do kwestii istnienia bóstwa i konieczności odprawiania określonych rytuałów, kapłanom jednak udało się zasiać we mnie ziarno niepewności. Gdyby wewnątrz organizacji wybuchł bunt i w efekcie kapłani zostali odsunięci od władzy... czy nie okazałoby się, że nowi świeccy władarze dostali w spadku boga, z którym nie potrafią sobie poradzić?

Colin pozostał sceptyczny, lecz nie mógł odrzucić równie obiecującego tropu.

Złościło go tylko, że Tin będzie triumfować: dawne miejsce kultu, dokładnie tak, jak mówiła. Chociaż Benson sugerował, że akurat tych głązów nie warto szukać w ogólnodostępnych przewodnikach, tak więc nawet z jej pomocą Colin nigdy by tam nie trafił. Poza tym Tin tak się zachwycała Stonehenge, że być może ożywi się, usłyszawszy o kolejnym kręgu - i wróci jej przeczucia. Albo przynajmniej zechce zobaczyć te głązy, a więc otworzy swój umysł, żeby Colin przekazał jej obraz. Krótko mówiąc: przeważały korzyści.

- Kapłani posiadają na Fionii bazę? - dociekał Colin. - Rodzaj świątyni?

- Z tego, co wiem, jedynie tam zaglądają. Magia kręgu wiąże się z pełnią księżyca, ale nie jestem pewien, jak często odprawiają te swoje obrzędy. Wybrałem się tam tylko raz, kilka lat temu, z ciekawości. Przez trzy dni pełni nikt się nie pokazał. Więcej nie ryzykowałem.

- Mówisz mi, że równie dobrze mogę sobie poczekać pół roku, zanim zjawi się tam kapłan? - prychnął Colin.

- Może tobie się poszczęści.

Do najbliższej pełni zostało półtora tygodnia, Colinowi już tyle wydawało się cholernie długim wyczekiwaniem. Jeżeli spędzi trzy noce, stercząc na próżno na jakiejś piekielnej łące...

Skarcił się za brak optymizmu. Benson miał rację: niby czemu nie miałyby mu dopisać szczęście? Zresztą, Colin nie zamierzał czekać do pełni. Pogada z Tin i spróbuje zainteresować ją tematem, a potem wyruszy na Fionię. Po co dawać kapłanom czas na przygotowanie zasadzki?

Do domku w Borach Tucholskich dotarł nad ranem. Wsiadając z samochodu, zastanowił się, czy Tin usłyszała, że przyjechał. Wyobraził ją sobie, jak cichutko wymyka się z pokoju, który dzieliła z Carol, żeby powitać swego chłopaka. Stał chwilę przy toyocie, licząc na to, że lada moment drzwi się otworzą. Tak wiele wymagał?

Westchnął i ruszył do wejścia. Nie to nie.

ROZDZIAŁ 3

O tej porze Oriana zwykle już spała, tego wieczoru wszakże z niecierpliwością oczekiwała na raport Bensaona. Richarda, jak zaraz poprawiłby ją Lars. Upierał się przy używaniu tego imienia, choć było ono równie fałszywe jak przyjęta przez agenta tożsamość łowcy. Niby drobiazg, niemniej Oriana musiała się pilnować, jako że Larsa ogromnie irytowały takie detale. Nie pokazywał tego po sobie, ale i tak wiedziała.

Nie potrafiła skupić się na treści czytanej książki. Lars powinien był już otrzymać relację ze spotkania, lecz nie zdziwiłaby się, gdyby dopiero za kilka dni łaskawie ujawnił jej najważniejsze szczegóły. Z kolei mniej oficjalne raporty Bensaona docierały do Oriany ze sporym opóźnieniem.

Rzadko się zdarzało, żeby Oriana do tego stopnia traciła samokontrolę. Nawet kiedy swego czasu zaufała niewłaściwej osobie i groziło jej zdemaskowanie, potrafiła spędzać wieczory pochłonięta lekturą. Ale wtedy chodziło wyłącznie o nią, o jej życie, którego nie ceniła aż tak wysoko. Fiasko tej operacji mogło kosztować znacznie więcej istnień.

Czy plan Larsa w ogóle miał szanse na osiągnięcie pomyślnego finału? Tego rodzaju pytania nachodziły ją coraz częściej, aż Oriana zaczęła nabierać przekonania, że niepowodzenie jest pewne, a pozostaje jedynie zdecydować o tym, jak będzie ono wyglądać. Niewykluczone też, że to jej przyjdzie podjąć tę decyzję, Lars bowiem sprawiał momentami wrażenie, jakby zamierzał odrzucić wszelkie ewentualne niepomyślne wieści i kontynuować operację wedle pierwotnej koncepcji.

Poczynił wielkie ustępstwo, godząc się przyspieszyć finał, i nie dopuszczał myśli o kolejnych.

Problem polegał na tym, że wszelkie obawy Oriany miały podłoże czysto intuicyjne. Dlatego tak wyczekiwała raportu Bensaona. Agent wierzył w tę sprawę, chciał doprowadzić do wypełnienia się przepowiedni. Uważał, że to może być ostatnia szansa, jeżeli zaś w przeszłości zmarnowano korzystniejsze okazje, to trudno, tego już się nie odwróci. Sypanie przykładami lepiej rokujących rodzeństw mijało się z celem, ponieważ jeśli nawet w najbliższym czasie pojawi się następna taka para, kapłani nie zdążą się przekonać, w jakim stopniu spełnia ona kryteria. Jeżeli zatem Benson stwierdzi, że z takich lub innych względów należy usunąć Colina, albo przynajmniej w jego raporcie pojawi się cień tego rodzaju sugestii, Oriana zyska tak bardzo jej potrzebny dowód na poparcie swoich racji.

Zarazem zgadzała się, że kolejne takie rodzeństwo może pojawić się zbyt późno. Zabić Colina zawsze zdążą, źle byłoby pospieszyć się z taką decyzją. Wściekła się, kiedy usłyszała o podjętej przez Gordona próbie zamachu na życie chłopaka; przynajmniej teraz zaczynała rozumieć, co nim kierowało. Gordon dobrze znał swego bratanka, widocznie miał podstawy sądzić, że Colin nie spełni pokładanych w nim nadziei. Czy Oriana nie powinna zaufać jego osądowi, zamiast uparcie oglądać się na Bensaona?

- Jakie były te pozostałe dziewczynki? - zapytała Larsa tydzień czy dwa po tym, jak poznała swoją nową podopieczną; pełną treść przepowiedni oraz historię podejmowanych przez wieki prób zgłębiła niecałe trzy miesiące wcześniej, kiedy stało się jasne, że przebudzenie Emily nastąpi lada moment.

Wahała się, czy zadawać to pytanie, dyktowane głównie ciekawością. Lars wyznawał zasadę ograniczania udzielanych podwładnym informacji do niezbędnego minimum, lecz Oriana odniosła wrażenie, że jej proponuje relacje bliskie partnerstwu.

I rzeczywiście, odpowiedział Orianie, choć zwlekał z tym tak długo, że zdążyła uznać jego milczenie za reprimendę i zarazem sygnał końca rozmowy.

- Zbyt przestraszone - rzekł wolno. - Zbyt słabe, zbyt młode lub zbyt trzpiotowate. Nadmiernie związane ze swoimi braćmi. Nieufne wobec kapłanów. - Spojrzał na Oriane. - Widziałem jedną, o innych słyszałem. Pierwsza porażka wywołała panikę, sądzono bowiem, że przepowiednia obiecywała tylko jedno takie rodzeństwo. Później, gdy pojawiło się kolejne, i następne, kapłani zaczęli zachowywać się tak, jakby dysponowali nieskończoną liczbą prób. Kiedyś równocześnie mieliśmy trzy takie pary, ale każdą odrzucono, albo ze względu na dziewczynkę, albo z powodu jej brata. - Urwał, sapnięciem wyrażając dezaprobatę dla lekkomyślności swych poprzedników. - Emily znam od maleńkości i wydaje mi się idealna. Odpowiednio poprowadzona zrobi wszystko, czego od niej oczekujemy.

W jego głosie nie pojawił się nawet cień wątpliwości, że oboje podołają zadaniu. Oboje, bo choć Lars wziął na siebie najważniejsze elementy edukacji Emily, to z Orianą dziewczynka miała spędzać więcej czasu.

Wtedy właśnie Oriana uzmysłowiła sobie ogrom ciężącej na niej odpowiedzialności. Nie polubiła tego dziecka, a prawdę mówiąc, szczerze go nie cierpiała, od pierwszej chwili, tymczasem musiała wcielić się w rolę najlepszej przyjaciółki Emily, być jej matką i mentorką, pozyskać bezwarunkowe zaufanie małej.

Na szczęście Oriana była dobrą aktorką, z wieloletnią praktyką, przy czym zwykle mierzyła się z groźniejszymi przeciwnikami niż dziesięcioletnie dziewczynki.

Mimo to obawiała się, czy sprosta wyzwaniu. O dzieciach mawiano, że wyczuwają emocje znacznie lepiej niż dorośli, a w dodatku ta mała posiadała nietypowe zdolności, pozwalające jej zaglądać w umysły członków społeczności. Owszem, na razie tylko nieświadomych, przybyła jednak tutaj, by rozwinąć swoje umiejętności. Pewnego dnia może

przeniknąć za maskę Oriany i ujrzeć niechęć... antypatię... nienawiść.

Oriana nie łudziła się, że jej nastawienie z czasem się zmieni. Gdyby opieka nad Emily nie była warunkiem dopuszczenia jej do najskrytszej z pielęgnowanych przez kapłanów tajemnic, na pewno by odmówiła.

Zrozumiała, że jeśliby chciała mieć do czynienia z dziećmi, zajęłaby się własnymi. Oddała je wszakże, najpierw chłopca, potem dziewczynkę, na wychowanie rodzinom, których nawet nie poznała. Podjęła decyzję: została kapłanką i zamierzała wiele osiągnąć. Urodziła te dzieci tylko dlatego, żeby uniknąć nieprzychylnych komentarzy. Każdy silny, zdrowy świadomy powinien wypełnić swój obowiązek wobec społeczności, dostarczając jej nowych, równie silnych i zdrowych osobników. Kapłanów płci męskiej wywiązanie się z tego zadania kosztowało, oczywiście, stanowczo mniej wysiłku, ale nie oznaczało to taryfy ulgowej dla kapłanek. Przeciwnie, tacy jak Lars szybko wypomnieliby Orianie samolubną postawę.

Dostali zatem tę dwójkę dzieci; trzecia próba zajścia w ciążę na szczęście się nie powiodła i Oriana mogła w pełni poświęcić się karierze. Osiągnęła wiele, dzięki temu przecież powierzono jej Emily. Dziecko. Trzy lata młodsze od jej córki.

Poirytowana, zamknęła książkę.

- Jej brat jest najslabszym ogniwem tego planu - oznajmił Orianie półtora roku temu Lars. - Możemy go kontrolować jedynie w ograniczonym zakresie i nie mamy wpływu na wszystkie bodźce, na których oddziaływanie będzie narażony. Jednakże dobrze go przygotowałem na ten okres. Nie oczekuję niespodzianek.

Przeliczył się, a Oriana czułaby z tego tytułu złośliwą satysfakcję, gdyby nie grali o tak wysoką stawkę. Co do jednego Lars miał jednak rację: Colin stanowił najslabsze ogniwo. Jego parapsychiczne zdolności ogromnie komplikowały sprawę; gdy odkryto, że je posiada, zastanawiano się, czy kontynuować operację. Tylko że to

rodzeństwo naprawdę mogło być ostatnią szansą... Lars zabił mu ojca, a chłopak nie przewidział zdarzenia, potem nie zorientował się, że Gordon zwodzi go w sprawie prowadzonego śledztwa, nie podjął własnego. Dopiero w noc uprowadzenia przez Larsa jego siostry zrozumiał, że to dziewczynka przyciągnęła nieświadomych. Colin miał wizje, ale niezbyt groźne, względnie nie potrafił ich właściwie odczytać. Nie umiał zajrzeć w przyszłość tak daleko jak jego matka.

Dlatego Lars zaryzykował. Udało mu się wytlumić nadnaturalne zdolności chłopaka, zadziwiająco skutecznie, bo wedle doniesień Erasmusa, Colin nie odzyskał swoich wizji, mimo że generalnie wyzwolił się z otumanienia, w jakie wpędził go kapłan. Co Lars postanowi, jeśli w raporcie Bensona pojawi się domniemanie, że chłopak jednak znów widzi przyszłość? Oriana wątpiła, żeby kapłanowi udało się ponownie zdominować Colina. Poza tym zbyt częsta ingerencja w jego umysł groziła...

Drgnęła na odgłos pukania do drzwi. Dochodziła druga w nocy - Oriana nie musiała patrzeć na zegarek. Zadziwiające, że jednak przyszedł. W dodatku zapukał, choć nie posunął się tak daleko, by poczekać na jej zaproszenie.

- Richard się odezwał - poinformował Oriane. - Zobaczyłem u ciebie światło i uznałem, że czekasz na informacje.

- Zaczytałam się... - Wskazała książkę. - Ale tak, oczywiście, bardzo mnie interesuje przebieg spotkania.

Lars silił się na kurtuazję, a to znów wydawało się dziwne. Jeszcze trochę takich nietypowych zachowań kapłana i Oriana poczuje się zagrożona. Kiedy Lars stawał się dla kogoś nadmiernie uprzejmy, przed tą osobą zwykle rysowały się marne perspektywy.

Teraz milczał, jakby testował cierpliwość Oriany. Uśmiechnęła się doń blade.

- Usiądź - zaprosiła, na powrót opadając na krzesło. Zawahawszy się, skorzystał z propozycji i zajął miejsce po

drugiej stronie okrągłego stolika.

- Colin przyszedł sam - oznajmił, jak zwykle beznamytnie. - Domyślił się już, że nie został oszczędzony ze względu na swoje dobre geny. Podejrzewa, że chcemy od niego czegoś w związku z dziewczynką.

- Czego? - zapytała, nie zdoławszy ukryć niepokoju.

- Na szczęście, aż tak sprytny nie jest. - Lars uśmiechnął się kwaśno.

- Nie odzyskał swoich zdolności?

Lars dobrze wiedział, że tego dotyczyło poprzednie pytanie Oriany. Gdyby Colin znów umiał zajrzeć w przyszłość, nie musiałby wspinać się na wyżyny sprytu, żeby poznać ich plany.

- Richard nie odnotował żadnych sygnałów - odparł Lars. - Z drugiej strony, chłopak mu nie ufał. Trudno stwierdzić, czy taką postawę podpowiadała mu intuicja, czy zdrowy rozsądek. - Kapłan skrzywił się lekko, sugerując, że liczy na drugie wyjaśnienie, choć zarazem wydaje mu się ono bardzo mało prawdopodobne. - zaproponował, w jaki sposób sprawdzić, czy Colin potrafi zobaczyć najbliższą przyszłość. Sposób ryzykowny, ale wierzę w umiejętności Richarda...

Mimo tej deklarowanej wiary przyszedł do Oriany na konsultację. Pokornie spuściła wzrok, dając do zrozumienia, że docenia zaszczyt, jaki na nią spłynął.

- Jak brzmi ta propozycja? - zapytała.

- I co? - Mat dopadł Colina, ledwie ten przekroczył próg. - Przyszedł?

Na dworze powoli szarzało, przez okna sączyło się do domu niemrawe światło dnia.

Smarkacz niewątpliwie zasnął w fotelu w salonie, czekając na brata, bo wzrok miał nieco przymglony. Zaatakował jednak z pasją. Nieobecność Colina trwała

dostatecznie długo, by nasunąć wniosek, że Benson stawiał się na spotkanie.

- Uzyskałem pewną wskazówkę - odparł Colin. - Oraz przyznanie się do winy - dodał z satysfakcją.

Mat natychmiast zażądał szczegółów odnośnie do tej drugiej kwestii, a Colin pozwolił sobie na delikatne podkoloryzowanie wypowiedzi Bensaona. Wkurzało go, że brat był tak cholernie zapatrzony w Jacka, że nie zmieniała jego nastawienia nawet wiadomość o pracy łowcy na rzecz organizacji. No dobra, Benson jako agent organizacji stał się dla Mata postacią odrobinę kontrowersyjną, jednakże chłopakowi wystarczyłaby informacja, że jego guru nie miał nic wspólnego ze śmiercią Paula i reszty towarzystwa, by znów uznał typa za najwyższy autorytet. Zresztą nawet teraz Mat najwyraźniej zakładał, że Colin, jeśli nie kłamie, to po prostu źle zrozumiał słowa Bensaona.

Zaciskając zęby, Colin upomniał się w duchu, że Tin śpi na górze, a w zasadzie prawdopodobnie obudziła się i słucha ich rozmowy, tak więc nie powinien naskakiwać na brata. Tin...

Gestem uciszył Mata i skupił się na wypełniających dom dźwiękach. Przy drewnianej konstrukcji budynku, cienkich ścianach i stropie, Colin bez problemu wychwytywał nawet odgłosy tak ciche, jak oddechy dziewczyn w pokoiku na górze - i właśnie stąd wziął się jego niepokój. Słyszał tylko jedną z nich.

Pędem pokonał schody i gwałtownie otworzył drzwi sypialni. Łóżko Tin było puste. Carol poderwała się, obudzona nagłym wtargnięciem Colina.

- Colin! - Mat wbiegł za nim, jakby się spodziewał, że czeka go walka o cześć jego dziewczyny.

- Gdzie Tin? - zapytał ostro Colin.

Jeszcze nie tak dawno wysłałby pytanie bezpośrednio do Tin, ale biorąc pod uwagę ich obecne relacje, wątpił, czy w ogóle by do niej dotarło. Nic się jej nie stało, tyle wiedział.

- O matko - jęknęła Carol. - Poszła pobiegać - dodała po chwili nieco przytomniej.

- Pobiegać? - powtórzył Colin. - Jak to pobiegać?

- Nie do tego ją namawiałeś? - Carol ziewnęła i wygramoliła się z łóżka, najwyraźniej pogodzona z myślą, że na dalszy sen nie ma szans, mimo że dopiero minęła piąta.

- No tak, ale... - Colin nie sądził, że Tin wypuści się do lasu sama.

Po raz pierwszy w dorosłym życiu przeszła przemianę na swobodzie. Czy nie mówiła mu kiedyś, że boi się swoich zachowań w wilczej skórze i dlatego jest wręcz wdzięczna Antoine'owi za to, że na czas pełni zamyka ją w klatce? Colin spodziewał się, że przy okazji pierwszej wyprawy do lasu Tin będzie potrzebować jego rady, duchowego wsparcia. Liczył, że to wspólne doświadczenie na powrót ich do siebie zbliży.

Poza tym, tak się wzbraniała, kiedy przekonywał ją do biegu w zmienionej postaci, jakby potrzebowała tygodni, żeby przywyknąć do tej wizji, a kiedy tylko Colin wyjechał...

- Dlaczego wybrała sobie akurat noc, kiedy nie było mnie na miejscu? - zaatakował ponownie.

Carol przygryzła dolną wargę. Jasne, w jego pytaniu kryła się odpowiedź.

- Cholera, co ona do mnie ma?! - wybuchnął. - Czy to moja wina, że Antoine wreszcie dowiódł swego skurwysyństwa?

Carol zmrużyła oczy.

- Co, mam za nim płakać? - warknął Colin. - Nie znosiłem drania. Dobrze go wyczułem, i tyle z mojej strony, a ona zachowuje się tak, jakbym osobiście zamienił jej kochanego tatuśka w bydlę bez sumienia!

- Może... - zaczął Mat.

- Ty się nie wtrącaj! - Colin poczuł, że znów jest bliski rzucenia się na brata.

- Osaczasz ją takimi myślami - powiedziała Carol.

- Przecież się przede mną zamknęła! Podobno nie słyszy żadnych moich myśli! - Odsapnął. - Trudno chyba, żebym zapalał miłością do faceta po tym, jak chciał ją zabić. Nie rozumiem, po co ten cyrk. Czy ona chce mi zrobić na złość?

- Tak, na pewno robi ci na złość - sarknął Mat. - Ojciec chciał ją zabić, całą noc wylizywała się z ran, ale w gruncie rzeczy wcale się tym nie przejęła, a jedynie korzysta z okazji, żeby ci dokuczyć.

- Powiedziałem, żebyś się nie wtrącał. - Colinowi przebarwiły się oczy. - Zmiataj stąd.

- Mat - poprosiła Carol.

Chłopak bąknął coś pod nosem. Odwrócił się na pięcie i, głośno tupiąc, zbiegł po schodach.

- Bombardujesz ją pełnymi nienawiści myślami - powiedziała Carol, kiedy zostali sami. - Bez przerwy. Tin stara się przed nimi zamknąć, ale nie zawsze jej się to udaje.

- Żaliła ci się? - warknął Colin.

Niekiedy ogarniały go wątpliwości co do intencji Carol. Dziewczyna wydawała się miłą, ciepłą, skora do pomocy, ale dowiodła przecież, że umie postąpić bezwzględnie. Może więc teraz grała, w głębi duszy zadowolona z faktu, że Tin woli przebywać z nią niż z własnym chłopakiem?

Niektóre osoby czerpią przyjemność z manipulowania innymi. Nigdy nie przyłapał Carol na sączeniu jadu do ucha koleżanki, ale być może wystarczyło parę na pozór niewinnych uwag, wygłoszonych we właściwym momencie, by przekonać Tin, że Colin nie jest dla niej godnym partnerem.

- Nie zaszkodziłoby, gdybyście na pewien czas ograniczyli kontakty - odezwała się po dłuższym milczeniu Carol.

No właśnie. Usiłowała ich rozdzielić. Colin chętnie zareagowałby na tę sugestię wściekłością, ale Carol mówiła tak spokojnie, że prawdopodobnie wyszedłby na idiotę.

- Powiedziała ci, że tego chce? - zapytał, trzymając emocje w ryzach.

Carol pokręciła głową, to znaczy ledwie dostrzegalnie poruszyła nią w prawo. Ta dziewczyna nawet mowę ciała ograniczała do minimum.

Potań czoło. A jeśli miała rację? Colin sam męczył się przy Tin, jakim więc prawem oburzał się, słysząc, że także ona czuje się przytłoczona jego obecnością? Niewykluczone, że rozstanie pomoże Tin szybciej otrząsnąć się z szoku czy co tam jej dolegało.

Benson podał mu namiar, a Colin planował skorzystać ze wskazówki. Owszem, liczył na wsparcie Tin, ale może i bez niej na coś trafi. Albo ona za jakiś czas zaproponuje, by pokazał jej te głązy.

Ostatecznie, Tin zdecydowała się na przemianę właśnie pod jego nieobecność. Jeśli zatem swym wyjazdem do Danii Colin poprawi jej nastrój, niech i tak będzie.

- O której wyszła? - dociekał, już opanowany. - Mówiła, kiedy wróci?

Carol znów nieznacznie poruszyła głowę. Nie sprawiała wrażenia zaniepokojonej, a Colin przecież też stwierdził, że nie czuje, by Tin stała się krzywdą. Czy jednak zorientowałyby się, gdyby jej coś groziło? W przypadku sprawy z Antoine'em odebrał sygnał dopiero po zdarzeniu, kiedy Tin została ranna. Nie był nawet pewien, czy przypisać ów sygnał przeczuciu, czy uznać za wynik istniejącej niezależnie od tego ostatniego silnej więzi emocjonalnej między nimi dwojgiem. A jeśli następnym razem „po zdarzeniu” będzie zbyt późno?

- Mogła się zgubić? - spytała Carol. Obserwowała Colina uważnie, zapewne więc dostrzegła jego narastające zdenerwowanie.

- Nie, do diabła, mamy świetną orientację w terenie.

Patrzyła na niego.

- To kwestia instynktu, nie praktyki - dorzucił.

Niemniej zawsze może się zdarzyć wyjątek od reguły. Tin, w przeciwieństwie do przeciętnego świadomego, świetnie czuła się w mieście i dobrze znosiła upały, a wręcz lubiła klimat południa Francji. Czort wie, czy, dla odmiany, w lesie nie traciła zmysłu kierunku.

- Idę jej poszukać - poinformował Carol. Zbiegł na dół, starając się nie ulegać panice.

Colin pobiegł lasem w wilczej postaci, wzdłuż ogrodzenia, poszukując najświeższego tropu Tin. Na spacer wybrała się także w ciągu dnia, razem z Carol, a jeszcze wcześniej sama, dopóki więc nie natknął się na jej ubrania, starannie ułożone pod krzakiem, liczył się z tym, że ów na pozór najświeższy trop także doprowadzi go z powrotem do zabudowań.

Pewien już, że śledzi przemienioną Tin, popędził ile sił w łapach. Robiło się coraz jaśniej, a bieganie w wilczej skórze za dnia trudno uznać za rozsądne. Tymczasem jeśli Tin dałoby się cokolwiek zarzucić, to prędzej nadmiar rozsądku przy podejmowaniu wszelkich decyzji – od tych ważnych po całkiem błahe. W Colinie narastał niepokój.

Gnał przez las po wyraźnej nitce jej zapachu. Gałęzie krzaków smagały go po pysku, sosnowa ściółka szeleściła pod łapami. Przeskakiwał zwalone pnie, gdyż tak właśnie robiła Tin, choć Colin podejrzewałby ją raczej o grzeczne omijanie przeszkód. Czyżby rozkoszowała się biegiem? Ona, która tak się wzbraniała przed wszystkim, co w niej było zwierzęce?

Colin powinien się cieszyć, że się przełamała; kto wie, czy nie obserwował końca kryzysu minionych tygodni. Mimo to... wolałby mieć większy udział w jej pierwszym spotkaniu z naturą.

Dokąd biegła? Zmierzała prosto przed siebie, podczas gdy Colin spodziewałby się, że będzie się trzymać blisko ich wynajętego domku i ubrania, dzięki któremu mogła na powrót stać się cywilizowanym człowiekiem. Nie podobało mu się, że co krok przeżywał zaskoczenie. Przecież, do diabła, trochę ją jednak znał.

Stanął jak wryty, kiedy poczuł woń innej wadery. Obca świadoma tutaj?! Namierzyli ich!

Wpadł w panikę. Porwali Tin!

Po chwili ochłonął. Wokół nie widział śladów walki, nie wietrzył krwi. Najwyraźniej powstały tu chwilę – Tin i ta obca

- po czym ruszyły dalej w pełnej komitywie.

Co tu było grane? Tin ją znała? Tak, tak, Colin miał dać sobie spokój z podejrzeniami, ale w obliczu takiej sytuacji... Zbluzgał się w duchu. Może nieznajoma użyła szantażu? Zagroziła, że zabiją Mata i Carol, jeśli Tin się nie podporządkuje? Nie powinien przedwcześnie wyciągać wniosków.

Psiakrew, agenci organizacji tak szybko by ich odnaleźli? Jakim cudem? Musieliby mieć ich wszystkich na oku jeszcze w Warszawie i po raz kolejny zastosować sztuczkę z nadajnikiem przyczepionym do podwozia samochodu, toyoty Colina lub odziedziczonego po Antoinie citroena. A jeśli to Mat zadzwonił do Stewartów z kupionej w Polsce komórki? Nie, do diabła, szczeniak miał już trochę doświadczenia w ukrywaniu się, a teraz zdawał sobie też sprawę z możliwości przeciwnika. Nie popełniłby tak durnego błędu. Chociaż do Bensona napisał...

Niech to szlag. Colin gnał ile sił w łapach, usiłując odsunąć od siebie wizje tego, co właśnie potencjalnie spotykało Tin. Ale przecież jej nie zabiją, na pewno nie! Potrzebowali dziewczyny, żeby wywierać presję na Colina.

Z trudem wyhamował przed wałącym się płotem. Kilkadziesiąt kroków dalej stał dom, stara wiejska chałupa. Colin gwałtownie przypadł do ziemi. Cholera, powinien był się zorientować, że wokół unoszą się liczne wonie sugerujące obecność ludzi i mniej lub bardziej udolnie maskujących się świadomych. Zapewne owi ludzie byli po prostu najlepiej maskującymi się osobnikami.

Uzmysłowił sobie, że tamta wadera także musiała się maskować, bo jej trop pojawił się znikąd - dopiero spotkawszy Tin, ujawniła swój prawdziwy zapach. Sklął własną nieuwagę. W sprawach związanych z bezpieczeństwem Tin nieustannie dawał się ponieść emocjom.

Węszył, obserwował, nasłuchiwał. W domu ktoś był, uszu Colina dobiegł cichy szmer rozmów. Słyszał także głos Tin...

Spokojny, przyjazny. Nie miał omamów? Naprawdę nic jej się nie stało?

Z kolei na zewnątrz nie zauważył niczego podejrzanego, choć głupotą byłoby zakładać, że nie wystawiono straży. Tyle że Colin przed sekundą niemalże staranował płot, tak więc przypuszczalnie odnotowano już jego obecność. Poza tym nie mógł czaić się tu w nieskończoność.

Wahał się jak postąpić. Co to było? Baza wypadowa agentów, na wzór tamtej firmy informatycznej w Darlington? Czy też miejsce, gdzie zasłużeni dla organizacji przyjeżdżali na wakacje, jak to sugerowała małolata spod Dijon? Nie wszystkie wyczuwalne przezeń wonie były dzisiejsze, wyglądało więc na to, że świadomi pojawili się tutaj jeszcze zanim Colin z towarzystwem opuścił Warszawę. Aż dziw, że w trakcie swych wcześniejszych wypadów do lasu nie natknął się na trop któregoś z gorzej maskujących się osobników; na ludzkie wonie nie zwracał uwagi, ponieważ okolicę trudno byłoby opisać jako dziką i odludną. No dobrze, cholera, ale czy zaszedłby taki zbieg okoliczności?

Tylko że jeśli Tin siedziała sobie w środku przy porannej kawce, Colin wyjdzie na ostatniego kretyna, gdy wtargnie do tego domu z pianą na pysku. Dochodził również drobny szczegół przewagi liczebnej tamtych. Znów zaklął w duchu: że też nie wziął od Mata broni.

Cóż, wejdzie tam, udając, że nie podejrzewa zasadzki i w ogóle nie dziwi się specjalnie, że spotyka bandę świadomych w bezpośrednim sąsiedztwie miejsca, gdzie planował ukryć swoich bliskich. Pogada chwilę z gospodarzami, weźmie Tin pod rękę, pożegnają się grzecznie, a potem popędzą do samochodu i natychmiast zwiną się z tej cholernej Polski.

Niewielką przeszkodę stanowił fakt, że Colin miał do wyboru: wparadować tam w wilczej postaci lub na golasa. Tin zapewne weszła jako wilk, a ludzką formę przyjęła dopiero, kiedy dostała coś do ubrania, ale ją wprowadzała tamta wadera. Pojawienie się Colina w wilczej postaci w

gronie nieprzemienionych obcych świadomych będzie stanowiło czytelne wyzwanie - w każdym razie wedle standardów zza oceanu. Może w Europie spoglądano na tę kwestię inaczej? Bo z kolei, wkroczywszy tam jako nagi człowiek, Colin postawiłby się na z góry słabszej pozycji. Nie, drugie rozwiązanie nie wchodziło w rachubę.

- Colin!

Choćby Colin ogromnie się starał, nie zdołałby sobie wmówić, że Tin ucieszyła się na jego widok. Balansowała między zaskoczeniem i przestraczeniem, a przyczyną tego ostatniego było przeświadczenie, że jej chłopak lada moment rzuci się na sympatycznych gospodarzy. Po raz pierwszy od miesiąca odstłoniła przed Colinem swoje myśli, żeby nie wyrobił sobie mylnej teorii odnośnie do charakteru jej obaw.

Niemalże wyprowadziła go tym zagranieniem z równowagi. Przez miesiąc go olewała, niby że taka zdołowana, po czym dla tej zgrai... Dobrze, że gospodyni, najstarsza wadera w tym gronie, ta sama, którą Tin spotkała w lesie, otrząsnęła się właśnie z początkowego zaskoczenia.

- Co za miła niespodzianka - powiedziała po angielsku, z lekkim drzeniem w głosie. - Pewnie chciałbyś coś na siebie włożyć?

Wciągając spodnie od dresu, jedyny z zaproponowanych mu ciuchów, w jaki miał szansę się wcisnąć, Colin spróbował spojrzeć na sytuację od jaśniejszej strony. Nawiązał z Tin kontakt telepatyczny! Jeśli zapanuje nad sobą i zachowa się uprzejmie wobec tej bandy sukinsynów... i suk, może Tin spojrzy na niego przychylniej? Tylko jak potem Colin przekona ją, że ci tutaj prawdopodobnie są agentami, a w najlepszym razie doniosą o obcych świadomych lokalnemu przywódcy, który przekaże wiadomość dalej, aż w końcu dotrze ona do kapłanów?

Najgorsze, że Tin sprawiała wrażenie ożywionej i radosnej. Nie szczęśliwej, takie określenie zakrawałoby na przesadę, niemniej wyraźnie ekscytowała się niespodziewanym spotkaniem. Jasne, przecież dotąd wszystkie jej kontakty ze społecznością ograniczały się do osoby Colina. Chciała zweryfikować uzyskane od niego informacje.

Zacisnął zęby, siląc się na przyjacielski uśmiech. Przypuszczał, że efekt pozostawia nieco do życzenia.

- Nigdy byśmy się nie spodziewali takiego spotkania - powiedziała Renata, wadera z lasu, kiedy już dokonano prezentacji. - W dodatku Amerykanin...

Musiała mieć około pięćdziesiątki, choć na oko - i na nos - wydawała się Colinowi młodsza. Niemniej podała się za matkę dwóch obecnych w salonie dwudziestokilkulatek, Agi i Natalii, a przecież w społeczności zwleka się z wydaniem na świat potomstwa. Chyba że także w tym względzie na starym kontynencie panowały odmienne zwyczaje.

Paniom towarzyszyło dwóch mężczyzn, Damian, podobno mąż Renaty, oraz Artur, dwudziestoczteroletni chłopak, przedstawiony jako kuzyn dziewczyn. Pięciu świadomych i pięć woni, tych samych, które Colin zwietrył na zewnątrz. Wychodziłoby na to, że nikt nie ukrywał się w lesie, stojąc na czatach albo szykując zasadzkę. Colin nie wychwycił także kłamstwa w wypowiedziach żadnego z obecnych. Wprawdzie ostatnimi czasy przekonał się o zawodności tej metody weryfikacji rozmówców, niemniej Aga pachniała beta, a beta nie zdołałaby okłamać Colina. Wykluczone. Także Artur, choć raczej alfa, był osobnikiem na pograniczu uległości. Colin wątpił, czy coś takiego da się zagrać, bo przecież nie chodziło wyłącznie o ich zachowania, ale o to, jak ich odbierał wszystkimi zmysłami.

Chociaż ta wadera w Stanach... Jak jej było...? Celia. Celia pachniała i reagowała jak nieświadoma, a niewątpliwie nią nie była. Zdziwił się, że nagle o niej pomyślał. Właściwie co się z nią stało? Fishowi udało się ją dorwać?

- ...albo może piwa? - zapytał Damian.
- Piwa - powiedział Colin, żeby się nie przyznać, że nie usłyszał wcześniejszych propozycji. Co za kretyn poi gości piwem z samego rana?

Wszyscy mówili po angielsku, Aga trochę kulawo, pozostali płynnie. Także w tym fakcie Colin doszukiwał się drugiego dna, choć w Polsce dogadanie się po angielsku rzadko nastroczało mu jakichkolwiek trudności, a wyczulony słuch świadomych niewątpliwie sprzyja nauce języków.

Damian przyniósł butelkę piwa, już otwartą, a Colin odruchowo powąchał zawartość, mając w pamięci obawy Alberta przed otruciem.

Tin spiorunowała go wzrokiem.

- Tin mówiła, że wybraliście to miejsce zupełnie przypadkowo - odezwała się Renata. - Co za niesamowity zbieg okoliczności.

- Tak, też jestem zszokowany - mruknął Colin, wolno obracając w dłoniach nienapoczętą butelkę.

Przede wszystkim szokowała go wylewność Tin. Czy ona nie zdawała sobie sprawy, że nie powinna opowiadać komu popadnie, skąd są i jak się nazywają?

- Mieszkacie tutaj? - zapytał Colin.

- W tym domu? - upewniła się Renata. - Nie, to dla nas taka odskocznia. Ale często tu bywamy, bo charakter pracy pozwala nam wykonywać ją gdziekolwiek...

Mówiła z wymuszoną swobodą, pod którą kryła się ostrożność, jakby to tych pięcioro obawiało się, że przypadkowe spotkanie ze świadomymi z zagranicy zostało przez kogoś zaaranżowane. Colin zmarszczył brwi. Grała?

- Nie woleliście przyjechać w czasie pełni? - zagadnął.

- Kupiliśmy ten dom na spółkę z dwiema innymi rodzinami - wyjaśnił Damian i zaraz umilkł stropiony, zapewne w przekonaniu, że niepotrzebnie zdradził obcemu tajemnicę.

Tyle że Colin już wcześniej zwrócił uwagę na zatarte starannie wonie innych osób, przebywających w tych

pomieszczeniach jakiś czas temu – czas liczony raczej w tygodniach niż dniach. W większości wydawały się one ludzkie, jednak wyłapywał też nutki źle maskujących się świadomych. Przez dom przewinęło się kilkunastu członków społeczności.

Czy takie wrażenia zapachowe można sfabrykować w ciągu dwóch dni? Nawet gdyby wszystkie rozstawione w domu meble przywieziono wczoraj z innego budynku, zostałyby w ich woni coś niekomponującego się z nutą tego miejsca. Czy dało się postarzyć o kilka tygodni świeżo pozostawiony przez kogoś trop? Cholera, mocno w to wątpił.

Jakkolwiek więc wydawało się to niewiarygodne, Colin musiał pogodzić się z myślą, że ci świadomi od dawna bywali w okolicznych lasach i nie spodziewali się spotkania z nieznanymi im członkami społeczności. Nie czyniło ich to od razu godnymi zaufania, ale przynajmniej pozwalało założyć, że Tin i jemu nie grozi bezpośredni atak. Ani chybi jednak raport z przebiegu tego spotkania prędzej czy później trafi do kapłanów.

– W ten sposób jest tu zorganizowana społeczność? – dociekał Colin tonem przyjacielskiego zainteresowania. – Pojedyncze domy w lesie, z których korzysta się na zmianę?

– Takie rozwiązanie stosują nasze trzy rodziny – odparł Damian; w jego głosie coraz wyraźniej pobrzmiwało zdenerwowanie.

Jasne, wyczuwał w Colinie drapieżnika, w starciu z którym nie miałby najmniejszych szans, a nie jest to miła myśl, kiedy obok siedzą trzy wadery, oczekujące po Damianie godnego przewodnictwa w grupie rodzinnej. Chociaż Colin się wahał, czy aby na pewno basior gra tu pierwsze skrzypce. Renata wydawała się silniejsza, bardziej zdecydowana.

– Na letników mało kto zwraca uwagę – podjęła wadera, chyba głównie po to, żeby zabić ciszę. – W tych lasach żyją wilki, zdarzają się bezpańskie psy. Nikogo nie dziwią ślady łap. Na co dzień mieszkamy z dala od siebie, ograniczamy

kontakty. Co kilka lat sprzedajemy taki letniskowy domek i kupujemy następny w innej części Polski.

- Oprócz waszych trzech, ile jeszcze znacie takich grup rodzinnych? - zapytał Colin.

Renata z Damianem porozumieli się wzrokiem; troje młodych tłoczyło się na kanapie, wyraźnie spłoszonych. Od chwili powitania i towarzyszącej temu wymiany uprzejmości żadne z nich nie zabrało głosu i nie zanosilo się na to, by któreś zamierzało się nagle wyłamać.

- Nie zrozum mnie źle, ale dopiero co się poznaliśmy... - Renata mówiła z coraz większym wahaniem. - My nie śmielibyśmy cię prosić o wyjawianie tajemnic twoich znajomych.

- Nie pytam o tajemnice. Chcę tylko wiedzieć, ile jest w Polsce takich rodzin.

- Colin. - Tin patrzyła na niego, marszcząc brwi.

Jasne, jej zdaniem prowadził przesłuchanie. Inteligentna laska lazała w nieznane miejsce z obcą waderą i natychmiast się przed nią wywnętrzała, a kiedy Colin chciał poznać kilka szczegółów na temat nowych znajomych, w jej mniemaniu zachowywał się niestosownie.

- Lepiej już pójdziemy - powiedziała znów Tin, wstając z fotela. - Nasi przyjaciele zaczną się niepokoić, że tak długo nas nie ma. Gdybyśmy mogli pożyczyć te ubrania...

- Ależ oczywiście - zgodziła się skwapliwie Renata, także już stojąc.

Colin odstawił nienaruszone piwo na stolik i również wstał, wściekły na Tin. Niby powinien się cieszyć, że sama chce wyjść, bo przecież pierwotnie zamierzał jak najszybciej ją stąd wyciągnąć, niemniej skoro zaczął „przesłuchanie”, chętnie by się czegoś dowiedział. Ostatecznie, spotkał zasiedziałą wilkołaczą rodzinę w kraju, który społeczność ponoć dawno opuściła.

Szli przez las w milczeniu. Colin chętnie zaproponowałby, żeby zdjęli pożyczone ciuchy i zmienili postać, zwłaszcza że w przykrótkich spodniach od dresu, z nagim torsem, wyglądał jak kretyn, przypuszczał jednak, że Tin by go zbyła.

Zastanawiał się, jak zacząć rozmowę na temat wyjazdu. Obawiał się, że dziewczyna zechce jeszcze przynajmniej raz spotkać się z nowymi znajomymi, choćby po to, żeby oddać im pożyczone ubrania. Ten pieprzony Antoine totalnie zniszczył w niej instynkt samozachowawczy.

- Byli bardzo mili i rozluźnieni, dopóki się nie pojawiłeś - odezwała się niespodzianie Tin.

Colin nie pamiętał, kiedy po raz ostatni zagadnęła go pierwsza w sytuacji sam na sam. W towarzystwie owszem, zdarzało się, głównie wtedy, gdy go strofowała.

No cóż, w gruncie rzeczy teraz także robiła mu wyrzuty.

- Przepraszam, że się o ciebie martwiłem - mruknął. Niezbyt ostro, ba, wręcz potulnie.

- Nie chodzi mi o sam fakt twojego nadejścia.

- Cholera, Tin, nie możesz pakować się do domu pełnego obcych świadomych i z miejsca traktować ich jak najlepszych przyjaciół, sypać imionami i opowiadać, skąd przyjechałaś.

- Założyłam, że nas wcześniej obserwowali, podsłuchali nasze rozmowy.

- Ach, po czym Renata udaje zdziwienie spotkaniem, a ty bierzesz to za dobrą monetę - sarknął Colin.

- Maskujemy się. Skąd mieliby wiedzieć, że jesteśmy świadomymi? Przypuszczam, że zawsze obserwują letników, tak na wszelki wypadek. Są ostrożni, nie zauważyłeś? Mimo to potraktowali mnie przyjaźnie, opowiedzieli co nieco o sobie. Zajmują się grafiką komputerową, dlatego mogą pracować w domu. Młodszy studiuje, ale chyba bez zaangażowania. Stopniowo wydobyłabym z nich wszystko, co chciałeś wiedzieć. A ty, ledwie wszedłeś, zacząłeś patrzeć na nich wilkiem i zarzucać inkwizytorskimi pytaniami.

- Kiedy silna alfa po raz pierwszy wkracza między słabszych od siebie, zawsze robi się drętwo.

- Och, Colin. - Zabrzmiało to, jakby zakłęła. - Nie mówimy o watasze wilków. Dlaczego przy każdej okazji tak bardzo starasz się nas odczłowieczyć?

Potaął czoło. Rozmawiali, wreszcie. Dawno nie słyszał z jej ust tak długich wypowiedzi. Nie chciał wszystkiego spieprzyć, tracąc panowanie nad sobą.

- Naprawdę nie zorientowałaś się, że ich niechęć do mnie jest instynktowna? - spróbował delikatnie. - Instynkt podyktował im reakcję, moje zachowanie nie miało wielkiego znaczenia. Dopiero po bliższym poznaniu da się zepchnąć instynkt na drugi plan.

Wyczuwał jej sceptycyzm. Jasne, ona, choć również silniejsza od nich alfa, nie sprowokowała takich reakcji. Nie odezwała się jednak.

- Musimy wyjechać - oznajmił; nie było sensu odwlekać tej kwestii. - Poszukamy innego lasu.

- Polubiłam ich - zaprotestowała. Na razie mówiła łagodnym tonem, ale pojął, że łatwo nie ustąpi. - Na pewno nie pracują dla organizacji.

- Każdy dorosły świadomy pracuje dla organizacji. Po prostu nie zawsze o tym wie.

- Ja też jestem dorosła - zauważyła spokojnie.

- Nie łap mnie za słówka - zirytował się, ale zaraz upomniał się w duchu. - Na pewno zameldują o spotkaniu, bo takie są procedury - wyjaśnił. - W ich odczuciu organizacja jest demokratyczną, dobrotliwą instytucją, która nigdy nie krzywdzi swoich, tak więc nie zrobią tego w złych intencjach. Tyle że dla nas to żadna różnica.

- Może zatem należało wyjaśnić im naszą sytuację i poprosić o zrozumienie? - zasugerowała Tin.

- Sama chciałaś wyjść - mruknął.

- Bo się stawiałaś agresywny. Nie zanosilo się na to, że o cokolwiek ładnie ich poprosisz.

- Nawet się jeszcze nie otarłem o agresję.

- Tym bardziej.

Stłumił cisnącą mu się na usta odpowiedź - był zbyt szczęśliwy, że w ogóle ze sobą gadają.

Znów chwilę szli w milczeniu. Niewygodnie było przedzierać się przez las w ludzkiej postaci, jednak właśnie ten dłuższy, mozolny spacer umożliwił im konwersację, tak więc Colin zrezygnował z proponowania jej biegu na czterech łapach.

Tin wreszcie wydawała mu się normalna, jakby spotkanie z tą rodziną raptownie wyrwało ją z odrętwienia. Tymczasem Colin zamierzał ją stąd wywieźć... A jeśli dziewczyna znów zamknie się w sobie?

Jednakże, czy jest sens podejmować tak wielkie ryzyko tylko dlatego, że Tin przez godzinę czy dwie miło sobie z tamtymi pogawędziła? Przecież nikt nie zagwarantuje Colinowi, że znajomość rozwinie się w pożądanym kierunku. Równie dobrze wkrótce może się okazać, że Tin nadaje na innych falach niż tamte wadery, i przygoda zakończy się dla niej jeszcze większą traumą.

- Te procedury... - odezwała się Tin. - Nie odniosłam wrażenia, żeby mieli tu lidera, ani w ogóle zasady podobne do tych, które mi opisałeś. Żyją osobno, każda rodzina po swojemu, utrzymują sporadyczne kontakty. Skąd tu procedury? Obawiali się nas. Ciebie. Myślę, że mogło chodzić im o coś więcej niż kwestię, kto jest silniejszą alfą.

- Zgoda - powiedział niechętnie, odniósł bowiem podobne wrażenie. - Tylko że nawet jeśli im się wydaje, że funkcjonują poza organizacją, nie uwierzę, że sama organizacja na to pozwala. Na pewno znajdują się pod kontrolą, ale z jakichś względów sprawuje się ją w miarę dyskretnie. Wystarczy, że zwerbowano jedną czy dwie osoby z tych trzech rodzin. Renata uprzedzi współwłaścicieli domku, że ktoś odkrył ich leśną przystań, a szpieg o tym zamelduje.

- Dlaczego z góry zakładasz, że udało się kogoś zwerbować? - obruszyła się Tin. - Jeśli rzeczywiście było tak, jak twierdził Alberto i tamta dziewczyna - że swego czasu, kto tylko potrafił, uciekł stąd na zachód przez zieloną

granicę, a z nieświadomymi radzono sobie za pomocą drastycznych środków – mogło się zdarzyć, że kilka rodzin zdecydowało się pozostać w kraju ze względu na swych słabszych członków. Dzieci, które się jeszcze nie przebudziły, ale także spokrewnionych nieświadomych. Dla takich rodzin organizacja stałaby się złowrogą, niegodną zaufania instytucją, przed którą należy się ukrywać. Oczywiście, że dla ich potomków pozostaje ona wrogiem.

- Nie wiemy, czy były pogromy nieświadomych – mruknął Colin.

- Przypominam ci, że to ty obstawałeś przy tej teorii Alberta. I twierdziłeś, że dziewczyna powiedziała ci prawdę.

Stłumił przekleństwo. Jasne, swego czasu, powołując się na słowa Alberta i francuskiej waderki, upierał się, że Warszawa jest bezpieczniejsza od Paryża, ponieważ w Polsce na pewno nie ma społeczności – a teraz dostał za swoje.

- Uważasz, że wzięli mnie za szpiega organizacji? – zapytał, tłumiąc gniew.

Wzruszyła ramionami. Fakt, może Colin zachował się zbyt wrogo jak na szpiega. Niemniej strach przed organizacją tłumaczyłby nerwowe zachowanie całej piątki. Tylko czy Tin nie nazbyt idealistycznie zakładała, że żadne z nich nie nawiązałoby współpracy z wrogiem?

- Benson się stawił? – zapytała Tin.

Z tego wszystkiego Colin kompletnie zapomniał o spotkaniu z agentem. Ściągnął brwi. Chodziło o Emily. Jakim cudem bardziej przejmował się samopoczuciem Tin i zawieranymi przez nią znajomościami niż losem więzionej przez kapłanów siostrzyczki?

- Tak – odparł niechętnie. Przejrzał jej taktykę: skoro Colin wziął się wreszcie za poszukiwanie siostry, zostawi Tin samą, a w takim razie ona powinna zachować wolną rękę w doborze towarzystwa. – Podał mi zamiar na... – powstrzymał cisnący mu się na usta epitet – święte głazy na jakiejś duńskiej wysepce. Ponoć kapłani czasem się tam

pojawiają. Przeprowadzę się na nią promem, który kursuje raz na trzy dni, i będą mnie mieli jak na talerzu.

- Zasadzkę mogli urządzić w Warszawie - stwierdziła neutralnie. - Jak się nazywa ta wysepka?

- Fionia, o ile dobrze pamiętam. Jeszcze nie sprawdzałem...

- Fionia? - Tin spojrzała na niego zdziwiona. - To druga co do wielkości duńska wyspa. Dojedziesz tam autostradą przez most.

- A ciebie od kiedy tak interesują duńskie wyspy? - wkurzył się Colin. Przecież wyjaśnił, że nie miał czasu sprawdzić, dokąd wysyła go Benson!

Nie zareagowała na zaczepkę. Jasne, Colin nie powinien się dziwić, że Tin tyle wie na temat regularnie odwiedzanej przez kapłanów lokalizacji! Może jeszcze mu powie, że przeczytała gdzieś o tych głazach?

- Miałaś Fionię na liście świętych miejsc? - zapytał podchwytliwie.

- Oczywiście, tam jest wiele pozostałości po wikingach. Gdzie dokładnie znajdują się te głazy?

- W pobliżu Haarby - mruknął.

Umilkła skupiona, najwyraźniej szperając w pamięci.

- Benson twierdził, że akurat one są zupełnie nieznane - powiedział Colin, nagle czując się głupio z racji tego nawrotu nieufności.

Zrelacjonował jej rozmowę z agentem, najwięcej uwagi poświęcając temu, jak Benson uzasadnił swoją zdradę.

- Jeśli rzeczywiście od lat należy do grupy oporu wewnątrz organizacji, zdradził kapłanów już dawno, a pomagając tobie, jedynie postępuje konsekwentnie - stwierdziła Tin.

- Tej grupie oporu przewodzi Gordon - burknął Colin cicho.

- Ale przecież Caramel mówił o rozłamie. Może Benson znalazł się w opozycji do lidera?

- A może działa zgodnie z instrukcjami kapłanów? Głupie gdybanie. Wkurza mnie, że nie potrafię rozpoznać u niego

kłamstwa. Przeczucie niczego mi nie podsuwa. Nie chcę wpakować się w zasadzkę jak ostatni naiwny, ale nie mogę stracić szansy na namierzenie kapłana.

Przygryzła wargę. Jasne, żalił się jej jak bezradny chłopczyk. Tylko że skoro Colin nie mógł liczyć na własne przeczucie, nie zaszkodziłoby, gdyby ona spróbowała obudzić swoje. Wydawała się w tej chwili tą samą Tin co dawniej, czemu więc jej także nie miałyby powrócić parapsychiczne zdolności?

- Pojedziesz? - zapytała w końcu.

- Muszę - burknął. - Sprawa kliniki okazała się ślepą uliczką, tak więc te głazy to pierwszy naprawdę obiecujący trop. Muszę zaryzykować. Gdyby coś mi tam groziło, twoje lub moje przeczucie powinno się wreszcie odezwać.

Nie zaprotestowała, choć oboje wiedzieli, że przeczucie nie zawsze ostrzega. Nie ostrzegło matki Colina - ani rodziców Tin, mimo że niewątpliwie odziedziczyła swoje zdolności po jednym z nich.

Cóż, przynajmniej Tin wydawała się skłonna odnowić zwyczaj rozmawiania z Colinem w myślach, w razie gdyby potrzebował jej pomocy w śledztwie. Choćby z tego powodu warto było podjąć ryzyko. Oraz, naturalnie, dla Emily.

Wzięli z lasu swoje ubrania i wrócili do wynajmowanego domku, gdzie Mat i Carol czekali na nich, zaniepokojeni.

Colin natychmiast zarządził pakowanie, pokrótce wyjaśniając przyczynę.

- Colin - powiedziała Tin.

No tak, ściśle rzecz biorąc nie doszli do porozumienia w kwestii wyjazdu. Colin wprawdzie wmówił sobie, że Tin zmieniła temat, uznając jego oczywiste racje, najwyraźniej jednak nieco się przeliczył.

Wskazała głową drzwi wyjściowe. Chociaż tyle, że nie chciała się z nim spierać w obecności Mata i Carol.

- Ty zamierzasz zaufać Bensonowi - odezwała się Tin, kiedy stanęli przed domem. - W pełni cię rozumiem i popieram, ale moim zdaniem Renata i Damian znacznie bardziej zasługują na zaufanie. Nie pojmuję więc, dlaczego zawczasu ich skreślasz.

Zacisnął zęby, licząc w myślach do czterech - tylko do czterech, żeby nie milczeć zbyt długo.

- Nie ufam Bensonowi - wycedził. - Przyrzekłem jednak, że odnajdę siostrę, i muszę podjąć ten trop, bo nie mam innego. Natomiast twoje kontakty z tymi świadomymi... - Uważał, że były zwyczajną fanaberią, niemniej w porę ugryzł się w język. Dobrze, że Tin ostatnimi czasy broniła się przed zaglądaniem w jego myśli. - ...wydają mi się bezcelowym ryzykiem. Grożą ci utratą wolności, nawet życia, a co otrzymujesz w zamian?

- Bardzo wiele, Colin - odparła cicho.

- Teraz nie jest najlepszy moment na zawieranie takich znajomości.

- A kiedy będzie? - zaatakowała nagle z pasją. - Kiedy będę mogła bez ryzyka porozmawiać z innym świadomym? Kiedy już odbijesz kapłanom siostrę?

Cholera, znowu była górą. Rzeczywiście, w tej chwili istniała spora szansa na to, że kapłani, nawet poznawszy miejsce pobytu Tin, zostawią ją w spokoju ze względu na swe plany wobec Colina. Natomiast gdy do nich dwójga dołączy Emily, nie będzie mowy o kontaktach z innymi członkami społeczności, choćby wydawali się nie wiadomo jak sympatyczni, godni zaufania i zbuntowani przeciw organizacji.

Zatem Tin miała słuszość: jeśli chciała poznać bliżej kilku innych świadomych, obecnie miała ku temu ostatnią okazję. Wprawdzie Colin nie pojmował, po co jej ta znajomość - dlaczego on sam jej nie wystarczał - niemniej skoro tak cholernie nalegała...

- Dlaczego przyjechaliśmy właśnie tutaj? - zapytała spokojniej. - Stuknąłeś palcem w mapę, prawda?

- Nie kierowało mną przeczucie - zaprotestował natychmiast.

- Skąd wiesz? Może wcale nie zamilkło, a jedynie zmienił się sposób, w jaki daje o sobie znać? Oni kupili ten dom trzy lata temu. Zaszedł niesamowity zbieg okoliczności albo pchnęło nas tutaj twoje przeczucie.

Cwaniara. Świetnie wiedziała, jak Colin zapatruje się na zbiegi okoliczności. Westchnął.

- W porządku - ustąpił, sam tym faktem zdumiony. - Ale przyrzeknij mi, że jeśli choćby wyda ci się, że intuicja cię przed czymś ostrzega... najzwyczajniejsza intuicja...

- Będę ostrożna.

- Pojadę, obejrzę te głązy i natychmiast wracam. I, Tin... musisz mi się odmeldowywać. To znaczy, telepatycznie.

Uśmiechnęła się.

- Dobrze, codziennie otrzymasz raport. Uśmiechnęła się! Zamierzał dodać kolejne zastrzeżenia i warunki, ale ten uśmiech całkowicie go rozbroił.

Psiakrew, chodziło o bezpieczeństwo Tin, a Colin poddawał się w zasadzie bez walki, tylko dlatego, że wreszcie z nim normalnie rozmawiała, obiecała kontakty telepatyczne i na koniec obdarzyła go uśmiechem. Chyba coś mu padło na mózg. Za nic jednak nie zburzyłyby tego kruchego porozumienia między nimi.

ROZDZIAŁ 4

Oriana zapukała cicho. Zawsze pukała, choć Lars nie omieszkał zwrócić jej uwagi, gdy kiedyś przyłapał ją na tej czynności. Dziewczynka nie powinna sądzić, że jest tu kimś szczególnym, tak uprzywilejowanym, że kapłanka pukaniem do drzwi uprzedza ją o swoim nadejściu. Wystarczyło nieco głośniejsze stąpać, tak by Emily usłyszała kroki.

Minionej nocy Oriana położyła się bardzo późno, a zasnęła dopiero nad ranem. Benson spotkał się z Colinem, lecz z dokonanej przez agenta oceny sytuacji nie wynikało jednoznacznie, czy operację należy kontynuować. Colin panował nad emocjami znacznie lepiej, niż wydawało się to wskazane dla ich celów, ale ta samokontrola kosztowała go sporo wysiłku i zdaniem Bensaona w krytycznej chwili powinna chłopaka zawieść.

O wiele ważniejsze było ustalenie, czy Colin odzyskał zdolność widzenia przyszłości. Dlatego, choć mający na to pozwolić plan agenta budził w Orianie mieszane uczucia, nie podjęła próby przekonania Larsa, by odrzucił propozycję. Potem, po wyjściu kapłana, spędziła długie godziny, bijąc się z myślami, niepewna, czy nie przekroczyła wytyczonej sobie przed laty granicy.

Tego ranka dokuczały jej zatem zmęczenie i ból głowy, na tyle dojmujący, że nie czuła się na siłach poprowadzić zaplanowanych na dziś lekcji z dziewczynką, nawet angielskiego czy historii, nie wspominając o matematyce. Teoretycznie mogłaby zadać coś małej, a potem tylko obserwować jej pracę, ale przed takim rozwiązaniem powstrzymywało Oriane przeświadczenie, że okazałaby słabość.

Od niedawna zaczęła postrzegać swe relacje z podopieczną w kategoriach rywalizacji. Zamierzała zaproponować dziewczynce wypad do lasu, niespodziewaną przyjemność, która od razu zagwarantowałaby kapłance przewagę. Kiedy jednak Emily podniosła na nią wzrok, spoglądając jakby z ukrytą kpina, wielkoduszne odwołanie zajęć wydało się nagle Orianie pomysłem równie chybionym jak zmiana ich przebiegu.

- Zaczniemy dziś od matematyki, potem zajmiemy się angielskim i historią ludzi, a po południu wyjdziemy do ogrodu na wykład z historii społeczności - oznajmiła zwykłym, chłodnym tonem Oriana.

- Super. - Emily uśmiechnęła się radośnie.

Oriana usiadła za stołem i wskazała jej miejsce naprzeciw, codzienny rytuał. „Super”. Lars nalegał na formalizm, według niego dziewczynka powinna była zatem odpowiedzieć: „Tak, mistrzyni”, ale Oriana od początku wprowadziła swobodniejsze relacje. Oczekiwała pokory, kiedy ganiła podopieczną za jakieś pomniejsze przewinienie - jak dotąd Emily nie zdarzyło się żadne wielkie przestępstwo - albo gdy odpytywała ją z zadanych lekcji. W innych sytuacjach stosowała taryfę ulgową. Miała przecież wcielić się w rolę przyjaciółki i powiernicy Emily, poznać jej sekretne przemyślenia, obawy i plany, z których mała nigdy nie zwierzyłaby się Larsowi.

Być może obecne nastawienie wynikało ze zmęczenia, ale Oriane nagle uderzyła bezczelność tej odpowiedzi. Bezczelność zamaskowana uśmiechem, tak że udawała żart bezbrzeżnie grzecznej dziewczynki - czy jednak faktycznie nim była? Oriana obrzuciła małą krytycznym spojrzeniem.

- Jeśli po południu uda ci się w ciągu godziny pięciokrotnie przemienić samą dłoń, wieczorem pojedziemy do lasu - powiedziała. - A teraz do dzieła.

Nie usłyszała kolejnego „super”. Emily skinęła głową, marszcząc czoło. Przemiana częściowa, która dla przeciętnej alfy zdolnej zmienić formę pod nieobecność

księżycyca na niebie stanowi banalnie proste zadanie, w oczach dziewczynki urastała do rangi wyzwania ponad siły.

Mała błyskawicznie, bo w ciągu zaledwie dwóch miesięcy, przeszła od konieczności stosowania amuletów lub ziół, w celu powstrzymania transformacji w czasie pełni księżyca, do całkowitej kontroli nad przemianą, bez najmniejszego wysiłku przyjmując wilczą postać o każdej porze dnia i nocy. Oriana pozostawała pod wrażeniem, a choć skąpo dawkowała pochwały, Emily napęczniała z dumy.

Następnym etapem była nauka przemiany częściowej - i nagle pojawiły się problemy. Dziewczynka albo zupełnie zmieniała formę, albo trwała przy wyjściowej postaci, a efekty jej wysiłków pozostawały niewidoczne.

Oriana, która przemianę samej dłoni uważała za czynność równie prostą jak uniesienie tejże dłoni na powitanie, starała się przeanalizować każdy pojawiający się w jej umyśle impuls, prowadzący do osiągnięcia pożądanego rezultatu. Dyktowała Emily krok po kroku, na czym dziewczynka powinna się skupić, choć zwykle nauka przemiany częściowej sprowadza się do regularnych ćwiczeń praktycznych, ponieważ albo posiada się stosowne umiejętności i trzeba jedynie uzyskać nad nimi kontrolę, albo jest się ich pozbawionym. W pierwszym wypadku sekret polega na uzmysłowieniu sobie, że można czegoś takiego dokonać, w drugim nie pomogą żadne lekcje.

Niemniej Oriana nie знаła przykładu alfy na tyle silnej, by nie potrzebowała księżycyca do zmiany postaci, a zarazem niezdolnej przekształcić jedynie wybranej części ciała. Zresztą Emily ów wyczyn udawał się sporadycznie. Dziewczynka chętnie brała takie sytuacje za oznakę zbliżającego się sukcesu, potem jednak kolejne długie godziny upływały jej na bezskutecznych próbach, kiedy to teoretycznie robiła wszystko tak samo, a upragniony efekt nie następował.

- Nigdy się tego nie nauczę - oznajmiła rozzalona Emily, po blisko trzech miesiącach próżnych wysiłków. - A w ogóle, na co mi taka umiejętność? Lepszy słuch i węch się

przydają, no i ze zmianą wewnętrzną budowy ucha czy nosa nie mam problemów. Ale przemiana ręki?

- Do samoobrony - odparła Oriana. - Niekiedy przemiana całkowita jest zbyt ryzykowna albo kłopotliwa, gdyż wiązałaby się ze zniszczeniem ubrania, co z kolei nie pozwoliłoby ci później wtopić się w tłum. Wielu świadomych radzi sobie bez tej umiejętności, skoro jednak jej opanowanie leży w zasięgu twoich możliwości, nie powinnaś się poddawać.

- Wszystko robię tak, jak mi kazałaś, mistrzyni - poskarżyła się znów dziewczynka. - A mimo to mi nie wychodzi.

Z perspektywy czasu Oriana dostrzegała w tych słowach oskarżenie o to, że wprowadziła małą w błąd; wtedy sądziła, że porażka na polu częściowej przemiany grozi zachwianiem u Emily wiary w siebie, dlatego postarała się podnieść ją na duchu.

- Posiadasz bardzo nietypowe zdolności - powiedziała. - Należy domniemywać, że zagnieździły się one w tych partiach twojego umysłu, które zwykle sterują częściową przemianą.

Emily analizowała w skupieniu sugestię, aż wreszcie dostrzegalnie się rozpogodziła. Argument nie tylko do dziewczynki przemówił, ale wręcz jej pochlebił.

Tak, Oriana chyba ją rozgryzła. Emily cierpiała na przerost ambicji. Odkąd odkryła, że jest istotą wyjątkową, i to nie tylko w zestawieniu z przeciętnym człowiekiem, ale także z przeciętnym świadomym, zaczęła sobie wmawiać, że pod każdym względem góruje nad pobratymcami, włączając w to nawet kapłanów. Naturalnie, wiele musiała się jeszcze nauczyć, ale łatwość, z jaką zapanowała nad przemianą, kazała jej wierzyć, że czeka ją prosta i równa droga do doskonałości. Po czym ta oszałamiająca teoria rozbiła się o przeszkodę tak prozaiczną jak częściowa przemiana.

Oriana potrzebowałaby niespełna minuty, żeby przemienić pięć razy dłoń w opatrzoną pazurami łapę. W

przypadku Emily z cudem graniczyło wykonanie tego zadania w godzinę.

Dlatego dziewczynka nie ucieszyła się z obietnicy wyprawy do lasu, a wręcz poczuła się nią przybita. Oriana osiągnęłaby podobny efekt, gdyby wygłodniałemu psu położyła kielbasę o krok od zasięgu jego łańcucha.

Zrobiło jej się niezręcznie, że tak podle się zachowała. Nie lubiła Emily, ale gdyby zechciała być ze sobą całkiem szczerą, nie mogłaby jej niczego zarzucić. Ta niby to zaobserwowana przez Orianą bezczelność czy przerost ambicji wydawały się nadinterpretacją, próbą usprawiedliwienia własnej niechęci do podopiecznej.

Oriana zdołała przebrnąć przez lekcję matematyki. Zmęczenie ją opuściło, minął ból głowy. Dobrze. Jeśli Emily nie zdarzy się w najbliższych godzinach żadne drastyczne potknięcie, Oriana zmieni warunek wyprawy do lasu. Nie pięć przemian dłoni, a jedna.

W godzinę ten jeden jedyny raz chyba się małej powiedzie?

Ostatecznie Colin wyjechał dopiero we wtorek wieczorem. Szybko pożałował, że ustąpił wobec nalegań Tin, i zapewne postarałby się wszystko odkręcić, gdyby nie naskoczył na niego Mat, nazywając go bezmyślnym typem, który już raz omal nie doprowadził do śmierci dziewczyn. Chłopak miał szczęście, że w pobliżu była Tin, bo inaczej Colin chyba nie zdołałby się opanować.

Postawa Mata przesądziła sprawę i choć Colin w duchu wyrzucał sobie nierozwagę, kolejną próbę przekonania Tin do wyjazdu podjąłby tylko wówczas, gdyby zaobserwował u jej nowych przyjaciół podejrzane zachowanie. Żeby jednak nie narazić się na zarzut, że wydaje bezbronne dziewczyny i jeszcze bardziej niezaradnego brata na pastwę bandy obcych wilkołaków, postanowił wstrzymać się kilka dni z

wyprawą do Danii i zacieśnić znajomość z pięciorgiem polskich świadomych.

Po cichu liczył, że zacieśni ją na tyle mocno, że tamtym nasunie się analogia ze stryczkiem na szyi i czym prędzej się ulotnią. Tin musiałyby wtedy przyznać Colinowi rację: skoro uciekli, widocznie mieli coś do ukrycia.

- Zasadniczo unikamy kontaktów z ludźmi - powiedziała Renata, spoglądając nieufnie na Mata i Carol, kiedy w niedzielne popołudnie wybrali się we czworo z wizytą do zagubionego w lesie domu. - Z czasem drogi się rozchodzą, przyjaźnie rozluźniają, i po kilku latach osoba wcześniej godna zaufania staje się dla nas zagrożeniem.

- I co wtedy robicie? - zapytał Mat.

Nie chciał z nimi iść, ale kiedy Colin stwierdził, że to nawet lepiej, chłopak natychmiast zmienił zdanie. Durny szczeniak. Niemniej Mat, w odróżnieniu od Tin, na pewno nie będzie patrzył na tych świadomych przez różowe okulary, tak więc po wyjeździe Colinowi przyjdzie bazować właśnie na trzeźwej ocenie brata. Smarkacz prędzej wyolbrzymi podejrzany sygnał, niż go przeoczy.

- Żyjemy w strachu - odparł Damian, popatrując na chłopaka spode łba. - Oczywiście, członkowie rodziny to co innego. Renata chciała tylko powiedzieć, że z naszego punktu widzenia jesteście obcy...

- Nic mnie nie łączy z takimi jak wy - warknął Mat.

- Mój brat poznał społeczność od nie najlepszej strony - wyjaśnił Colin.

Spojrzeli na niego, cała piątka, jakby zgodnie pomyśleli, że Colin mówi o sobie.

- Kawy? - zapytała Aga.

- Pomogę ci - zaofiarowała się Carol, posyłając Matowi krótkie, w odczuciu Colina nieprzeniknione spojrzenie. A jednak chłopak natychmiast przestał się rzucać.

- Tak, słyszeliśmy, że na zachodzie grupy rodzinne mieszkają blisko siebie, wybierając sobie przywódcę - przyznała Renata, kiedy Colin, niby to w ramach zestawiania różnic kulturowych, wyraził zdziwienie, że żyją

zupełnie inaczej niż członkowie społeczności, z którymi stykał się do tej pory. – Takie rozwiązanie na pewno posiada zalety, ale zastanawiam się, czy jest bezpieczne. To znaczy, czy te zalety przeważają nad wadami. Życie w małej grupie pozwala na większą mobilność, łatwiej wtedy wtopić się w otoczenie. Ale może prezentuję pogląd Polki... Zmierzam do tego, że gdyby u nas stworzyć rodzaj komuny żyjącej w zgodzie z naturą, momentalnie wzbudziłaby ona zainteresowanie sąsiadów, a w przypadku mieszkańców wsi nawet wrogość.

– Kto wam opowiadał o rozwiązaniach stosowanych gdzie indziej? – zapytał Colin, na pozór zainteresowany przede wszystkim swoją kawą.

– Pojawił się taki gość, podawał się za reprezentanta zachodniej społeczności – zaszcebiotała Natalia, lecz umilkła pod karcącym spojrzeniem ojca.

– Nie poznaliśmy go osobiście – wyjaśnił Damian. – Ponoć zachęcał tutejszych świadomych do nawiązania kontaktów ze społecznością z zagranicy, ale nie skorzystaliśmy.

– Ty nie chciałeś skorzystać – burknęła Natalia.

– Tin mówiła, że wasza sytuacja jest nietypowa – zagadnęła Aga, niewątpliwie uważając się w tej chwili za szalenie przebiegłą.

– Chcemy żyć po swojemu – przyznał Colin – a nie każdemu w organizacji się to podoba.

O mały włos nie powiedział Tin czegoś przykrego, kiedy zrelacjonowała mu, ile rano zdążyła wyjawić nowym znajomym na temat swój i Colina. Wspomniała, że wychowywał ją łowca i że w dzieciństwie została porwana, a Colina przygnało do Europy przecucie, które kazało mu szukać tutaj życiowej partnerki. Lider amerykańskiej społeczności nie wyraził zgody na wyprawę, tak więc Colin się zbuntował; nigdy zresztą nie cechowała go nadmierna subordynacja.

– Jak mogłaś tyle im o sobie zdradzić? – zapytał przez zaciśnięte zęby.

- Nie mam pojęcia, czemu mnie porwano, i wątpię, żeby te informacje znaczyły coś dla nich - odparła po namyśle. - A jeśli przekażą je komuś zorientowanemu... to ta osoba i tak będzie wiedziała o tamtych zdarzeniach więcej ode mnie. Poza tym ja zdołam ich okłamać, a Mat i Carol już nie, lepiej więc, żeby poznali wersję jak najbliższą prawdzie. Mamy prawo do swoich tajemnic i nie sądzę, by zgłaszali w tej kwestii pretensje, ale jeśli chcemy zdobyć ich zaufanie, nie możemy opowiadać im bajek.

- Obejdę się bez ich zaufania - burknął Colin.

Mimo to trzymał się podanej przez Tin wersji zdarzeń i starał się wkupić w łaski jej nowych przyjaciół. Cholera. Rozumiał, że Tin potrzebuje rozmowy z kobietą, z waderą, że chce zobaczyć w Renacie utraconą w dzieciństwie matkę. W porządku, jeśli dzięki temu będzie miała szansę odzyskać przeczucia.

Co do Mata i Carol, Tin wyjaśniła, że organizacja próbowała uderzyć w brata Colina, żeby jego samego zmusić do posłuszeństwa. Jej rozmówcy okazali się na tyle delikatni, by nie wnikać w to, na czym konkretnie polegała owa próba.

- Mamy tu stół bilardowy, zagracie? - zaproponował Artur, zwracając się do Colina i Mata.

Usiłowano rozdzielić ich z dziewczynami... Colin zmarszczył brwi, ale Tin uśmiechnęła się do niego zachęcająco.

- Świetny pomysł - mruknął bez entuzjazmu.

- Opowiedz, jak jest w Ameryce - nalegał Artur, kiedy znaleźli się na zakurzonej poddaszu, gdzie stał stół bilardowy. - Czyli żyjecie tam w osadach? A ten główny przywódca, jaki on jest?

Damian spoglądał na krewniaka pobłaźliwie, ale rzucało się w oczy, że sam chętnie dowiedziałby się czegoś o pobratymcach zza oceanu. Zatem dlatego wyciągnęli Colina z salonu. Niech dziewczyny omawiają sobie sprawy personalne, ich interesowała szersza perspektywa.

- Główny lider? - powtórzył Colin. - Świetny facet. Wystarczy mu jedno spojrzenie, żeby zyskać posłuch. Ale przez to, że jest moim stryjem... nie zawsze nam się układało.

Mniej więcej tak wyglądały kolejne dwa dni: panie w salonie albo na tarasie przed domem, panowie na dusznym poddaszu. Zastanawiał się, czy Renata z Damianem porównują potem zdobyte informacje. No, ale Tin dorastała z dala od swoich, tak więc nikogo nie powinny dziwić rozbieżności między relacjami jej i Colina.

W poniedziałkową noc umówili się na wspólne bieganie; Colin początkowo zamierzał zaprotestować, potem jednak uzmysłowił sobie, że dzięki temu wreszcie zobaczy przemienioną Tin, a nawet potruchta u jej boku. Wolałby intymniejsze okoliczności, ale trudno.

No i, kurczę, warto było ujrzeć ją w wilczej skórze. Chociaż potem do rana nie mógł zasnąć.

We wtorek po południu Colin „zniecka otrzymał ważną wiadomość”, w związku z czym musiał natychmiast wyjechać. Widział, że nowi znajomi trochę się zaniepokoiili, bo też rzeczywiście mogli odnieść wrażenie, że wezwała go organizacja. Nie wpadli jednak w popłoch, nie zaczęli się pakować. Cóż, Colinowi pozostało poinstruować Mata, by wywiózł dziewczyny, jeśli zaobserwuje cokolwiek podejrzanego.

Jechał całą noc i rano, dwanaście godzin. Na dłuższy postój pozwolił sobie dopiero po pokonaniu mostu nad Małym Bełtem. Fionia, zielone serce Danii. Cholera, czemu Colin liczył na bardziej lesistą okolicę? Owszem, tu i ówdzie mignęła mu kępa drzew, wątpił jednak, by dało się wśród nich bezpiecznie zapolować czy choćby się zdrzemnąć. Przespał się zatem w samochodzie.

Odpooczywał cztery godziny, potem zatrzymał się, żeby coś przekąsić, i ponownie się kimnął. Planował poszukać

głazów po zapadnięciu zmroku, miał więc trochę czasu. A że ostatnio niewiele sypiał, drzemka była mu niezbędna do odbudowy sprawności umysłu.

Nieomal je przeoczył. Pięć sporych, ale w sumie niepozornych kamieni, jakich gdzie indziej widuje się na pęczki. Na tych równinnych terenach stanowiły jednak rzadkość - i tylko dlatego Colin nabrał pewności, że trafił właściwie. Benson kazał mu szukać łąki mniej więcej w połowie odległości między Haarby a Voldtofte; Colin przemierzył całą okolicę i natknął się jedynie na tę grupkę głazów. Tworzyły nieregularne półkole i faktycznie widniały w nich liczne wgłębienia.

Węszył ludzkie wonie, ale najświeższe pochodziły sprzed dwóch dni. Para, co niezbyt pasowało Colinowi do kapłanów. To znaczy, wątpił, żeby istniały kapłanki. Udo wywarł na nim wrażenie faceta, który waderę widzi co najwyżej w roli matki przyszłego kapłana, przy czym należy jej zabrać dziecko, kiedy tylko przestanie karmić je piersią, inaczej bowiem potencjał malca zostanie bezpowrotnie zmarnowany.

Do pełni pozostało osiem dni, tak wcześnie kapłani nie mieli tu czego szukać, natomiast ich woni z okresu minionej Colin już by nie zidentyfikował. Na co liczył, przyjeżdżając tu dzisiaj? Ach, przynajmniej zrobił rozpoznanie terenu, które za tydzień byłoby zbyt ryzykowne.

Teraz zresztą także nie powinien za długo kręcić się przy głazach, bo mimo że maskował się jako świadomy, kapłani mogli znać jego osobniczą woń. Chociaż... czy takie przypuszczenie nie załatywało megalomanią? Jeden skromny zbuntowany świadomy do tego stopnia interesowałby wielkich kapłanów? Sprawą Emily i Colina zajmował się Udo i niewykluczone, że pozostali nie wiedzieli nawet o istnieniu brata cudownej dziewczynki. Ciekawe, czy we wzajemnych relacjach kapłani również mnożyli tajemnice. Czy w ogóle była w organizacji osoba znająca wszystkie sekrety?

Ruszył z powrotem do samochodu zaparkowanego przy drodze łączącej Haarby z Voldtofte, zastanawiając się co dalej. Carol sugerowała, że powinien dać Tin nieco oddechu, a on się temu nie sprzeciwił. Do pełni pozostał tydzień, który Colin mógł z powodzeniem spędzić tutaj, na Fionii, skoro wyspa tak obfitowała w pozostałości po dawnych praktykach religijnych. Za moment zda Tin relację z inspekcji kręgu - z góry się denerwował, jako że będzie to ich pierwsza od przeszło miesiąca rozmowa w myślach - i przy okazji poprosi, żeby podyktowała mu listę miejsc wartych inspekcji.

Podszedł do toyoty, zaabsorbowany snuciem planów na najbliższe dni. Nie zachował dostatecznej czujności - nie zwęszył nikogo przy głazach i głupio założył, że nie zastawiono tu na niego pułapki. Tak jakby każdy szykujący zasadzkę osobnik obowiązkowo rozsiewał swą woń gdzie popadnie!

Zrobił unik w ostatniej chwili. Być może w porę usłyszał pyknięcie, lecz bardziej prawdopodobne, że ostrzegł go instynkt - a kto wie, czy to nie przeczucie kazało Colinowi szarpnąć głową, dzięki czemu kula świsnęła mu koło ucha.

Skoczył w stronę, skąd padł strzał, jednocześnie przechodząc częściową przemianę, znowu wiedziony wewnętrznym głosem, naturalniejszą reakcją byłaby bowiem przemiana całkowita, która jednak spowolniłaby Colina, gdyż ubranie ograniczałoby mu ruchy.

Przeciwnik zareagował zgodnie z naturą, to znaczy w pełni zmienił postać - przygotował się na taką ewentualność i nic go nie krępowało, kiedy stał się z Colinem.

Zwarli się, potoczyli po ziemi. Colinowi każde posunięcie dyktował instynkt, tak że dopiero zacisnąwszy zęby na gardle przeciwnika, pojął, z kim walczy. Uzmysłowił to sobie racjonalną częścią umysłu; ta sterująca jego poczynaniami w trakcie walki zidentyfikowała wroga od razu - i dzięki temu wiedziała, jakich zagrań się spodziewać.

Colin w ostatniej chwili powstrzymał się od zmiżdżenia przeciwnikowi tchawicy. Odpowiedzi. Poszukiwał odpowiedzi, a Gordon mógł mu paru udzielić.

Ten moment wahania kosztował go utratę przewagi. Gordon wywinął się z blokady, przeciągając bratankowi pazurami po piersi. Gdyby nie gruba skóra kurtki Colina, nie skończyłoby się na paru obficie krwawiących zadrapaniach.

Stryj raz jeszcze zamachnął się łapą, próbując sięgnąć jego gardła, jednakże Colin znów posłuchał instynktu. Uchylił się i zacisnął zęby na barku przeciwnika. Gordon stęknął z bólu.

Kątem oka Colin spostrzegł pistolet, porzucony przez lidera w trakcie błyskawicznej przemiany. Broń... Potrzebował broni, jeśli chciał pogadać z Gordonem - bo trzymając stryjowi zęby na gardle, miałby trudności z wyartykułowaniem dręczących go pytań.

Przejechał Gordonowi pazurami po pysku, celując w oko. Skutecznie, gdyż przeciwnik zaskowyczał i odruchowo sięgnął do zranionego miejsca, przemieniając łapy w dłonie. Błąd. Colin skoczył po pistolet, chwycił go ludzką ręką, i strzelił stryjowi w udo. Srebro zniechęci drania do kolejnych prób ataku.

Gordon zwinął się, szarpiąc zębami futro, jakby chciał wygryźć kulę. Tym razem nie skowyczał, zmagając się w milczeniu. Godne podziwu: Colin pamiętał, jaki cholerny ból wywołuje srebro.

Dyszając ciężko, obserwował lidera. Wygrał! Wiedział, że nie zawdzięcza tego swym umiejętnościom. Wszystkie odruchy, jakie utrwalił sobie w trakcie szkolenia straży, były Gordonowi doskonale znane. Stryj ustępował Colinowi wiekiem i, być może, siłą, natomiast znacznie górował nad nim doświadczeniem i zdolnością do samokontroli. Gdyby Colin reagował na ciosy lidera tak, jak robiłby to na jego miejscu przeciętny członek straży, to on leżałby teraz zakrwawiony na ziemi. Colin jednak najwyraźniej potrafił

przewidzieć każdy ruch stryja, jakby w tej walce sekundowało mu przecucie.

Po chwili Gordon zaprzestał prób wyjęcia kuli. Zdołał do tego stopnia zapanować nad bólem, iż odnosiło się wrażenie, że po prostu leży sobie na ziemi, nie tyle zrelaksowany, ile szykujący się do skoku, w pełni zdrowy i sprawny fizycznie. Utkwił w Colinie spojrzenie wilczych oczu.

Psiakrew, Colin aż zaniemówił z podziwu.

- Dlaczego? - rzucił wreszcie. Banalnie i mało konkretnie, toteż szybko doprecyzował: - Jakie plany kapłanów są tak straszne, że zabicie mnie wydało ci się najlepszym rozwiązaniem?

Stryj milczał. W mroku nocy Colin nie potrafił odczytać wyrazu jego oczu, ale wyczuwał raczej chłodną kalkulację niż nienawiść.

- Dlaczego? - powtórzył. - Jeśli zależy ci, żeby mnie przed czymś powstrzymać, powinienes zdradzić mi, o co chodzi. W tej chwili twoją jedyną szansą jest przekonanie mnie, żebym tej rzeczy nie zrobił. No? Czego oni ode mnie chcą?

Gordon poruszył łbem, jakby zamierzał znów polizać ranę, po czym z wyraźnym wysiłkiem zmusił się, żeby na powrót utkwic wzrok w twarzą bratanka. Niewątpliwie zdawał sobie sprawę, że Colin go zabije. Od początku tej walki było jasne, że jeden z nich poniesie śmierć, choć, naturalnie, stryj oczekiwał innego układu sił.

Colin z trudem powstrzymał się przed ponowieniem pytania po raz kolejny. Użył dobrego argumentu. Jeśli Gordon faktycznie pragnął zapobiec zdarzeniu, w którym Colin odgrywał kluczową rolę, pozostawało mu wyjaśnić, w czym problem, i liczyć na to, że bratanek podzieli jego pogląd. Bo chyba nie łudził się, że zdoła jeszcze zmienić wynik pojedynku?

Czemu zatem milczał? Noga musiała go boleć jak jasna cholera. Czego chciał dowieść, przedłużając swoje cierpienie na oczach Colina? Czyżby obmyślał zgrabne kłamstwo?

- Przestań jej szukać - odezwał się niespodzianie Gordon. Używał wilczej mowy, znacznie zwięźlejszej niż ludzka, a mimo to mówienie sprawiało mu trudność. - Szykują zasadzkę. Zabiją cię, a...

Huknął strzał. Colin padł na ziemię, klnąc w duchu własną bezmyślność: skoro Gordon stał na czele spisku wewnątrz organizacji, to nawet jeśli w sprawie swego bratanka nie uzyskał jednomyślności, oczywiste było, że zdobył przynajmniej kilku sprzymierzeńców, których zabrał na akcję jako wsparcie! A Colinowi nie przyszło do głowy, że stryjowi może ktoś towarzyszyć.

Natychmiast znów wymierzył broń w Gordona - i dopiero wtedy zorientował się, że to właśnie lider oberwał.

- Caramel... - wykrztusił po wilczemu Gordon, ale wówczas padł drugi strzał.

Łeb leżącego drgnął gwałtownie, a potem jego ciało w ułamku sekundy powróciło do ludzkiej postaci.

- Colin! Wszystko w porządku?

Colin skierował głocka w stronę, skąd dobiegał głos. Głos Bena, co bynajmniej go nie uspokoiło.

- Ani kroku dalej! - krzyknął do agenta.

Bena posłuchał.

W Warszawie facet deklarował, że należy do grupy oporu, przypuszczalnie tej samej, której przewodził Gordon - ilu bowiem buntowników, wyłącznie silnych alf, mogło się znaleźć w szeregach organizacji? Wątpliwe, że aż tylu, by powstały dwa niezależne od siebie skupiska opozycji. A teraz tak po prostu zastrzelił swego lidera.

Bo Gordon nie żył, na sto procent. Colin leżał dostatecznie blisko, żeby z całą pewnością stwierdzić, że nie słyszy jego oddechu ani bicia serca. Tak, podobnie jak swego czasu dałby sobie uciąć rękę, że ma przed sobą trupa Bena. Czy dranie posunęliby się do powtórzenia tej durnej sztuczki?

Tyle że, psia krew, Colin widział ziejącą ranę w skroni stryja.

Ostrożnie podniósł się z ziemi. Benson nadal trzymał pistolet, w opuszczonej niedbale dłoni. Jasne, przecież Colin nie kazał mu rzucić broni. Powinien zrobić to teraz?

- Wydawało mi się, że szykuje się do skoku na ciebie - powiedział Benson.

- Trzymałem go na muszce, do diabła! - warknął Colin. - Zabiłeś mi źródło informacji!

Znów kątem oka zerknął na ciało Gordona. Stryj naprawdę nie żył? Colin nie robił z siebie idioty?

- Z mojego punktu widzenia mamił cię rozmową, żebyś lada moment zaatakował - sprzeciwił się spokojnie Benson. - Jesteś pewien, że się pomyliłem? Ja twierdzę, że właśnie uratowałem ci życie.

Colin ciągle mierzył do Bensa. Cholera, powinien skorzystać z okazji i zastrzelić typa? Czy raczej spróbować wydobyć od łajdaka informację, dlaczego Gordon chciał go zabić?

- Ktoś zapewne usłyszał strzały - odezwał się Benson. - Musimy uprzątnąć ciało i zniknąć stąd jak najszybciej.

- Może należało rozważyć użycie tłumika? - warknął Colin, ale opuścił broń.

Agent nie przyjechał tu, żeby go zabić - bo miał po temu okazję i z niej nie skorzystał. Skoro zaś Gordon nie żył, jedynych sensownych wiadomości mógł dostarczyć Colinowi tylko Benson.

- Wpakujemy go do twojego auta - zarządził agent, wsuwając pistolet za pasek od spodni. - Ja zostawiłem wóz w Haarby, weźmiemy go po drodze i w ustronnym miejscu przerzucimy do niego ciało.

- A potem? - zapytał Colin, kiedy upchnęli trupa w bagażniku toyoty.

Wykorzystał sytuację, żeby dotknąć okolic serca stryja i jeszcze raz uważnie wsłuchać się w zachodzące w jego ciele procesy. Cholera, jeśli to była sztuczka...

- Oddam go naszym - odparł Benson.

- Naszym? - Colin natychmiast zeszywniał.

- Oficjalnie jestem przecież skutecznym i lojalnym agentem organizacji. Kto prowadzi?

Nie mogli stać tu i dyskutować, więc Colin niechętnie wsunął się za kierownicę. Czy aby na pewno Benson pozostawał lojalny wobec organizacji jedynie oficjalnie?

- Skąd wiedział, gdzie mnie szukać? - zapytał Colin. Skąd w ogóle stryj wziął się w Europie? Caramel twierdził przecież, że Gordon ma zbyt wiele do stracenia, żeby osobiście zasadzać się na bratanka. Ha, czyżby kapłani powiązali go z martwym zamachowcem spod Dundee?

Podrzucił Bensaona do Haarby, skąd ten wziął swój samochód, a potem zatrzymali się na drugim z kolei leśnym parkingu. Colin dokonał wyboru miejsca, żeby uniemożliwić agentowi wciągnięcie go w pułapkę, choć tego rodzaju obawy wydawały mu się coraz bardziej nonsensowne. Za dużo było dotąd kombinacji, żeby w grę wchodziło zwykłe pojmanie Colina.

Przepakowali ciało do passata Bensaona i agent zamknął klapę bagażnika.

- Mówiłeś Matowi, dokąd jedziesz? Komuś jeszcze?

- Nikomu, kto mógłby mnie zdradzić - odparł Colin. Drań sprytnie odbijał piłeczkę. - To wy dwaj swego czasu współpracowaliście. - Użył sformułowania, które pasowało zarówno do przedstawienia ze sfingowaną śmiercią Bensaona, jak i współdziałania ich obu w grupie oporu.

- Najwidoczniej jednak poróżniła nas twoja osoba - odparł beznamiętnie agent.

I co Colin powinien wywnioskować z tych słów?

Przyglądał się Bensonowi spod oka, zastanawiając się, czy otwarcie poruszyć kwestię grupy buntowników i sporu, jaki wywołał wśród jej członków pomysł likwidacji Colina. Czy agent mógł należeć do tej grupy i mimo to nie orientować się, co kapłani zaplanowali dla Colina?

Zasadzka.. Gordon sugerował, że kapłani chcą go zabić, ale najwyraźniej powinno to nastąpić w ściśle określonym momencie, niewykluczone, że pod samym nosem Emili... Czyżby tym razem rzeczywiście chodziło o odprawienie rytuału zwiększającego moc dziewczynki? Em miała się nawdychać woni krwi brata?

Tylko czy dranie nie nazbyt wiele ryzykowali, puszczając Colina na europejską włóczęgę? A gdyby ktoś go po drodze ukatrupił? Albo gdyby stracili go z oczu? Rozsądniej byłoby trzymać go w zamknięciu w oczekiwaniu na stosowną chwilę.

Cholera, kapłanom ewidentnie zależało na odpowiednim nastawieniu Colina, na współpracy z jego strony. Gordonowi zaś nie podobały się przewidywane konsekwencje owej współpracy, które to pojęcie mogło oznaczać zarówno krwawą jatkę na Colinie, jak i zyskanie przez niego silnej pozycji w organizacji. A nuż Colin zostałby ogólnościowym liderem?

- Nie ja jeden wiedziałem o tych głazach - westchnął Benson. - Przyznaję, podejrzewałem, że ktoś może tu na ciebie czekać. Gordon... hm, naraził się kapłanom, od pewnego czasu intensywnie go szukają. Doszły mnie też słuchy, że w Anglii usiłowano cię zabić... podobno właśnie na polecenie Gordona.

- A wiesz dlaczego? - zapytał Colin. Spokojnie, na razie musiał zachować spokój.

Jeśli kapłani zamierzali awansować go na lidera całej organizacji, to super, Colin nie będzie protestował. Niestety, wersja z jatką dla zwiększenia mocy Emili wydawała się znacznie bardziej prawdopodobną, a w takim układzie Benson mógł przybyć tu z misją powolnego zwabienia Colina na miejsce kaźni.

- Zdążył ci coś powiedzieć, prawda? - odpowiedział pytaniem agent. Domyślny sukinsyn. - Wobec tego orientujesz się w temacie lepiej ode mnie.

Psiakrew. Gdyby tak przeczucie raczyło podszeptać Colinowi, jaką taktykę powinien obrać.

- Właściwie skąd się tu wzięłeś? - dociekał Colin.

- Kapłani dobrze strzegą swoich tajemnic. Nie zdołam ustalić, gdzie trzymają twoją siostrę, bez narażania się na utratę pozycji... i życia. A nie ukrywam, że nie stałem się jeszcze na tyle zdesperowany, by zapłacić taką cenę. Właśnie dlatego liczę na twoje przeczucia, postanowiłem więc cię pilnować...

- Bez twojej „pomocy” poradziłbym sobie tysiąc razy lepiej! - warknął Colin.

- Przykro mi. - Słowa Bensaona zabrzmiały szczerze. - Sądziłem, że grozi ci niebezpieczeństwo.

- Jak kontaktujesz się z kapłanami?

Przez kilkanaście sekund agent obserwował spod oka Colina. Obaj unikali konfrontacji, tak więc przeważnie wpatrywali się w ziemię lub bładzili wzrokiem gdzieś obok rozmówcy.

- Łatwo ustaliliby, że to ja ci powiedziałem - odparł w końcu Benson. - Poza tym mój kontakt nie doprowadziłby cię do siostry, jako że pion operacyjny ma niewiele do czynienia z kapłanami odpowiedzialnymi za życie duchowe organizacji, a Udo należy do tych ostatnich. Głazy mogły ci pomóc, gdyby bowiem pojawił się przy nich kapłan, byłby to osobnik związany z otoczeniem bóstwa. - Benson ściągnął usta w ciup. - Wywiozę Gordona do Niemiec i tam zamelduję, że go usunąłem, a ciałem...

- Usunąłeś? - przerwał mu Colin.

- Mówiłem przecież, że kapłani chcieli go dostać.

- Ale nie o tym, że tobie zlecono to zadanie. - Colin strzelał w ciemno.

Agent chwilę milczał.

- Owszem, otrzymałem taki rozkaz - przyznał wreszcie. - Właśnie z tego powodu przyleciałem do Europy. Możesz mi wierzyć lub nie, ale nie spodziewałem się, że spotkam go akurat tutaj. Choć, naturalnie, jedynie w tego rodzaju miejscach miał szansę cię namierzyć. W pewnym sensie mi się poszczęściło. - Benson się uśmiechnął. - Kapłani lubią, kiedy ich polecenia są szybko realizowane.

- Jesteś w stanie dowiedzieć się, co przyświecało Gordonowi? - zapytał wolno Colin. Draniowi się poszczęściło! - W przypadku takiej szychy kapłani powinni chyba uzasadnić wyrok?

- Powiedziano mi tylko, że zdradził. Spróbuję dopytać się o szczegóły. Być może wystarczył im fakt, że samowolnie zlecił twoje zabójstwo.

- Zdradził tak jak ty?

- Zdarzało nam się zgadzać w pewnych kwestiach, częściej jednak się różniliśmy. Przyznaję, wiedziałem, że nie jest lojalny wobec kapłanów, a z kolei on mógłby wsypać mnie. Tym sposobem funkcjonowaliśmy we względnej równowadze.

Jak zatem było? Benson znał z pierwszej ręki motyw, którymi kierował się Gordon, podejmując decyzję o zabiciu bratanka, czy też w tym czasie akurat nastąpiły między nimi gorsze dni?

- Gordon zasugerował, że kapłani chcą mojej śmierci - wypalił Colin, koncentrując się na reakcji Bensona. Spotkał go zawód: nie wychwytał u agenta żadnych emocji. - Przypuszczam, że chodzi o rodzaj rytuału, który wzmocni Emily. Dlatego usiłował zabić mnie z dala od niej.

- Wyraźnie mówił o rytualnym mordzie czy to tylko twoja teoria? - dociekał Benson. Najwidoczniej mina Colina wystarczyła mu za odpowiedź, gdyż kontynuował: - Z ustaleniem takich szczegółów będę mieć problem, bo za sprawy twojej siostry odpowiadają kapłani, z którymi nie mam styczności. Teoria dobra jak każda inna... Spróbuję. Zostaw mi namiar na siebie.

- Z Udonem miałeś świetne relacje - mruknął Colin.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - zdziwił się Benson.

- Poznałem go w tym samym czasie, co ty, i nie oglądałem już więcej. Oni, ci „duchowi przywódcy”, mają się za lepszych od kapłanów pilnujących bieżących spraw organizacji. A taki agent terenowy jak ja nie zasługuje nawet na ich ponowne spojrzenie. Jeśli się okaże, że planują

dla ciebie nieciekawą przyszłość, zrezygnujesz z poszukiwań?

- Jasne, że nie - obruszył się Colin. - Chodzi o moją siostrę! Chcę tylko wiedzieć, czego się spodziewać.

Uzgodnili, że założą na Skypie pocztę głosową i mejlem prześle Bensonowi namiar - skoro Colin nie zgodził się podać agentowi numeru swojej komórki, ten odwdzieczył się podobną postawą.

Potem Benson wsiadł do passata i odjechał. Wóz Gordona prawdopodobnie stał w Haarby; agent miał później wrócić go poszukać.

Z mętlikiem w głowie Colin spoglądał w ślad za Bensonem. Ile drań naprawdę wiedział? I po której stronie grał?

Niewykluczone, że łajdak miał sprawę Emily gdzieś, a zależało mu tylko na zrealizowaniu zadania likwidacji Gordona. Znalazł pierwsze lepsze głazy, naopowiadał Colinowi bajek na ich temat, po czym zadbał, żeby wiadomość o celu podróży bratanka dotarła do byłego lidera amerykańskiej organizacji.

No bo jak inaczej Gordon znalazłby się tu dzisiaj? Skoro kapłani wiedzieli, że to on zorganizował zamach pod Dundee, niewątpliwie utracił swoją wtyczkę w grupie operacyjnej odpowiedzialnej za śledzenie poczynań Colina; zresztą, Colin wymknął się agentom. Niemniej Gordon musiał dostać cynk o tej wyprawie bratanka, a jego źródłem mógł być tylko Benson. Przecież, psiakrew, nie chodziło o miejsce oczywiste dla wszystkich poza Colinem!

Następnie agent zaczął się w oczekiwaniu na swoją zwierzynę. Usunął Gordona, zapunktował u kapłanów, a Colinowi wcisnął na odczepnego kilka głodnych kawałków, ponieważ nie mógł go zabić. Jeśli nie wspomni w raporcie o walce Colina z Gordonem, to wyłącznie w trosce o własną skórę, chcąc ukryć fakt, że tak cennego dla kapłanów osobnika bezczelnie użył jako przynętę.

Colin z westchnieniem ruszył z leśnego parkingu. Cóż, jeśli Benson więcej się nie pojawi, to trudno. Colin straci

potencjalnie wartościowe źródło informacji, ale zarazem nie będzie musiał się zadrećzać, czy wskazówki agenta nie wiedzą go prosto w pułapkę.

W tej chwili miał do załatwienia co innego. „Caramel...”. Ostatnia wypowiedź Gordona. Caramel co? Caramel zna odpowiedź? Caramel jest zdrajcą? Musiał dorwać smarkacza, jeśli chciał poznać dalszy ciąg myśli stryja.

Obrał kurs na Drezno.

Problem polegał na tym, że rozstali się z Caramelem w atmosferze wrogości, niezbyt sprzyjającej wymianie numerów telefonów czy ustalaniu sposobów kontaktu. Colin nie miał pojęcia, gdzie szukać gówniarza. Przez miesiąc wiele mogło się zdarzyć, zwłaszcza że Caramel puścił się tropem cennych dla organizacji dzieciaków. Właściwie Colin powinien liczyć się z ewentualnością, że gnojek nie żyje, ale nie wiadomo dlaczego wydało mu się to mało prawdopodobne.

Ostatnio widzieli się w restauracji w Dreźnie. Jeśli Caramel ruszył mózgownicą... czy też: jeśli choć trochę zależało mu na ponownym ujrzeniu Colina, zostawił tam dla niego namiar.

Tylko czy mu zależało? Czy Caramel nie dał jasno do zrozumienia, że oni dwaj zakończyli współpracę? Chciał dostać te eksperymentalne dzieciaki, dla jakichś tam własnych celów, i nie życzył sobie, żeby Colin uczestniczył w poszukiwaniach.

A sam Colin... Cóż, gdyby Gordon nie wypowiedział imienia chłopaka, ani by mu zaświtało odnawiać kontakt z Caramelem. Gnojek groził, że zabije Mata!

Cholera, rzeczywiście groził? Teraz, kiedy Colin lepiej panował nad emocjami, zaczynał powątpiewać w swój ówczesny osąd. Zdarzenia oglądał wtedy przez czerwoną mgiełkę, tak więc być może przypisał Caramelowi własne odczucia względem brata.

Będzie musiał spokojnie poddać kumpla ponownej ocenie, tak pod kątem sytuacji sprzed miesiąca, jak i zaskakującej wypowiedzi Gordona – bo Colinowi wydawało

się coraz dziwniejsze, że szczeniak odgrywa w tej sprawie aż tak ważną rolę, by jego imię okazało się ostatnim słowem umierającego lidera.

Niestety, spotkanie dojdzie do skutku tylko pod warunkiem, że na Colina czekała w Dreźnie wiadomość, a nadzieja na to z każdym pokonanym kilometrem jawiła mu się mniej realną.

Zwlekał z wezwaniem Tin. Zresztą, zrobiło się późno, obudziłby ją. Skoro sama nie bombardowała go pytaniami, widocznie nie otrzymała od przeczucia – czy choćby intuicji – żadnych sygnałów, że coś mu grozi. No bo też Colin wyszedł z walki w zasadzie bez szwanku. Rany zadane pazurami Gordona już się zabiłiżyły.

Zatrzymał się na parkingu przed Berlinem i zafundował sobie cztery godziny snu. Toyotę wypełniała woń krwi Gordona; zapewne z tego powodu Colin śnił o brutalnych starciach ze stryjem, z napastnikiem spod Dundee, ale także z Caramelem, Bensonem, Fishem i innymi basiorami ze straży. Nie wypoczął przez te wizje: nie zawsze wygrywał.

Dochodziła ósma, kiedy się obudził. Ruszył, obierając sobie za cel najbliższą przydrożną restaurację. Posilił się i dopiero kiedy ponownie znalazł się na trasie do Drezna, odezwał się do Tin.

Pierwsza ich rozmowa w myślach od przeszło miesiąca, a Colin zdawał jej relację z oględzin kilku kamieni. Zgoda, zakończyło się to ekscytująco... Ach, psiakrew, niby o czym wolałby nawijać? Przynajmniej Tin się przejęła, no i nie wypadało jej odmówić Colinowi porady, dzięki czemu dłużej pogadają.

- Nawet jeśli Bensonowi zależało tylko na zabiciu Gordona, nie wyszukał sobie przypadkowych głązów stwierdziła po zastanowieniu. - Musiał przekonać twojego stryja, że pojawisz się właśnie na Fionii.

Colin powstrzymał cisnące mu się na usta pytanie, czy chciała przez to powiedzieć, że jemu agent zdołałby wcisnąć każdy kit, natomiast Gordona mógł wciągnąć w pułapkę wyłącznie wiarygodną informacją. Powinien się cieszyć, że Tin w ogóle dzieli się z nim swoją opinią.

- Czyli uważasz, że warto tam wrócić w czasie pełni? - upewnił się.

- Jeśli kapłani rzeczywiście odprawiają przy tych gładach obrzędy, nie zrezygnowałyby z nich, nawet gdybyście zostawili tam ciało Gordona. Poza tym... hm... Skoro Benson twierdził, że uratował Mata, żeby dzięki niemu skontaktować się z tobą, chodzi mu jednak o ciebie, a Gordonem zajął się przy okazji. Kilkanaście miesięcy temu nikt jeszcze nie oskarżał Gordona o zdradę.

- Tylko czy na pewno ocalił go ze względu na mnie? - zastanowił się Colin.

Przypomniał sobie ironiczny uśmiech Bensona, kiedy ten mówił o powodach, dla których pomógł Matowi. No tak, nie było się czym chwalić.

- Założę ci tę pocztę na Skypie - zaproponowała Tin. - Sądzę, że Benson się odezwie.

- Ale nie jesteś w stanie stwierdzić, czy chce mi pomóc uwolnić Em, czy też wciąga mnie w zasadzkę? - zapytał ponuro Colin.

- Może przy okazji waszego kolejnego kontaktu... - odparła z wahaniem.

Nie lubiła, kiedy Colin poruszał temat jej przeczuć, a on, psiakrew, nie potrafił się pohamować i non stop do nich nawiązywał.

Tak jak wyjaśnił Bensonowi, wolałby wiedzieć, czego się spodziewać - lecz nawet jeżeli kapłani zamierzali go zaszlachtować, agent zaś otrzymał zadanie doprowadzenia barana na rzeź, Colin i tak podejmie próbę uwolnienia siostry.

Ogarniała go wściekłość na myśl, że Benson śmiało postawić mu takie pytanie. Pieprzony drań! Po prawdzie jednak Colin czuł się podle, jako że do tej pory efekty jego

poszukiwań prezentowały się bardzo mizernie. Nic dziwnego, że agent powątpiewał w siłę jego motywacji.

Poprzysiągł sobie w duchu, że od tej chwili zmieni podejście. Wyzwolił się spod wpływu Udon, Tin znalazła w Polsce bezpieczne schronienie, bo w gruncie rzeczy ci nowo poznani świadomi zagrażali jej mniej niż swego czasu tatunio Antoine, znikły więc wszelkie wymówki, jakimi Colin mógł usprawiedliwiać niemrawe działania w sprawie Emily. W dodatku wreszcie uzyskał sensowną wskazówkę: głązy, dzięki którym miał szansę namierzyć kapłana. Tak, odtąd skoncentruje wszystkie wysiłki na poszukiwaniach. Em przebywała u tych łajdaków już stanowczo zbyt długo.

Stała mu przed oczami, delikatna, niewinna i bezbronna. Może i dysponowała niespotykanymi zdolnościami, lecz w rękach kapłanów pozostawała zaledwie narzędziem. Biedactwo, niewątpliwie stanowiła przedmiot wewnętrznych rozgrywek między draniami. Niewykluczone, że odpowiednio poprowadzona, umiałaby wpływać na alfy nawet tak silne, jak kapłani – tego przecież obawiał się Benson – ale okłamywano ją na tyle skutecznie, że pieprzony Udo jawił jej się niemalże bogiem, którego woli nie śmiała się przeciwstawić.

Na ile łajdak zdołał ją wytresować? Cholera, Colin powinien liczyć się z tym, że dziewczynce wpojono lojalność wobec kapłanów, tak silną, że mała sprzeciwi się próbie odbicia jej przez brata. Czy byłaby w stanie zdominować Colina? Wcześniej nie brał pod uwagę takiej możliwości, choć, faktycznie, na logikę rozwój talentów dziewczynki zmierzał właśnie ku kontrolowaniu świadomych.

Jednakże na zamartwianie się kwestią nastawienia Emily przyjdzie jeszcze czas. Na razie Colin musiał wreszcie ustalić, gdzie ją przetrzymywano.

Do knajpy, w której po raz ostatni spotkał się z Caramelem, Colin dotarł około południa. Bez większej

nadziei usiłował wyłuszczyć swoją sprawę kelnerce o iluzorycznej znajomości angielskiego. Przyłapał się na tym, że wypowiada angielskie słowa z niemieckim akcentem – tak czy owak bez skutku. Na szczęście pojawiła się druga kobieta, wysłuchiwała Colina, pokiwała głową, uniosła palec, zaszwargotała coś do swojej koleżanki i podeszła do baru, skąd wróciła z karteczką.

Niewiarygodne, Caramel zostawił dla niego wiadomość! W przypiływie entuzjazmu Colin wcisnął kobiecie dziesięć euro; kiedy wyszedł na zewnątrz i nieco ochłonął, sklął się w duchu za tę rozrzutność, ale przecież nie wróci tam, prosząc o wydanie reszty.

Na kartce widniał numer telefonu, opisany: „Dla C”. Śmierdziało zasadzką, na niego lub Caramela, w zależności od tego, który pierwszy by się tu zjawił. No, ale jeśli nie odbierze osobiście Caramel, Colin po prostu się rozłączy. Nie złapią go na żadne: „Pański przyjaciel prosił o przekazanie, że będzie na pana czekał...”.

– Colin?

Zatem Caramel żył, a w dodatku w jego głosie pobrzmiwało autentyczne zaskoczenie. Jak miło.

– Co się tak dziwisz? – rzucił Colin. – Chyba po to zostawiłeś dla mnie ten numer.

– Jesteś w Dreźnie?

– A ty?

– Nie przez telefon. Przyjadę. Spotkajmy się jutro wieczorem, o siódmej. Pod tamtą knajpą.

Jasne, Caramel usiłował stworzyć wrażenie, że namierzył eksperymentalnego dzieciaka i obawia się podsłuchu, Colin miał zatem sterczeć jak durny pod knajpą. Mimo to przystał na propozycję. Pogada ze smarkaczem, a jeśli ten zdoła przekonująco wytłumaczyć, o co chodziło Gordonowi, być może Colin zaproponuje mu odnowienie współpracy. Najpierw jednak gnojek będzie musiał dowieść swej lojalności, dzieląc się z kolegą ustaleniami w kwestii dzieciaków z kliniki w Kohlenbogen.

Colin zdawał sobie sprawę, że w jego rozumowaniu tkwi drobny błąd: nikt nie twierdził, że Caramel marzy o tym, by znów włączyć się w poszukiwania Emily. Na razie to Colin czegoś od niego chciał - wyjaśnienia zachowania stryja. Z kolei Caramel przed miesiącem nie ukrywał, że nieszczęśliwie zależy mu na tym, żeby drogi jego i Colina kiedykolwiek ponownie się zeszły.

No tak, ale przecież zostawił w knajpie swój numer telefonu.

ROZDZIAŁ 5

Oriana zdziwiła się, kiedy w porze lunchu zaczepił ją na korytarzu. „Wstąp do mnie w wolnej chwili. Chciałbym z tobą porozmawiać.” Jaka sprawa była tak pilna, że nie mogła poczekać do wieczora? W dodatku ten uprzejmy ton głosu! Lars nie zwykł prosić. Im bardziej mu na czymś zależało, tym stawał się chłodniejszy i bardziej opryskliwy, zwłaszcza gdy osoba, do której się zwracał, nie musiała spełnić jego prośby. Oriana nie zamierzała wszakże zdręzczać się wyobrażeniami, czegoż to Lars się dowiedział, że tak serdecznie wzywał ją na rozmowę.

Nie wynajdywała sobie na siłę zajęć, ale też niczego nie przyspieszała. Wytrwale tłumiała narastającą niecierpliwość.

Przyszło jej na myśl, że może Benson odezwał się w sprawie Colina. Spodziewali się, że chłopak od razu wyruszy obejrzeć głazy, tymczasem minęło parę dni, a on nie pojawiał się w Danii. Lars z furią zaciskał zęby. Siostra nie liczyła się dla chłopaka tak bardzo, jak powinna – po spotkaniu z Bensonem Colin najwyraźniej pojechał do swojej dziewczyny i spędzał czas z nią, zamiast od razu podążać obiecującym tropem.

Nabierała coraz większego przekonania, że chodzi właśnie o raport agenta. A ta niespodziewana uprzejmość Larsa? Czyżby Gordon przed śmiercią stał się wylewny? Zdradziła go, jeśli zaś dotarło doń, co zrobiła... Zmusiła się do zachowania spokoju. Gordon nie mógł się domyślić, Oriana bowiem tak naprawdę nie zrobiła nic. Nie ostrzegła go, nie próbowała odwieść Larsa od tego pomysłu, na tym polegała jej wina, ale Gordon nawet nie podejrzewał, że ona wiedziała.

Odszukała Larsa, kiedy rzeczywiście chwilowo nie ciążyły na niej żadne obowiązki. Gdy na widok Oriany oznajmił, że znajdzie dla niej czas za pół godziny, zapytała obojętnie, czy sprawa jest bardzo ważna, gdyż za pół godziny ona będzie już w trakcie popołudniowych zajęć z Emily.

- Zadaj jej coś i przyjdź - polecił Lars, kierując ku niej wyblakłe tęczy. -

Skinęła sztywno głową, dając do zrozumienia, że nie podoba jej się ów rozkazujący ton głosu. Mało kto nie bał się spojrzenia kapłana, a w najlepszym razie nie czuł się nieswojo, kiedy Lars wpatrywał się weń beznamiętnie. Nie życzyła sobie, żeby zaliczał ją do tego grona.

- Wiemy, gdzie przebywa dziewczyna - poinformował ją Lars, kiedy stawiała się u niego ponownie.

- Dziewczyna? - Oriana początkowo nie skojarzyła. - Mówisz o partnerce Colina?

Do tego stopnia nastawiła się, że usłyszy najnowsze doniesienia na temat samego chłopaka, że ogarnęło ją gwałtowne uczucie zawodu. Odniosła wrażenie, że Lars to zauważył.

- Tak się szczęśliwie złożyło, że natknęli się na lokalną grupę rodzinną - wyjaśnił, wymawiając słowo „lokalną” odrobinę kwaśnym tonem. Gdyby decyzja należała do niego, postawiłby takim grupom rodzinnym proste i jasne ultimatum: włączają się w struktury organizacji albo kulka w łeb. - Jak zwykle pierwsze informacje dotarły do nas z opóźnieniem, teraz jednak otrzymujemy wiadomości na bieżąco. Colin wyjechał przedwczoraj wieczorem, ona została, razem z jego bratem i Indianką. Co ciekawe, nie mają ze sobą dziecka.

- Przedwczoraj? - Oriana wychwyciła najistotniejszy szczegół przekazu. - A Benson... Richard jeszcze się nie odezwał?

Stali. Lars podniósł się, gdy weszła, i nie zaproponował, by usiadła, zapewne więc spodziewał się, że rozmowa potrwa krótko.

- Odezwał się - odparł tak obojętnie, jakby Oriana pytała o bzdurę, bezsensownie odwracając jego uwagę od zasadniczego tematu. - Wszystko poszło sprawnie - dodał. - Gordon nie żyje. Wprawdzie kilka zachowań Colina wyglądało na czysto intuicyjne, niemniej rozwinięta intuicja nie jest niczym wyjątkowym. Richard nie uważa tej sytuacji za dowód nawrotu zdolności chłopaka.

- Pozwolił im stoczyć walkę? - zapytała z niedowierzaniem.

Co z tego, że Colin wygrał? Oriana nie spodziewała się, że Benson podejmie takie ryzyko. Czyżby jednak zwątpił w powodzenie planu? Czy też zwyczajnie czegoś nie dopilnował?

Lars spojrzał na nią przeciągle.

- Na to wygląda - przyznał po dłuższym milczeniu. Widocznie podzielał jej zaskoczenie. - Nie zawarł w raporcie wielu szczegółów. Ale nie wezwałem cię tutaj, żeby omawiać wizytę Colina w Danii.

Umilkł, Oriana zaś cierpliwie czekała na dalszy ciąg, powstrzymując kolejne cisnące jej się na usta pytania o przebieg wydarzeń na Fionii. Lars uważał towarzyszkę Colina za ważniejszą od niego samego? Niedorzeczne.

- Wydałeś polecenia w sprawie tej dziewczyny? - odezwała się, kiedy cisza się przedłużała i stało się jasne, że Lars nie zamierza przerwać jej pierwszy.

- Zastanawiam się.

Zastanawiał się. Potrzebował jej rady, po raz kolejny. Orianie zaczęło świtać niewiarygodne podejrzenie, że kapłan skłania się ku opinii, iż zabijając Colinowi partnerkę, skieruje wszystkie myśli chłopaka z powrotem ku siostrze.

Zaciekawiło ją, czy Lars kiedykolwiek uważał się za zakochanego. Przypuszczałnie tak - i właśnie na bazie osobistych doświadczeń oceniał metodę „co z oczu, to z serca” jako szalenie skuteczną.

Oriana musiała mu delikatnie wyjaśnić, że w przypadku Colina takie podejście okaże się pomyłką. Zanim

zdecydowała, jak się do tego zabrać, Lars przemówił znowu.

- Dziewczyna ma niebieskie oczy - oznajmił sucho. Usiłowała zachować spokój. Lekkie podenerwowanie - na tyle mogła, a nawet powinna sobie pozwolić, jako że kapłan spodziewał się po niej tego rodzaju reakcji. Oriana była przecież kobietą, istotą słabą, o zmiennych nastrojach.

- Teraz nie jest chyba po temu najlepszy moment - skomentowała, ważąc słowa.

Żałowała, że nie zdążyła wyrazić obiekcji wobec preferowanego przezeń rozwiązania, zanim zdradził jej tożsamość dziewczyny. Obecnie jej opinia wyda się Larsowi stronnicza, mimo że każdy rozsądny obiektywny doradca natychmiast powiedziałby kapłanowi, że porwanie i zabicie ukochanej Colina zniweczy ich plany.

Ile Lars wiedział na temat udziału Oriany w tamtych zdarzeniach? Sprawiał wrażenie, jakby znał sprawę o wiele lepiej, niż głosiła oficjalna wersja, zapewne jednak jak zwykle blefował.

Skupiła się na istocie problemu. Colin i jego uczucia. Nieważne, co Lars sobie pomyśli na temat motywów Oriany. Nie mogła dopuścić, żeby spalił operację wyłącznie dlatego, że był osobą całkowicie bezduszną.

Milczał. Oczywiście. Chciał usłyszeć jej pogląd, nie zaś dzielić się własnym.

- Jak rozumiem, rozważasz usunięcie dziewczyny - podjęła ostrożnie. - Nie obawiasz się, że wtedy Colin zacznie szukać jej zamiast Emily? Kiedy zaś zorientuje się, że ją zabiliśmy, opęta go żądza zemsty?

- Według Richarda w tej chwili jest zbyt opanowany - stwierdził Lars.

Zawahała się. Owszem, dostrzegała w tym pewną logikę. Colin, oszalały z wściekłości, pragnący natychmiast pomścić ukochaną, utraciłby osiągniętą z takim trudem samokontrolę. Zwłaszcza że pracował nad sobą zapewne właśnie dlatego, że chciał się przypodobać swojej wybrance. Stałby się nieostrożny, i wtedy byłoby

teoretycznie łatwiej nim manipulować, zarazem jednak mógłby zwrócić się do ludzi i sprowadzić zagrożenie na społeczność, względnie wykorzystać dzieciaka od Dietera, żeby podważyć pozycję kapłanów w oczach reszty świadomych.

- Co jest dla nas ważniejsze: jego nieopanowanie czy związek emocjonalny z Emily? - zapytała. - Moim zdaniem jedno i drugie odgrywa równie istotną rolę, a jeśli wzbudzisz w nim pragnienie pomszczenia dziewczyny, Emily całkiem zniknie z jego myśli.

Lars skrzywił się nieznacznie i przespacerował po pokoju. Zgadzał się z Orianą, przy czym ta sytuacja wyraźnie go denerwowała.

- Powinniśmy dostarczyć Colinowi solidnej porcji wrażeń związanych wyłącznie z jego siostrą - kontynuowała. - Tak, żeby zapomniał o partnerce, a zaczął znowu żyć poszukiwaniami. Musimy odpowiednio dawkować mu nadzieję. Podsuwać obiecujące tropy i zabierać je, gdy tylko uwierzy, że znalazł się prawie u celu. Kiedy wreszcie naprawdę pozwolimy mu zbliżyć się do Emily, przypuszczalnie i tak straci panowanie nad sobą. Jest niecierpliwy, będzie popełniał błędy. Dziewczynę miejmy na oku, ale lepiej zostawić ją w tej chwili w spokoju.

Chętnie mówiłaby dalej, ale nie chciała przeholować. Podała kilka rzeczowych argumentów, zaproponowała sposób postępowania. Lars uwzględnił jej uwagi bądź nie, zalewanie go potokiem słów niczemu nie służyło. Doszedłby co najwyżej do wniosku, że Orianie nie udało się zachować obiektywizmu i broni siostrzenicy, naginając fakty.

Czy była obiektywna? Sądziła, że tak. Nie wątpiła, w tej chwili zabicie dziewczyny praktycznie zakończyłoby operację. Gdyby natomiast zgadzała się z Larsem, że likwidacja niebieskookiej przyniesie pozytywne skutki, nie zawahałaby się wyrazić swego poparcia dla takiej decyzji.

Nawet nie znała tej dziewczyny. Więzy krwi? W społeczności i tak wszyscy są ze sobą w jakimś stopniu spokrewnieni. Oriana nie miała pojęcia, jak radzą sobie jej

własne dzieci, cóż więc znaczyła dla niej siostrzenica? Jeśli żywiła wobec niej jakiegokolwiek uczucia, to ewentualnie niechęć. Przez tę małą zginęła jej siostra, przypuszczalnie także brat. Oriana zaś pośrednio się do tego przyczyniła.

Powinna była przekonać Ingrid, że sprawa jest stracona. Uważała pomysł siostry za czyste szaleństwo, a mimo to uległa jej prośbom, pomogła zdobyć adres. A Ingrid... Ingrid ją wówczas odtrąciła, jakby uznała tę przysługę za obowiązek Oriany, albo może żalowaną próbę odkupienia zdrady, której w jej oczach nie dało się odkupić. Powiedziała: „Dziękuję, Oriano”, choć nigdy dotąd nie zwróciła się do siostry tym imieniem, nigdy nie okazała akceptacji dla jej wyboru życiowej drogi. Oriane drażniło, że Ingrid uparcie używa imienia z okresu ich dzieciństwa, powtarzała, że Solveig już nie ma, ale kiedy siostra wreszcie nazwała ją Orianą, było w tym odrzucenie. Cóż, Ingrid mogła sobie pozwolić na taki gest. Wiedziała, że siostra nie zdradzi jej ponownie, że ma do niej słabość.

Oriana powstrzymała westchnienie. To były inne czasy. Za rządów Pera zaostrożono rygory tajności, tak że początek kapłańskiego szkolenia oznaczałoby dla Oriany rozstanie z siostrą. Dziś nawet by nie pamiętała, że kiedykolwiek miała rodzeństwo. Czy tak nie byłoby lepiej?

Usłyszawszy o śmierci Ingrid, Oriana przysięgła sobie nigdy więcej nie okazywać słabości, w żadnej kwestii. Na pewno nie złamie tego postanowienia teraz, gdy powrócił temat niebieskookiej dziewczyny.

Spojrzała na Larsa. Czy pojmował, że dla Oriany liczy się wyłącznie powodzenie operacji?

- Wieczorem pomówię z Perem - oznajmił. Zwalniał ją. Stłumiła irytację, skinęła głową i bez słowa opuściła jego gabinet.

Dlaczego Caramel potrzebował ponad dwudziestu czterech godzin, żeby stawić się w Dreźnie?

Przez chwilę Colin znów węszył zasadzkę, po prawdzie jednak denerwowało go, że gówniarz pokazuje, że ma ważniejsze sprawy, które musi załatwić, zanim łaskawie stawi się na spotkanie z kolegą.

Irytowała go także przymusowa bezczynność oczekiwania na Caramela. Rozważył wycieczkę do Kohlenbogen, żeby rzucić okiem na klinikę leczenia niepłodności – a nuż zwęszyłby agenta. Caramel twierdził, że jednego załatwił, choć przypuszczalnie blefował, a nawet jeśli nie, to zapewne przysłało następnego. Potencjalne korzyści wydawały się jednak niewarte ryzyka. Skoro nawet Benson, bezpośrednio zaangażowany w porwanie Emily, nie potrafił wskazać miejsca, gdzie więziono dziewczynkę, na pewno nie będzie takich informacji posiadał byle pionek, oddelegowany do obserwacji kliniki.

Z przygodnej budki Colin zadzwonił do brata. Tin wprawdzie utrzymywała, że relacje z polskimi świadomymi kształtują się bez zarzutu, Colin wolał wszakże usłyszeć opinię mniej ufnej wobec obcych Mata. Chłopak potwierdził jej słowa, doniósł nawet, że niedawno słyszał, jak się śmiała, rozmawiając z Natalią. Cholera, jeśli ktoś z tej bandy okaże się zdrajcą, podkopując wiarę Tin w całą społeczność, Colin osobiście wyszarpie mu wątrobę i zeżre ją na oczach właściciela.

Pod knajpą stawiał się z wyprzedzeniem, żeby obejrzeć sobie okolicę. Czysto, przynajmniej takie odniósł wrażenie. Dopóki nie zwęszył woni Caramela.

- Ha, tak myślałem, że zjawisz się wcześniej – huknął chłopak, z całej siły klepnąwszy Colina w plecy. Przyjacielsko, jakżeby inaczej. Colin ledwie utrzymał równowagę.

- Klapniemy gdzieś na piwo? – zaproponował Colin. – Najlepiej w tłocznym miejscu.

W tłumie ludzi nie będzie go tak korciło, żeby rozszarpać gnojka, jeśli ten udzieli niewłaściwych odpowiedzi.

Na poszukiwanie pubu wybrali się do centrum mondeo Caramela; w toyocie nadal cuchnęło krwią Gordona, a Colin

chciał sam wybrać moment, kiedy ciśnie Caramelowi w twarz wiadomość o śmierci lidera. W piątkowy wieczór nie powinni mieć trudności ze znalezieniem zatłoczonego lokalu.

- Już skończyłeś objazd Skandynawii? - zagaił Caramel, kiedy włączyli się do ruchu.

- Sprawy trochę się pokomplikowały - mruknął Colin.

Zamierzał uzyskać od Caramela informacje, nie mógł więc zbyć go na samym wstępie, bo później gnojek odplaciłby mu tym samym. Opisał zatem chłopakowi zajście z Antoine'em oraz jego następstwa, to znaczy bezsensownie histeryczną reakcję Tin i związaną z tym utratę przez nią przeczuc.

- Jak zwykle wspinasz się na wyżyny empatii - skomentował Caramel.

- Jednego drania mniej na świecie, a jej nic się nie stało - warknął Colin. - Jasne, oberwała srebrem, co jest mało przyjemne, ale kula przeszła czysto. Nim dotarłem na miejsce, zdążyła się w pełni zregenerować.

- Kurde, Colin - mruknął Caramel, nieznacznie potrząsając głową.

Do diabła, chyba faktycznie brzmiało to nie najlepiej: jego dziewczynę postrzelono, a Colin zbywał to zdarzenie, jakby chodziło o zadrapane kolano. Po prostu wolał nie wyobrazić sobie, jak rozwinęłyby się sytuacja, gdyby Carol minimalnie się spóźniła. Pędził do Polski na złamanie karku, a po przyjeździe ujrzał Tin całą i zdrową, jedynie zamkniętą w sobie. Nie oczekiwała od Colina pocieszenia; odtrąciła go, zanim jeszcze otworzył usta.

Naturalne, że zareagował gniewem. Stłumił go, nie wybuchł przy niej, jednak ani myślał się nad nią litować. Jeśli czegokolwiek żałował, to faktu, że to nie ona załatwiła Francuza.

- Już jej się polepszyło - burknął Colin. - Znów ze mną rozmawia, a niedługo pewnie wrócą jej przeczucia.

Wypatrzyli obiecujący pub, Caramel znalazł miejsce do zaparkowania i wkrótce zagłębili się w tłum. O dziwo, udało

im się namierzyć wolny stolik. Idealnie. Wreszcie pogadają o poważnych sprawach.

- Gordon nie żyje - wypalił Colin, kiedy tylko usiadł wygodnie, przyniósłszy dla nich po piwie.

Postanowił uderzyć z zaskoczenia i udało się - twarz Caramela stężała. Oczywiście, taka reakcja mogła oznaczać tysiąc różnych rzeczy, lecz przynajmniej była autentyczna, w przeciwieństwie do wystudiowanych grymasów, którymi szczeniak zwykle go raczył.

- Ty go zabiłeś? - zapytał cicho Caramel, spoglądając na Colina.

- Benson. Ale tylko dlatego, że mnie ubiegł.

- Benson - powtórzył Caramel.

- Mat do niego napisał. - Colin pokrótce zrelacjonował spotkanie z łowcą w Warszawie i swoją wyprawę na Fionię. Niech Caramel się rozluźni, poczuje bezpiecznie. - Wygrałem, trzymałem Gordona na muszce. Zanosilo się na to, że drań zacznie gadać. Wtedy wkroczył Benson, przekonany, że Gordon szykuje się do skoku na mnie. Ratował mi życie, rozumiesz.

- Uwierzyłeś mu?

- Sam nie wiem. Przyznał, że otrzymał rozkaz zabicia Gordona, choć zarazem twierdził, że nie wykorzystał mnie jako przynęty, a tylko tak się poukładało. Nie wykluczam, że mnie wystawił, po czym starał się jak najszybciej wykonać zadanie, nim coś pójdzie nie tak, a bajkę o ratowaniu życia wynalazł na poczekaniu, żeby mi zamknąć gębę.

- A może chciał zamknąć gębę Gordonowi? - zasugerował obojętnie Caramel.

Colin przyjrzał mu się spode łba.

- Żeby Gordon nie zdradził mi czego? Bo jednak coś mi zdążył wyjawic. - Colin umilkł znacząco.

- Kurde, Colin - westchnął Caramel. - Tak, jestem ciekaw, co ci powiedział, więc daruj sobie te zagrywki.

- Jego zdaniem kapłani szykują na mnie zasadzkę, chcą mnie zabić. Chodzi o rytuał zwiększający moc Emily. - Tej myśli Gordon nie zdołał wyartykułować, ale im częściej

Colin wypowiadał na głos ową teorię, tym bardziej wydawała mu się trafna. - Muszą przelać przy Em moją krew, a Gordon chciał ich ubiec, likwidując mnie z dala od niej.

Caramel nie wyglądał na wstrząśniętego tymi rewelacjami.

- Zgadnij, jak brzmiało ostatnie słowo Gordona - rzucił Colin, odczekawszy chwilę dla lepszego efektu.

- Ach, znowu zagadki. Bo ja wiem? „Przepraszam”? - Caramel mówił z ironią, a przecież Colin odniósł wrażenie, że chłopak w napięciu czeka, na tę informację. No, no, ciekawe.

- Otóż powiedział: „Caramel”.

Zamilkł, obserwując rozmówcę, wsłuchując się w jego tętno. Poszukiwał oznak zaniepokojenia, ale choć wiadomość wyraźnie poruszyła Caramela, Colin miał wątpliwości, czy da się zakwalifikować tę reakcję jako niepokój.

- Samo „Caramel”? - upewnił się chłopak.

- Tak. - Colin na dwie sekundy zawiesił głos. - Ciekawi mnie, do czego zamierzał nawiązać.

Początkowo rozważał, czy nie zablefować, że Gordon oskarżył o coś Caramela, ale doszedł do wniosku, że gnojek błyskawicznie odkryłby szalbierstwo, pozbawiając Colina przewagi.

- Ach tak. - Caramel na powrót skrył się za maską obojętności. - Czyli ściągnąłeś mnie tu po to, żeby rzucić mi w twarz kilka nowych oskarżeń.

- Nikt ci nie kazał przyjeżdżać - warknął Colin.

Szczeniak uśmiechnął się nieznacznie. To tyle, jeśli idzie o przewagę Colina.

- Masz wytłumaczenie inne niż takie, że próbował mnie przed tobą ostrzec? - drążył Colin. - Zdanie wcześniej uprzedzał mnie o zasadzce kapłanów. Logiczne, że twoje imię odebrałem jako kolejne ostrzeżenie. - Mówił stanowczo, nie chcąc, żeby wyglądało na to, że się

usprawiedliwia. Miał podstawy podejrzewać Caramela i oczekiwał od niego wyjaśnień.

- Co powiesz na to, że usiłował ostrzec przed czymś także i mnie? „Caramel znalazł się w niebezpieczeństwie” lub coś w tym stylu? - Nagle Caramel uśmiechnął się szeroko. - Ach, kapuję. Nie leży ci myśl, że ktoś jeszcze mógłby okazać się dla Gordona na tyle ważny, by napomknął o nim w chwili śmierci.

Colin zacisnął zęby. Zdążył zapomnieć, jaki gnojek potrafi być denerwujący.

Cholera, niech sobie smarkacz ironizuje, ale Colin liczył się w tej sprawie tysiąc razy bardziej od niego. To Colina stryj starał się zabić, nawet dwukrotnie, wokół jego osoby snuli swe plany kapłani i wreszcie - to jego siostrę porwano. Colinowi nikt nie pozostawił wyboru, podczas gdy Caramel, nawet jeśli obecnie znalazł się w niebezpieczeństwie, sam podjął decyzję o porzuceniu wygodnej pozycji pupilka osady, z pełną świadomością tego, komu się naraża.

Skoro najwyraźniej Colin nie dowie się od gnojka niczego na temat tajemniczej uwagi Gordona, może powinien się z nim pożegnać, odpuszczając pomysł odnowienia współpracy? To znaczy, nie tyle wygłosić słowa pożegnania, ile uczepić się oskarżeń i spróbować - raczej bez zadowalającego efektu - sprowokować Caramela, czym w końcu doprowadziłby do gwałtownego rozstania, tym razem na dobre.

Szkopuł w tym, że trochę go ciekawiły ustalenia kolegi odnośnie do eksperymentalnych dzieciaków. No i w sumie... mimo wszystko... Colinowi przydałoby się odrobinę wsparcia w sytuacji, gdy kapłani planowali go zaszlachtować.

- A twoje dochodzenie? - zagadnął ostatecznie Colin, siląc się na neutralny ton. - Znalazłeś jakiegoś interesującego szczeniaka?

- Jednego. - Caramel uśmiechnął się z zadowoleniem, prawie jakby oczekiwał oklasków. - Z pozostałymi szybko

się uwinęli. Zakładam, że tak należy zinterpretować niespodziewane wyjazdy kilku rodzin z listy. Za to ten dzieciak... Kurde, trafiłem w dziesiątkę. Zastanawiałeś się, jaki był cel badań Karala? Facet eksperymentował z nieświadomymi, na pozór bez sensu, ale jeśli się przeanalizuje cechy zerówek, da się wskazać takie, które organizacja chętnie widziałaby u ludzi. Na przykład podatność na dominację...

- Tak, doszedłem do tego - mruknął Colin.

Cholera, wydawało mu się, że wykazał się nadzwyczajną przenikliwością, opracowując teorię na temat celu prowadzonych przez Karala badań, a tymczasem do identycznych wniosków dotarł nie tylko Mat, ale także, najwyraźniej bez problemu, Caramel.

- Jeśli mały z wiekiem nie straci swoich obecnych cech albo nie rozwiną się w nim inne, niepożądane, to dokładnie o taki efekt im chodziło - obwieścił Caramel. - W tej chwili dzieciak ma nieco ponad dwa lata. Teoretycznie jest jeszcze mało komunikatywny, ale gdy użyjesz dominacji, momentalnie wykonuje polecenie.

Trafiło się ślepej kurze ziarno, a gnojek nadymał się tak, jakby jego zasługę stanowiło to, że natknął się na właściwego szczeniaka.

- Chcę go zobaczyć - oznajmił Colin.

Caramel przez chwilę taksował go wzrokiem.

- Po co? - zapytał wreszcie. - Swego czasu utrzymywałeś, że z twojego punktu widzenia klinika jest ślepą uliczką, a dzieciak jako argument przetargowy zda ci się na nic.

- Zgadza się - przyznał spokojnie Colin. - Nadal też nie widzę zastosowania dla tych rewelacji. Ale skoro nie muszę poświęcać tygodni na poszukiwania szczeniaka, czemu miałbym zrezygnować z potencjalnego atutu? A nuż za miesiąc plućbym sobie w brodę, że zlekceważyłem okazję. O co chodzi? Czyżbyś nie miał do mnie zaufania?

- Ach, ty natomiast ufasz mi całkowicie.

- Sam twierdziłeś, że akurat ja nie powinienem ufać nikomu. Chciałbym, żebyś mi pomógł w poszukiwaniach

Em, a w takim razie musisz dowieść swej wiarygodności.

Przez chwilę Colin sam był zdziwiony, że wygłosił taką deklarację. Prawda, chciał, żeby Caramel mu pomógł, ale nie planował, że tak otwarcie go o to poprosi.

Caramel sapnął.

- Masz tupet - orzekł. - Ale dobrze, nie odmówiłbym kumpłowi przysługi. Zgadzą się też, że powinniśmy zacząć bardziej sobie ufać. Zabiorę cię do tego dzieciaka, a ty w zamian poznasz mnie z Tin.

- Zapomnij - odparł bez namysłu Colin. Nigdy nie zaufa Caramelowi na tyle, żeby dopuścić go w pobliże Tin, i zazdrość nie miała tu nic do rzeczy.

- Nie to nie. - Caramel odchylił się na oparcie krzesła, leniwie sącząc piwo. - Pomaganie ci niewątpliwie okazałoby się pasjonujące, ale znajdę inny równie miły sposób wypełnienia sobie czasu.

Choć teoretycznie takie słowa pasowały do Caramela, Colin odniósł wrażenie, że chłopak blefuje, gdyż w gruncie rzeczy chce znów do niego dołączyć. Mniejsza o pobudki; niewykluczone, że Caramel zwyczajnie szukał podniet. Sprawę kliniki zakończył, na łono społeczności nie mógł wrócić, miał więc przed sobą perspektywę monotonnego ukrywania się przed agentami organizacji, a na tym tle wkroczenie w świat kapłanów prezentowało się szalenie pociągająco.

Cóż, gnojek blefował czy nie, Colin i tak nie miał wyboru. Nie włączył Tin do tej sprawy.

- Spoko - rzucił, wstając. - Poradzę sobie. Caramel spojrzał na niego z namysłem. - No to, ewentualnie, do usłyszenia - dodał Colin. - Jeśli zachowasz komórkę.

Ruszył do wyjścia. Starał się iść normalnym tempem, a jednak odnosił wrażenie, że w oczach Caramela się ociąga, jakby sam również blefował i w duchu zaklinał kumpla, żeby dał się na ów blef złapać. No i racja, Colin liczył, że chłopak go zatrzyma. Ale zarazem wiedział, że jeśli tak się nie stanie, wyjdzie z lokalu i więcej nie skorzysta z zapisanego na karteczce numeru telefonu.

- Colin - odezwał się Caramel.

Wypowiedział jego imię na tyle cicho, że Colin usłyszał je wyłącznie dlatego, że skupił się na odgłosach płynących od strony ich stolika. Samym tym skupieniem zdradzał, jak bardzo zależy mu na pomocy Caramela.

Mimo to przystanął. Niech gnojkwowi będzie. Alfy nie lubią przegrywać, a tym sposobem osiągnęli remis.

Wrócił do stolika.

- Zabiorę cię do tego szczeniaka - powiedział Caramel, w zamyśleniu wpatrując się w piwo.

Okazało się, że Caramel wyekspediował smarkacza wraz z rodzicami do Monachium.

- W centrum miasta łatwo ich nie wyniuchają - wyjaśnił, kiedy mknęli przez noc jego mondeo kombi.

Colin nie wnikał, skąd kumpel wytrzasnął ten wóz ani na ile był on legalny. Zdaniem samego Caramela był niewątpliwie mniej trefny niż toyota Colina, nie wspominając o wypełniającej tę drugą woni krwi martwego lidera, która jakoś nie przypadła chłopakowi do gustu.

- Zatem nie wierzysz, że w miastach organizacja zatrudnia ludzi jako prywatnych detektywów? - zakpił Colin, pamiętając, jak ochoczo Caramel przyklaskiwał chorym teoriom Alberta. Gnojek niemalże mianował Włocha geniuszem!

- Liczę się z taką ewentualnością - odparł spokojnie Caramel. - Musieliby jednak uruchomić tego rodzaju środki w każdym niemieckim mieście, nie wspominając o tym, że potencjalnie mogłem nawet wywieźć dzieciaka z Europy. Myślę, że poszukuje go niewielki zespół zaufanych agentów. Zorganizowałem rodzinie nową tożsamość, a przy okazji napędziłem ludziom niezłego pietra, wybijając im z głowy telefony do krewnych czy znajomych. Kasa chwilowo nie stanowi dla nich problemu, smarkaczowi dopisuje zdrowie,

nie chodzi do przedszkola... Jest szansa, że ich nie namierzą.

Najwyraźniej Caramel sam powątpiewał, że zdoła uchronić szczeniaka przed organizacją.

Swoją drogą, czy nikt nie testował cech tego dzieciaka? Agenci organizacji powinni byli zwinąć go, ledwie stwierdzili, że mały w pożądanym sposobie reaguje na dominację. No, chyba że obawiali się wystąpienia anomalii w późniejszym wieku i chcieli zostawić chłopca pod opieką rodziców aż do osiągnięcia przez niego dorosłości. Na dobrą sprawę dopiero za kilkadziesiąt lat, kiedy ten eksperymentalny egzemplarz umrze ze starości, stanie się jasne, czy właśnie o takiego osobnika im chodziło.

Odpowiedzialni za eksperyment na pewno znali genotyp dzieciaka i mogli wyprodukować kilka podobnych osobników, jednak oznaczało to dla nich trzy lata straty. Jeśli więc nie dysponowali drugim takim samym egzemplarzem, zależało im na odzyskaniu tego konkretnego szczeniaka. Tylko czy produkowanie pojedynczych okazów nie byłoby zbyt krótkowzroczne?

- Co powiedziałaś rodzicom? - zapytał Colin.

- Prawie prawdę. - Caramel uśmiechnął się. - Że ich dziecko jest efektem eksperymentu, służącego stworzeniu człowieka o ponadprzeciętnych zdolnościach. Przekonałem ich, że mają wyjątkowego synka, którego muszą chronić. Długo starali się o ciążę, są zapatrzeni w małego. Kochaliby go nawet gdyby wyrosła mu druga głowa.

Tak, Caramel potrafił wciskać kit. Owinął sobie tych ludzi wokół palca, a teraz pęczniał z dumy, szlag by go trafił.

- Sądzisz, że kapłanom bardzo na nim zależy? - Colin zdecydował się wyrazić wątpliwości. - To znaczy, że w całej puli znalazł się tylko jeden taki szczeniak?

- Czemu nie? - Caramel wzruszył ramionami. - Nie wszystkie zarodki się przyjmują, więc na trzy próby zapłodnienia mogła im się udać jedna. Zależy, ile różnych kombinacji opracował Karal. Jeśli kilkanaście lub więcej, organizacja miałaby problem nawet z wyprodukowaniem po

jednym dzieciaku z danej serii. Przypuszczam jednak, że tego małego tak czy owak chcą dostać z powrotem. Jeśli nie dlatego, że jest unikatem, to żeby go porównać z innymi egzemplarzami o takim samym genotypie. Nie mówiąc o tym, że woleliby znać miejsce pobytu każdej ze swych pociech.

Jak zwykle Caramel mówił z ogromną pewnością siebie, jakby wręcz czytał w myślach sterujących eksperymentem. Colin przyglądał mu się spod oka.

- Wspominałeś Bensonowi o tych dzieciakach? - zapytał od niechcienia Caramel.

- Aż tak mu nie ufam - mruknął Colin. - Mat raczej też mu się nie zwierzał - dorzucił po krótkiej przerwie, obserwując reakcję kumpla.

W trakcie ich poprzedniego spotkania Caramel nie ukrywał niechęci wobec Mata i krzywo patrzył na wtajemniczenie chłopaka w sprawę kliniki. Teraz zachował obojętność. Jak więc w końcu było? Miesiąc temu Colin jedynie przypisał kumplowi własne odczucia względem brata?

- Ale skoro Benson pracuje dla kapłanów, pewnie o wszystkim wie - dodał Colin.

- Niekoniecznie. - Caramel wzruszył ramionami, wyraźnie tracąc zainteresowanie tematem. - Staniemy, żeby coś zjeść?

- Obejrzyj go sobie z daleka i jedziemy - zarządził Caramel.

- Chcę przetestować jego uległość - zaproponował Colin. A nuż gnojek pokazałby mu pierwszego z brzegu dwulatka, twierdząc, że to właśnie ów udany okaz eksperymentalny?

- Jak by ci to powiedzieć, żebyś się od razu nie wściekł...
- Caramel zawiesił głos, ale Colin pozostał spokojny. No dobra, odrobinę przyspieszył mu puls. - Nie określiłbym cię jako faceta, który z miejsca wzbudza zaufanie.

Napracowałem się, żeby urobić tych ludzi, a ty mógłbyś zniszczyć cały efekt jednym nieprzemyślanym zdaniem albo nawet samą swoją obecnością. Gdybym chciał ich nastraszyć, że namierzył ich typ mający chrapkę...

- Załapałem - przerwał mu zimno Colin.

Caramel uśmiechnął się szeroko.

- Nie poznaję kolegi - skomentował. - Co za opanowanie. Doświadczyłeś w tej Polsce objawienia czy jak?

- A ty postawiłeś sobie za cel mnie sprowokować?

- Sprawdzam twoją odporność - odparł Caramel, nadal uśmiechnięty.

Podobnej rozrywce oddawał się Benson. Tak ich obu bawiło działanie Colinowi na nerwy? No cóż, może chcieli się upewnić, czy współpraca z nim nie jest zbyt ryzykowna - choć Colin odnosił wrażenie, że chodziło w tym o coś więcej. Powinien zapytać Caramela wprost?

- Tak gwałtownie otrząsnąłem się z wpływu Udon, że stałem się nadmiernie drażliwy - wyjaśnił zamiast tego. - Potrzebowałem czasu, żeby dojść ze sobą do ładu, ale, jak widzisz, radzę sobie coraz lepiej. Będzie mi jednak miło, jeśli darujesz sobie durne gadki.

- Nie ma sprawy. - Mina Caramela nawet nie sugerowała skruchy. - Niemniej nadal śmiem twierdzić, że będzie lepiej, jeśli obejrzyś sobie dzieciaka z samochodu. - Caramel włączył migacz i zaparkował na jednym z nielicznych wolnych miejsc wzdłuż ulicy. - Jesteśmy. To tamten dom. - Wskazał bezpretensjonalną kamienicę, niedawno odnowioną.

- Nie nazwałbym tego kamuflowaniem się w sercu miasta - skomentował Colin, omiatając wzrokiem okolicę.

Przyjechali do przyjemnej, spokojnej dzielnicy, pełnej eleganckich kamienic i zieleni. Ukrywająca się przed pościgiem rodzina powinna szukać schronienia raczej w anonimowym bloku, a nie w miejscu, gdzie po paru dniach wszyscy mieszkańcy odnotowują obecność nowych sąsiadów.

- Znajdujemy się w sercu miasta - mruknął Caramel, ewidentnie skłonny przyznać Colinowi rację w tej kwestii. - Mamuśka jest trochę zmanierowana. Prawdę mówiąc, facet długo ją przekonywał, że nie poniosą ujmy na honorze, jeśli wynajmą tu mieszkanie. Strasznie jej też zależało na parku w pobliżu, żeby chodzić z małym na spacer. Ma hysia na punkcie świeżego powietrza. Wcześniej mieszkali w wielkiej chacie pod miastem, więc docień fakt, że w ogóle zdołałem babę namówić na przeprowadzkę do dwustumetrowej klitki w centrum.

- Widzę, że stałeś się niemalże członkiem rodziny - podsumował z przekąsem Colin.

- Laska jest przewrażliwiona. Zostawiłem jej numer komórki, na wypadek gdyby zaobserwowała coś podejrzanego. W pierwszym tygodniu dzwoniła co kilka godzin. Nagadałem się z nią jak durny. Teraz już się wyciszyła, ale jeśli zauważy pod swoim domem dwóch gości w samochodzie, dziś znowu będę mieć telefon.

- To może wyśiadziemy? - zaproponował Colin, nie bez złośliwości.

- W ciągu kwadransa powinna wyjść z małym na spacer. Zaczekamy na nią w parku.

Colin sięgnął do klamki, ale Caramel właśnie włączył silnik. No tak, wypadało przestawić wóz, żeby baba nie wypatrzyła ich z okna, gdy będą wysiadać.

- Ona tak pojmuje wtapianie się w tłum? - sarknął Colin, kiedy w polu ich widzenia pojawiła się elegancka, na oko czterdziestoletnia kobieta w szpilkach, z malcem wystrojonym w koszulę z krawatem i lśniące półbuty.

- Kretynka - mruknął Caramel. - Pewnych rzeczy nie wytłumaczysz. Chociaż gdybyś widział, jak ubierała małego wcześniej, przyznałbyś, że poczyniła kolosalne postępy.

- Dobra, obejrzałem sobie szczeniaka. Idziesz powiedzieć „dzień dobry” czy się zmywamy? - rzucił ze zniecierpliwieniem Colin, jako że nagle przyjazd tutaj wydał mu się bezsensowny. Znow tracił czas na pierdoły, zamiast szukać siostry.

Dopiero kiedy kumpel zerknął na niego badawczo, Colin uzmysłowił sobie, że jego słowa zostały potraktowane jako sprawdzian, czy Caramel faktycznie zna tę kobietę.

- Zgarniamy gówniarza? - zapytał Caramel.

- Co?

- Właśnie mnie oświeciło, że byłby bezpieczniejszy u Tin niż z tą wypacykowaną lalunią. Wyluzuj - dodał, kiedy w Colinie wezbrał gniew. - Nie próbuję cię podejść. Rozstaniemy się w Dreźnie, zawieszysz szczeniaka do Tin i wrócisz. Zostawisz jej tylko mój numer telefonu.

- Mam jechać do Polski kradzionym wozem, z porwanym dzieciakiem drącym się całą drogę?

- Rany. Nie będzie ryczał. To nieświadomy. Każesz mu spać, będzie spał, każesz uśmiechać się beztrudnie, będzie szczyrzył zęby jak durny. Polecisz, żeby na twój widok wrzeszczał „Tata!”, posłucha i przydrepcze do ciebie radośnie, choćby wewnątrz trząsł się jak galareta.

- Tak, pamiętam. Jestem typem faceta, którym straszy się dzieci na dobranoc - warknął Colin, ale cicho, żeby nie zwrócić uwagi spacerowiczów.

Caramel zachichotał.

- Tak mi się powiedziało, ale skoro poruszyłeś ten temat... - Urwał, być może pod wpływem spojrzenia Colina.

- Dobra, poważnie. Tin podejmie się opieki nad małym? To by jej się pomogło otrząsnąć, wiesz? Niespodzianie stałaby się odpowiedzialna za kruchą, niesamodzielną istotkę...

- Nie sądzę, żeby Tin spodobała się sama idea porwania - przerwał mu Colin. - Natychmiast zechce odstawić małego z powrotem do rodziców...

- ...oddając go tym samym w łapy organizacji - dokończył Caramel. - My go nie tyle porwiemy, ile uratujemy, bo z matką, która tak umiejętnie się ukrywa, gówniarz ma marne szanse.

Colin sapnął. Zapewne zdołałby przekonać Tin, że działają dla dobra małego. Przypuszczalnie też szczeniak skutecznie zaprzętnąłby jej uwagę, nie zostawiając ani

pięciu minut w ciągu doby na rozpamiętywanie postępu Antoine'a. Jednakże...

- Prawdopodobnie poszukują Tin, ale zakładam, że nie robią tego z wielkim zaangażowaniem - powiedział. - Jeśli zawiozę jej szczeniaka, którego szukają cholernie sumiennie, ściągnę na nią niebezpieczeństwo. No i wreszcie, Tin zakumpłowała się z lokalną rodziną świadomych. Zarzekają się, że nic ich nie łączy z organizacją, a do społeczności należą tylko z biologicznego punktu widzenia. W większości to słabeusze, ci na pewno by mnie nie okłamali, niemniej biorę pod uwagę, że na przykład ktoś z grona ich znajomych pozostaje w kontakcie z organizacją.

Tłumaczył się Caramelowi tak rozwlekłe, bo z każdym wypowiedzianym słowem coraz wyraźniej dostrzegał bezmiar własnej lekkomyślności. Jakby nie wystarczająco wiele razy dał się nabrać na sztuczki agentów!

Tyle że, psiakrew, spotkanie w Borach Tucholskich naprawdę wyglądało na przypadkowe. Podczas zakupów w pobliskiej wsi mimochodem - niby że miło jest pogawędzić z miejscowymi po angielsku - zagadnął o dom w lesie i korzystających z niego letników. Uzyskał potwierdzenie wersji o trzech rodzinach, które od ładnych paru lat na zmianę spędzają w okolicy wakacje.

- Kurde, Colin - mruknął Caramel, kiedy Colinowi wyczerpały się argumenty. - Na twoim miejscu w te pędy brałbym szczyła i powołał się na jego dobro, żeby odizolować Tin od tamtych. Na ile zdołałem ją poznać z twoich opowieści, choćby nie wiem jak ich lubiła, nie przedłoży własnej korzyści nad interes dziecka. A gdyby mimo wszystko upierała się, że bardziej godnych zaufania świadomych nie znajdziesz nigdzie, zwróć jej uwagę, że dzieciak stanowi dla nich zagrożenie, podobnie zresztą jak ona sama.

Colin spojrział na parkową ścieżkę, ale elegantka i jej równie odpicowany malec znikli już za zakrętem. Westchnął. Podcierać tyłek smarkatemu nieświadomemu to

po prostu marzenie jego życia. Niemniej szczeniak rzeczywiście mógł się przydać w pertraktacjach z kapłanami. Kto wie, czy nie okaże się dla nich na tyle ważny, by w krytycznym momencie powstrzymać rękę z nożem, mającą zadać Colinowi śmiertelny cios?

- Dobra, do dzieła - ustąpił Colin. - Bo zamierzasz improwizować, nie?

Colin nie miał pojęcia, co Caramel zrobił tym psom. Jasne, każdy świadomy potrafi porozumieć się z psem, podobnie jak dogaduje się z wilkami, chociaż w tym pierwszym przypadku komunikacja wymaga większego wysiłku, jako że psy nie dorównują inteligencją swym dzikim przodkom. Zdarza się, że taka próba kończy się paniczną ucieczką czworonoga, którego przerasta intelektualnie kontakt z istotą tak drastycznie nad nim górującą.

Tak zatem Colin bez problemu doprowadziłby ułożonego psiaka do szaleństwa, względnie wpędził go w popłoch - wystarczyłoby kilka cichych warknięć, groźne spojrzenie w oczy i, w ostateczności, raptowne ujawnienie woni świadomego - natomiast potrzebowałyby czasu i spokoju, żeby zyskać sobie w nim najlepszego kumpla, nie mówiąc o nakłonieniu psa do oddania mu kłopotliwej przysługi, a tym bardziej o kontrolowaniu jego zachowania.

Tymczasem Caramel w ciągu niespełna dziesięciu minut rozpętał w parku istne pandemonium. Wszystkie przebywające w zasięgu wzroku Colina psy zaczęły ujadać i wyć, szarpiąc się na smyczach. Spora część zaskoczonych właścicieli nie dała rady utrzymać pupilów i wkrótce powstały trzy kłębowiska gryzących się zajadle zwierząt.

Colin obserwował scenę w osłupieniu, niewiele ustępującym temu, jakie stało się udziałem obecnych w parku ludzi. Szybko przywołał się do porządku. Caramel nie urządził tego spektaklu dla zabawy - i ani chybi skomentuje

opieszalność Colina. Tylko że, psiakrew, Colin nie określiliby oglądanego właśnie widowiska „skromnym psim zamieszaniem”.

Ruszył w stronę kobiety z dwulatkiem, która także otrząsnęła się już z zaskoczenia i z synkiem w ramionach zmierzała ku wyjściu z parku. Ni to szła, ni to biegła, podskakując idiotycznie w eleganckich szpilkach. Rzeczywiście, kretynka. Colin poszedłby o zakład, że mimo dzisiejszej nauczki, na kolejny spacer znów wybrałaby się na wysokich obcasach, oczywiście, gdyby nadal miała dzieciaka. Mały kiedyś im podziękuje, że wyrwali go spod skrzydeł tego babska.

Kątem oka Colin zobaczył dwa większe psy, chyba goldena i tosa inu, pędzące ku kobiecie. Spodziewał się, że tyle - tylko tyle - zrobi Caramel: nakłoni parę zwierzaków do ataku na lalunię, tak by Colin mógł porwać smarkacza, kiedy jego mamusia będzie zajęta obroną.

Puścił się biegiem, chcąc znaleźć się przy tych dwojgu przed czworonogami, żeby bydlaki nie zrobiły malcowi krzywdy. Zastanawiał się, na ile Caramel panuje nad psami. Wydał im precyzyjne polecenie, że mają rzucić się wyłącznie na kobietę, czy jedynie wskazał kierunek, niepewny nawet tego, czy nie zбочą z drogi, wypatrzywszy godniejszy obiekt napaści?

- *Achtung!* - wrzasnął Colin, wyrrywając kobiecie dzieciaka.

Zanim się zorientowała, co się stało, dopadły ją psy. Colin pognał, nie oglądając się za siebie, z małym przyciśniętym do piersi. W powszechnym zamieszaniu nikt nie powinien zwrócić na niego uwagi: nie tylko on w tej chwili biegł. Jedni ludzie uciekali z parku, inni koniecznie chcieli stać się świadkami niecodziennego zdarzenia. Znalazło się też kilku bohaterów, usiłujących rozdzielić walczące psy. Za plecami Colina ktoś starał się odpędzić zwierzęta od kobiety.

Malec ryczał wniebogłosy, ale wydierał się także w ramionach matki, podobnie jak wielu innych gówniarzy - byłoby dziwne, gdyby zachował spokój. Choć więc płacz

drażnił Colina, wstrzymywał się z uciszeniem szczeniaka, dopóki nie dotarł do pierwszych sąsiadujących z parkiem kamienic.

Tutaj ujadanie psów było dla ludzkich uszu na tyle wytłumione, by nie wywoływać paniki, a tym samym ryczące dziecko zaczynało przyciągać spojrzenia. Colin uniósł małego przed sobą.

- Cicho - rozkazał mu po angielsku, ze stanowczością, jakiej użyłby wobec typowego nieświadomego. Nie miał pewności, czy komenda podziała, ale nie umiał przypomnieć sobie niemieckiego słowa.

Na szczęście dzieciak natychmiast umilkł; oczy mało nie wyszły mu z orbit, jakby płacz rozdymał go od wewnątrz. Colin na powrót przygarnął gówniarza do piersi, tak by nikt nie spostrzegł jego zalanej łzami buzi.

Bez przeszkód dotarli do samochodu. Smarkacz ani nie kwiknął, nie próbował się też wyrywać, a wręcz zeszywniał, zapewne sparaliżowany strachem. Cóż, nieświadomi rzadko szczycą się odwagą.

Colin położył malca na tylnym siedzeniu.

- Leż spokojnie - polecił, nakrył go kurtką i zatrzasnął tylne drzwi, po czym sam zajął z przodu fotel pasażera.

Cholera, naprawdę działało. I Colin wcale nie był pewien, czy szcyl zna angielski - przypuszczalnie reagował bardziej na intencje dominującego niż komendę jako taką.

Krótkie polecenia, zero wysiłku, a gówniarz nawet nie pachniał jak nieświadomy! Gdyby Colin nie wiedział, z kim ma do czynienia, nigdy nie rozpoznałby w nim członka społeczności. No, zasadniczo szczeniak nie należał do społeczności, ale był człowiekiem z pewnymi cechami nieświadomego... Mniejsza o klasyfikację, ważne, że słuchał się Colina jak marzenie.

Niedługo potem do wozu wsiadł Caramel, bez słowa odpalił silnik i włączył się do ruchu. Najwyższy czas, bo w oddali rozbrzmiewały już policyjne syreny.

Colin czekał, aż kumpel się odezwie, ale ten chciał chyba najpierw usłyszeć komentarz dotyczący jego dokonań.

Czyżby zrozumiał, że przegiął pałę?

- Jutro napiszą o tym wszystkie gazety i będą wałkować temat przez kolejny tydzień - mruknął Colin.

- I o to chodzi - odparł Caramel, nie zaszczycając go choćby zerknięciem. - Mały nie udusi się pod tą kurtką?

Gnojek. Pozwolił Colinowi wypowiedzieć się krytycznie, żeby natychmiast go zgasić. W dodatku nie omieszkał zasygnalizować, że niepostrzeżenie obejrzał sobie wnętrze wozu.

- Na razie oddycha - warknął Colin. Obaj słyszeli ten oddech, na pozór miarowy i spokojny, wyczuwało się jednak, że kosztuje on dzieciaka sporo wysiłku. - O to chodzi? - powtórzył za Caramelem. - Żeby organizacja się dowiedziała?

- Rodzice opowiedzą policji o mnie i eksperymentach. Niech organizacja się przyłoży do wyciszenia sprawy i odwrócenia od nas uwagi pościgu.

- Jasne. Wydałeś im tych ludzi, żeby chronić własny tyłek - podsumował Colin.

- I tak by się dowiedzieli, mają wejścia w policji - stwierdził obojętnie Caramel. - Tyle że informacja dotarłaby do nich później, a wtedy trudniej byłoby zawrócić śledczych z właściwego tropu. Organizując porwanie w świetle reflektorów, przysłużyłem się społeczności, a przy okazji także tym ludziom, bo teraz nasi nie mogą ich zabić. Taka śmierć natychmiast wzbudziłaby podejrzenia.

Colin przygryzł wargę, gniewnie oglądając miasto przez boczną szybę. Owszem, agenci organizacji nie wykończą rodziców małego teraz - zrobią to za jakiś czas, kiedy sprawa ucichnie. Wypadek samochodowy albo załamanie nerwowe zakończone samobójstwem, jako że tych dwoje straciło przecież dziecko, które kosztowało ich lata starań.

Tylko czy Colina naprawdę obchodził los tej nieznannej pary? Czułby się podle, gdyby osobiście wystawił ich organizacji na odstrzał, ale skoro wszystko miało obciążyć sumienie Caramela...

- Coś ty zrobił tym psom? - zapytał, poszukując mniej kontrowersyjnego tematu.

- W końcu jest się synem wilczycy. - Caramel uśmiechnął się półgębkiem. - Matka sporo mnie nauczyła. A skoro umiem zasiać ferment wśród wilków, tym bardziej musiało mi się udać z psami.

Aha, kolejna z niezliczonych umiejętności Caramela. Colin ponownie oddał się podziwianiu miejskiego krajobrazu.

- Słuchaj, nie wiem, czy on powinien być przez cały czas zdominowany - odezwał się Caramel. - Żeby nam od tego nie ześwirował.

- Tak lubisz słuchać wrzasków? - spytał kwaśno Colin.

Odwrócił się i zajrzał pod kurtkę. Fakt, że szczeniak wyglądał dziwnie, kiedy tłumione emocje rozpierały go od wewnątrz, jednak podróż w ciasnym samochodzie do wtóru ryków dwulatka w tej chwili odrobinę przerastała wytrzymałość nerwową Colina.

Tyle że jeśli mały zeświruje, Tin będzie się potem musiała z takim użerać... a Colin nasłucha się za dwudziestu. Szlag.

Ściągnął kurtkę ze smarkacza.

- Dobra, mały. Leżeć, ale poza tym rób, co chcesz. Dzieciak ryknął, jakby mu podłączono wzmacniacz.

- O jasna cholera - mruknął Colin, ale Caramel raczej go nie usłyszał.

Zjechali z autostrady do Ratyzbony, żeby w pierwszym z brzegu centrum handlowym nabyć dla małego fotelik. To znaczy, Caramel wybrał się na zakupy, zostawiając Colina ze szczeniakiem na parkingu. Zdaje się, że znów delikatnie dawał do zrozumienia, że osobnik pokroju Colina, okazujący zainteresowanie rzeczami dla dzieci, natychmiast sprowokowałby sprzedawcę do powiadomienia policji. Srał go pies.

Mały spał. Nie wytrzymali długo, słuchając jego koncertu, a w gruncie rzeczy sen służy dziecku bardziej niż płacz. Dominacja tylko zapoczątkowała u szczeniaka tę skądinąd naturalną czynność.

Colin przyglądał się dzieciakowi. Niebrzydki smarkacz, taki ciemnowłosy cherubinek. Tin momentalnie się nim zachwyci. To znaczy, kiedy już pogodzi się z jego uprowadzeniem.

Poniewczasie przyszło Colinowi na myśl, że Tin, sama jako dziecko porwana od rodziców, okaże wyjątkowo mało zrozumienia dla ich decyzji. O wiele mniej, niż zakładał, gdy omawiał tę koncepcję z Caramel, a już tamta wizja wcale mu się nie spodobała. Będzie się dopytywać, czemu nie wywieźli całej rodziny. W dodatku to na Colina spadnie tłumaczenie się przed nią i szukanie argumentów, które Tin w mig obali, podczas gdy Caramel, pomysłodawca całego przedsięwzięcia, spędzi sobie kilka leniwych dni w Dreźnie.

Co gorsza, Colin nie mógł nawet zarzucić kumpłowi, że zwała na niego najczarniejszą robotę, bo Caramel natychmiast oznajmiłby, że przecież nie marzy o niczym innym, jak tylko o poznaniu Tin osobiście, i chętnie weźmie na siebie zadanie przekonania dziewczyny do ich racji. Przy tym Colin nie wątpił, że gnojek wypełniłby tę misję śpiewająco. Jasna cholera.

Caramel wrócił po blisko godzinie, z fotelikiem i zapasem prowiantu dla wszystkich. Wyrzucił Colina z miejsca pasażera, że niby czuje się strasznie zmęczony rolą kierowcy, po czym, zadowolony z siebie, odpakował snickersa.

- Jak on ma na imię? - zapytał Colin, kiedy znaleźli się znów na autostradzie.

- Heinrich. Takie imię, jacy rodzice. Na szczęście dla niego, musimy go przechrzcić. Jak go nazwiemy? Warto zakodować mu we łbie nowe imię, na wypadek gdyby ktoś nas zaczepił.

- Nie znam się, wymyśl coś - burknął Colin.

Przypuszczał, że Tin ucieszyłaby się z takiego zadania. Powinien ją wezwać? Od jego wyjazdu rozmawiali tylko dwa razy: kiedy zdawał jej relację z wydarzeń na Fionii i później, krótko, gdy podała mu namiary na pocztę głosową, żeby mógł je przesłać Bensonowi. Ta druga rozmowa odbyła się niecałą godzinę przed jego spotkaniem z Caramellem; Colin obiecał sobie, że poczeka, aż Tin zapyta, jak mu poszło. Nie zrobiła tego jednak. A teraz on zagaiłby niedbale: „Słuchaj, wilczyczko, porwaliśmy dzieciaka i trzeba go jakoś nazwać”. Taa, super pomysł.

- Tin podaje się za Francuzkę? - zapytał Caramel. - Dobrze, żeby brano małego za jej synka.

- Za Angielkę.

- Hm. Może Alan? W razie konieczności bez trudu przerobimy na francuski odpowiednik.

Colin wzruszył ramionami. Co za różnica? Szczeniak pobędzie u Tin jakiś czas... i co potem? Ściągnął brwi. Jak właściwie przedstawiał się plan Caramela? Chłopak osobiście zaopiekuje się małym, kiedy zakończą sprawę Emily? Cholera, Colin nie potrafił sobie wyobrazić kumpla w roli samotnego ojca. Ani też Tin, która po kilku miesiącach udawania, że dzieciak jest jej synem, bez słowa protestu przekazuje go pod opiekę takiemu typowi.

Kilku miesiącach, psiakrew. Dlaczego Colin zakładał, że poszukiwania Em potrwać jeszcze tak długo? Niemniej Tin wystarczy parę dni, żeby przywiązała się do szczeniaka.

Podejrzewał, że Caramel liczy właśnie na taki rozwój wypadków. Później powie: „Stary, chętnie bym go zabrał, ale nie chcę sprawiać przykrości twojej dziewczynie” i tym sposobem romantyczna wizja Colina dotycząca przyszłości we dwoje zostanie skażona przez przekłętą nieświadomość.

Skąd mu się znowu, do diabła, wzięło to „we dwoje”? Przecież od początku zakładał obecność Emily w życiu, jakie będzie wiódł z Tin. Ach, nieważne, tak mu się pomyślało, i tyle.

Z drugiej strony, skoro oni dwoje i tak nie mogli liczyć na całkowitą prywatność, to jeśli Tin przywiąże się do dzieciaka, niech go sobie zatrzyma. Ludzie kupują psy, z nimi zamieszka nieświadomie. Byleby Tin nie zaczęła przypisywać gówniarzowi zbyt wysokiej pozycji w stadzie.

Alan stęknął przez sen. Colin zerknął w lusterko wsteczne.

- Nakarmimy go? - zapytał, z radością uciekając od irytujących rozważań.

- Pewnie by wypadało - zgodził się Caramel. - O, zaraz będzie parking.

- Dziecko? - Tin ze zdumieniem spoglądała na dwulatka.

Kiedy tylko Mat z dziewczynami wjechał na leśny parking w pobliżu Tucholi, Colin wziął małego na ręce, obudził go i nakazał spokój. Uznał, że dzięki temu wybiegowi uniknie zbędnych wstępów, a przede wszystkim - ataku dziewczyn, oburzonych o to, że tak nagle polecił im opuścić wynajmowany domek, zakazując pożegnania z sympatycznymi polskimi świadomymi. No, zasadniczo zwałił owo zadanie na Mata, ale też tym bardziej spodziewał się napaści, jako że brat niewątpliwie marzył o odegraniu się na Colinie.

Sprytny plan się powiódł. Cokolwiek przykrego Tin zamierzała powiedzieć Colinowi na powitanie, odpuściła na widok dzieciaka, podobnie zresztą jak pozostali.

- To jedno z tych? - załapał od razu Mat.

Colin potwierdził, trochę nieskładnie i zbyt nerwowo wyjaśniając, że zaszła konieczność zabrania małego od rodziców niezdolnych ochronić go przed organizacją.

- Hej, mały - powiedziała Tin po niemiecku, kucając przed smarkaczem, którego Colin postawił na ziemi.

- Nie używaj niemieckiego, na pewno go szukają - zwrócił jej uwagę Colin. - Mam na myśli ichnią policję. Nawet jeśli szczeniak niewiele rozumie po angielsku, od tej

pory ma na imię Alan i jest Anglikiem. Powinien jak najszybciej opanować język.

- Od tej pory? - powtórzyła Tin, marszcząc brwi. Colinowi nie spodobał się ton jej głosu. Ani to spojrzenie. - Jak brzmi jego prawdziwe imię?

- Alan - odparł z rozdrażnieniem. - Zrozum, Tin, jego dotychczasowa tożsamość przestała istnieć. Szczeniak ma na imię Alan i jest twoim rodzonym synem.

- Dlaczego on jest taki spokojny? - zapytała, na powrót skoncentrowana na dzieciaku.

Mimo woli Colin odetchnął z ulgą, dostrzegając szansę na koniec przesłuchania. Szybko uzgodnią cel podróży, a potem Tin zajmie się smarkaczem, niewątpliwie pełnym energii - jako że gówniarz wyspał się za wszystkie czasy - no i tak się zmęczy, że wieczorem potulnie wysłucha argumentów Colina i planu dalszych działań.

Mały się wyspał, bo mimo szczerych chęci ani Colin, ani nawet Caramel nie radzili sobie z nim bez dominacji, a wobec tego wpędzenie dzieciaka w sen wydawało się najrozsądniejszym wyjściem. Nakarmili go za Ratyzboną, rychło porzucając tradycyjne ludzkie metody na wepchnięcie dziecku jedzenia w zaciśnięte usta, po czym kazali mu spać. Szczeniak spał również w motelu pod Dreznem, gdzie spędzili noc, a następnie niemal całe dziesięć godzin, jakie zajęła Colinowi podróż do Tucholi. Oczywiście, mały otrzymał polecenie sygnalizowania, że musi załatwić potrzebę, no i od czasu do czasu Colin budził go na posiłek, jednak ani na sekundę nie spuszczał szczyła z mentalnej smyczy.

Prawdę mówiąc, smarkacz zaczynał Colina bawić. Przypominał robocika, którego da się dowolnie zaprogramować. Dominacja stanowiła cudowne rozwiązanie przy wychowywaniu dzieci.

Nieświadomi rzadko bywają aż tak ulegli. Można im wmówić pewne rzeczy i nakłonić do określonych zachowań, ale jeśli czegoś szczerze nie chcą, wpływ alfy szybko się ulatnia. Natomiast Alan... Ha, jeśli po osiągnięciu dorosłości

nadal będzie równie podatny, faktycznie da się go wysłać z samobójczą misją, krańcowo sprzeczną z jego światopoglądem. Potężna broń.

Jak bardzo był cenny dla kapłanów? Colin przez chwilę zastanawiał się, czy powinien dodatkowo narażać Tin, wciskając jej trefnego smarkacza. No, ale w organizacji zapewne tak czy owak założą, że zawiózł małego do swojej dziewczyny, jeśli więc nie zamierzał im zwrócić gówniarza, nie miało większego znaczenia, gdzie faktycznie go ulokuje. Poza tym, najlepszą alternatywą wydawało się jednak powierzenie go Tin, dzięki temu bowiem Colin zyskiwał pewność, że szczeniak nie zniknie mu z oczu i w razie czego posłuży jako istotny argument przetargowy w negocjacjach z kapłanami.

- Dlaczego jest taki spokojny? - powtórzyła Tin.

- Ach, no właśnie. Zdominowałem go, bo strasznie ryczał. Później cię nauczę...

- Zdejmij to z niego - przerwała mu zimno. Zrobiło mu się nieswojo pod ciężarem jej spojrzenia.

Psiakrew, jakby z góry nie wiedział, jak Tin podejdzie do kwestii dominacji! Powinien był od razu całkowicie uwolnić dzieciaka spod wpływu i nie przyznawać się do zastosowanej wcześniej sztuczki.

Tylko że Tin rozkazywała mu przy świadkach, a na coś takiego Colin nie mógł pozwolić.

- Za moment, najpierw porozmawiajmy w spokoju - powiedział. - Niczego nie zdołamy ustalić, kiedy zaczniesz wrzeszczeć.

- Teraz - poleciała. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek słyszał u niej taki ton głosu.

- Uzgodnijmy chociaż, dokąd pojedziemy. Nie możemy tkwić na tym parkingu, no i zdajesz sobie chyba...

- Colin.

Zacisnął zęby. Ćwiczyła go w obecności Mata i Carol! Niemniej w Colinie narastało przekonanie, że przegra w tym starciu, tak więc rozsądniej wydało mu się ustąpić

teraz, kiedy jeszcze mógł udać, że pobłaza fanaberii partnerki.

Kucnął przy szczeniaku, obracając go twarzą do siebie.

- Bądź sobą - rzucił.

Jak to było do przewidzenia, Alan z miejsca wybuchnął płaczem. Tin wzięła go na ręce i próbowała uspokoić, wspomagana przez robiącą do małego miny Carol.

Colin ironicznie uniósł brwi. Ciekawe, kiedy laskom się znudzi - kiedy powtarzane przez Tin „Cii, maleńki” zaczną się stawać coraz bardziej stanowcze, aż niepostrzeżenie przybierze formę rozkazu, jaki silna alfa wydaje nieświadomemu. Choć Tin nigdy nie ćwiczyła dominacji - nie miała na kim - Colin nie zdziwiłby się, gdyby opanowała tę umiejętność w sposób naturalny.

Niecierpliwie spacerował po leśnym parkingu. A jeśli ktoś tu zajedzie? Powinni się stąd jak najszybciej zmyć. Jeśli wspaniali nowi przyjaciele Tin mimo wszystko mieli powiązania z organizacją, donieśli, że obserwowana zniknęła. To znaczy, jeżeli już się zorientowali, ale Colin wolał nie czynić w tej kwestii zbyt optymistycznych założeń. Ba, nie zaskoczyłoby go, gdyby Tin zignorowała zalecenia, jakie przekazał przez Mata, i poszła się pożegnać.

Na szczęście szczeniak uciszył się dość szybko; najwyraźniej zapalał sympatią do Tin. Dobra, niech jej będzie. Colinowi bardziej niż na wygranej w sporze zależało na tym, żeby wreszcie się stąd wynieśli.

- Słuchajcie, może lepiej jedźmy - odezwał się Mat, momentalnie doprowadzając Colina do furii.

- Dokąd? - zapytała Tin, a Colin znów poczuł na sobie jej ciężki wzrok.

Zacisnął zęby. Przecież nie wybuchł, psiakrew. Nawet nie warknął na brata, nie mówiąc o rozszarpywaniu go.

- Znalazłem na mapie spory las w okolicach Poznania - powiedział Mat. - Zatrzymalibyśmy się w mieście i w razie potrzeby robili wycieczki na łono natury. Właściwie to zastanawiałem się, czy nie byłoby bezpieczniej udawać turystów, to znaczy bez przerwy się przemieszczać, przy

okazji faktycznie zwiedzając. Tylko z dzieckiem... No, nie, bez sensu.

- Ależ nie, Mat, to świetny pomysł - poparła go Carol.

Colin zorientował się raptem, że w relacjach między tymi dwojgiem zaszła zmiana. Garnęli się do siebie, a w dodatku oboje zalatywali seksem. Po raz kolejny musiał walczyć z wściekłością. Żeby takiemu durniowi życie uczuciowe układało się jak marzenie, podczas gdy on...

- Okej, obieramy kierunek na Poznań - wycedził przez zęby. - Tam się zastanowimy, co dalej. Tin, jedziesz ze mną?

Zapytał odruchowo, zbyt późno gryząc się w język. Zakładał, że odmówi, narażając go na kolejne upokorzenie.

- Dobrze - powiedziała.

Colin nagle poczuł się tak szczęśliwy, że całkowicie zapomniał o nagromadzonej w nim złości.

Jechał przodem, wynajętą w Dreźnie corsą. Wiezienie porwanego dzieciaka kradzioną toyotą uznał za przegięcie. Miał tylko odstawić małego do Tin i wracać, żeby wraz z Caramellem zacząć wreszcie na serio szukać Emily, tak więc opłata za samochód nie wydrenuje mu portfela.

- I tak będziesz musiała nauczyć się go dominować - powiedział po kilkudziesięciu minutach jazdy.

Tin nie zareagowała. Od początku podróży zajmowała się małym, całkowicie ignorując Colina. Siedziała na tylnym siedzeniu obok Alana i zabawiała smarkacza, czerpiąc z tego zajęcia ewidentną przyjemność.

Colinowi niby ulżyło, że nie otrzymał spodziewanej połajanki, a jednak z narastającą irytacją zerkał we wsteczne lusterko, aż w końcu odważył się poruszyć drażliwy temat. No i, cholera, bez skutku.

- Mówię serio - odezwał się znowu. - Takiemu szczeniakowi nie da się wszystkiego wytłumaczyć, a sytuacja nie raz będzie wymagać od ciebie...

- Nie mów o nim „szczeniak” - przerwała mu Tin. Zacisnął zęby.

- Słuchaj, rozumiem, że wściekasz się na mnie, że oderwałem cię od Renaty - spróbowałem. - Przykro mi...

- Wcale nie jest ci przykro. No co za klępa.

- Owszem, jest - sprzeciwił się jej z wypracowanym z trudem spokojem. - Przykro mi ze względu na ciebie, bo wiem, że ta znajomość wiele dla ciebie znaczyła. Uważam jednak, że była ryzykowna, i w tym sensie masz, oczywiście, rację: cieszę się, że opuściliście tamto miejsce.

Dawniej nie musiałby jej tego tłumaczyć, po prostu zajrzała by w jego myśli. I odkryła tę „klępę”... Hm, może lepiej nie.

Dawniej, psiakrew. Znali się nieco ponad dwa miesiące, a Colin odnosił wrażenie, że przeżyli razem długie lata i dzielą masę wspomnień.

- Wierzę im - powiedziała po dłuższej przerwie, kiedy to, ani chybi na złość Colinowi, na powrót poświęciła się zabawianiu Alana. - Wierzę, że nie skorzystali z propozycji, jaką przedstawił tutaj tym świadomym wysłannik organizacji.

- Natalia wydała mi się tym faktem zrozpaczona - mruknął z przekąsem Colin. Sapnął. - Ale pomyśl. Organizacja namierzyła ich, a potem zostawiła w spokoju?

- Jaki miała wybór? Podporządkować sobie tylu świadomych siłą? I dokonać tego z zachowaniem dyskrecji?

Właściwie Tin mogła trafić w sedno. Wprawdzie mur berliński runął chyba jakieś piętnaście lat temu, ale organizacja działała ostrożnie, tak więc przypuszczalnie zwlekano z przysłaniem na te tereny emisariuszy. Kiedy wreszcie się zjawili, postępowali dyplomatycznie, starali się wywrzeć dobre wrażenie, oferując lokalnym świadomym pomoc...

- Kurczę, Tin, dlaczego organizacja miałaby uciekać się do użycia siły? Renata i Damian sami przyznali, że żyją w ciągłym strachu, że ktoś odkryje ich tajemnicę. Czują się zagubieni, osaczeni przez ludzi. I nagle pojawia się

wysłannik organizacji, odmalowując przed nimi wizję swobodnej egzystencji wśród pobratymców. Uważasz za normalne to, że odmówili?

- Rozmawialiśmy o tym - odparła z tłumionym westchnieniem. - Moim zdaniem przekazywana z pokolenia na pokolenie wiedza o dawnych postępkach organizacji skutecznie zniechęcała ich do odnawiania relacji z zachodnią społecznością.

Colin powstrzymał cisnącą mu się na usta uwagę, że może i zniechęcała Damiana - ogólnie starszą generację - natomiast na pewno nie Natalię, reprezentantkę młodych. Kontynuowanie sporu zakończyłoby się wymianą przykrych komentarzy, jemu zaś zależało tylko na tym, żeby Tin za tydzień lub dwa nie wpadła na pomysł ucięcia sobie telefonicznej pogawędki z Renatą.

- Po prostu nie kontaktuj się z nimi, ze względu na dobro małego - powiedział.

- Ach, właśnie. Dobro Alana. Oświecisz mnie, dlaczego nie mógł zostać z rodzicami?

Colin zaklął w duchu. Powinien był bardziej uważać na słowa.

- No jak, organizacja... - zaczął nieporadnie.

- Co by zrobili? Zabili małego? Czy też wywieźli całą rodzinę w miejsce, gdzie ani ty, ani Caramel nie zdołalibyście ich odnaleźć? I gdzie chłopiec dorastałby sobie spokojnie, jak tego zapewne od początku chcieli?

Drażniło go, że ciągle mu przerywa, bez przerwy atakuje. Cholera, przecież nie była głupia. Naprawdę musiał jej tłumaczyć podstawowe kwestie?

- Tin, ten mały to nasze zabezpieczenie, karta przetargowa...

- Więc mów od razu, że chodzi o interes twój i Caramela, a nie mydl mi oczu dobrem dziecka.

- Nasz wspólny interes - rzekł wolno, z trudem zachowując spokój. - Sama kiedyś powiedziałaś, że jesteśmy razem, na zawsze, bez względu na okoliczności. Nie planowałem tego, że narażę cię na niebezpieczeństwo

ze strony kapłanów, ale tak wyszło i teraz ty również potrzebujesz...

- Nigdy nie wykorzystam tego dziecka w jakiegokolwiek rozgrywce z kapłanami - oznajmiła Tin.

Spojrzał we wsteczne lustro, spodziewając się, że ujrzy ją pochyloną nad Alanem - ale napotkał jej twarde wzrok. Cholera. Nie popełni chyba jakiegoś głupstwa?

- Teraz już i tak go nie oddamy - stwierdził Colin. - Rodzice dzieciaka za dużo wiedzą. Skazałybyś ich na śmierć.

Ostro i kłamliwie, ale należało się jej. Widział w lustrze, jak Tin zacina wargi.

Dobrze, że odgrodziła się od jego myśli. A nuż wyczytałyby z nich, że tamte dwa psy zagryzły matkę małego.

- Oficjalnie będziemy udawać małżeństwo z dzieckiem - odezwał się po dłuższej przerwie. - Ja ciągle podróżuję służbowo, a ty... spędzasz czas, zwiedzając Polskę w towarzystwie szwagra i jego dziewczyny. Nie jest to taki zły pomysł, będziecie ciągle w ruchu, a nikt nie wpadnie na to, żeby szukać porwanego dzieciaka w muzeum.

- Załatwiłeś dla nas nowe papiery?

Wreszcie mówiła do rzeczy... tyle że, cholera, poruszyła kłopotliwą kwestię.

- Nie, nie miałem kiedy. Działaliśmy pod wpływem chwili.

- Jak go przewiozłeś przez granicę? - zdziwiła się.

- Uśpionego w bagażniku. Wiedziałem, że kontrola jest w zasadzie żadna...

- W bagażniku? - powtórzyła Tin, a Colin jak zwykle zbyt późno zrozumiał, że palnął gafę.

- Spał, nie wiedział, co się z nim dzieje - bronił się chaotycznie. - Kurczę, Tin, co miałem zrobić? Tkwić w Dreźnie, kombinując papiery, podczas gdy jego zdjęcia lada moment mogły trafić do mediów?

Raczej jednak nie trafią, skoro w porannych wiadomościach mówiono dużo o zagryzionej i zmasakrowanej przez psy kobiecie, której tożsamości na

razie nie udało się ustalić, ale ani słowa o jej dziecku. Mąż najwyraźniej także zaginął bez śladu. Oczywiście, tę drugą okoliczność dało się wytłumaczyć na wiele sposobów, choćby tak, że mężczyzna zgłosił się na policję, ale nie podano tego faktu do publicznej wiadomości.

Tyle że Caramel nie wydawał się zaskoczony, kiedy słuchał wiadomości. Ani też skruszony. Całkiem jakby kazał tym psom zagryźć kobietę i nie spodziewał się, żeby sprawa jej męża i dziecka kiedykolwiek oficjalnie wypłynęła. No tak, przecież afera z psami miała na celu zwrócenie uwagi organizacji. A kobieta powinna była mieć przy sobie jakąś niedawno kupioną komórkę, z której na pewno zdarzyło jej się dzwonić do męża. Może faceta odnalazła policja, potem zaś sprawnie przejęli go od niej agenci organizacji, a może ci drudzy wmieszali się na tyle wcześniej, że sami odszukali gościa – niemniej Colin był jakoś dziwnie pewien, że mężczyzna nie opowie nikomu niepowołanemu o swoim zaginionym synu, efekcie tajnych eksperymentów.

- Ależ skąd. - Tin uśmiechnęła się sztucznie. - Przewożenie dwulatka w bagażniku jest całkowicie normalną praktyką. Antoine także ją kiedyś zastosował, z tym że byłam wtedy w pełni przytomna. No, ale ja miałam pięć lat.

Nieomal spowodował wypadek. Puls mu przyspieszył, pobielały knykcie. Jak śmiała porównać go do tego bydlaka!

- Zawsze broniłaś jego postępowania... - wykrztusił wreszcie.

- A ty go potępiałaś! - przerwała mu zapalczywie Tin. Colin pojął, jak bardzo musiał wytrącić ją z równowagi, skoro w ogóle wspomniała o swym przybranym ojcu. - Antoine był łowcą, widział moją przemianę i miał powody, by się mnie obawiać, ty natomiast zapakowałaś do bagażnika dwuletniego członka społeczności. Jednego ze swoich!

- On nie jest członkiem społeczności - zaproponował Colin. - To ludzkie dziecko, wyposażone w kilka dodatkowych... - Urwał, świadom, że tylko bardziej się pograża.

Tin płakała, a w każdym razie z jej oczu ciekły łzy, choć twarz wyrażała spokój. Obróciła się do Alana, unikając wzroku Colina w lusterku. Psiakrew, znowu dał ciała.

A za wszystko ponosił odpowiedzialność ten cholerny Caramel.

ROZDZIAŁ 6

Oriana szła korytarzem, zastanawiając się, czy poprawnie zrozumiała wiadomość. Benson był tutaj? Od kiedy to Lars dopuszczał byle agenta do tak sekretnego miejsca? Dobrze, nie „byle”, tylko agenta gruntownie wtajemniczonego w operację, wiedzącego o niej więcej niż przeciętny kapłan, ale mimo wszystko będącego osobą z zewnątrz. W dodatku taką, w której lojalność Lars, jak dotąd sądziła, mocno powątpiewał. Nie w tej konkretnej sprawie, ale generalnie owszem.

Kolejna dręcząca Oriane kwestia odnosiła się do powodów, dla których z kolei ona otrzymała zaproszenie na spotkanie z Bensonem. Czyżby Lars planował konfrontację?

Teoretycznie Benson wiedział tylko tyle, że ktoś na samej górze, zatem niewątpliwie kapłan, nie zawsze zgadza się z oficjalną linią organizacji. Nie powinien nawet orientować się, że ów kapłan jest kobietą, a choćby uzyskał skądś tę informację, nadal nie wskazywałaby ona jednoznacznie na Oriane. Chociaż, cóż, znacznie zawęziłaby krąg podejrzanych.

Istniała natomiast ewentualność, że agent wydobyl zeznania od umierającego Gordona. Jego raport z wydarzeń na Fionii, który Lars raczył w końcu zreferować Orianie, okazał się zaiste skąpy. Być może najważniejsze wiadomości Benson chciał przekazać osobiście.

Nie spieszyła się, panowała nad sobą. Na razie problem jej zdemaskowania pozostawał w sferze wyobraźni, Oriana zaś nie zwykła się przejmować czarnymi scenariuszami wywodzącymi się z tego źródła.

Powitała Bensa skinieniem głowy.

- Colin nabrał przekonania, że szykujemy zamach na jego życie - oznajmił Lars, wskazując jej pusty fotel. Nie dokonał prezentacji. Poinformował agenta, kto przyjdzie, a Oriana wiedziała, kogo zastanie w gabinecie; kwestie towarzyskiej etykiety kapłan uznał za nieistotne.

Nieznacznie uniosła brwi. Czy to dla tej wiadomości została wezwana? Równie dobrze Lars mógł przekazać ją Orianie później, po wyjeździe agenta.

- Gordon zasugerował mu coś takiego na moment przed śmiercią - uzupełnił Benson. - Wyjawiając całą prawdę, nie odwiódłby Colina od poszukiwań dziewczynki, dlatego ostrzegł go tylko, że planujecie go zabić. Chłopak chyba wmówił sobie, że złożycie go w ofierze, żeby zwiększyć moce jego siostry.

- Powinniśmy utwierdzić Colina w tym przekonaniu? - zwrócił się Lars do Oriany. - Taka świadomość go nie zniechęci?

Ach, zatem awansowała na znawczynię charakteru Colina. Charakterów w ogóle. Domyślała się, że zawdzięcza ten zaszczyt sprawie dziewczyny: Lars przedstawił Perowi oba punkty widzenia, własny i Oriany, a Pierwszy Kapłan zdecydowanie poparł jej stanowisko. Być może dał też podwładnemu do zrozumienia, że tam, gdzie w grę wchodzi uczucia, Lars nie powinien podejmować decyzji bez wcześniejszej konsultacji.

- Nie jest tchórzem, nie zrezygnuje - powiedziała. - Stanie się natomiast ostrożniejszy... Sądzicie, że poszuka wsparcia? U Erasmusa? Z nim macie problem? - domyśliła się nagle.

- Do pełni został wtedy tydzień, a przekonałem Colina, że tylko w tym czasie przy głazach może pojawić się kapłan - wyjaśnił Benson. - Właściwie więc mógł pojechać na te kilka dni dokądkolwiek, choćby z powrotem do swojej dziewczyny. Odniosłem jednak wrażenie, że ma określony cel, sprawę do załatwienia. Dlatego, tak, spodziewam się, że pojechał zobaczyć się z Caramelem, żeby osobiście poinformować go o śmierci ojca. Chłopak częściej używa

przezwise - dodał wyjaśniająco. - Mój kontakt z nim się urwał, a ta okoliczność nieco mnie niepokoi. Caramel może wiedzieć więcej, niż sądzimy.

- To syn wilczycy - stwierdził Lars, zwierając w tych trzech słowach cały bezmiar pogardy dla chłopaka i niedowierzania, że Benson obawia się kogoś takiego.

Tak, Lars bywał niewiarygodnie ograniczony. Pochodzenie Erasmusa przesłaniało mu oczywiste fakty, choć przecież czytał raport z Monachium na temat rodziców związanych z eksperymentem Dietera. Zdaniem Oriany, podany przez ojca dziecka rysopis kontaktującego się z nimi „agenta” pasował bardziej do kuzyna Colina niż do niego samego. Erasmus ośmielił się okłamać kapłanów. Kto wie, ile jeszcze informacji przeinaczył lub podkoloryzował?

Właśnie wilcze pochodzenie Erasmusa nasuwało podejrzenia, że intelektualnie chłopak rozwinął się szybciej niż jego rówieśnicy. Wilki osiągają przecież pełną dojrzałość w wieku pięciu lat.

O cechach takich mieszańców w gruncie rzeczy wiedziano niewiele, jako że kapłani zawsze odnosili się do nich z pogardą i nie widzieli sensu w prowadzeniu obserwacji, które pozwoliłyby usystematyzować wiedzę o takich osobnikach. Kiedy ze związku z wilczycą rodził się świadomy, przyjmowano go do społeczności, traktując nieco po macoszemu. Jeśli zaś trafił się nieudany szczeniak, zabijano go albo - w czasach bliższych współczesności - sterylizowano w młodym wieku i wypuszczano, by żył między wilkami.

Oriana uznała, że Erasmus może się okazać bardzo przydatny... choć nie potrafiłaby wyjaśnić, skąd wzięło się u niej takie - w obliczu znanych jej faktów zupełnie niedorzeczne - przeświadczenie ani na czym owa przydatność miałyby polegać.

- Wsparcie zachęci Colina do podjęcia ryzyka - zauważyła. - Jeśli zbyt wcześnie usuniemy jego towarzysza, zacznie działać ostrożniej. Ty prowadziłeś chłopaka -

zwróciła się do Bensaona. - Rzeczywiście uważasz, że może zagrozić operacji?

Agent westchnął. On niewiele słyszał o wydarzeniach w Monachium. To znaczy, na pewno nie oficjalną drogą, a jeżeli mimo wszystko udało mu się dotrzeć do tych informacji, nie mógł się w tej chwili na nie powołać.

- Teoretycznie bez zarzutu wywiązywał się z powierzonych mu zadań - przyznał. - Otrzymywaliśmy bieżące doniesienia na temat Colina, jego nastawienia i domysłów, jakie snuje na temat swojej roli w tej sprawie. Nie dziwię się też, że chłopak ma dość rozumu, żeby nie wierzyć zapewnieniom o nietykalności i unikać powrotu na łono organizacji. - Była to oczywista aluzja do decyzji, jaką wydałby Lars, gdyby Erasmus zdecydował się wrócić do swojej osady. - Nie podoba mi się natomiast, że tak łatwo się wymknął. Odnoszę niemiłe wrażenie, że mnie przechytrył.

- Zabić go można zawsze - rzucił lekceważąco Lars. - Nie interesuje mnie ten wilczek jako taki. Interesuje mnie wpływ, jaki jego osoba wywrze na działania podejmowane przez Colina.

- Kiedy Caramel usłyszy, że zabiłem mu ojca, zacznie nastawiać Colina przeciwko mnie - stwierdził Benson. - Jego słowo przeciw mojemu.

Lars wykrzywił usta w nieprzyjemnym uśmiechu.

- Colin nie wie, że chłopak na niego donosił? - zapytał znacząco. - Zresztą przesadzasz. Ci dwaj nie byli ze sobą związani. Gordon zaniedbał szczeniaka. A może szkoda? To silna alfa, mimo że jest synem wilczycy.

Jak zwykle Lars nie posądzał innych o posiadanie uczuć, które jemu były obce. Nie przyszłoby mu do głowy mścić własnego ojca i nie oczekiwał takiego zachowania po swoich synach. Powołał ich do życia pięciu, płodny drań. Oriana oceniała, że w żyłach przynajmniej jednego z młodych adeptów sztuki kapłańskiej płynie jego krew, ale Lars nigdy nie dał do zrozumienia, że to pokrewieństwo ma dla niego jakiegokolwiek znaczenie.

- Dobrze - powiedział Benson. - Na razie wyślijcie kogoś, żeby odprawił obrzędy przy tych głazach. Niech złapią trop.

- To nie będzie nikt wtajemniczony w operację - zastrzegł Lars. - Nie dowie się nawet, że może być śledzony.

- Postaram się, żeby nie dotarli za nim zbyt daleko - obiecał Benson. - Nawet dobrze, że Colin się trochę nakręci. Dojdzie w nim do głosu urażona ambicja. Poczuję się wyraźnie dotknięty, kiedy zarzuciłem mu amatorskie działania. Uprzedzam jednak - dodał chłodniejszym tonem - że jeśli spotkam się z Caramelem i wyczuję jego wrogie nastawienie, zabiję go. Bez względu na potencjalne komplikacje dla operacji.

- Najpierw niech się obaj pojawią na Fionii - uciął Lars.

Oriana nadal nie rozumiała, w jakim celu kapłan ją tu wezwał. Dla tej krótkiej opinii na temat Erasmusa czy jednak realizował ukryty zamiar?

Spojrzała na Bensa. Nie lubiła nieprzemienialnych - zadzierali nosa i trzymali się na marginesie społeczności, tworząc własną kastę. Błędem byłoby wszakże ich nie doceniać. Pod względem psychiki okazywali się zwykle piekielnie silnymi alfami, jakby natura rekompensowała im w ten sposób niezdolność do przemiany, choć w ich mniemaniu nie było czego kompensować.

Benson wiele wiedział, a jeszcze więcej zatajał. Prowadził własną grę, tak że mógł kiedyś, i to w całkiem niedalekiej przyszłości, zagrozić pozycji Oriany. Niewykluczone, że szepnął już słówko Larsowi.

Skoro agent obawiał się Erasmusa, chłopak musiał być niebezpieczny - ale bardziej dla samego Bensa niż dla operacji. Miała nadzieję, że zapowiedzianą konfrontację wygra młodzieniec. Czyżby właśnie dlatego wydał się Orianie przydatny?

- Co o nim sądzisz? - zapytał Lars dwie godziny później, pod wieczór, kiedy Benson dawno pojechał.

Przyjrzała się kapłanowi z namysłem.

- Z tego pytania wnoszę, że przestałeś mu ufać - stwierdziła. - Dlaczego więc go tu zaprosiłeś? Każdą z tych

informacji mógł przekazać w raporcie.

- Zależało mu na rozmowie - odparł Lars. - Forsuje własne rozwiązania, zauważyłaś? Chciał mieć pewność, że je poprzemy.

- Mimo wszystko...

Te rozwiązania - utwierdzenie Colina w przekonaniu, że planują złożyć go w ofierze bez wiedzy jego siostry, podesłanie kapłana na Fionię, późniejsze przejęcie Colina, samego lub wraz z towarzyszącym mu kuzynem, przez Bena - brzmiały na tyle sensownie, że agent nie powinien wątpić w ich akceptację.

- On i tak wiedział o tym miejscu - rzucił Lars, jakby chodziło o drobiazg. - Ufam mu całkowicie w kwestii tej operacji, generalnie natomiast uznaję za zagrożenie.

- Liczysz na to, że Erasmus go zlikwiduje? - zdumiała się.

Nie podobało jej się, że także w tej sprawie najwyraźniej się zgadzają. Nie była taka jak Lars.

- Jeśli chłopak go zabije, problem sam się rozwiąże - stwierdził Lars. - Operacja na tym nie ucierpi, przygotowałem awaryjne rozwiązanie. Spodziewam się jednak, że to Richard usunie tego wilczka, a na nas spadnie zadanie pozbycia się właśnie Richarda. Swoją wiedzą mógłby nam później poważnie zaszkodzić.

- Na nas? - powtórzyła.

- Richard nie jest w ciemny bity, konieczne będzie ostrożne działanie. Zaprosiłem go tutaj raz, na jego własne życzenie. Nie powinien nabrać podejrzeń, kiedy na bardziej zaawansowanym etapie operacji zechcę ponownie odbyć z nim bezpośrednią naradę.

Planował zabójstwo, a Oriana miała mu w tym dopomóc.

Nigdy nikogo nie zabiła. Nie osobiście, choć, co zrozumiałe, zdarzyło jej się wydać rozkaz. Zastanawiała się nie raz, czy byłaby zdolna odebrać życie. W samoobronie, owszem, bez wahania, ale w przypadku Bena to on będzie się bronił, nawet jeśli zaatakuje pierwszy.

Na szczęście Lars oczekiwał od niej jedynie wsparcia, nie zaś własnoręcznego dopełnienia dzieła - chyba że jemu

samemu by się nie powiodło. Lars lubił smak krwi, choć starannie się z tym krył. Zabijał wyłącznie z obowiązku, obnosił się potem z ponurą wyniosłością osoby, która dokonała wielkiego poświęcenia. Oriana go jednak przejrzała.

Czy on także ją przejrzał i dlatego teraz poprosił o pomoc?

Ponieważ w okolicy Poznania dotarli późnym wieczorem, zatrzymali się na noc w zajeździe, który, niestety, cenił się wyżej, niż to sugerował jego wygląd. Colin skrzywił się, usłyszawszy cenę noclegu, ale reszta towarzystwa zdążyła już się wtarabanić do recepcji, tak więc z wymuszonym uśmiechem poprosił o dwie dwójki.

Spodziewał się, że dziewczyny wezmą jedną, a on i Mat drugą, ale brat bez ceregieli wpakował się do pokoju z Carol. Niby Colin powinien się cieszyć, że spędzi więcej czasu sam na sam z Tin, jednak po cichu liczył na odrobinę wytchnienia. Tin pogadałaby sobie z Carol, rozwodząc się nad przymiotami charakteru i niespotykaną wprost urodą szczeniaka, zasnęłaby wymęczona, a rano nie pamiętała, że Colin wspominał o bagażniku.

- Obiecałem Caramelowi, że zostawię małego i zaraz wrócę - mruknął Colin, szukając neutralnego tematu do rozmowy. Czy raczej: dowolnego tematu innego niż Alan. - Jeśli Benson się nie odezwie, pojedziemy do Danii. Za cztery dni zacznie się pełnia, może więc przy gładach pojawi się kapłan.

Pod warunkiem, że Benson nie wcisnął mu kitu, żeby zwabić Gordona w pułapkę. Niemniej musieli spróbować.

- W razie czego będę mógł skonsultować się z tobą? - zapytał, nie doczekawszy się reakcji ze strony Tin. - A nuż zobaczysz coś, co nam dwóm umknie...

- Oczywiście, zawsze możesz na mnie liczyć. Tylko mów trochę ciszej, bo go obudzisz.

Ta deklaracja nie zabrzmiała zbyt entuzjastycznie. Gówniarz był dla niej ważniejszy niż poszukiwania Emily! Chociaż w zasadzie miło, że smarkacz wreszcie zasnął - inaczej z Tin w ogóle nie dałoby się pogadać.

- Caramel wysunął teorię, że moje przeczucie nie potrafi się zdecydować - zagał znów Colin. Nie chciał wprost gnębić Tin w kwestii jej przeczuć, niemniej tylko w tym celu wspominał o idiotycznej sugestii Caramela: żeby skierować jej myśli na problem. - Gordon ostrzegał mnie przed zasadzką i jeśli kapłani rzeczywiście planują mnie zabić, w starciu z nimi mam mizerne szanse. Zdaniem Caramela wynik takiej rozgrywki może być na tyle niepewny, że wystarczy jedna drobna decyzja, by przeważać szalę. Przeczucie, które zawsze działa na moją korzyść, milczy w sprawach dotyczących bezpośrednio Em, ponieważ odnalezienie miejsca, gdzie ją przetrzymują, grozi mi śmiercią. Z drugiej strony, nie da się wykluczyć, że jednak wygram potyczkę i odbiję draniom małą, więc przeczucie nie sugeruje mi także niczego, co odwiodłoby mnie od poszukiwań.

Kiedy Caramel podzielił się z nim tymi zapatrywaniami, Colin posłał go do diabła. Jasne, tego rodzaju wyjaśnienie pasowałoby mu bardziej niż wersja Mata, że sam blokuje przeczucia, no, ale bez przesady, niekiedy trzeba wziąć odpowiedzialność za własne braki. Tyle że Tin podeszła do koncepcji najzupełniej poważnie.

- Myślisz, że moje przeczucie milczy z tego samego powodu? - zapytała. - Ponieważ nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby moja wskazówka doprowadziła cię do śmierci?

Takie wytłumaczenie nie przyszło Colinowi do głowy. Nagłe zamilknięcie jej wewnętrznego głosu kładł w pełni na karb wydarzeń mających związek z Antoine'em - i był pewien, że Tin również tak widzi sytuację, a jedynie chwytła się pierwszej z brzegu nonsensownej teorii, żeby wypchnąć prawdę ze świadomości.

- Licho wie - mruknął w odpowiedzi. - Moim zdaniem, gdyby przyszłość rysowała się niejasno, przeczucie powinno zasugerować mi działania, które pozwoliłyby stosownie ją ukształtować. Podsunąć sposób ominięcia zasadzki kapłanów albo odwrócenia ich uwagi.

- A jeśli to kapłani chronią Emily przed twoim przeczuciem? - podsunęła Tin. - Udo potrafił cię zdominować i zmienić osobniczy zapach, co wcześniej uważałeś za niemożliwe. Skąd wiesz, jakie jeszcze umiejętności opanował? Przypuśćmy, że otoczył Emily mentalną osłoną, tak że zarówno twoje, jak i moje przeczucie głupieje, ilekroć znajdujesz się blisko celu.

- W takim wypadku byłbym teraz na dobrym tropie - bąknął Colin.

- Skąd pewność, że nie jesteś? Jeżeli przeczucie nie milczy wskutek działań Udon, może robi to, ponieważ posuwasz się naprzód bez jego pomocy?

- Wszystko to są domysły - mruknął z niechęcią Colin. - Wolałbym otrzymać sugestię, że mam skupić uwagę na tych głazach. A tak co? Może przeczucie milczy, bo jestem na dobrym tropie i powinienem dalej nim podążać, a może z jednego z tysiąca innych powodów. Choćby dlatego, że według niego w gruncie rzeczy wcale nie chcę odnaleźć Emily!

- A nie chcesz? - zdziwiła się.

Zaskoczona, nie zwróciła mu uwagi na podniesiony głos, mimo że Alan zamlaskał i sapnął, jakby miał się zaraz przebudzić. Colin natychmiast wziął się w garść: do szczęścia brakowało mu jeszcze tylko wrzasków szczeniaka.

- Oczywiście, że chcę, podałem pierwszy z brzegu przykład - odparł ciszej.

Czemu akurat ten przyszedł mu do głowy? Zmarszczył brwi. Nie podobało mu się spojrzenie Tin: jakby sądziła, że Colin naprawdę chętnie by odpuścił.

Nieustannie odnosił wrażenie, że każdy - Mat, Benson, Caramel, nawet Tin - zarzuca mu brak zaangażowania. Jakby chcieli powiedzieć, że sami w tych poszukiwaniach

dają z siebie więcej niż Colin, choć gra toczy się o przyszłość jego rodzonej siostry. No dobra, także siostry Mata, zatem chłopak miał prawo porównywać się z Colinem. Jednakże pozostali... Cholera, nawet nie znali Emily! Możliwe, że Benson widział ją, kiedy spała u niego w przyczepie – chyba że Udo zabrał małą, nim agent zdążył wrócić, bo przecież opowieść o jego zdominowaniu przez kapłana była bajeczką na potrzeby tamtej akcji.

Tin pochylała się nad Alanem, jakby się upewniała, czy smarkacz nie obudzi się lada moment. Colinowi wydało się jednak, że po prostu zostawia mu czas, żeby spokojnie przemyślał kwestię swego zapału do poszukiwań siostry.

- Jutro poszukamy sensowniejszego lokum – powiedział, marszcząc czoło. Czy jako zatroskany brat nie powinien z samego rana popędzić z powrotem do Drezna? – Muszę się upewnić, że w okolicy nie ma następnej kolonii świadomych. Pomysł Mata jest okej, ale tak czy owak kilka dni powinniście spędzić w jednym miejscu, żeby szcze... żeby Alan się do ciebie przyzwyczał. Wyjadę wieczorem.

Skinęła głową. Cieszyła się, że Colin zostanie cały dzień? Czy wolałaby pozbyć się go stąd jak najszybciej? Stłumił westchnienie. Był taki czas, że psioczył na wzajemne czytanie sobie w myślach, ale teraz przekonywał się, że niewiedza bywa gorsza niż najbardziej nieprzyjemna prawda.

Udało im się znaleźć niedrogi domek kempingowy na obrzeżach Poznania, nad jeziorem, w lesistej okolicy, nie na tyle jednak, by należało się spodziewać kolejnej grupy rodzinnej. Tin także miałaby tu problem z dyskretnym wypuszczeniem się na nocny bieg, ale Colin nie zakładał, żeby zdecydowała się choć na chwilę porzucić Alana. W żadnym razie! Dopiero co dostała szczeniaka, a zachowywała się tak, jakby sama go urodziła i odchowala do tych dwóch latek. Colin dla niej nie istniał.

Sporadycznie zaszczycła go odpowiedzią na pytanie, żeby zaraz znowu skupić się na małym gnojku. Cieszył się, że wkrótce wyjeżdża.

Dziewczyny i Mat mieli bez pośpiechu zwiedzić Poznań i zaliczyć okoliczne atrakcje, a potem przenieść się w inne miejsce Polski, najlepiej do miasta, łukiem omijając lasy. Ponieważ na dostępnych przez satelitę niemieckich kanałach nadal nie pojawiła się choćby wzmianka o zaginionym dziecku - podczas gdy psia afera w monachijskim parku twardo trzymała się na pozycji głównej wiadomości dnia - nie zachodziła obawa, że policja będzie podejrzliwie spoglądać na obcojęzycznych dwulatków. Zresztą Colin, lekceważąc protesty Tin, nakazał szczeniakowi zwracać się do niej „mama”. Nikt tutejszy nie powinien się do nich przyczepić, a z punktu widzenia organizacji namierzenie dzieciaka wydawało się karkołomnym przedsięwzięciem.

Zastanawiał się, czy Tin skojarzyła fakty. Nie zdał jej relacji z przebiegu porwania, nie wymienił nazwy miasta, a telewizor włączał, kiedy akurat nie było jej w pobliżu; z kolei Tin ani słowem nie nawiązała do zagryzionej przez psy kobiety. Mimo to Colin nie łudził się, że, pochłonięta opieką nad Alanem, odpuściła kwestię uprowadzenia. Od czasu do czasu odnajdywał w jej spojrzeniu potępienie i gorycz, jakby się na nim potwornie zawiodła. Wtedy Colin już, już otwierał usta, żeby wyjaśnić, że autorem pomysłu był Caramel i to on pokierował psami, a poza tym, z genetycznego punktu widzenia między szczeniakiem a tą kobietą nie istniało żadne pokrewieństwo. Na szczęście zawsze zdołał się w porę pohamować.

Stało się, trudno. Matka Alana nie żyła, ojciec przypuszczalnie także, dzięki czemu znikło ryzyko, że Tin spróbuje odszukać rodziców smarkacza, żeby zwrócić im synka. Mały został sierotą, miał teraz tylko ją.

Colin wyruszył z Poznania około dziewiątej wieczorem i jechał całą noc, z postojem na dłuższą drzemkę w samochodzie. Caramel w tym czasie na pewno spał sobie

smacznie w hotelu i rano przywita go wypoczęty, olśniewając intelektem; Colin nie chciał wypaść przy gnojku jak zaspany miś koala.

Gnębiło go, że nie ma żadnego planu. Dobra, zbliżała się pełnia, pojedą obserwować te pięć cholernych głązów - ale co dalej, jeśli na Fionię nie zawita kapłan? Tin swego czasu obiecała przygotować Colinowi listę świętych miejsc i zapewne zaczęła ją tworzyć jeszcze we Francji, jednakże niewątpliwie obejmowała ona setki pozycji, a bez podpowiedzi przeczucia objeżdżanie ich byłoby stratą czasu.

Tak, temat przeczucia uparcie powracał. Benson podkreślał, że wyłącznie ze względu na nie zwrócił się do Colina, zamiast samemu szukać Emily, Caramel także coraz wyraźniej dawał do zrozumienia, że ma dosyć robienia za mózg ich wspólnych akcji i nie zaszkodziłoby, gdyby przeczucie czasem podsunęło kumplowi drobną sugestię - od tego zresztą zaczęły się rozważania na temat przyczyn, dla których wewnętrzny głos Colina tak zapamiętałe milczy. Może Colin powinien był przyklasnąć debilnej teorii chłopaka? Ostatecznie choć raz gnojek nie obwiniął jego, tylko okoliczności.

Zastał Caramela w melancholijnym nastroju, co Colina nawet ucieszyło, bo przynajmniej szczeniak odpuścił sobie złośliwe komentarze, nie gnębił go też o plan działań, na wypadek gdyby obserwacja głązów nie przyniosła efektu. Tyle że kiedy Colin zwrócił corsę do wypożyczalni, pozostało mu tylko tkwić beczynnym w hotelowym pokoju w towarzystwie milczącego kolegi lub powłóczyć się bez celu po mieście. Żadna z tych perspektyw nie rysowała się zachęcająco. Było wtorkowe przedpołudnie, pełnia zaczynała się w czwartek wieczorem. Sporo czasu do zabicia.

- Siedzimy tutaj do czwartku czy jedziemy wcześniej, rozpoznać teren? - zapytał.

- Przecież już zrobiłeś rekonesans - mruknął zatopiony w lekturze Caramel. Żeby tak chociaż czytał o strategiach

wojennych! - Po co ryzykować, że nas zwęszą?

- Zastanawiałem się nad tym. W tej sprawie chodzi o dziewczynkę o nietypowych zdolnościach, prawda? Pieczę nad Emily sprawuje Udo, który ewentualnie wziął sobie do pomocy kilku kumpli. Pozostali mają własne problemy. Zarozumiałstwem z mojej strony byłoby zakładać, że każdy kapłan doskonale zna mój osobniczy zapach. Ale dobra, nawet jeśli, to na sto procent nie znają twojego.

Caramel przymknął książkę, przytrzymując kciukiem w miejscu, gdzie skończył czytać.

- Jak dla mnie nie chodzi po prostu o jej zdolności, na zasadzie: taka osoba zawsze nam się przyda - stwierdził. - Kapłani nie lubią silnych osobników, a Emily wyrasta dalece poza tę kategorię. Gdyby nie istniał określony, szalenie ważny cel, do którego realizacji jest im niezbędna, nie bawiliby się w szkolenie małej, nie mówiąc o rytuałach zwiększających jej moc, tylko czym prędzej by ją zabili.

- Znasz ten cel? - zapytał wolno Colin. - Czy znowu gdybasz?

- Myślę logicznie - odparł Caramel. - Nie da się wykluczyć, że ona w przyszłości będzie zdolna dominować nawet kapłanów. Naprawdę sądzisz, że podejmowaliby tak wielkie ryzyko wyłącznie dla potencjalnie większej władzy nad alfami? I bez jej wsparcia wszystkim trzęsą.

- Istnieje ta grupa oporu...

- ...o której doskonale wiedzą i zapewne wręcz ją kontrolują - wpadł mu w słowo Caramel. - Gdyby chcieli zniszczyć opozycję, zrobiliby to mniej finezyjnymi metodami.

- Benson utrzymywał, że obawia się właśnie mocy Emily - zaproponował Colin. - Tego, że za jej sprawą stanie się marionetką.

- A ty wierzysz każdemu jego słowu?

- W ten argument akurat uwierzyłem - warknął Colin. - W jego szczerą chęć pomocy już nie. Jeśli drań nie wciąga mnie w zasadzkę kapłanów, to planuje zabić Emily. Chce, żebym go do niej doprowadził, dzięki moim przeczuciom.

Wtedy wykończy nas oboje, a przy okazji zainteresuje się także Matem, któremu pomógł wyłącznie dlatego, że poprzez niego zamierzał trafić do mnie.

- Nawet jeżeli Benson nie kłamie, sam fakt, że jest o czymś przekonany, nie oznacza, że ma rację - zauważył beznamiętnie Caramel.

- Dobra, skoro masz lepsze wyjaśnienie, do czego kapłani potrzebują Emily, łaskawie się nim ze mną podziel.

- Nie mam - odparł Caramel. - I nie uważam, żeby znajomość tego celu była dla nas w tej chwili kluczowa. Próbuję ci jedynie wykazać, że jeżeli kapłani przewidzieli dla Emily zadanie niezwyklej wagi, zaangażowali w tę sprawę wszystkie swoje siły. Pilnują małej lepiej, niż gdyby chodziło po prostu o bardziej utalentowaną świadomą, i twoja osoba także jest każdemu z nich doskonale znana. Przyłożyli się również do przygotowania zasadzki.

- Super - mruknął Colin. - Podniosłeś mnie na duchu.

Cel kapłanów. Czego ci pieprzeni szaleńcy mogą chcieć? Colin wątpił, że kiedykolwiek zdoła się domyślić odpowiedzi - dranie byli zbyt nieobliczalni.

Niemniej Caramel przypuszczalnie miał słuszość. Skoro matka Colina zginęła, ponieważ przeczuła niebezpieczeństwo grożące jej synkowi w odległej przyszłości, to o śmierci Colina w ramach jakiegoś pieprzonego rytuału musiała wspominać przepowiednia dotycząca Emily, jej zdolności i - przede wszystkim - tego, czemu miały posłużyć. No bo faktycznie, przepowiednie zwykle mówią o wypełnieniu misji, dokonaniu rzeczy niemożliwej i tym podobnych, a nie tylko o narodzinach szczególnej osoby, której właściwości być może się komuś przydadzą.

Zatem przepowiednia dotyczyła Emily, a Colin występował w niej jako środek do osiągnięcia celu. Środek niezbędny, inaczej bowiem Ianthe nie zobaczyłaby wiszącego nad nim niebezpieczeństwa. Oczywiście, że chodziło o zdarzenie nieprzyjemne dla Colina, bo jego matka nie miałaby powodów do obaw, gdyby kapłani

oczekiwali po nim zaledwie tego, że w razie potrzeby przemówi siostrze do rozsądku.

Zastanawiał się, czy Caramel rzeczywiście nie zna celu tych drani. Gnojek twierdził, że nie zdołał podsłuchać, dlaczego Gordon tak nagle zapragnął zabić bratanka, ale czort go wie. Tymczasem do tak drastycznej decyzji najprawdopodobniej nakłoniła lidera właśnie informacja o tym, do czego kapłani planują wykorzystać Em. Zabijając Colina z dala od siostry, Gordon zniweczyłby ich plany. Dziewczynka nie zyskałaby większej mocy i pozostałaby zaledwie bardzo utalentowaną, jednak nieprzydatną kapłanom świadomą. Przypuszczalnie by ją zlikwidowali, żeby za kilka lat nie zagroziła ich pozycji.

Zatem usuwając Colina, Gordon pośrednio zabiłby także Emily. Colin poczuł przyływ nienawiści. Żałował, że osobiście nie wykończył sukinsyna.

Noc ze środy na czwartek spędzili w drodze. Planowali przespać się w dzień i z zapadnięciem zmroku zacząć się w pobliżu głązów.

Dwa przebimbane w Dreźnie dni rozdrażniły Colina. Z lepszym lub gorszym skutkiem wciągał Caramela w rozważania na temat celu kapłanów, prawdomówności Bensona i prawdziwości ostrzeżenia, jakim uraczył Colina umierający Gordon, i albo się wściekał, że kumpel go olewa, albo gubił w tym, co należy uznać za pewnik, a co stanowi tylko luźne domniemanie. Spróbował przedyskutować te kwestie z Tin, ale dała mu do zrozumienia, że nie ma czasu na próżne rozważania, ponieważ właśnie karmi Alana. Gdyby Colin stanął przed konkretnym problemem, oczywiście rzuci wszystko i poświęci mu całą swoją uwagę, ale jeżeli chce tylko pogadać, niech poczeka, aż Tin położy małego spać. Wściekły, nie podjął kolejnej próby; ona także się nie odezwała.

A jeśli Caramel specjalnie wpakował Tin szczeniaka, żeby ograniczyć jej kontakty z Colinem? Tyle że nikt nie kazał Colinowi zgadzać się na tę propozycję. Smarkacz zostałaby z rodzicami, ale nie, jemu spodobała się myśl, że zdobędzie kartę przetargową – nawet nie po to, żeby wykorzystać dzieciaka przeciw kapłanom, ale by mieć haka na Caramela. Teraz gnojek nie wiedział, gdzie szukać małego, i w razie konieczności będzie zmuszony grzecznie poprosić kolegę, żeby mu go przywiózł.

Ha, czy Caramel, pozujący na takiego znawcę charakterów, rzeczywiście wierzył, że Colin narazi się Tin i odbierze jej dzieciaka? Właściwie wszystko wskazywało na to, że chłopak zrezygnował z planów wykorzystania szczeniaka w rozgrywce z kapłanami. Po cholere więc robił zamieszanie z szukaniem rodzin z listy Alberta?

Na Fionię dotarli nad ranem, zjedli, przespali większą część dnia w aucie na parkingu, znów się posilili, trochę pospacerowali, żeby rozprostować kości. Rozmawiali niewiele, jako że poza sprawami bieżącymi nie mieli wspólnych tematów, a Colin obawiał się, że przy omawianiu tych pierwszych lada moment wypłynie kwestia planu dalszych działań, którą w Dreźnie szczęśliwie udało mu się omijać.

Po zapadnięciu zmroku zostawili forda w lasku, po przeciwnej niż ich cel stronie drogi łączącej Haarby z Voldtofte. Rozebrali się, przemienili i chwycili w zęby niewielkie plecaki, zawierające nabyte w Dreźnie lornetki, zakupione w Danii komórki na kartę, w które wyposażyli się na wypadek, gdyby przy śledzeniu kapłana przyszło im się rozdzielić, oraz broń. Caramel miał pistolet zdobyty na niedoszłym zabójcy Colina z okolic Dundee, Colin zaś glocka Gordona.

Podkradli się do drogi. Mimo późnej pory nadal panował tu ruch. To znaczy, przejeżdżały pojedyncze samochody w odstępach kilkunastu czy nawet kilkudziesięciu sekund, ale ich czekało pokonanie sporej połaci pola, zanim znajdą się pod osłoną drzew kolejnego zagajnika. Przy pełni księżyca i

bezchmurnej pogodzie przez chwilę będą doskonale widoczni.

Podzielili się, Colin wyłapywał warkot silników pojazdów zbliżających się od strony Haarby, Caramel tych nadjeżdżających z przeciwka. Po kilku minutach obaj zasygnalizowali, że droga jest pusta, i pędem przecięli pole, na którym zaczynało już wzrastać zboże – co, niestety, oznaczało, że zostawiają trop. Pal diabli kierowców, ci niczego nie zauważą, ale jeśli agenci kapłanów patrolowali okolicę... Colin zganiał się za wynajdywanie problemów. Jeżeli Benson mówił prawdę i zdradził swych mocodawców, żeby pomóc Colinowi, kapłani nie spodziewali się w tym miejscu podglądaczy i nie wprowadzili szczególnych środków ostrożności, jeśli zaś oczekiwali Colina, na pewno już się zorientowali, że zwierzyna zbliża się do pułapki.

No dobrze, a jakie środki ostrożności stosowano tu normalnie? Colin wściekł się w duchu, że wcześniej nie pomyślał o tym detalu. Niemniej Caramel zachowywał się tak, jakby nie sądził, by musieli się czymkolwiek przejmować. Może i racja? Jeśli nie przygotowano tu zasadzki, wilk z kulawą nogą nie zakręci się przy głazach żadnej z najbliższych trzech nocy.

Minęli zagajnik i szli dalej, przedarli się przez kolejny pseudolasek, a potem polną drogą dotarli do kępy zaledwie kilku drzew, skąd dzięki lornetkom powinni wyraźnie widzieć kamienny krąg. Wiatr mieli z boku, nie istniało ryzyko, że ich woń stanie się wyczuwalna przy głazach, zarazem jednak sami nie mogli liczyć na to, że kogoś zwęszą. Nie podchodzili idealnie od zawietrznej, bo zdaniem Caramela dokonaliby wówczas zbyt oczywistego wyboru.

Pokonali najwyżej milę. Denerwujące. Zamiast hasać w blasku pełnego księżyca, Colin będzie przez trzy noce tkwił jak kretyn z lornetką przy oczach, oglądając ten sam nudny obrazek. Żeby chociaż mógł się przy tym wygodnie umościć, ale nie dało rady, zielsko i rozdzielające łąki pasy krzaków przesłoniłyby mu widok.

Stłumił westchnienie, żeby nie przyznać się do słabości przed Caramelem, na którym pełnia nie robiła wrażenia. Gnojek oparł się o drzewo na skraju zarośli i przyłożył do oczu lornetkę. Wrócił do ludzkiej postaci, zachował jednak futro, żeby nie błyskać bielą nagiego ciała. Colin niechętnie poszedł w jego ślady. Gówniarz będzie go pouczał, jak się kamuflować nocą!

Poirytowany, zajął pozycję za sąsiednim drzewem, i ze zdumieniem stwierdził, że wewnątrz wyznaczonego przez głazy półokręgu ktoś stoi, świetnie widoczny w srebrnym blasku pełni. Colin błyskawicznie uniósł lornetkę.

- Kapłan? - szepnął.

- Wygląda, jakby na coś czekał - odparł równie cicho Caramel. - Na nas?

- Albo od wschodu księżyca wykonał już wszystkie rytualne czynności i szykuje się do odejścia - warknął Colin, udało mu się jednak nie podnieść głosu.

To on zaproponował, żeby pojawili się tutaj tak późno, pół godziny przed północą, wyszedł bowiem z założenia, że właśnie północ jest odpowiednią porą dla magicznych obrzędów, nie było zatem sensu ryzykować, tkwiąc w ukryciu od wczesnych godzin wieczornych. Cholera. No, ale przecież nie interesowały go zajęcia kapłana przy głazach. Chciał tylko złapać trop jednego z tych drani.

- A jeśli to nie kapłan? - zapytał szeptem.

- Wszystko możliwe - zgodził się skwapliwie Caramel. - Ludzie miewają dziwne hobby.

- Moim zdaniem typ się modli - mruknął Colin.

Czemukolwiek oddawał się ów kapłan-niekapłan, kontynuował tę czynność konsekwentnie przez następne dwadzieścia pięć minut. Psiakrew, facet ani drgnął.

- Za chwilę cyknie północ - szepnął Colin, zniecierpliwiony.

- Podejdz do niego i zapytaj, jak długo planuje tak stać - poradził mu Caramel.

Sprawa miała wrażenie zrelaksowanego, jakby sygnalizował, że chętnie będzie tak podpierał drzewo tę i kolejne dwie

noce. Super.

Colin na powrót skoncentrował uwagę na stojącym wewnątrz kręgu kapłanie. Przecież nikt się tak długo nie modli! Poza tym do modlitwy wypadałoby ułożyć specjalnie ręce albo bić pokłony, tak by osoba postronna wiedziała, że nie powinna w danej chwili podejmować próby nawiązania towarzyskiej pogawędki. Colinowi zaświtała nieprzyjemna myśl, że po raz kolejny testuje się jego cierpliwość.

Północ minęła. Wkrótce upłynie godzina, odkąd tak tu tkwią. Jeśli zaraz...

Niespodzianie głazy rozjarzyły się srebrnym blaskiem, tak delikatnym, że gdyby Colin nie wypatrywał jakiegokolwiek, najdrobniejszego choćby dziwnego zjawiska, a po prostu spacerował sobie po okolicy, przypuszczalnie niczego by nie spostrzegł. Kapłan rozłożył ręce, po czym znów zamarł w bezruchu.

Po początkowym podnieceniu Colina ogarnęła irytacja. Co teraz? Kolejna godzina w nowej pozycji? Dobra, już wiedział na sto procent, że ma przed sobą kapłana, niechże więc gość da sobie spokój i wraca do samochodu, żeby mogli ruszyć jego tropem.

Facetowi się jednak nie spieszyło. Colina stopniowo ogarniały wątpliwości, czy głazy naprawdę się jarzą, czy to wzrok płata mu figla.

Ostatecznie Caramel nie skomentował zdarzenia, nie poruszył się nerwowo, nie przyspieszył mu puls. Hm. No, ale na dobrą sprawę ta sztuczka świetlna nie łapała się do kategorii powalających. Ha, pewnie dranie po prostu podczepili do głazów lampki.

- Tin?

Colin wezwał ją z wahaniem, choć jeszcze za dnia skontaktował się z nią, donosząc o planowanej obserwacji, i przy okazji zapytał, czy zechciałaby spojrzeć jego oczami, gdyby zaszła potrzeba zinterpretowania dziwnego zjawiska. Tin lubiła takie wyzwania, i niekiedy zaskakiwała Colina trafnością rozumowania i wyciągania wniosków, a także dostrzegania szczegółików, które umknęłyby jego uwagi.

- Coś ci pokażę - uprzedził, kiedy potwierdziła, że jeszcze nie śpi.

Przekazał jej oglądany przez lornetkę obraz.

- Co sądzisz? - zapytał, nagle pełen głupiej nadziei, że dla niej te ledwie jarzące się głązy okażą się czytelną, ogromnie ważną informacją.

Nie zdążyła udzielić mu odpowiedzi. Znienacka kamienie rozbłysły potężnie, Colin upuścił lornetkę, sięgając dłońmi do oczu, dotkliwie oślepiony, a Tin w tym samym momencie krzyknęła z bólu i zerwała, łączność.

- Tin? - Colin, z zaciśniętymi powiekami, usiłował na powrót nawiązać z nią kontakt. - Co się stało? Tin, odezwij się!

Wiedział, że nic poważnego jej nie dolega - wtedy, gdy Antoine ją postrzelił, wrażenie, że dotknęło ją coś złego, było zdecydowanie silniejsze, a przecież ozdrowiała, zanim Colin dotarł na miejsce. Widocznie, podobnie jak on, Tin poczuła ból w porażonych blaskiem oczach. Mogłaby się jednak odezwać...

- Colin! - Caramel trącił go łokciem.

- Odwał się! - warknął Colin, unosząc powieki. Otaczała go ciemność; wzrok mu szwankował wskutek niedawnego doświadczenia, bo mrok wydawał się znacznie gęstszy niż dwie minuty temu. - Pokazywałem Tin, co się dzieje, akurat w chwili, kiedy nastąpił rozbłysk - wyjaśnił, zreflektowawszy się, że zareagował nieco zbyt gwałtownie. - A teraz ona zamilkła. Muszę się upewnić, że nic jej nie jest.

- Pospiesz się, ten rozbłysk był widoczny w promieniu przynajmniej kilku kilometrów - szepnął Caramel.

Chyba mówił coś jeszcze, ale Colin na powrót skoncentrował się na wzywaniu Tin i próbach oceny jej samopoczucia. Co, jeśli na tyle zatracił swoje parapsychiczne zdolności, że nie zorientowałby się nawet wówczas, gdyby zginęła?

Nie, psiakrew! Nie zginęłaby od rozbłysku, który oglądała oczami Colina z domku kempingowego w Polsce!

Chyba że w tej samej sekundzie w jej otoczeniu...

- Tin!

- Colin, przepraszam cię... - odezwała się wreszcie.

Mówiła niepewnie, drżącym głosem, jakby doznała szoku. Cholera, co ten pieprzony Antoine jej zrobił? Wcześniej była odważną dziewczyną, a teraz trzęsa się, bo oślepiło ją ciut ostrzejsze światło.

- Wszystko okej? - zapytał, tłumiąc irytację. Napędziła mu stracha swoimi idiotycznymi...

- Przez moment widziałam oczy... - Jakie oczy? - ponaglił ją.

Oczy? Nie zauważył żadnych przeklętych oczu. No tak, ale zamknął własne... tylko że ona nie mogła zobaczyć niczego, jeśli Colin jej tego nie pokazał.

- Czyje oczy - poprawiła go i znów zamilkła. Przygryzł wargi. Czy Tin właśnie zaczynała świrować?

- Czyje? - zapytał. - Tin, odpowiesz mi? Wszystko w porządku? Miałaś przecucie? - dociekał w nagłym przypiływie olśnienia.

Jasne, wstrząsnęła nią nieprzyjemna wizja przyszłości!

- Nie, to nie to. Muszę się zastanowić - powiedziała z nieoczekiwaną gwałtownością. - Nic mi nie jest. Odezwij się, kiedy będziesz bezpieczny.

Znów zerwała łączność, choć tym razem przynajmniej najpierw Colin otrzymał zapewnienie, że nic jej nie dolega. Tylko czy, cholera, aby na pewno nie dolegało?

Oczy. Co za oczy? Silna alfa nie powinna wpadać w panikę dlatego, że nawiedziła ją dziwna wizja. A w oczach, jakichkolwiek, nie ma przecież nic straszego.

Zmełł w ustach przekleństwo. Poczeka z wnioskami, aż Tin mu wyjaśni, co dokładnie zobaczyła. Na razie zaś powinien zainteresować się Caramelem, który w międzyczasie gdzieś przepadł.

Colin zlustrował okolicę. Gdzie ten gnojek? Dureń nie pobiegł chyba obejrzeć sobie z bliska głązów...

Ledwie takie idiotyczne podejrzenie przemknęło Colinowi przez myśl, spostrzegł chłopaka, czołgającego się w

sięgającej wilczego brzucha trawie; kretyn już prawie dotarł do celu. Natomiast nigdzie nie widział kapłana... ach, nie, facet upadł i leżał wewnątrz kręgu. Colin schylił się po lornetkę. Niestety, niewiele zobaczył, ponieważ jeden z głązów zakrywał górną część tułowia leżącego.

Psiakrew, że też Tin odwróciła uwagę Colina! Swoją bezmyślnością Caramel wszystko zniweczy. Co z tego, że kapłan upadł? Może i jego oślepił blask, na tyle mocno, że facet stracił przytomność – ale lada chwila się ocknie, ujrzy Caramela i nici z planów śledzenia typa. Będzie dobrze, jeśli ocala skórę.

Colin wydobył z plecaka broń, żeby osłaniać kumpla, choć mocno wątpił, że zdoła w porę zlokalizować ewentualnego strzelca. To już jednak była sprawa Caramela, skoro chciał się koncertowo wystawić na odstrzał.

Tymczasem Caramel właśnie znalazł się przy głązach. Zatrzymał się mniej więcej dwadzieścia ludzkich kroków od wyznaczonego przez nie nieregularnego półokręgu i chwilę węszył, a potem wstał. Kretyn! Co z tego, że tylko na cztery łapy! I tak był doskonale widoczny, jakby prowokował do strzału potencjalną obstawę kapłana.

Nic się jednak nie zdarzyło.

Cholera, rozbłysk niewątpliwie widziano w okolicznych miasteczkach i ludzie już pędzili w to miejsce, w nadziei na spotkanie z UFO. Jeśli Colin chciał z bliska obejrzeć sobie wewnątrz kamiennego kręgu, powinien zrobić to szybko – i równie szybko się stąd zmywać.

Zostawił plecak i z glockiem w pysku puścił się pędem przez łąkę. Nikt nie strzelił do Caramela, tym bardziej nie spróbują zdjąć Colina. Dopiero po chwili przyszło mu do głowy, że mogliby użyć ładunku usypiającego, zwłaszcza jeśli nastąpiła wreszcie pora odprawienia tego ich rytuału – ale wtedy znalazł się już obok kumpla. Wyhamował ostro.

– Nie żyje – poinformował go w wilczej mowie Caramel.

– Jak to nie żyje? – obruszył się Colin, upuściwszy pistolet na ziemię.

Caramel posłał mu wymowne spojrzenie: nie żyć można tylko w jeden sposób. Colin prychnął z irytacją. Jasne, nie słyszał oddechu ani pulsu tego typu, ale skoro Bensonowi udało się przekonująco udawać trupa, to tym bardziej dokonałby tego kapłan.

- Przyjrzyj mu się - poradził Caramel, jakby odgadł myśli Colina.

Dopiero teraz Colin zwrócił uwagę na twarz kapłana. Czy raczej na krwawą miazgę, jaka z niej została. Facet upadł na wznak, mniej więcej na środku półokręgu, z głową zwróconą w ich stronę. Wyglądał, jakby świadomy przejechał mu pazurami po gębie, zrywając całą skórę. Tyle że tej skóry Colin nigdzie nie dostrzegął. I, co dziwniejsze, nie czuł także zapachu krwi. Węszył woń traw i buszujących w nich gryzoni, ludzi, którzy przechodzili tędy dwa dni temu, oczywiście czuł zapach Caramela, natomiast co do kapłana... jakby jego ciała w ogóle tu nie było.

- Nie wietrzę jego krwi - powiedział do Caramela.

- Ja też nie. Wygląda na to, że linia wytyczona przez głazy odgradza wszystko, co znajduje się wewnątrz kręgu, od tego, co jest na zewnątrz. Od nas. Dlatego nieszczęśliwie uśmiecha mi się wchodzenie tam.

Colin gapił się na trupa. Cholera, nie spodziewał się, że sprawy potoczą się w takim totalnie odjechanym kierunku. Zawsze twardo stąpał po ziemi, a teraz nagle miał uwierzyć w magiczne kamienie?

Poza tym, skoro nie czuł woni krwi kapłana, to także jego oddechu i bicia serca mógł nie słyszeć z powodu oddziaływania głazów. Tyle że facet zdecydowanie nie wyglądał na żywego.

Czy Tin widziała śmierć kapłana? Na pewno by o tym wspomniała...

- Zauważyłeś w tym rozbłysku oczy? - zapytał Colin.

- Oczy?

- Tin ujrzała czyjeś oczy.

- Colin, ten blask był tak jasny, że cokolwiek się w nim kryło, nie dałoby się tego dostrzec.

Colin spojrział na niego z namysłem. Czy Caramel właśnie oskarżył Tin o kłamstwo? Niemniej miał rację, światło było oślepiające – dla nich dwóch. Niewykluczone jednak, że Tin, oglądając scenę przefiltrowaną przez umysł Colina, zobaczyła więcej niż oni.

- Zmywajmy się stąd – powiedział Colin. - Wrażenia wymienimy później.

Złapał glocka w zęby i, nie czekając na Caramela, pognał z powrotem do kępy drzew, gdzie zostały ich plecaki. Jeśli kumpel chciał sobie dłużej stać obok miejsca, gdzie jakieś draństwo zerwało kapłanowi twarz, jego wola.

Dotarłszy do forda, przemienili się i szybko ubrali, gotowi natychmiast odjechać. Nie powinni byli parkować tak blisko kręgu, chcieli jednak mieć wóz pod ręką, na wypadek gdyby kapłan zostawił własny nieopodal i oddalił się nim natychmiast po załatwieniu swoich spraw. Teraz zaś będą rzucać się w oczy, zmierzając w kierunku przeciwnym niż napływający gapie.

Wyglądało jednak na to, że nie mieli powodów do obaw. Otaczała ich nocna cisza, ruch na szosie niemal zamarł, a te dwa auta, które przejechały, kiedy się ubierali, nawet nie przyhamowały, jakby ich kierowcy nie poszukiwali miejsca dziwnego rozbłysku, a po prostu wracali do domu z pracy bądź imprezy.

- Możliwe, że nikt tego nie zauważył? – zapytał Colin z nutką niepokoju.

- Nie było nawet pierwszej, o tej porze wielu ludzi jeszcze nie śpi – mruknął Caramel. - Tego światła nie dałoby się przeoczyć.

- Więc zaraz tu będą. Zwijajmy się.

Caramel wahał się z ręką na klamce drzwi od strony kierowcy, zatem Colin także się zatrzymał.

- Co? – zapytał. - Nawiedziło cię mądre wyjaśnienie? – Jeśli ten blask wiązał się z naszym bóstwem... – zaczął

Caramel.

- Że niby mogli go zobaczyć tylko świadomi? - prychnął Colin.

- Czemu nie? Świadomi albo, szerzej, członkowie społeczności. Ja bym tu chwilę poczekał. Jeśli zaczną się zjeżdżać miłośnicy afer, zmyjemy się i zastanowimy nad nowym planem, bo wśród tłumów ludzi i żądnych sensacji mediów nie będziemy mieli czego szukać. Jeżeli nikt się nie zjawi, niewykluczone, że organizacja sprawnie zajmie się ciałem i okoliczni mieszkańcy nawet się nie pokapują, że ktoś tu dziś zginął. Kapłani natomiast zechcą dokładnie zbadać głązy, bo założę się, że takie wypadki nie zdarzają się często.

- Musieliby już wiedzieć, co zaszło - mruknął sceptycznie Colin.

- Liczymy na to, że facet powinien się im odmeldować. Jeśli przybył tu specjalnie dla ciebie, czekają na relację i mają w pobliżu agentów.

- Myślisz, że jednak urządzili zasadzkę? - zdumiał się Colin. - Śmierć kapłana byłaby chyba trochę zbyt wysoką ceną za jedno przedstawienie.

- Przecież mówię, że nie przewidzieli tego rozbłysku. Kurczę, może to ty go sprowokowałeś? Kiedy użyłeś swoich zdolności, żeby pokazać krąg Tin?

Colin zmarszczył brwi. Nie sądził, żeby potrafił sprowokować coś takiego. Osobom postronnym jego zdolność do zaglądania w przyszłość czy prowadzenia telepatycznych rozmów z Tin mogła się wydawać niemalże magiczna, dla Colina były to jednak naturalne umiejętności, których nie dało się porównać ze sztuczkami w stylu jarzących się kamieni.

Niemniej pozostawało faktem, że rozbłysk nastąpił, kiedy Colin nawiązał kontakt z Tin. Kiedy Tin zobaczyła głązy. Czy ona mogła być kluczem do wyjaśnienia zagadki?

Z trudem powstrzymał się przed wezwaniem jej. W tej chwili nie udałoby im się spokojnie pogadać.

- Przypiszą nam załatwienie tego gościa? - zapytał, żeby zmienić temat.

- Podobno nasze bóstwo istnieje fizycznie, a kapłani mają z nim stały kontakt - odparł w zadumie Caramel. - Jeśli tak jest, chyba by się zorientowali, że to ono spowodowało rozbłysk. Zresztą, nawet jeżeli nas oskarżą o zabójstwo, nie sądzę, żeby z tego powodu zmienili plany. Ich cel jest na pewno ważniejszy niż zemsta za śmierć towarzysza.

Czekali kilkanaście minut, ale wokół uparcie panował spokój. Haarby i Voldtofte leżały każde niespełna dwa kilometry od kręgu, niemożliwe więc, żeby potencjalnym świadkom tyle czasu zajmowało dotarcie na miejsce zdarzenia.

- Cholera - mruknął Colin. - Nie tak dawno włożyłem sporo wysiłku, żeby uwierzyć, że organizacja inwestuje w zaawansowane eksperymenty genetyczne. No ale dobra, mają kasę, idą z duchem czasu. A teraz nagle mam się przestawić na wiarę w pradawne bóstwo, zabijające kapłanów światłem przy kilku gładkach, na których normalnie ani na sekundę nie zawiesiłbym oka. I w dodatku to światło najwyraźniej jest magiczne, skoro ludzie go nie dostrzegli.

- Właśnie - potwierdził Caramel. - Jaką tu widzisz sprzeczność?

Colin przygryzł wargę. Jasne, czemu nie, może wręcz samo bóstwo podsunęło kapłanom pomysł stworzenia ludzi podatnych na dominację? W końcu taki wyższy byt tym bardziej powinien dotrzymywać kroku postępowi cywilizacyjnemu.

- Co dalej? - warknął Colin. - Wracamy tam, zobaczyć, czy ktoś się zjawi uprzątnąć ciało?

Caramel popukał palcami o dach mondeo.

- Ty wróć, ciebie nie zabiją - powiedział w końcu. - Ja wezmę wóz i pojedę za Haarby. Daj mi znać na komórkę, to po ciebie wrócę.

- Nie będziemy ich śledzić? - zachnął się Colin.

- Sprzątaczy? Nie warto. Poczekamy na kogoś bardziej wtajemniczonego.

A jeśli przewidywania Caramela się nie sprawdzą i nikt więcej nie przybędzie, żeby zbadać głązy? Zresztą, Colinowi w ogóle nie podobał się pomysł rozstania z chłopakiem. Od kiedy to gnojek zaczął się tak obawiać o swoje życie?

Nie spierał się jednak. Jeśli uzna, że warto śledzić tych, jak ich nazwał Caramel, sprzątaczy, zrobi to, a potem zastanowi się, co dalej.

ROZDZIAŁ 7

Ryk furii przetoczył się uśpionym korytarzem i wtargnął do sypialni Oriany. Usiadła na łóżku, natychmiast w pełni przytomna.

Od razu domyśliła się, co usłyszała, mimo że za jej czasów tamten nigdy się tak nie zachował. Niedobrze. Jeśli w Orianie tliły się jeszcze wątpliwości, czy należy podejmować ryzyko związane z wypełnieniem przepowiedni, właśnie zyskała ostateczny argument, żeby się ich wyzbyc. Chociaż w zasadzie powinna wstrzymać się z wyciąganiem wniosków, dopóki nie pozna przyczyny tego wybuchu.

Ubrała się spieszenie – sypiała nago – i ruszyła do pokoju Emily. Odpowiadała za dziewczynkę, za jej bezpieczeństwo, ale także samopoczucie. Tamtym zajmą się inni – to znaczy spróbują się zorientować, co go tak rozwścieczyło, jako że w gruncie rzeczy, o czym na co dzień lubili zapominać, pozostawali wobec niego bezsilni.

- Emily? Wszystko w porządku?

- Co to było? - Dziewczynka, w piżamie w czerwone misie, siedziała na łóżku, nie wyglądała jednak na przestraszoną.

- Jeszcze nie wiemy, staramy się ustalić – odparła Oriana.

To Lars zdecyduje, ile powiedzieć małej. Właściwie mógłby wykorzystać sytuację, żeby jej wyjaśnić, czego od niej oczekują.

- Brzmiało dziwnie – skomentowała Emily. - Czy to znaczy, że będziemy musieli się przenieść?

- Nie sądzę, żeby zaistniała taka potrzeba. - Oriana starała się nadać rozmowie lekki ton, właściwie bardziej dla

uspokojenia samej siebie niż swej podopiecznej. - Nie podoba ci się tutaj?

Musiała sobie powtarzać, że dziewczynka nie zna źródła hałasu, nie zdaje sobie sprawy, jak potężny musiał być ów ryk, żeby się przebić z podziemi aż tutaj - i dlatego zachowuje się tak beztrosko.

Całe szczęście, że w oficjalnej części budynku nikogo akurat nie gościli; z obsługą, złożoną z nieświadomych, poradzą sobie bez problemu. Właśnie z tego powodu zatrudniali wyłącznie osoby podatne na dominację.

- Podoba, ale trochę mi się znudziło - oświadczyła Emily.
- Fajnie byłoby mieszkać tak, żeby dało się wyjść bezpośrednio do lasu.

- Za jakiś czas może stanie się to realne - obiecała Oriana. - No dobrze, kładź się spać. Ja pójde zrobić wywiad.

Skoro udawała, że nic wielkiego się nie zdarzyło, nie mogła zbyt długo przesiadywać u dziewczynki. Ani też czuwać pod drzwiami jej pokoju, jakby się spodziewała, że Emily coś grozi, toteż po krótkim wahaniu podążyła korytarzem w poszukiwaniu osoby mogącej udzielić jej informacji.

Wokół panowała nienaturalna cisza. Czyżby wszyscy zeszli do lochu? W zaistniałych okolicznościach takie działanie wydawało się skrajnie nierozsądne, a jednak Oriane także ciągnęło na dół. Ciągnęło tak mocno, jakby to tamten ją przyzywał.

Trudno byłoby o lepszy argument za tym, żeby pozostała na górze.

Walczyła z niepokojem. Ze strachem. Owładnął ją autentyczny strach, uczucie na tyle przez Oriane zapomniane, że przez moment nieomal się nim napawała. Strach, że ów ryk nie oznaczał jedynie chwilowego buntu, groźnego, niemniej szczęśliwie wytłumionego, lecz obwieszczał wyzwolenie - że zdarzyła się sytuacja, której obawiali się wszyscy wtajemniczeni, wmawiając sobie zarazem, iż jest bardzo mało prawdopodobna.

Rzeczywiście, tamten miał inteligencję pekińczyka, nie zdołałby sam wydedukować, że w zasadzie jest już wolny. Zawsze wszakże mógł się trafić ktoś na tyle szalony, by mu to podpowiedzieć. Oriana dokonała w myślach szybkiego przeglądu wtajemniczonych kapłanów. Czy któryś pasował do powyższego opisu? Wykluczała jednego kandydata po drugim.

Odnosiła wrażenie, że podąża niewłaściwym tropem. Czym się wyróżniała ta noc? Była to pierwsza noc pełni księżyca, naturalnie. Noc, w trakcie której na Fionii Juan miał obudzić głązy, jak czynił to wielokrotnie wcześniej, zarówno on, jak i jego poprzednicy, nie prowokując żadnej reakcji tamtego. Nie, źle: ten obrzęd minimalnie go wyciszał. Jednakże dziś Juan mógł mieć obserwatora. Czyżby obecność Colina coś zmieniła?

Pokręciła głową. Przecież Colin nie miał dla tamtego znaczenia.

Usłyszała kroki, szybkie, choć nie nerwowe. Lars. Odetchnęła z ulgą. Zabawne, nie sądziła, że kiedykolwiek powita w ten sposób fakt nadejścia kapłana.

Wyszedł zza załomu korytarza i minimalnie drgnął na jej widok. Oriana poruszała się tak cicho, że nie zorientował się, że nadchodzi, ale równie gwałtowna – jak na niego – reakcja wskazywała, że niedawne wydarzenie nim wstrząsnęło.

Skinął na Oriane i ruszył z powrotem, do swojego gabinetu.

- Dowiedział się o dziewczynie - oznajmił Lars, ledwie Oriana zamknęła za sobą drzwi.

- O...? - zaczęła, nim wszakże dokończyła pytanie, zreflektowała się, że Emily jako osoba nie liczy się dla tamtego, natomiast przewidzianej dla niej roli nie zdołałby pojąć. - O niebieskookiej? - spytała zatem, w ostatniej chwili rezygnując z określenia „moja siostrzenica”. Akcentowanie związków rodzinnych byłoby teraz dość ryzykowne.

- Wpadł w furie – powiedział Lars. – A ją cztery dni temu straciliśmy z oczu.

Cztery dni. I nic Orianie na ten temat nie wspomniał. Nie zniżyła się do tego, by dać wyraz oburzeniu.

- W jaki sposób się dowiedział? – dociekała. – Colin zabrał ją ze sobą na Fionię?

- Nie możemy skontaktować się z Juanem. Na dole zginął Arturo. Wygląda na to, że ona tam była, czekam jednak na potwierdzenie od Richarda.

Orianie wydawało się dziwne, że Colin zdecydował się zabrać dziewczynę na tę akcję. Z wcześniejszych raportów Erasmusa wynikało, że ją chroni, trzyma z dala od prowadzonych przez siebie poszukiwań, żeby nie ściągnąć na nią uwagi wrogów. Niemniej Erasmus oszukał ich w sprawie chłopca z projektu Dietera, mógł więc także zafałszować relacje Colina z dziewczyną.

- Najwidoczniej Colin uznał, że przyda mu się każde wsparcie – wycedził przez zęby Lars.

Nigdy jeszcze nie widziała go tak wściekłego. W pełni go rozumiała. Juan przypuszczalnie nie żył, a jeśli Colin wraz ze swą partnerką znajdował się wtedy w pobliżu głazów, nie dało się wykluczyć, że także zginął. Choćby obojgu im nic się nie stało, obecność kochanki u boku chłopaka stanowiła ogromną komplikację. Colin będzie bardziej zaabsorbowany swoją towarzyszką niż niewidzianą od miesięcy siostrą. Nie mogli usunąć dziewczyny, gdyż całkowicie zmieniliby kierunek wędrówki Colina. Natomiast nie sposób było przewidzieć, jak tamten zareaguje, jeśli staną przed nim oboje. Najprawdopodobniej jednak rzuci się na dziewczynę, ignorując lub, co gorsza, błyskawicznie zabijając chłopaka.

- Poczekajmy na raport Richarda – powiedziała Oriana. – Może między nią a Colinem powstał tak silny związek emocjonalny, że tamten niejako wyczuł jej duchową obecność?

- Nie jest to wielce pocieszająca sugestia – mruknął Lars.

Wodziła za nim wzrokiem, kiedy spacerował po gabinecie. Znów zaskoczył Oriane, odsłaniając się przed nią

do tego stopnia.

- Uspokoileś go - stwierdziła.

- Zaklinałem się, że nie wiedziałem o istnieniu tej dziewczyny. Nikt nie wiedział. Nie śmielibyśmy go okłamać.

Ograniczona inteligencja połączona z rozbuchaną próżnością - nic dziwnego, że tamten uwierzył zapewnieniom Larsa.

- Domaga się jej, natychmiast - dodał Lars.

- Z jego punktu widzenia „natychmiast” może oznaczać nawet miesiąc lub dwa - zauważyła.

Spojrzał na Orianę, jakby znów powątpiewał w jej obiektywizm. Nie okazała irytacji, choć przecież tę kwestię już uzgodnili: dziewczyny nie wolno było tknąć, dopóki operacja miała szanse na pomyślny finał. Jeżeli w którymś momencie plan drastycznie zawiedzie, usuną Colina, a niebieskooką oddadzą tamtemu. Niekoniecznie w takiej kolejności.

- Tin? - Colin wysłał pytanie bardzo delikatnie, mimo że o dziewiątej raczej już nie spała, chociażby z powodu Alana.

Do czwartej nad ranem czatował w kępie drzew w pobliżu kręgu. Kiedy tam wrócił, ciało kapłana leżało tak, jak je z Caramellem zostawili, przynajmniej na ile Colin mógł to ocenić z tej odległości. Zajął wygodną pozycję, gotów trwać tak do świtu; potem na zacieranie śladów przez agentów organizacji - kapłani nie zniżyliby się do równie prozaicznego zajęcia - byłoby za późno, jako że głazy znajdowały się na otwartej przestrzeni, zbyt blisko ludzkich siedzib, by w dziennym świetle dało się tu cokolwiek zdziałać z zachowaniem dyskrecji.

Nie czekał długo - niecałe pół godziny później usłyszał odgłos silnika samochodu pokonującego wyboistą polną drogę. Pojazd, duża terenowa bryka, zatrzymał się kilkadziesiąt kroków od kamiennego kręgu, przy prowadzącej do niego ścieżce; żeby znaleźć się jeszcze

bliżej, musiałyby wtoczyć się na łąkę, zostawiając ślad widoczny przynajmniej przez kilka dni.

Ponieważ wóz nadjechał od Voldtofte, a Colin zajmował stanowisko bardziej od strony Haarby, przy nadal północno-wschodnim wietrze raczej nie został zwęszony. Nie wykluczał jednak, że dwaj mężczyźni, którzy właśnie wysiedli z samochodu, najpierw ustalili pozycję Colina, potem zaś celowo podjechali z innej strony, żeby go nie przepłoszyć.

„Ciebie nie zabiją”, powiedział Caramel. Cholera, może Colin po prostu podejdzie tam i zapyta, czy ci dwaj będą mieli coś przeciw, by dotrzymał im towarzystwa?

No dobrze już, dobrze, zagra według reguł. Mężczyźni zachowywali się tak, jakby nie zakładali, że są obserwowani, zatem i Colin nie ruszy się z zagajnika, dopóki nie odjadą.

Tym sposobem spędził godzinę w przesączającym się przez młode liście drzew blasku pełni księżyca. Agenci wrzucili ciało na zamykaną pakę, a potem, nie używając latarek, starannie przeczesali wnętrze kamiennego kręgu, zapewne w poszukiwaniu zostawionych przez martwego kapłana drobiazgów i wymagających usunięcia śladów.

Sprawdziwszy dokładnie teren, odjechali, a Colin przyznał Caramelowi rację, że nie warto ich śledzić. Pomijając fakt, że goniąc za samochodem w wilczej skórze, nieco rzucałby się w oczy. Cóż, gdyby poważnie rozważał pościg, z odpowiednim wyprzedzeniem dałby znać kumpłowi, żeby ten podstawił wóz.

Ubrał się - nie zaryzykowałby tego, że Caramel odjedzie w siną dal z jego ciuchami - i, nie kryjąc się dłużej, powędrował do lasu, w którym się rozstali.

Caramel kazał mu na siebie czekać ponad pół godziny - niby że spał smacznie, kiedy Colin zadzwonił, i trochę trwało, zanim się pozbierał. Bardzo fachowe podejście, szlag by go trafił.

Okazało się, że gnojek wynajął dla nich pokój w pensjonacie. Pensjonat! Szkoda, że nie wystawił jeszcze

drogowskazu dla agentów.

W sumie jednak musieli się gdzieś przyczaić, a okolica była na tyle spokojna, że zwróciliby na siebie uwagę, pomieszkując w samochodzie czy rozbijając namiot.

Colin padł na łóżko i natychmiast zasnął, twardo, rezygnując z metody wilczej drzemki. A teraz, pięć minut po przebudzeniu, leżąc z nadal zamkniętymi oczami, zaczął wzywać Tin. Słyszał regularny oddech Caramela; chciał z nią pogadać, dopóki gnojek spał.

- Tin!

- Poczekaj sekundę, Alanowi zostały trzy łyżeczki kaszki - odezwała się wreszcie.

Oczywiście, od razu Colina wkurzyła. Głazy rozbłyskiwały morderczym światłem, Tin ukazywały się czyjeś oczy, ale najważniejsze było śniadanie Alana!

Obrócił się na prawy bok, walcząc z gniewem. W zasadzie powinien się cieszyć, że Tin otrząsnęła się z nocnego szoku na tyle, by zająć się codziennymi obowiązkami, i zapewne doceniłby ów fakt, gdyby przy tej okazji go nie olewała.

- Jestem - zameldowała się po czasie, który wystarczyłby na wtłoczenie w szczeniaka wiadra kaszki, a nie trzech skromnych łyżeczek. - Przekazałam małego Carol i mogę chwilę rozmawiać. Wszystko w porządku?

Z trudem powstrzymał się od komentarza. Najpierw dowie się, o co chodziło z oczami, potem będzie wszczynał spory. Albo i nie.

- Tak - odparł. - To znaczy u nas dwóch, bo kapłan zginął.

- Zginął? - powtórzyła podejrzliwie, jakby z góry przyjęła, że to oni wykończyli gościa.

Zatem nie widziała jego śmierci. Szkoda, bo Colin chętnie by się dowiedział, co konkretnie spotkało faceta.

- Ten rozbłysk go zabił - wyjaśnił, kryjąc rozdrażnienie. - Typ wyglądał, jakby świadomy zerwał mu pazurami skórę z twarzy. - Wahał się, czy podawać Tin takie szczegóły, ale skoro kaszka Alana była dla niej ważniejsza niż ubiegłonocne przeżycia... - Ewidentnie nosił ślady pazurów,

tyle że nigdzie nie zauważyliśmy ani skrawka zdartej skóry.
- Także przeczesujący teren agenci niczego nie znaleźli, ale relację ze swej późniejszej nocnej obserwacji zamierzał zdać Tin dopiero na koniec. - No więc co to były za oczy?

- On mnie zobaczył - powiedziała niepewnie.

- Kapłan? - Colin ponieważś uznał, że nie jest to zbyt mądre pytanie. - Czy ten... bóg? - Bóg, którego do niedawna uważał za wymysł kapłanów. No, ewentualnie za starą, poobtłukiwaną figurkę.

- Jakby czegoś ode mnie chciał. Wściekł się. Właściwie wściekłość kipi w nim cały czas, ale na mój widok wpadł w furję.

Cholera. Przez chwilę Colin rozważał, czy Tin nie ujrzała w tym rozbłysku jego samego. Emanacji jego wnętrza czy jak to diabelstwo zwać.

- Jak mógłby cię zobaczyć? - zapytał. - Mnie, to jeszcze bym zrozumiał. Może wściekł się na mój widok, a ty tylko niewłaściwie odebrałaś te ukierunkowane na mnie emocje?

- Może - zgodziła się bez przekonania. - Ale przecież nie widziałeś oczu?

- Blask mnie oślepił, podobnie jak Caramela. Ty nie oglądałaś tej sceny bezpośrednio, dzięki czemu zarejestrowałaś więcej szczegółów.

Bardzo chciał, żeby tak brzmiało wyjaśnienie. Niech to cholerne bóstwo wścieka się na niego do woli, byleby zostawiło w spokoju Tin. Jej nic z tą sprawą nie łączyło - nic poza osobą Colina. Nie darowałaby sobie, gdyby zwrócił na nią uwagę krwiożerczej bestii.

Milczała; wyczuwał jej sceptycyzm. Była przekonana, że chodziło o nią. No bo, psiakrew, czemu rozbłysk nastąpił akurat w momencie, kiedy Colin pokazał jej głazy? Caramel podsunął wyjaśnienie: sprowokowały go parapsychiczne zdolności Colina. Tyle że wersja Tin wydawała się znacznie bardziej sensowna.

- Jesteś pewna, że to był ten bóg-wilk? - dociekał.

- Widziałam tylko oczy, oczy istoty wiekowej i niebezpiecznej. Wyczuwałam jej emocje, zdecydowanie

bardziej zwierzęce niż ludzkie. Jak... furia zranionego zwierzęcia, chociaż z domieszką czysto ludzkiej nienawiści...

Mówiła gniewnym tonem, na co zwykle sobie nie pozwalała. Sytuacja rzeczywiście ją zdenerwowała... Szalenie odkrywczy wniosek, cholera.

- Skoro kapłani odwiedzali te głazy - podjęła po krótkiej przerwie - żeby odprawiać tam obrzędy związane z tym konkretnym bóstwem, bogiem społeczności, a zakładam, że taki jest tylko jeden, to czyje oczy mogłam zobaczyć, jeśli nie jego?

- A jeśli kapłani nie zdawali sobie sprawy, kogo naprawdę wzywają? - spróbował Colin.

Stłumiła pełne irytacji westchnienie, ale i tak je wychwytał.

- Wydaje mi się, że tworzenie rozmaitych wymyślnych i niemożliwych do dowiedzenia teorii mija się z celem, skoro wszystko wskazuje na bóstwo, o którym mówili Gordon i Benson - oznajmiła, nie siląc się nawet na łagodny ton.

Przygryzł dolną wargę, aż poczuł w ustach smak krwi. Nie poznawał własnej dziewczyny.

Później, zdecydowanie ze zbyt wielkim poślizgiem, uderzyło Colina coś, co Tin powiedziała na samym początku.

- Uważasz, że on CHCIAŁ czegoś od ciebie? - zapytał, nagle na serio zaniepokojony. - Że... że nie dostał tego i będzie próbował... - Nie, Colin nie powinien nawet myśleć o czymś takim. - Wyczuwasz zmianę w swoim otoczeniu? - dociekał jednak dalej, niezdolny się powstrzymać. - Jakby cię obserwował, namierzył albo starał się odszukać? Masz koncepcję, o co mu chodzi?

- Nie wiem, Colin. - Wydawała się udręczona. - Niczego nie wyczuwam, ani nie pojmuję, czemu... - Urwała na chwilę. - Jeżeli mnie szuka, zorientuję się dopiero, kiedy będzie blisko.

Bała się, a Colinowi udzielał się ten strach. Skoro to coś potrzebowało kilku sekund, żeby załatwić kapłana - gość

nawet się nie bronił – jakie szanse miałyby Tin, gdyby ją odnalazło? Nie poradziła sobie z człowiekiem!

Psiakrew, popadał w paranoję. Kapłani zaserwowali mu sztuczkę świetlną, i tyle. Pewnie Udo zdominował nieświadomca, tak że ten posterczał sobie godzinę czy dwie w bezruchu, rozłożył ręce, a kiedy zadziałała trucizna, padł trupem, od początku w sugestywnej masce na twarzy, której nie widzieli, bo facet stał do nich plecami. A Colin dał się nabrać jak pierwszy naiwny i trząsał się o Tin, której ani przez chwilę nic nie groziło!

Wszystko pięknie i ładnie, tylko że Tin widziała te cholerne oczy.

- Co mówiła? - zapytał zaspanym głosem Caramel.

Colin łypnął na niego gniewnie. Gnojek ani chybi od dłuższego czasu wsłuchiwał się w tętno Colina, mając ubaw z targających nim emocji, a teraz zgrywał rozespiane niewiniątko.

- Widziała oczy wściekłego boga - warknął Colin.

- Hm. Wściekłego, mówisz?

- Nie powinieneś raczej zdziwić się, że boga?

- A czyje? - zdumiał się Caramel, siadając na łóżku. - Przecież nie kapłana.

Czy tożsamość właściciela tych piekielnych oczu była aż tak oczywista? Colin stłumił przekleństwo. Nie powinien wdawać się z Caramelem w pyskówkę, bo w tym stanie ducha na pewno przegra.

Choć niepokoił się o Tin, wobec niej odgrywał luzaka. Tymczasem ona, zamiast docenić te wysiłki, szybko dała mu do zrozumienia, że woli zająć się Alanem, niż dalej słuchać zapewnień Colina, że prawdopodobnie zobaczyła po prostu dwie plamki, które zatańczyły mu przed oczami, gdy oślepiło go jaskrawe światło, emitowane przez ukryte reflektory.

- Jeśli przyślą tu następnego kapłana, facet zajmie się badaniem głązów za dnia czy w nocy? - zapytał Colin, żeby zająć umysł bardziej przyziemnym tematem.

- Stawiałbym na to, że zaczniesz za dnia, a z nocną wizytą poczeka do końca pełni, żeby nie podzielić losu poprzednika. Chociaż... Agenci nie zauważyli niczego dziwnego, zgadza się?

- Weszli między głązy ostrożnie, jakby się spodziewali pułapki, ale raczej tradycyjnego rodzaju - przyznał Colin. - Węszyli wokół kręgu i wewnątrz. Nie odniosłem wrażenia, żeby coś ich zaskoczyło. Nie poświęcili szczególnej uwagi miejscu, gdzie staliśmy...

To już było podejrzane i Colin sklął się w duchu, że wcześniej nie uwzględnił tego rodzaju zagrożenia.

- Możliwe, że woń krwi kapłana przytłumiła inne wonie - mruknął Caramel. Nie starał się brzmieć przekonująco.

„Ciebie nie zabiją”. Colin znów łypnął na kumpla z niechęcią. Jasne, być może woń krwi kapłana zdominowała pozostałe zapachy albo znów zadziałała magia kręgu, względnie agenci nie oddalili się od głązów na tyle, by znaleźć miejsce, gdzie przystanął Caramel, a za nim Colin. Najbardziej wszakże prawdopodobnie brzmiało domniemanie, że agenci spodziewali się tam Colina. Obecność innego osobnika, przypuszczalnie maskującego się świadomego, stanowiła dla nich niespodziankę, otrzymali jednak rozkaz uprzątnięcia śladów i nic poza tym.

- Po co przyślą tu następnego kapłana? - zapytał Colin. - Żeby przeprowadził śledztwo w sprawie śmierci pierwszego? Czy żeby wykonał jego zadanie, to znaczy naprowadził mnie na trop siostry?

Caramel wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wreszcie zyskałeś odpowiednią perspektywę - skomentował.

- Czy nie powinni postępować bardziej profesjonalnie? - dążył Colin.

- Teraz się chyba zgubiłem. Uważasz, że agenci o tobie nie wiedzieli, a kapłan przyjedzie tu wyłącznie w celu

zbadania głązów, bo zignorowanie przez tych pierwszych naszego tropu byłoby szyte zbyt grubymi nićmi? Colin, rusz głową. Gdyby Gordon nie uprzedził cię o ich zamiarach, jak byś się w tej chwili zachowywał? Zakładałbyś, że wciągają cię w pułapkę, czy też szalał ze szczęścia, że wreszcie natknąłeś się na kapłana, odrzucając wszelkie podszepty zdrowego rozsądku?

Najwyraźniej dranie nie mieli wysokiego mniemania o intelektualnych zdolnościach Colina. Zacisnął zęby, zduszając narastający mu w gardle warkot. Cóż, może i racja. Niby Colinowi wydawało się mało wiarygodne, że kapłani liczą akurat na jego współpracę, a przecież gdyby nie ostrzeżenie Gordona, zapewne nie wzięłyby pod uwagę, że osobiście doprowadzą go do siostry, żeby u jej stóp poderznąć mu gardło.

Zmarszczył brwi.

- Dlaczego tak wszystko komplikują? - powątpiewał. - Jeśli nadeszła pora odprawienia rytuału, powinni trafić mnie środkiem usypiającym i przetransportować na miejsce.

- W takich sprawach często liczą się detale - stwierdził po dłuższym namyśle Caramel. - Być może dla osiągnięcia pożądanego efektu zasadniczą rolę odgrywa twoje nastawienie, dobrowolność twoich działań. Niewykluczone, że usiłują tak tobą pokierować, żebyś z własnej woli oddał życie za siostrę.

- Gdybasz czy podsłuchałeś? - zapytał zimno Colin.

- Jeśli mi nie ufasz, lepiej się rozstańmy, zanim wpakuję się po uszy, broniąc twoich interesów - odparował spokojnie Caramel. - Po raz enty powtarzam, że nie wiem, czego kapłani od ciebie chcą, a jedynie snuję na ten temat domysły. W tej chwili, uwzględniając słowa Gordona i działania samych kapłanów, najbardziej prawdopodobne wydaje mi się przypuszczenie, że zależy im na tym, żebyś dotarł do Emily z własnej nieprzymuszonej woli. Gdy wyjdą na jaw nowe fakty, wtedy być może zmienię zdanie.

Argumenty Caramela brzmiały przekonująco, lecz mimo to Colin nie do końca wyzbył się wątpliwości. Odkąd odnowili współpracę, był to już kolejny raz, kiedy Caramel tak szczegółowo mu się tłumaczył. Dlaczego nagle zaczęło mu zależeć na pozyskaniu zaufania Colina?

Wypożyczyli rowery, a Caramel zaopatrzył ich w idiotyczne trykoty, kaski i okulary przeciwsłoneczne. Gnojek był szczupły, jako tako się w tym stroju prezentował; Colin wolał nie oglądać się w lustrze, przypuszczał jednak, że sam by siebie nie poznał. No cóż, ostatecznie chodziło o dobry kamuflaż. Szkoda tylko, że to jednorazowe przebranie kosztowało tyle kasy.

Począwszy od pierwszej po południu, na zmianę, w godzinnych odstępach, przejeżdżali polną drogą w pobliżu kręgu - tą samą, z której minionej nocy skorzystali agenci. Gdyby ktoś pojawił się przy głazach, mieli, nie zmieniając tempa, zniknąć osobnikowi z oczu i dopiero wtedy powiadomić o zdarzeniu kolegę.

Najpierw jechał Caramel, nikogo nie spostrzegł. Colin zauważył dziewczynę, spacerującą z dwoma psami niedaleko od głazów. Wspomniał o niej kumplowi, żeby nie było, że znów nie rozpoznał agentki, wspólnie doszli jednak do wniosku, że laska mieszka w okolicy. Potem znów Caramel widział grupkę rowerzystów, którzy urządzili sobie piknik przy głazach; ponieważ była to para z trójką dzieci, wątpliwe, że przysłali ich tu kapłani.

Zabawiali się w ten sposób aż do zapadnięcia zmroku. Caramel nabył kilka różnych używanych koszulek, tak więc przebierali się co rundka, nie zawsze też wkładali kaski, bo, prawdę mówiąc, trochę się w nich wyróżniali pośród turystów na rowerach.

Wieczorem zaszyli się znów w pensjonacie, chociaż Colin miał obiekcje.

- Skoro okoliczni mieszkańcy nie widzieli rozbłysku, a agenci prawdopodobnie znajdowali się wówczas zbyt daleko, niewykluczone, że jednak nas, lub mnie, podejrzewają o zabicie kapłana. W takim wypadku nowo przybyły kapłan nie miałby powodów obawiać się wejść do wnętrza kręgu nocą. No bo za dnia... Turyści, dziewczyna z psami, która pewnie spaceruje tam regularnie... Nie zdołają załatwić sprawy dyskretnie.

- Taka rana mogła powstać tylko w bezpośrednim starciu, a agenci nie wyczuli wewnątrz kręgu twojej woni. Nie mają podstaw, żeby cię podejrzewać - zauważył Caramel. - Zresztą, idź tam, jeśli chcesz, ja ci nie bronię.

Colin wahał się, jak postąpić. Jeśli spędzi noc na bezowocnej obserwacji, nazajutrz będzie nieprzytomny, a Caramel nie przepuści okazji do wbicia mu paru szpilek. Z drugiej strony, cholera, noc wydawała się porą zdecydowanie rozsądniejszą dla wymagających dyskrecji działań.

W efekcie został w pokoju. Skoro kapłan miał tu przybyć głównie po to, żeby pozwolić się Colinowi namierzyć, najwyżej trochę sobie poczeka.

Od rana wrócili do rowerowych wycieczek. Jeden przejazd i dwie godziny czekania na swoją kolej - totalne nudy. Colin raz spróbował zabić czas rozmową z Tin, ale - jakżeby inaczej - ją absorbował Alan, tak że kiedy tylko upewniła się, że Colin nie ma do niej pilnej sprawy, w te pędy go spławiła. Nie poprawiła mu nastroju tym zachowaniem.

- Długo będziemy tak jeździć? - rzucił zrzędliwie do Caramela.

Odgrywali dwóch zmęczonych wysiłkiem kumpli, tak więc siedzieli sobie na polnej drodze, w cieniu drzew, parę kilometrów za Haarby. W pobliżu głązów nie zsiadali z rowerów, żeby niepotrzebnie nie zostawiać swej woni. Kapłani ponoć nie domyślali się, że Colin został ostrzeżony; źle byłoby wyprowadzić ich z błędu przesadną beztroską. Ostatecznie, niewiedza przeciwnika stanowiła w tej chwili

jedyną przewagę Colina. No, ona oraz wsparcie Caramela, ale o tym, że ofiara zwerbowała sobie pomocnika, dranie ani chybi zostali poinformowani.

- Coś ty taki niecierpliwy? - mruknął Caramel. - Czort wie, skąd przyjedzie ten kapłan. Podróż może mu trochę zająć.

- Psiakrew, Caramel, zachowujesz się, jakbyś dostał od nich deklarację na piśmie, że mają wobec mnie takie a nie inne plany!

- Gdyby chcieli cię zabić albo uśpić, już by to zrobili. Jeśli się myślę i kapłan nie pojawi się tu ze względu na ciebie, ale wyłącznie w celu zbadania głazów, tym lepiej dla nas, bo zyskujemy element zaskoczenia.

- A jeśli nie pojawi się wcale? - warknął Colin.

- Stracimy kilka dni. Moim zdaniem warto ponieść takie ryzyko.

Przemądrzały pajac. A Colin nie mógł nawet życzyć sobie wygranej w tym sporze, wówczas bowiem znów zostałyby bez sensownego planu.

W południe, kiedy przypadła jego kolej, spostrzegł wewnątrz kręgu dwóch mężczyzn. Z trudem utrzymał stałe tempo jazdy; wiatr na szczęście ucichł akurat na tyle, by nie zanieść jego woni na taką odległość. Wysłannicy kapłanów! Był tego pewien, tak dogłębnie, że aż zaczął rozważać, czy to nie obudziło się w nim przeczucie.

Nie przyjrzał im się dokładnie, bo przygodny rowerzysta nie miał powodów gapić się na dwóch gości kręcących się przy grupce głazów, niemniej wystarczyło tej obserwacji, by stwierdził, że faceci udają naukowców. Obstawili się torbami ze sprzętem, na jednym kamieniu stał otwarty laptop, na innym leżały dwa profesjonalne aparaty fotograficzne. Starszy z dwóch mężczyzn dobijał sześćdziesiątki, młodszy chyba nie skończył jeszcze dwudziestu lat. Profesor i student. A w rzeczywistości? Zapewne kapłan i prowadzony przezeń młody adept.

Jeśli Caramel miał rację, kiedy twierdził, że kapłani to w gruncie rzeczy zwykłe silne alfy, a zasadnicza różnica

między nimi a innymi silnymi alfami, takimi jak chociażby członkowie straży, sprowadza się do zakresu przebytego szkolenia i pory – w tym przypadku bardzo wczesnej – rozpoczęcia nauki, ten chłopak, mimo młodego wieku, niewątpliwie był już głęboko wtajemniczony w sekrety władarzy organizacji. A jednak w Colinie narosły wątpliwości. Czy takich młokosów włączano by do ściśle tajnej operacji o priorytetowym znaczeniu?

- Takich młokosów na pewno trzymają krótko – oświadczył Caramel, kiedy Colin zdał mu raport i podzielił się zastrzeżeniami. – Nie musieli wyjaśniać chłopakowi celu wyprawy. Ma nosić kapłanowi sprzęt, i tyle. Profesor i student, takie ci się od razu nasunęło skojarzenie, a ja pójdę o zakład, że tak właśnie pragną być postrzegani. Nie wybrali na przynętę przypadkowych głazów, wokół których mogliby zrobić zamieszanie, a potem się zwinąć, nie przejmując się, że przyciągnęli rzesze turystów i poszukiwaczy tajemnic. Kapłani chcą przykuć twoją uwagę, ale zarazem muszą dbać o pozory, żeby okoliczni mieszkańcy nie uznali, że mają tu nie wiedzieć jaką atrakcję historyczną. Ci dwaj udają naukowców, bo takich nawiedzonych gości, tropiących pozostałości po epoce wikingów i czasach jeszcze dawniejszych, wałęsa się po tej wyspie na pęczki.

I znów Caramel mówił tak, jakby miał okazję wysłuchać szczegółowych wyjaśnień przeciwnika na temat przyjętej metody działania.

- Co robimy? – zapytał Colin, walcząc z irytacją. – Przemykamy do tej kępy drzew, żeby ich obserwować?

- A bardzo cię interesuje, co tam ustalą?

- Owszem, interesuje – odpysknął mu Colin. – Tin widziała cholerne oczy i odniosła wrażenie, że ich właściciel czegoś od niej chce, zatem tak, chętnie bym się dowiedział, co się za tym kryje.

- Wydaje mi się, że tutaj nie znajdziesz odpowiedzi. Ale rób, jak uważasz.

- A ty? - Teraz Colin prawie warczał, jako że Caramel wyraźnie dał mu do zrozumienia, że nie zamierza brać udziału w obserwacji fałszywego profesora i jego studenta.

- Ja spróbuję ustalić kierunek, z którego przyszedli, namierzyć ich samochód i przyczepić do niego lokalizator - odparł bez emocji Caramel.

- Lokalizator? Znaczący, nadajnik?

- No tak - potwierdził niewinnie Caramel. - Dlaczego nie powielić zastosowanych przez nich rozwiązań, skoro tak dobrze się sprawdzają w praktyce?

Colin przyglądał mu się zmrużonymi oczami. Gnojek go ewidentnie prowokował.

- Kupiłem go w Dreźnie, kiedy zawoziłeś do Tin małego - wyjaśnił Caramel, uprzedzając kolejne pytanie Colina. Wyjął z kieszeni niewielkie prostokątne urządzonek. - Można śledzić obiekt przez stronę internetową albo dzięki regularnie wysyłanym przez lokalizator SMS-om. To lepsze niż zestaw nadajnik-odbiornik, gdzie musielibyśmy trzymać się w określonej odległości za śledzonymi. Przymocuję go taśmą do podwozia. Lepiej uporać się z tym od razu, a potem czekać kilka dni, aż ruszą w drogę, niż trząść się, że migiem skończą swoje sprawy i znikną nam z oczu. Ostatecznie interesuje nas, dokąd ci dwaj udadzą się później, a nie ich tutejsze dokonania. Zgadza się?

Zgadzało się, jasne, aczkolwiek nie wpłynęło na fakt, że Colin z miłą chęcią rozorałby gnojekowi gardło.

- Świetnie - wycedził przez zęby. - Idź go przykleić. Tylko postaraj się łaskawie, żeby nie zwęszyli twojej woni.

- Tak, wiem - mruknął Caramel, jakby nie wyczuł sarkazmu. - Zależy, gdzie stoi ich bryka. Dziwię się, że nie podjechali bliżej kręgu, ale pewnie i tak będę musiał poczekać, aż przestawią samochód. Skropię się benzyną, zresztą oni przypuszczalnie nie znają mojej osobniczej nuty, tyle że nie mogę podkraść się do ich wozu na odludziu. Powinni zatrzymać się gdzieś na noc. Jeśli mi się poszczęści, będzie tam większy parking, sporo ludzkich woni i plam z benzyny.

Drań tłumaczył wszystko Colinowi jak krowie na rowie. Przez te lokalizatory spartoli akcję!

- Mijałem ich wóz, stanęli u wylotu tej polnej drogi - rzucił z satysfakcją Colin. - Pogonisz ich sobie trochę na rowerze.

Nie dało się jednak zaprzeczyć, że jeśli zamysł Caramela się powiedzie, oni dwaj będą mieli znacznie ułatwione zadanie. Przecież kiedy Colin zobaczył poprzedniego kapłana, od razu zaniepokoił się, że go zgubią. Czemu Caramel wówczas nie zaproponował, że odszuka brykę typu?

Colin powstrzymał się przed zadaniem tego pytania, żeby nie dać gnojce szansy na kolejne oratorskie popisy. Samochód kapłana na pewno również stał na polnej drodze, więc nie zdołaliby przyczepić lokalizatora tak, by gość się nie zorientował. Poza tym pełnia dopiero się wtedy zaczęła; przypuszczalnie Caramel zakładał, że facet zostanie w okolicy na dwie następne noce, a za dnia pojawi się okazja do podczepienia urządzenia.

Nieważne. Colin sapnął, zdobył się na w miarę uprzejme słowa pożegnania, wsiadł na rower i ruszył z powrotem ku gązdom. Ukryje swój środek lokomocji w zaroślach i podkradnie się w to samo miejsce, z którego obserwowali pierwszego kapłana.

Z zapadnięciem zmroku pseudonaukowcy popakowali sprzęt i ruszyli z powrotem do samochodu. Mimo że Colin miał ze sobą lornetkę - na wszelki wypadek woził ją w plecaku, podobnie jak broń i zapasy wałówki - i wytrwale obserwował ich poczynania, nie zdołał stwierdzić, co właściwie robili. Młody co chwila wklepywał do laptopa jakieś dane, starszy dreptał od jednego urządzenia do drugiego.

Cholera. A jeśli to byli prawdziwi naukowcy? Trochę za dużo tych pozorowanych działań jak na niemalże

wyludnioną okolicę – do wieczora pokazała się tu tylko dziewczyna z psami, popatrując na mężczyzn z daleka, a polną drogą przemknęły dwie grupki rowerzystów. Z kolei Colin powątpiewał, by iluminacyjne popisy pradawnego bóstwa dało się zmierzyć za pomocą nowoczesnej techniki... No, ale Caramel pewnie zaraz by go oświecił, że owszem, jak najbardziej.

Cóż, Colin nie miał tu czego dłużej szukać. Wrzucił lornetkę do plecaka, schował trzymanego w pogotowiu glocka, pozbierał śmieci po irytująco skromnym lunchu i ruszył po rower.

W pensjonacie nie zastał jeszcze Caramela. Nic dziwnego, skoro gnojek zamierzał podążyć za wozem tych dwóch i, jeśli zdoła, tej nocy przymocować do niego lokalizator. Ford zniknął sprzed budynku, zapewne więc Caramel postanowił śledzić tamtych samochodem. Wiedział przecież, gdzie ma się na nich zacząć.

Colin poszedł coś zjeść, wrócił po godzinie. Caramela nadal nie było. Sam nie wiedział, czemu go tak wkurza nieobecność chłopaka. Dobra, gnojek błysnął pomysłowością, co z tego? Liczyło się wyłącznie dobro Emily; nieważne, jak bardzo ucierpi jego duma, zanim Colin dotrze do celu.

Właściwie dlaczego Caramel tak się angażował w tę sprawę? Nadal wyłącznie dla fantazji? Ponieważ rozgrywka z kapłanami przypadła mu do gustu, traktował ją jak sportową rywalizację i pragnął zwycięstwa? Colinowi cena takiej zabawy wydawała się ciut za wysoka, ale, prawdę mówiąc, nigdy nie rozumiał typka.

Cholera, nawet przy najbardziej pomyślnym zakończeniu Caramel nie zyska niczego poza świadomością, że pomógł kumpłowi i dopiekl kapłanom. Trochę mało, jeśli wziąć pod uwagę, że od tej pory będzie go czekał los samotnego wiecznego uciekiniera. Gnojek chyba nie liczył na to, że dołączy do Colina, Tin i Emily? Ach, no i Alana, oczywiście.

W gruncie rzeczy oni dwaj nigdy się nawet specjalnie nie kolegowali, nie mówiąc o przyjaźni. Caramel nie miał

wobec Colina żadnych zobowiązań, a z kolei Colinowi nie przyszłoby do głowy poprosić go o pomoc, chyba że znalazłby się w wyjątkowo rozpaczliwej sytuacji i odmówiliby mu kolejno wszyscy pozostali członkowie straży. A tu nagle Caramel awansował na jego pierwszego i najważniejszego sojusznika. Ratował Colinowi życie, narażał własne. Psiakrew, musiał w tym dostrzegać wymierną korzyść dla siebie.

Sfrustrowany Colin odruchowo wezwał Tin, chcąc zasięgnąć jej opinii. Dopiero po fakcie przypomniał sobie, że jest na nią obrażony. Trudno, upiekło jej się. Alan już spał, mogli więc spokojnie porozmawiać.

- Pamiętasz, jak kiedyś cię prosiłem, żebyś zapytała przeczucie o Caramela? Mówiłaś wówczas, że on realizuje własne cele, chwilowo zbieżne z moimi. Sądzisz, że nadal pozostają zbieżne?

- Nie wiem, na razie nie jestem w stanie ci na to odpowiedzieć - odparła obronnym tonem, jak zwykle, gdy dotykał kwestii jej przeczuć. - Ale jest z tobą, prawda?

- Owszem, tylko po co? - Colin spacerował gniewnie po pokoju. - Chciałbym mieć pewność, że w kluczowym momencie nie wykręci mi numeru.

- Wydaje mi się, że była taka chwila, gdy zmienił plany - powiedziała ostrożnie Tin. - Kiedy skupił uwagę na Alanie. Teraz ci go oddał, w zasadzie z niego zrezygnował. Myślę, że zdecydował się doprowadzić z tobą tę sprawę do końca.

- Cieszę się. Intryguje mnie jednak, jak on sobie wyobraża ten koniec?

Milczała. Czy wsłuchiwała się w siebie, w nadziei na to, że przeczucie mimo wszystko przemówi?

Westchnęła. Pojął, że jej się nie udało - i szybko zaczął zdawać relację z obserwacji „profesora” i jego asystenta.

- Nie stałem się dzięki temu ani trochę mądrzejszy - mruknął. - Nadal nie mam pojęcia, czyje oczy widziałaś, ani tym bardziej, czego ich właściciel od ciebie chce.

- Ach... - Zawahała się. - Sama zaczynam wątpić, czy rzeczywiście je widziałam. Mogło być tak, jak mówiłaś, że

plamki...

- Nie kłam, do cholery! - warknął niezamierzenie ostro. I chyba na głos. - Widziałas oczy. Nie daje mi to spokoju...

- A powinieneś teraz myśleć o Emily - przerwała mu łagodnie. - Nic mi nie będzie. Od tych głazów dzieli mnie blisko siedemset kilometrów. Boję się o ciebie, Colin. Wolałabym, żebyś skupił się na własnym bezpieczeństwie. Jeśli zaobserwuję coś dziwnego, natychmiast dam ci znać, przyrzekam.

Bała się o niego! Od razu zrobiło mu się cieplej na duszy. Zwykle przecież obawiała się, że to Colin robi komuś krzywdę, a nie, że jemu może się coś stać. Oczywiście, mile łechtała tym jego próżność, jednakże brakowało mu owego typowego niepokoju zakochanej dziewczyny o los wybranka.

Caramel pojawił się grubo po północy, cuchnący benzyną, co samo w sobie wystarczyło Colinowi za odpowiedź, czy lokalizator znalazł się w przewidzianym dla niego miejscu. Mimo to zapytał, jak poszło.

- Spoko - odparł chłopak, padając ze stęknieniem na łóżko. - A jak tam twoje obserwacje?

- Zdjąłbyś z siebie te szmaty, nim zaśmierdnie cały pokój - warknął Colin.

- Ach. Uprzedzałem, że szpiegowanie ich nie ma wielkiego sensu.

Colin zacisnął zęby. Jutro znów wybierze się podglądać pseudonaukowców, choćby po to, żeby uniknąć męczącego towarzystwa Caramela.

Poświęcał się takiej obserwacji przez trzy kolejne dni i nie stał się ani trochę mądrzejszy w kwestii tego, czemu miał służyć sprzęt przywleczony przez mężczyzn, a ściślej, przez młodego asystenta, jako że „profesor” ograniczał się do dźwigania aparatu fotograficznego. Prawdę mówiąc, począwszy od niedzielnego popołudnia, Colinowi nie chciało

się nawet podnosić lornetki do oczu; jeśli nadal bawił się w szpiegowanie tych dwóch, robił to wyłącznie ze względu na Caramela. I co wieczór wyniośle dawał gnojkwowi do zrozumienia, że owszem, jest zadowolony z osiągniętych efektów, ale ani myśli spowiadać się z nich komuś, kto szukałby w takiej relacji jedynie tematów do kpiny.

Dwa razy zagadał do Tin, żeby zabić nudę ciągnącego się niemiłosiernie dnia, ale rozmowa niezbyt im się kleiła, kiedy nie mieli konkretnego problemu do omówienia. Kwestii oczu Colin nie poruszał, wszelkie inne rozważania nie wnosiły do sprawy nic nowego, a z kolei Tin, jeśli zostawić jej dowolność w wyborze tematu, natychmiast zaczynała zadrećcać go opowieściami o Alanie. Jasne, cieszył się, słysząc radość w jej głosie, wolałby jednak, żeby brała się ona z innych przyczyn. Nie potrafił też przekonująco odgrywać zainteresowania postęпами szczeniaka w opanowywaniu angielskich słówek, a Tin, nie wiadomo dlaczego reagowała irytacją na jego „No, nie żartuj” i inne tego typu odzywki.

Koncepcja Mata, żeby co jakiś czas zmieniali miasto, udając zwiedzających zabytki zagranicznych turystów, chwilowo zeszła na dalszy plan. „Alan musi poczuć się pewniej w tej nowej sytuacji”. Jasne. No, ale skoro okolica wydawała się w miarę bezpieczna, może i lepiej, że Tin zostanie w Poznaniu, bo a nuż znowu, czystym przypadkiem, wpakowałaby się na bandę lokalnych świadomych.

We wtorek pseudonaukowcy zwinęli się wcześniej, tuż po drugiej, a Colin popędził z powrotem do pensjonatu. Nie należy do końca wierzyć elektronicznie.

- Zbierają się - poinformował Caramela, rozłożonego na łóżku z lekturą i torbą słodczy na podorędziu. - Wstawaj. Wolę siedzieć im na ogonie, bo w tym twoim pudełku może się bateria.

- Bez przesady, w trybie uśpienia wystarcza na kilkaset godzin - mruknął Caramel, ale zamknął książkę i

niespiesznie zaczął się gramolić z łóżka. - Poczekajmy, aż rzeczywiście ruszą w drogę.

Na szczęście „naukowcy” rzeczywiście zakończyli swoją misję przy gładkach, Colin bowiem nie zniósłby uśmiešku satysfakcji na gębie Caramela - ani też kolejnego dnia tkwienia kołkiem pod drzewem.

- Sądzisz, że coś ustalili? - zapytał Caramela, kiedy wreszcie siedzieli w mondeo, starając się nadrobić odległość dzielącą ich od śledzonych.

- Co za różnica? Interesuje nas twoja siostra, a nie problemy kapłanów.

Colin łypnął na niego ze złością. Nie, nie wspomni ponownie o oczach. Obiecał Tin, że nie będzie zaprzętał sobie nimi głowy.

- Skąd pewność, że to bóstwo nie wiąże się z Emily? - rzucił gniewnie. - Na przykład jej moce mogą być od niego zależne albo mają posłużyć do nawiązania z nim bliższego kontaktu?

Właściwie, to czemu nie? Tego rodzaju cel wydawał się dostatecznie ważny, żeby można było przeprowadzać równie czasochłonną i skomplikowaną operację jak ta, której obiektem najwyraźniej stał się Colin.

Caramel milczał, wpatrzony w drogę. Czyżby dostrzegł trafność rozumowania Colina, ale bronił się przed otwartym wyrażeniem podziwu?

- Według mnie powinieneś zastanawiać się raczej nad związkiem tego bóstwa z Tin - odezwał się wreszcie Caramel. - To ona widziała jego oczy, jako jedyna z nas trojga. Kwestia Emily w ogóle przy tej okazji nie zaistniała.

Jasne, Caramel prędzej by szczeł, niż przyznał, że Colin bez jego pomocy wpadł na właściwy trop.

No, ale fakt, to Tin ujrzała oczy tego boga, odniosła wrażenie, że bydlak czegoś od niej chce, odebrała jego emocje, ukierunkowane wyraźnie na nią. Rzecz w tym, że Colin o wiele łatwiej pogodziłby się z myślą o związku bóstwa z Em niż z Tin. Emily tak czy owak znajdowała się w rękach kapłanów, być może w świątyni, w bliskim

sąsiedztwie owej kipiącej wściekłością istoty. Tin nie łączyło z tą sprawą nic poza osobą Colina.

- Tin ma większe zdolności parapsychiczne niż my dwaj razem wzięci - burknął Colin. - Dlatego ona zobaczyła coś w tym rozbłysku, a my nie.

- Pewnie - zgodził się ochoczo Caramel. - Tylko nadal nie rozumiem, gdzie tutaj widzisz miejsce dla Emily.

I znów Colin musiał zacisnąć zęby. Kilkakrotnie powtórzył sobie w duchu, że bardzo, ale to bardzo potrzebuje pomocy Caramela.

- Co będzie, jeśli niespodziewanie zmienią samochód? - zapytał wreszcie.

- Jeżeli mają cię doprowadzić do siostry, na pewno tego nie zrobią.

- Cholera, Caramel, a jeśli zaplanowali coś innego? Choć raz dopuść możliwość, że mylisz się w swoich rachubach!

- Zmienią wóz, to będziemy się martwić. Nie wynajduj problemów, kiedy wszystko toczy się po naszej myśli.

- Na ile wystarczy bateria, kiedy lokalizator działa?

- Powinna na dwie doby. Skoro wybrali samochód, a nie samolot, zakładam, że dotrą w tym czasie do celu. Są na niemieckich blachach.

- Mogli wypożyczyć wóz w Niemczech - upierał się Colin.

- W Berlinie wsiądą do samolotu i odlecą do Kanady.

Caramel tylko westchnął. Kretyn.

Opona strzeliła im za Hamburgiem, akurat kiedy zwolnili ze względu na roboty drogowe. Mieli szczęście w nieszczęściu: jechali sześćdziesiątką, o ponad sto kilometrów na godzinę wolniej niż zaledwie dwie minuty wcześniej, a przy tym żaden inny samochód nie znajdował się w chwili zdarzenia na tyle blisko, by zaistniała groźba kolizji, kiedy Caramel na moment stracił panowanie nad mondeo.

Skasowali cztery plastikowe pachołki i zatrzymali się bezpiecznie na wyłączonym z ruchu pasie.

Obaj jednocześnie westchnęli z ulgą.

- Psiakrew, zgubimy ich - ocknął się Colin.

Kierowca śledzonego przez nich auta miał ciężką nogę, trudno więc będzie im odrobić straty. Colin wyskoczył z wozu i rzucił się do bagażnika po zapasowe koło, obojętny na uspokajające słowa Caramela, że pozycję „naukowców” widać na mapce w necie.

Chłopak także wysiadł, tyle że bez pośpiechu, po czym od razu zabrał się za oględziny pękniętej opony, lewej przedniej.

- Rusz się - warknął Colin.

- A co, koło jest za ciężkie? - Caramel nadal kucał przy uszkodzonej oponie, nie racząc nawet odwrócić głowy.

Colin zacisnął zęby i z wściekłością zaczął wyrzucać na beton ich torby. Fakt, pozabijaliby się przy tym bagażniku, niemniej wkurzało go, że gnojek niespecjalnie przejął się zdarzeniem. Dranie zyskają nad nimi ze sto kilometrów przewagi, potem zmieniają samochód - i tyle ich widzieli. A mapkę Caramel będzie mógł sobie wsadzić w dupę, najlepiej razem z laptopem.

Podnieśli auto tradycyjną metodą, na lewarku, gdyż mimo wieczornej pory byli dobrze widoczni w blasku świateł mijających ich pojazdów, tak więc kilku kierowców mógłby zdziwić widok faceta dźwigającego wóz gołymi rękami.

Wymienili koło i opuścili forda.

- Mało powietrza - stwierdził Caramel. - W dodatku to dojazdówka.

- Chcesz nad tym debatować? - Colin z furią cisnął do bagażnika lewarek i rozwalone koło, a następnie ich manele. Z hukiem zatrzasnął klapę. - Dopompujemy je na najbliższej stacji. Teraz ja prowadzę.

Caramel uniósł brwi i nic nie powiedział, ale wsiadał do wozu z takim ociąganiem, że Colin był bliski wystartowania bez niego.

- W ten sposób zaraz znów złapiemy gumę - skomentował Caramel po kilkunastu minutach jazdy, kiedy odcinek robót drogowych został wreszcie za nimi.

- Chcesz, żebyśmy ich zgubili? - warknął Colin.

- Na razie wiemy, gdzie są. - Caramel gapił się na ekran komputera. - Na dojazdówce, nawet napompowanej, nie powinno się jechać za szybko.

- Gdzie tu po nocy chcesz kupić normalne koło?

- To nie powód, żeby gnać... - Caramel przechylił głowę i zerknął na prędkościomierz - ...sto pięćdziesiąt. Dojazdówka strzeli, rozwalisz furę, i w ogóle nigdzie nie zajedziemy. Nie czujesz, jak nami rzuca?

Colin zwolnił. Z rozbitym wozem rzeczywiście niewiele wskórają. Odetchnął głęboko.

- Cholernie mało cię rusza ta sytuacja - stwierdził. - Jakbyś nagle uznał, że nie warto ich śledzić.

- Lokalizator ciągle działa - odparł Caramel. - Poza tym, przyjrzałeś się oponie?

- Będzie stacja, to zjadę i napompuję - warknął Colin.

- Mówię o tej zniszczonej. - Caramel zamknął laptopa i wyglądał przez okno, całkowicie spokojny, ba, wręcz zrelaksowany.

Colin zmarszczył brwi.

- Sugerujesz, że ktoś ją uszkodził? - zapytał wolno.

Kto? Agent organizacji? Jaki byłby w tym sens? Kapłani podsuwaliby Colinowi trop, żeby natychmiast go z niego zawrócić? Czyżby zmienili plany, kiedy odnotowali, że Colin ma pomocnika? Zerknął spod oka na Caramela, który najwyraźniej nie zamierzał odpowiadać na jego pytanie.

- Skąd ten ktoś miałby pewność, że nic nam się nie stanie? - dociekał Colin. - Nie lepiej byłoby uszkodzić nam silnik? Z kolei, jeśli zamierzał nas zabić, nieco się przeliczył...

- Oj, Colin. - Caramel westchnął odrobinę teatralnie.

- Nie sądzisz chyba, że przejechaliśmy trzysta kilometrów z uszkodzoną oponą. Facet przyczepił do niej zdalnie sterowany ładunek. Wybrał moment.

- Nadal nie bardzo widzę...

- Liczył, że uznamy zdarzenie za przypadkowe - wpadł mu w słowo Caramel. - Przypuszczalnie nie wie o lokalizatorze w samochodzie tamtych. Z powodu pękniętej opony stracilibyśmy trop, winiąc za to pecha.

Gnojek pił do tego, że gdyby Colin podróżował sam, nie przyszłoby mu do głowy rozwiązanie z lokalizatorem ani też oglądanie opony.

- Niestety, mijając nas, zobaczył, że przyglądam się oponie, i domyślił się, że odkryłem prawdę - ciągnął konwersacyjnym tonem Caramel. - Stacja benzynowa - dodał na tę samą modłę.

Jakby Colin jej nie zauważył! Dał ostro po hamulcach. Tym sposobem stracili także dojazdówkę.

- Może ktoś z biorących paliwo odsprzeda nam pasujące normalne koło zapasowe - mruknął Colin, kiedy ford wreszcie się zatrzymał.

- Jeśli nie uszkodziłeś piasty - zgodził się niemalże radośnie Caramel. - Nim zaczniesz się wściekać... Skoro facet podłożył nam ładuneczek, mógł też upchnąć gdzieś nadajnik, albo nawet kilka, na tyle sprytnie, że nie wykryjemy ich bez odpowiedniego sprzętu. Ten wóz przypuszczalnie jest już trefny, więc bym go sobie odpuścił. Porzucimy go tutaj, za jakiś czas go odholują i zaczną ścigać gościa, który nawet nie wie, że oficjalnie jest posiadaczem tego grata.

- Super - mruknął Colin. - Przypominam ci tylko, że jesteśmy w trakcie pościgu, a moja toyota stoi w Dreźnie.

- Nasz nowy środek transportu właśnie podjeżdża - stwierdził Caramel, spoglądając w lusterko wsteczne.

Colin także zerknął w lusterko, ale w tej chwili kątem oka uchwycił mijający ich samochód. Granatowy passat zatrzymał się przed nimi.

- Benson - powiedział cicho Colin, zanim jeszcze kierowca otworzył drzwi.

- Tak to bywa w sytuacji braków kadrowych - skwitował Caramel. - Trzeba się w kółko wysługiwać tymi samymi

agentami.

Colin chętnie przeciągnąłby mu pazurami po mordzie, za tę beztroskę i za zwłokę w podzieleniu się informacją, że Benson siedzi im na ogonie. Gnojek zauważył przejeżdżającego koło nich agenta już wówczas, gdy zmieniali koło! No tak, zasadniczo nawet się do tego przyznał.

Tylko że Benson właśnie wysiadł z samochodu, należało więc raczej zjednoczyć siły przeciw draniowi, zamiast pokazywać, że w ich obozie panuje rozłam.

ROZDZIAŁ 8

Oriana nie okazała irytacji, choć w jej mniemaniu Emily tylko udawała brak zrozumienia. Mieszała daty, myliła nogogłoszczki ze szczękoczułkami, nie dziwiło jej, gdy po przemnożeniu liczby całkowitej przez dwa otrzymywała liczbę nieparzystą. Teoretycznie dziewczynka miała prawo czuć się przytłoczona i zszokowana informacjami, jakimi niedawno zarzucił ją Lars, tyle że zdaniem Oriany mała po prostu uznała, że oczekuje się po niej takiej reakcji.

Dlaczego Oriana coraz częściej odbierała zachowanie Emily jako grę? W rozmowach z Larsem czyniła na ten temat ostrożne aluzje, ale on ich nie wychwytywał, jakby nie zaobserwował niczego podobnego. Jako mężczyzna był mniej wyczulony na tego rodzaju niuanse, zarazem jednak znał dziewczynkę o wiele dłużej niż Oriana i powinien odnotować zmianę w jej zachowaniu, gdyby taka faktycznie nastąpiła.

Na początku swego pobytu tutaj Emily stresowała się zupełnie nową sytuacją, tak więc Oriana otrzymała obraz do pewnego stopnia zafałszowany. W dodatku dziewczynka dorastała, a to przecież okres burzliwych przemian – tyle Oriana wiedziała, nawet nie mając do czynienia z dziećmi. Nie powinna oczekiwać po swej podopiecznej ciągle tych samych gestów, nastrojów, zainteresowań.

Na czym zatem polegał problem? Emily sprawiała takie wrażenie, jakby ciągle się starała, tak że nawet jej spontaniczne reakcje wyglądały na wypracowane. Wydawała się szczerą jedynie wtedy, gdy wpadała w złość.

Oczywiście, powody takiego zachowania mogły być różne i niekoniecznie zagrażały operacji, niemniej wypadało uwzględnić, że mała planuje ucieczkę, i położyć większy

nacisk na kwestię przekonania Emily o wadze czekającej ją misji. To już wszakże była działka Larsa, a on nie dopuszczał myśli, że podopieczna mogłaby go zawieść. Analizował rozmaite przeszkody i drobne katastrofy, potencjalnie zdolne zniweczyć ich plany, ale nigdy nie wiązały się one z dziewczynką.

- Emily ma ostatnio problemy z koncentracją - zagaiła Oriana wieczorem, kiedy Lars dołączył do niej w ogrodzie.

- To zrozumiałe - stwierdził.

Wykorzystując sytuację sprzed pięciu dni, ów wściekły wybuch tamtego, zaczął przygotowywać dziewczynkę do ostatniego etapu. Lars poinformował o tym fakcie Oriane, nie zdawał jej wszakże sprawozdań z odbywanych z Emily sesji. Wydawał się zadowolony z postępów podopiecznej czy też może ze spokoju, z jakim przyjmowała kolejne rewelacje. Tyle Oriana sama widziała: Emily nie wpadła w panikę, nie okazywała buntu. Stała się jedynie trochę rozkojarzona.

- Jeśli dobrze pójdzie, Colin dotrze tu za tydzień - oznajmił Lars.

Oriane na moment odebrało mowę. Za tydzień? A on powiadamiał ją o tym tak beznamiętnie, jakby chodziło o co najmniej pół roku.

- Tydzień? - powtórzyła spokojnie.

- Sporo zależy od tego, jak oceni go Richard - odparł Lars. - Lada moment powinni się spotkać. Thomas zakończył oględziny głązów i wyruszył w drogę powrotną. Colin razem z tym synem Gordona, jak mu tam... - zawiesił głos, ale nie odpowiedziała mu imienia Erasmusa, pewna, że Lars doskonale je pamięta, a jedynie po raz kolejny akcentuje swoją pogardę wobec chłopaka - ...pojechali za nimi.

Czekała na dalsze informacje. Tydzień! A Oriana dopiero przymierzała się do przekonania kapłana, żeby intensywniej popracował nad nastawieniem dziewczynki.

- Richard ich opóźni i podsunie im inny trop - ciągnął Lars. - Niestety, zastosowali jakąś technologiczną sztuczkę.

Thomas będzie musiał oddać nam przysługę.

Thomas został wysłany, żeby zbadać krąg; nikt go nie uprzedził, że może być śledzony, nie przypuszczał nawet, że głązy z Fionii odgrywają rolę w operacji Larsa. Oficjalnie nie orientował się również, oczywiście, w bieżących postępach tejże, choć między niewtajemniczonymi w sprawę kapłanami krążyły mniej lub bardziej bliskie prawdy pogłoski. Kłopot polegał na tym, że, choć kapłani potrafili zaakceptować fakt, że trzyma się przed nimi w tajemnicy szczegóły danego przedsięwzięcia, reagowali nerwowo, gdy wychodziło na jaw, że zostali wykorzystani jako pionki w grze kolegi.

Nie ulegało wątpliwości, że Thomas uda się z pretensjami do Pera. Dlaczego jednak Lars przejmował się tą sytuacją? Czyżby nie uzgodnił z Pierwszym Kapłanem, że podsyła Colinowi nowy trop? Operacja otrzymała najwyższy priorytet, Lars miał prawo nawet narazić życie innego kapłana, ale mimo wszystko powinien przynajmniej poinformować Pera o podjęciu takiej decyzji. Zwłaszcza że dopiero co stracili dwóch towarzyszy. No tak, Per musiał być z tego powodu wściekły; jeśli operacja zakończy się fiaskiem, Lars osobiście odpowie za poniesione straty.

- Emily wie, że to już za tydzień? - Oriana wróciła do najistotniejszej kwestii.

W zasadzie bardziej uderzyła ją wiadomość, że Benson widział jedynie Colina i Erasmusa, bez dziewczyny. Tematu siostrzenicy Oriana wolała wszakże nie poruszać.

- Nie, oczywiście. - Lars posłał jej krótkie, pozbawione wyrazu spojrzenie.

Poczuła się skarcona. Przecież przed momentem mówił, że czeka na opinię Richarda. Nie poda dziewczynce choćby bardzo przybliżonej daty, dopóki nie zyska pewności, że doprowadzi tu Colina na czas. Nie chciał pokazać Emily, że czegoś nie kontrolują.

- Uważasz, że nie będzie gotowa - stwierdził.

- Tydzień to mało - przyznała ostrożnie Oriana.

- Jeśli usłyszę od Richarda pomysły wieści, jutro zabiorę ją na dół. Wstrząsnę nią, a potem przedstawię nasze argumenty. Nie zostawię jej czasu na zastanowienie. Zanim zrodzą się w niej najdrobniejsze obiekcje, będzie po wszystkim.

Jakże nieskomplikowanie brzmiał ten plan. Wstrząs, kilka argumentów nie do zbiccia i pełna kooperacja ze strony Emily. Oriana wahała się, czy powinna dalej wyrażać wątpliwości. Tydzień. Może Lars miał rację, ona zaś dała się ponieść niechęci do tego dziecka?

- Czy wobec tego powinnam kontynuować normalne zajęcia? - zapytała. - Mogłaby lepiej wykorzystać ten czas z tobą.

- Zmienimy proporcje - przystał. - Nieznacznie. Musi mieć odskocznnię.

Oriana podejrzewała, że Emily wolałaby inne rozrywki niż nauka biologii czy matematyki, zmilczała jednak.

- Jest silna i rozsądna - oświadczył Lars. - Poradzi sobie.

Skinęła głową, zła na siebie, że jej obawy okazały się tak czytelne.

- A później? - spytała. - Obiecałeś jej coś konkretnego?

Poprzedniczkom Emily składano obietnice, których i tak nie zamierzano dotrzymać. Oriana odnosiła wrażenie, że Lars planuje wyłamać się z tej niechlubnej tradycji.

- Włączę ją do projektu Dietera - odparł z zaskakującym ożywieniem. - Sterowanie nieświadomymi na odległość doskonale jej wychodzi. Konsultowałem się już z Dieterem, dziewczynka wydaje się stworzona do jego celów. Wykorzystał genotyp tego zaginionego chłopca, wkrótce uzyskamy kilka nowych egzemplarzy. Spodziewam się, że z pomocą Emily znajdzie się też pierwowzór.

Nie poznawała go, mówił z takim zapałem. Mogłoby się wydawać, że bieżąca operacja to zaledwie uciążliwy obowiązek, który trzeba wypełnić, zanim przystąpi się do realizacji zasadniczego, znacznie bardziej obiecującego planu.

- Nie obawiasz się, że ona nauczy się dominować także silne alfy? - zapytała Oriana.

- Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego przepowiednia mówi o dziewczynce? Dokonać dzieła ma dziecko, a nie dojrzała kobieta.

Owszem, zwróciła uwagę na ten szczegół - i odczytywała go zgodnie z ogólnie przyjętą interpretacją.

- Ponieważ związek między dorosłym bratem a małoletnią siostrą jest najsilniejszy - odpowiedziała, jako że milczał wyczekująco.

- W tym twierdzeniu kryje się wiele prawdy - przyznał łaskawie. - Może jednak jej wiek jest istotny również dlatego, że kiedy Emily dojrzeje, jej zdolności znikną lub ulegną znacznemu ograniczeniu? Ze względu na potencjalne korzyści dla projektu Dietera liczę na tę drugą sytuację. Gdybym jednak się pomylił, zawsze znajdzie się ktoś dostatecznie silny, by w porę się jej oprzeć.

Choćby on sam. Odrzucał możliwość, że Emily rozwinie swoje zdolności tak dalece, żeby wpłynąć na niego.

Oriana poczuła niemiły dreszcz. Czy z tego brała się sztuczność w zachowaniu dziewczynki? Emily sądziła - nie ośmieliłaby się bowiem na razie przeprowadzić próby - że potrafi zdominować Oriane, dlatego okazywanie pokory czy szacunku wobec mentorki przychodziło jej z trudnością. Wszystko w smarkuli buntowało się przeciw takiemu upokorzeniu. To kapłani powinni się jej kłaniać, a nie odwrotnie, i Emily niecierpliwie wypatrywała chwili, kiedy zajmie należną jej pozycję.

Była to zaledwie wizja, jeden z tych nonsensownych podszeptów intuicji, tak więc Oriana przywołała się do porządku. Żyła w stresie, a nerwy zawodziły ją akurat teraz, kiedy najbardziej powinna nad sobą panować. Od sterowania nieświadomymi czy nawet przeciętnymi alfami do kontrolowania poczynań kapłana Emily dzieliła daleka droga.

- Prowadzili was prosto w zasadzkę - oświadczył Benson, zanim Colin zdążył napaść nań w kwestii zniszczonej opony i, generalnie, bycia podstępny sukinsynem.

Zaatakowały, ma się rozumieć, jedynie werbalnie, jako że znajdowali się w miejscu zbyt eksponowanym nawet na schludne zabójstwo, nie wspominając o walce przemienionych świadomych.

- Trzeba było nam włożyć kartkę za wycieraczkę - odparł Colin, trzymając w ryzach emocje. - Przeanalizowalibyśmy twoje argumenty i BYĆ MOŻE zmienilibyśmy plany.

- Obserwowano was. Nie chciałem, żeby się zorientowali, że ktoś wam pomaga - odparł gładko Benson. - Jakie macie opony? Dam wam moje koło zapasowe, jeśli się nada.

- Super - powiedział z uśmiechem Caramel, jednak w spojrzeniu, jakim obrzucił Bensaona, nie było przychylności.

Colin nie przypomniał mu, że niedawno planował porzucić fordę, nagle bowiem w pełni dotarło do niego, co kumpel miał na myśli, mówiąc o nowym środku transportu. Jednakże to, czy zabiją Bensaona, będzie zależeć od rozwoju wypadków.

Koło pasowało, a Colin zastanawiał się, do jakiego stopnia jest to zbieg okoliczności. Przynajmniej mieli sprawny wóz.

Podjechali pod restaurację obok stacji benzynowej. Skoro Benson miał im do przekazania wiadomość tak ważną, że aż musiał w tym celu podkładać ładunek wybuchowy, niechże podzieli się tymi rewelacjami jak najszybciej.

- A „naukowcy”? - zapytał cicho Colin, zanim ruszyli za passatem.

- Teraz tego nie sprawdzę, bo drań się pokapuje - mruknął Caramel.

Colinowi nie spodobał się ton jego głosu.

- On może się nam przydać - ostrzegł. - Nawet nie myśl o zabijaniu go, jeśli nie zajdzie potrzeba samoobrony.

W odpowiedzi Caramel tylko chrząknął, a że właśnie dotarli pod lokal, musieli zakończyć naradę.

- Zatem wciągali nas w zasadzkę - zagaił Colin, kiedy usiedli przy stoliku i poczekali, aż kelner przyjmie ich zamówienie. - Nie przyszło ci do głowy, że się z tym liczyliśmy?

- Skąd pomysł, że możesz mierzyć się z kapłanami? - zapytał spokojnie Benson. - Nawet z pomocą swego wiernego przyjaciela?

Caramel przyglądał się agentowi z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Wsparł lewy łokieć na stole i przygryzł paznokcie kciuka. Sprawiał wrażenie, jakby nie zamierzał brać udziału w rozmowie; poza owym „Super” na samym początku, nie odezwał się przy Bensonie ani słowem.

Wypowiedź Bensaona najwyraźniej kryła aluzję, choć przypuszczalnie chodziło jedynie o to, że agentowi nie w smak było towarzystwo osoby trzeciej, nieistotne, czy dlatego, że faktycznie zdradzał kapłanów i bał się o własną skórę, czy też właśnie kapłanom mieszała szyki obecność Caramela. Czy Benson w ogóle orientował się, kogo ma przed sobą? W Stanach poznał Caramela w wilczej postaci, a teraz Colin nie bawił się w prezentacje. Przypuszczalnie jednak agent nie tylko zaopatrzył ich forda w minibomby i nadajniki, ale też przysłuchiwał się prowadzonym przez nich rozmowom.

Pod wpływem tej ostatniej myśli Colin w panice zastanowił się, ile Benson mógł podsłuchać na temat Tin. Cholera...

- Colin. - Benson spoglądał na niego z irytacją.

Chyba powiedział coś ważnego, a Colin tego nie usłyszał.

- Na chwilę się wyłączyłem - mruknął. Niech sobie sukinsyn nie myśli, że Colin z utęsknieniem czeka na każde jego słowo. - Wróćmy do sprawy zasadzki. Skoro się o niej dowiedziałeś, zakładam, że udało ci się także poznać plany, jakie mają względem mnie kapłani. Gordon mówił prawdę? Chcą mnie złożyć w ofierze, żeby zwiększyć moce Emily?

Benson zerknął na Caramela. Krótkie zerknięcie, które w zasadzie powinno umknąć uwagi Colina, a jednak je odnotował. Psiakrew, czyżby ci dwaj w coś razem

pogrywali, on zaś w tej chwili koncertowo robił z siebie idiotę?

- Konkretów nie znam, na pewno jednak zamierzają cię zabić - odparł Benson. - Ci dwaj kapłani mieli doprowadzić cię na miejsce, gdzie wszystko by się odbyło. Chodzi o grupę świętych drzew, choć w rzeczywistości znaczenie ma, jak miemam, ziemia, na której rosną. W każdym razie to nie tam przetrzymują twoją siostrę, nie uzyskałem też potwierdzenia, że jej obecność przy twojej śmierci została w ogóle przewidziana. Chociaż to ostatnie wydaje się prawdopodobne.

- Skoro nic właściwie nie wiesz - powiedział wolno Colin - po cholere nam przeszkadzałeś?

- Zginęlibyście obaj. - Benson nie krył, że uważa taki rozwój zdarzeń za oczywistość. - W byle lasku, niekoniecznie zbliżając się do Emily. Albo przywiedliby ją do ciebie na kilka sekund przed zadaniem ci ostatecznego ciosu, kiedy i tak nie byłbyś w stanie się ruszyć, nie mówiąc o skutecznej walce z kapłanami. Twój przyjaciel nie dostąpiłby nawet zaszczytu powolnej śmierci. Dociera to do ciebie? Jeśli faktycznie zależy ci na uratowaniu siostry, będziesz działał według mojego planu.

W Colinie miarowo narastała wściekłość, a każde kolejne słowo Bensa odrobinę podsycalo płomień. Drań wyzywał go od nieudaczników!

Tyle że... jeśli facet miał plan, sensowny, rokujący nadzieje na sukces, to takiej propozycji pomocy Colin nie mógł odrzucić. Być może nie pozwoliliby się z Caramelem zaszlachtować w tym świętym lasku - jeśli Colina nie ostrzegłoby przeczucie, kumpel ani chybi zwietryłoby niebezpieczeństwo - ale nie ma co marzyć o tym, że odbiliby Emily bandzie kapłanów. A potem znowu znaleźliby się w punkcie wyjścia, bez najmniejszej koncepcji, gdzie szukać dziewczynki.

Na szczęście kelner właśnie przyniósł zamówione przez nich napoje, dając Colinowi dodatkowy czas na opanowanie złości.

- Najpierw musiałbym usłyszeć, na czym polega ten twój plan - oznajmił Colin, kiedy był już pewien kontroli nad emocjami.

Benson spojrział na Caramela, tym razem otwarcie, dając do zrozumienia, że nie zamierza dzielić się swoimi cennymi przemyśleniami w obecności przypadkowych osób.

- Współpracuję z Caramelem - powiedział Colin. - Jest w tę sprawę zaangażowany nie mniej ode mnie.

- Naturalnie - zgodził się Benson. - I nie wątpisz, że jest zaangażowany po właściwej stronie.

Agent otwarcie zasugerował, że Caramel pracuje dla kapłanów. A kumpel nie próbował zaprzeczać! Psiakrew, gnojek nawet się nie zdenerwował, jakby od początku spodziewał się takiego oskarżenia.

- Ufam Caramelowi bardziej niż tobie - oświadczył Colin, zanim dobrze się zastanowił.

Starał się tylko nie dopuścić do zapadnięcia niezręcznej ciszy - ale nagle pojął, że rzeczywiście tak myśli. „Bardziej” nie znaczyło przecież, że bezgranicznie wierzy każdemu słowu kumpla. Po prostu, gdyby był zmuszony wybierać między tymi dwoma, Colin bez wahania stanąłby przy Caramelu. Czy taką decyzję doradzało mu przeczucie? Wiele by dał za wiarygodną odpowiedź na to pytanie.

- Rozumiem - stwierdził ironicznie Benson.

Colin odnotował, że agent nagle się zaniepokoił, jakby zaczął podejrzewać, że przeliczył się w swoich rachubach. Benson trafnie zakładał, że on nie wie o pracy kumpla dla kapłanów, spodziewał się jednak, że ta informacja wywoła gwałtowną reakcję, wręcz sprowokuje Colina do ataku na towarzysza. Tymczasem Colin spokojnie oświadczał, że pomimo tych rewelacji nadal ufa koledze.

- Doprawdy? - odezwał się Caramel, naśladowując ton Bena. - Czy też sądziłeś, że jedynie tobie wystarczy śmiałości, żeby wykorzystywać kapłanów do realizacji własnych celów?

Jak zwykle chłopak zachowywał się tak, jakby sprawy toczyły się dokładnie po jego myśli. Colin wściekłby się z

tego powodu, gdyby nie przekonanie, że tym razem chodzi o błąd na użytek Bensa. Poza tym musiał przyznać, że udawanie lojalności wobec kapłanów celem uzyskania określonych korzyści bardzo pasowało do Caramela. Na tyle, by Colin zaczął się dziwić, że sam dotąd nie wpadł na to, że kumpel prowadzi tego rodzaju grę. Jasne, od samego początku rozważał, czy Caramel nie pracuje dla kapłanów, ale robił to zawsze w kategoriach czarno-białych. Kumpel był wysługującym się draniom zdrajcą albo nie miał z nimi nic wspólnego.

Pytanie: jakich wiadomości Caramel dostarczył kapłanom, żeby wkupić się w ich łaski? Jak wiele powiedział im na temat Tin? Colinowi poczerwieniało przed oczami na myśl o tym, że gnojek przekazywał dalej jego osobiste wynurzenia, nie wspominając o, na szczęście nielicznych, znanych mu konkretach na temat miejsca pobytu czy wyglądu Tin.

- Zapewne wydaje ci się w tej chwili, że osiągnąłeś pożądany skutek, to znaczy zdołałeś nastawić Colina przeciw mnie - podjął spokojnie Caramel, nadal zwracając się do Bensa, choć rzeczywistym adresatem jego wypowiedzi był Colin. - Tyle że on nie wściekł się o sam fakt mojej pracy dla kapłanów, a jedynie, niesłusznie zresztą, o podanie im informacji dotyczących jego dziewczyny.

- Niesłusznie - powtórzył Benson, uśmiechając się leciuteńko.

Ci dwaj walczyli o Colina. Colinowi powinno schlebiać, że znieścacka stał się obiektem takich zabiegów, chciał jednak przede wszystkim usłyszeć, ile Caramel zdradził kapłanom o Tin. Kapłanom... czy Bensonowi?

- Proszę, podziel się z Colinem wiadomościami na jej temat - zachęcił agenta Caramel.

Benson zablefował i teraz musiał wybrnąć z trudnej sytuacji. Wprawdzie Colin chętnie rozszarpałby Caramela już za to, że w ogóle napomknął draniowi o Tin, ale rozsądek podpowiadał, że skoro on sam wygadał się Becky,

że ma dziewczynę, kumpel musiał donieść o jej istnieniu, inaczej bowiem straciłby wiarygodność.

Pojawił się kelner z talerzami, tym razem ratując z opresji Bersona. Inna sprawa, że wszyscy raczej stracili apetyt.

Colin dziwił się własnemu opanowaniu, ale agent był chyba jeszcze bardziej zaskoczony. Ewidentnie liczył, że jedną zawołaną sugestią sprowokuje Colina do wybuchu. Potem skorzystałby z okazji, żeby pod pozorem ratowania mu życia zastrzelić Caramela - i na zawsze zamknąć chłopakowi gębę, jak wcześniej Gordonowi.

Tyle że Colin uparcie nie atakował. Siedzieli przy stole w publicznym miejscu i wymieniali argumenty, nawet nie podnosząc głosu. Jasne, agent mógłby znienacka sprzątnąć Caramela, a potem twierdzić, że zauważył, jak chłopak sięga po broń - Colin nie miałby jak tego zweryfikować, zmuszony do natychmiastowej ucieczki z restauracji. Jednakże chyba Benson pojmował, że w ten sposób bezpowrotnie utraciłby szansę pozyskania jego zaufania.

- Twój przyjaciel sam się do mnie zgłosił - powiedział Benson, zwracając się do Colina. - Nikt nie kazał mu opuszczać Stanów, bo obroniłbym cię przed nasłanym przez Gordona zabójcą. Ale jemu zależało na zyskaniu uznania w oczach kapłanów. Ma ambicje. W końcu, mimo że jest synem lidera, nigdy nie doczekał się...

- Co? - przerwał mu Colin.

- Widzisz, Jack - wtrącił z uśmiechem Caramel - dla Colina nie wszystkie oczywiste kwestie są aż tak oczywiste.

- Nie wiedziałeś, że...? - zaczął Benson, autentycznie zdumiony.

Nie skończył, bo rozległo się pyknięcie i jednocześnie Caramel zaczął drzeć się po niemiecku, wzywając pomocy.

- Bierz go do mondeo - rzucił po wilczemu do Colina, żeby zaraz niemalże ogłuszyć go kolejnymi histerycznymi okrzykami na użytek otoczenia. Pochylał się przy tym nad Bersonem, udając, że go bada. - Połóż go na tylnym siedzeniu, jak chorego. Ja zagadam Szwabów.

Colin posłuchał i działał automatycznie, odpychając gniewną myśl, że gnojek znów nim dyryguje. Na porachunki między nimi dwoma przyjdzie czas potem. W tej chwili Caramel, w przeciwieństwie do Colina, najwyraźniej miał koncepcję, jak opuścić lokal bez ściągnięcia im na kark policji.

Zarzucił sobie na szyję prawe ramię Bensaona i przytrzymał je prawą ręką, starając się zarazem zasłonić plamę krwi w okolicach serca agenta, na szczęście mało widoczną na granatowej koszuli. Objął trupa w pasie lewą ręką i dźwignął z krzesła, jak pijanego. Z tym że pijani zwykle przynajmniej usiłują stawiać kroki. Cholera. Tymczasem Caramel wrzeszczał na obsługę i nielicznych klientów restauracji – zajęte były jeszcze tylko trzy stoliki – zdaje się oskarżając kelnera, że w potrawie kolegi znalazło się coś niebezpiecznego dla zdrowia. Że niby Benson był alergikiem?

Colin nie miał czasu na dalsze próby rozszyfrowania wypowiedzi kumpla. Skupił się na wynoszeniu agenta z restauracji tak, by choć paru świadków skłaniało się potem ku twierdzeniu, że chory wyszedł o własnych siłach, z niewielką pomocą swego kompana.

Zapakował Bensaona na tylne siedzenie mondeo i upozował jak śpiącego. No, ciekawe, czy ujdzie im to płazem.

Przeszukał kieszenie trupa i wyjął kluczyki do jego volkswagena. Psiakrew, nie podobała mu się koncepcja podróżowania dwoma autami akurat teraz, kiedy miał do Caramela od groma pytań, nie wspominając o paru innych kwestiach, które chętnie wyjaśniłby sobie z nim niekoniecznie za pomocą słów. A jeśli gnojek mu zwieje?

- Masz kluczyki od passata? - zapytał Caramel, wyrastając przy Colinie tak nagle, że ten z trudem powstrzymał się przed przywaleniem mu w zęby. - Dawaj, ty weź forda.

I znów Colin nie zdążył zaprotestować, bo kumpel już biegł do samochodu agenta. Inna sprawa, że nie był to

najlepszy moment na spory, kto bierze czyją brykę.

Colin ruszył za passatem, nasłuchując syren, bo jakoś wątpił, by rodowity Niemiec dał się przekonać, że przy tego rodzaju zajściu nie ma potrzeby wzywania policji. Niemniej istniała maleńka szansa, że pośród gości i obsługi restauracji zabrakło Niemca. Jeden stolik zajmowali Włosi – rozmawiali tak głośno, że nie dało się przeoczyć tego faktu. Obsługujący ich kelner także był obcokrajowcem, sądząc z akcentu, Polakiem, więc raczej nie będzie chciał ściągać sobie na kark kłopotów...

Cóż, na razie Colin mknął za prowadzonym przez Caramela passatem i powinien raczej martwić się, co zrobi, jeśli kumpel spróbuje mu zwiać. Gnojek nie wytłumaczył się jeszcze ze swojej działalności dla kapłanów i miał podstawy obawiać się, że Colin go za nią ukatrupi. Sam Colin natomiast dziwił się, że nie czuje się bardziej wściekły. Był zły, jasne, ale raczej o to, że kumpel go okłamał, niż o fakt, że donosił kapłanom. Oczywiście, te zapatrywania mogły ulec zmianie, kiedy Colin dowie się wreszcie, jakie konkretnie informacje dotarły do tych drani, niemniej wierzył, że nie było to nic o zasadniczym znaczeniu.

Paradoksalnie, Colin nabrał do Caramela więcej zaufania, kiedy usłyszał o kapłanach. Cały czas odnosił wrażenie, że kumpel coś przed nim zataja, a teraz wreszcie poznał tę tajemnicę.

Na razie nic nie wskazywało na to, żeby chłopak planował ucieczkę. Jechał równym tempem, sto pięćdziesiąt na godzinę, a więc nie tak znów szaleńczo szybko, i nawet zwalniał, kiedy Colin, zmieniając pas, żeby ustąpić miejsca mknącemu z większą prędkością pojazdowi, zniknął mu z lusterka.

Mimo to Colin zastanawiał się, czy rozmowy z Caramelem nie należałoby zacząć od przestrzelenia mu kolana. Gnojek twierdził, że od czasu do czasu należy

testować na sobie działanie srebra, tak więc nie powinien zgłaszać pretensji, a przynajmniej pogawędziliby chwilę bez groźby ręko- czy łapoczynów.

Zmarszczył brwi. Skąd Caramel wytrzasnął tłumik? Jeśli nie kupił go w Dreźnie, musiał podwędzić Colinowi glocka.

Omiał nie spowodował wypadku, kiedy odwrócił się gwałtownie, żeby spojrzeć na torby w bagażniku. Nie zasunęli rolety, ale i tak nie umiał stwierdzić, czy Caramel grzebał w jego rzeczach. Psiakrew, kiedy zdążył to zrobić? Przy okazji pierwszej czy drugiej wymiany koła? Colin nawet nie kojarzył, żeby gnojek kręcił się w pobliżu tych cholernych bagaży.

No dobrze, Colin prawdopodobnie nie miał już pistoletu, w przeciwieństwie do dysponującego dwiema sztukami kumpla. Co najmniej dwiema, bo przecież Benson także powinien być uzbrojony, Colin zaś niczego przy nim nie znalazł. W każdym razie opcja z postrzeleniem Caramela odpadała, a wręcz istniało spore prawdopodobieństwo, że łajdak wpadnie na taki sam pomysł spacyfikowania rozmówcy. Niech no tylko spróbuje...

Caramel włączył migacz, sygnalizując zamiar zjazdu z autostrady. Jednocześnie odezwała się komórka Colina.

- Poszukamy lasku - powiedział Caramel. - Trzeba ukryć ciało.

Zatem wkrótce nastąpi konfrontacja.

Colin zebrał się w sobie. Nie daruje, jeśli bydlak go postrzeli! Tyle że, tracąc kontrolę nad emocjami, nie pozostawi Caramelowi wyboru. Z drugiej strony, chłopak na pewno nie oczekiwał po Colinie stoickiego spokoju.

- Pracujesz dla kapłanów? - zaatakował Colin, ledwie wysiedli z samochodów.

- Od jakiegoś czasu już nie, ale nie jestem pewien, czy się skapnęli - odparł beznamiętnie Caramel. - Pochowajmy go najpierw. Podrzucimy oba wozy na parking w Hanowerze, wynajmiemy nowy i wtedy pogadamy.

- Bo potrzebujesz czasu na wymyślenie przekonującej bajeczki? - warknął Colin.

- Bo zakładam, że w fordzie Benson mógł nam założyć podsłuch. Chociaż, nawet jeśli to zrobił, diabli wiedzą, czy podzielił się z kimś informacją o tym i innych podczepionych nam urządzonkach. Gość lubił pracować sam...

- Caramel...

- Kurde, Colin, ile mogłem odłożyć z akcji straży? Trochę uskładałem, wystarczyło na bilet tutaj, no i nie powiem, że nic mi po tym zakupie nie zostało, ale wolałem trzymać kasę na czarną godzinę, a na razie korzystać ze środków kapłanów.

- Sugerujesz, że byłem cholernie naiwny, łapiąc się na twoją opowiastkę o „odłożonych” środkach? - wycodził Colin. - Ale w historyjkę o tym, jak wystawiłeś do wiatru potężnych kapłanów, mam uwierzyć bez oporów?

- Nie chodziło tylko o kasę - mruknął Caramel. - Jedynie tak mogłem ochronić własną skórę. Inaczej na bank by mnie zabili, żebym się przy tobie nie plątał i przypadkiem nie chlapanął czegoś, o czym nie powinienesz wiedzieć. Zdołałem ich przekonać, że sam niewiele wiem, natomiast mogę się im przydać, usiłując wysondować, do jakich doszedłeś ustaleń. Benson kłamał, skontaktowałem się z nim dopiero, kiedy trzymaliśmy Josha. Poniekąd sam podsunąłeś mi pomysł. Tak wytrwale podejrzewałeś mnie o nieczystą grę, że aż głupio mi było sprawić ci zawód... Zanim skończyłem prowadzone za pośrednictwem Bensona pertraktacje, zdążyliśmy spotkać się z Becky. Polecili mi odciągnąć cię od sprawy kliniki. - Caramel uśmiechnął się nieznacznie. - Wmówiłem im, że jesteś potwornie zaangażowany w to śledztwo, a ja robię co w mojej mocy, żeby dyskretnie cię do niego zniechęcić. Nie powiedziałem im o Tin nic ponadto, że się zakochałeś - dodał z powagą. - Prawie do niej nie dzwoniłeś, raz wypuściłeś się ją odwiedzić. Nie jesteś typem, który zwierza się ze swoich sercowych rozterek. Co, może kłamałem? Telepatyczne rozmowy trudno uznać za standard w społeczności, więc nigdy by nie wpadli, że zatajam tego rodzaju informację.

Proszę, jak gnojkwowi zależało na przekonaniu Colina, że prowadząc rozgrywkę z kapłanami, pozostawał wobec niego lojalny. Lojalny, psiakrew! Nie dość, że donosił na Colina, to jeszcze bezczelnie twierdził, że robił to, żeby nie zawieść jego oczekiwań!

No, ale w gruncie rzeczy, co z tego, że kapłani orientowali się w postępach prowadzonego przez Colina śledztwa w sprawie kliniki? Przecież to Caramelowi zależało na eksperymentalnych dzieciakach, Colin szybko sobie odpuścił. Zresztą, Caramel utrzymywał, że większość swoich doniesień zmyślił lub przynajmniej solidnie zmodyfikował.

Dla Colina istotne było wyłącznie to, ile kapłani wiedzą o Tin, a w tej kwestii ufał zapewnieniom Caramela, że ten ograniczył się do ogólników.

Cholera, Colin chciał dać się przekonać. Potrzebował sprzymierzeńca, a na nikogo innego nie mógł liczyć. Tin miała dobre pomysły, ale skoro kapłani szykowali pułapkę, Colinowi nie wystarczy samo wsparcie intelektualne. Nie zamierzał jednak znowu wyjść na zbyt łatwowiernego, niechże więc Caramel przyłoży się do własnej obrony.

- Kto by pomyślał, że kapłani dadzą się tak wykołować - skomentował z przekąsem Colin. - No i Benson, bo przecież to jemu składałeś raporty.

- Na początku jemu, potem dali mi numer telefonu innego gościa. Udzielając mi instrukcji, mówił „my”, ale odniosłem wrażenie, że był tylko poświadczającym. W ten sposób kontrolowali Bensaona, chociaż przypuszczam, że każdy mój raport przechodził przez jego ręce. Potem, kiedy uznali, że odważyłem swoją robotę i nie zaszkodziłoby się mnie pozbyć, z powrotem przekierowali mnie do niego. Namawiał mnie do powrotu na łono organizacji, gdzie dostąpiłbym zaszczytów z tytułu dobrze wypełnionej misji. Jak się domyślasz, nie dałem się nabrać.

- Czyli nie odeprzesz mojego zarzutu? - warknął Colin do wtóru narastającej w nim wściekłości. Usiłował załatwić

sprawę polubownie, a gnojek zbywał go bzdurnymi historyjkami, jakby dążył do siłowej konfrontacji.

- Kapłani są zbyt zadufani w sobie, żeby podejrzewać, że jakiś tam syn wilczycy ośmieli się im przeciwstawić - stwierdził z westchnieniem Caramel. - Podobnie zresztą Benson. Jak przystało na nieprzemienialnego, uważał się za najbystrzejszego w całym towarzystwie. Pogrywał sobie z kapłanami, ale ja, żółtodziób, nie porwałbym się na to samo, bo w jego mniemaniu powinienem trząść portkami ze strachu już na myśl o spotkaniu z potężnym kapłanem. Zamierzał mnie zabić w tej restauracji, czekał tylko na dogodną okazję, ale nie przyszło mu do głowy, że go ubiegnę. On zastrzeliłby mnie w miejscu publicznym, ja natomiast nie miałem prawa poważić się na takie posunięcie.

Syn wilczycy. Colin zmarszczył brwi. Psiakrew, jakimś sposobem udało mu się wyrzucić z myśli kwestię pochodzenia Caramela... a teraz nadal nie czuł się na siłach, by podejmować temat. Obecnie przemawiał z pozycji oskarżyciela, Caramel zaś szukał argumentów na swoją obronę. Jeśli rozmowa zejdzie na Gordona, role się odwrócą.

- Nieprzemienialnego? - zapytał Colin. - Że niby co, Benson był świadomym, ale nie umiał się przemieniać? Jaja sobie robisz? Skąd byłoby wiadomo, że to w ogóle wilkołak, a nie człowiek albo przynajmniej kotołak, lwołak czy inna cholera?

- Na przykład stąd, że pochodził z rodu wilkołaków i posiadał wszystkie umiejętności typowe dla silnej alfy w ludzkiej postaci? - podsunął niewinnie Caramel. - Oj, Colin. Fakt, że ty nie słyszałeś o takich osobnikach, nie równa się...

- Załapałem - przerwał mu gniewnie Colin. Odnosił niemiłe wrażenie, że traci przewagę.

- Nieprzemienialni uważają, że niemożność przybrania wilczej postaci stawia ich wyżej od najsilniejszych zmiennokształtnych alf, z którymi z tym jednym wyjątkiem

dziela cechy - wyjaśnił Caramel. - Przyznasz, że z naszego punktu widzenia ta ich właściwość nie wygląda na zaletę, oni jednak twierdzą, że nawet jeśli silna alfa całkowicie panuje nad przemianą, to mimo wszystko przynajmniej od czasu do czasu musi zmienić postać, gdyż inaczej by zwariowała. Przemiana zaś grozi zdemaskowaniem, podobnie zresztą jak sama fizyczna zdolność do niej, tak więc na przykład my dwaj, w przeciwieństwie do Bensona, nie zdołalibyśmy oszukać agencji.

- Mówisz o rentgenie? - zdziwił się Colin.

- Ach, no tak, dla ciebie to przecież tylko kolejna chora teoria Alberta.

- Dlaczego tak uparcie mnie prowokujesz? - zirytował się Colin. - Przez chwilę gadałeś rozsądnie, jakby autentycznie zależało ci na odzyskaniu mojego zaufania, a teraz co rusz starasz się mi dopiec. Zmieniłeś zdanie i usiłujesz mnie sprowokować do ataku?

Caramel denerwująco długo przyglądał mu się zmrużonymi oczami.

- Nie mogę się powstrzymać - wyznał wreszcie. - Korci mnie, żeby sprawdzić, jak wiele zdołasz znieść. Gdybym półtora miesiąca temu powiedział ci, że pracuję dla kapłanów, rzuciłbyś się na mnie, nie dając szansy na dalsze wyjaśnienia, choćbym uczynił to wyznanie w centrum miasta w porze szczytu. A teraz stoimy sobie w lesie, wokół nie ma żywego ducha, jechałeś dobre pół godziny w wozie wypełnionym zapachem krwi twego wroga, a mimo to potrafisz ze mną normalnie rozmawiać. Jestem w szoku.

- Skończ - burknął Colin, udając gniew, którego, ku swemu zdumieniu, prawie wcale już nie czuł.

Ba, wręcz zrobiło mu się miło z powodu tego komplementu Caramela... Nie, bez przesady, nie pozwoli się gnojkiowi tak łatwo ugłaskać.

Zmarszczył brwi. Kwestia Gordona wracała jak senna zmora.

- Grzebiemy drania? - zapytał Colin.

Właśnie, najpierw mieli uwinąć się z ciałem, a dopiero potem gadać.

Jakkolwiek dziwnie to zabrzmiało, grzebanie Bensona stanowiło miły przerywnik. Colin na moment porzucił dręczące rozważania na temat lojalności i motywów postępowania Caramela, poświęcając się czysto fizycznemu zajęciu. Z zapalem darł pazurami ziemię, wyrzucając za siebie ciemną fontannę - nawet tak zwykle zapobiegliwy Caramel nie woził w bagażniku szpadla, pozostało im więc wykopać dół, korzystając z niedocenianych przez Bensona zalet wilczej postaci.

Uznali, że ponieważ i tak nie zdołają skutecznie zamaskować miejsca ukrycia zwłok, zryją większy szmat terenu, wzorem szukających pożywienia zwierząt. Dlatego Colin nie przejmował się, że wyrzuca ziemię na odległość kilkunastu kroków. Nie myślał o niczym, kopał. Nie obchodziło go nawet to, że Caramel stoi z boku i mu się przygląda, zapewne z sugestywną miną - niech się gnojek cieszy, że Colin z takim zacietrzewieniem atakuje grunt, a nie jego.

- Dostyc - powiedział wreszcie Caramel. - Lada moment dokopiesz się do wód głębinowych.

Colin wyprostował się, przyjmując ludzką postać - i odkrył, że jego głowa znajduje się na poziomie kolan Caramela. Chyba rzeczywiście trochę się zatracił przy kopaniu.

Odchrząknął. Nie skomentował faktu, że Caramel nie ma ani drobiniki ziemi za paznokciem.

- Dawaj go - zarządził.

Caramel zepchnął ciało Bensona do dołu, a Colin skrzyknął agentowi kark, na wypadek gdyby dziura w klatce piersiowej okazała się kolejną sprytną sztuczką.

- A jeśli trafi w łapy agencji? - zapytał. - Nieprzemienialny ze srebrną kulą?

- Agencja to przecież też nasi - stwierdził z uśmiechem Caramel. - Ale jeśli bardzo ci zależy, podrzucimy organizacji namiary na to miejsce. Przyjadą i go sobie odkopią.

- Musiałeś go zabijać? - Colin wyskoczył z dołu, nagi i uwalany ziemią. - Jasne, ty albo on, ale wystarczyło go zranić. Nawet jeśli ten jego plan był pułapką, chętnie bym usłyszał, co drań wymyślił.

- Załóżmy, że udałoby mi się go postrzelić tak, żeby się z tego wylizał, a jednocześnie pozwolił się nam bez problemu wynieść z restauracji - powiedział spokojnie Caramel. - Jak wydobyłbyś z niego informacje? Torturami?

- Chociażby - warknął Colin.

Pojął, że nie umiałby torturować Bensona - i wkurzało go, że Caramel się tego domyślił. Właściwie Colin wątpił, czy potrafiłby świadomie znęcać się nad kimkolwiek... Nie, no dobra, wszystko by zależało od okoliczności. Gdyby na przykład wiedział, że dana informacja przesądzi o życiu Tin, nie cofnąłby się przed niczym.

A życie Emily? Czy wydawało mu się tak nieistotne, że nie zdobyłby się na zamęczenie Bensona, żeby uzyskać namiar na miejsce pobytu siostry? Niezupełnie, Emily nic nie groziło, w każdym razie nic poza skrzywieniem wskutek nauk kapłanów, a ono akurat mogło nastąpić już dawno.

Zgoda, Colin nie przejął się śmiercią agenta, co innego jednak zabić kogoś szybko i czysto, a co innego męczyć godzinami dla głupiej informacji, która przypuszczalnie i tak okazałaby się fałszywa. Facet potrafił świetnie kłamać. Colin zacisnął zęby, przypomniawszy sobie oparte na koncepcji mnogości światów, idiotyczne wyjaśnienie tej zdolności, jakim uraczył go Benson, kiedy Colin sądził jeszcze, że ma do czynienia z człowiekiem.

- Istnieją stosowne specyfiki - mruknął.

Caramel milczał. No tak. Gdzie mieliby je zdobyć?

- Dlaczego sądzisz, że chciał cię zabić? - odezwał się znowu Colin. - Jeśli przeszkodził nam w pościgu za tymi dwoma, żeby ocalić nas przed zasadzką, to chyba jednak

nie pracował dla kapłanów. Może dalibyście radę się dogadać...

- Pracował - wpadł mu w słowo Caramel. - Miał cię przejąć, jak pałeczkę w sztafecie.

- Skąd ta pewność? - wkurzył się Colin. - Dlaczego twoja wersja zdarzeń zawsze musi być jedyną słuszną?

- Ponieważ to Benson najzacieklej kłócił się z Gordonem wtedy, kiedy się połapałem, że będziesz potrzebował pomocy - wyjaśnił po krótkim milczeniu Caramel. - Utrzymywał, że kapłani podjęli słuszną decyzję i należy pozwolić im działać.

- Ale, oczywiście, nadal nie wiesz, o jakiej decyzji była mowa - wycedził Colin, zaciskając pięści. Gnojek nie tak dawno chciał się przekonać, gdzie kończy się samokontrola Colina?

- Nie wiem. Ile razy mam ci to powtarzać? - rzucił Caramel, raczej ze zmęczeniem niż irytacją. - Byłem tylko świadkiem końcówki sporu, który wybuchł na tle uzyskanych przez Gordona informacji, dotyczących najprawdopodobniej tego, do czego kapłani planują wykorzystać twoją siostrę. Benson działał w grupie oporu i chyba nie chwalił się tym faktem kapłanom, to znaczy naprawdę należał do opozycji, a nie szpiegował ją dla nich. Tak by należało tłumaczyć fakt, że kapłani nie wiedzieli o zamiarach Gordona. Choć niewykluczone, że sam Benson niczego się nie domyślał. Oni dwaj pokłócili się ostro, Bersona poparły trzy inne obecne wtedy osoby, Gordon bronił swego stanowiska sam i na koniec ustąpił, oczywiście na pozór. Być może Benson i jego poplecznicy doszli do wniosku, że zdołali przekonać lidera, a z kolei Gordon, naturalnie, nie pochwalił się im na drugi dzień, że kogoś na ciebie nasłał. Moim zdaniem Benson kłamał, kiedy mówił, że w Szkocji zdołałby cię obronić. Po tamtej kłótni szpiegowałem Gordona, na pewno tylko ja jeden, no i poleciałem do Europy. Myślę, że dopiero, kiedy w organizacji ustalili tożsamość tego zamachowca, Benson pojął, co zaszło. No i zadbał o to, żeby Gordon znalazł się na

celownika kapłanów. Nieprzemienialni nie znoszą przegrywać. Kiedy nawiązałem z nim kontakt, twierdził, ma się rozumieć, że nic nie dzieje się bez wiedzy i akceptacji kapłanów, tak więc sytuacja znajdowała się cały czas pod kontrolą. Nieźle ściemniał.

Złość spłynęła z Colina. Gordon, znowu Gordon. W dodatku Caramel opowiadał o nim jak o obcej osobie – podczas gdy zapewne głównym powodem, dla którego wykończył Bensona, była chęć pomszczenia ojca. Cholera, Colin nie mógł dłużej unikać tematu.

- Słuchaj, w kwestii Gordona... - zaczął niezręcznie. Zmarszczył brwi. - Kurwa, Caramel, zajarzyłeś, że nie wiem, to trzeba mnie było uświadomić, a nie robić ze mnie idiotę! Na przykład wtedy, gdy mówiłem ci o jego ostatnim słowie! Umarł z twoim imieniem na ustach, a ty wciskałeś mi kit, że chciał cię ostrzec!

Caramel westchnął ciężko i powiódł wzrokiem po rozgwieżdżonym niebie. Za chwilę zacznie się kpiąco dopytywać, czy powinien był nosić na szyi plakietkę także z tą informacją. Szlag.

- Widzisz, trochę mnie zabolalo, że nie raczyłeś się zorientować – odezwał się wreszcie Caramel. - Nie dość, że byłeś pupilkiem Gordona, to jeszcze uważałeś, że masz do tego pełne prawo.

- Pupilkiem? - powtórzył z niedowierzaniem Colin.

- Próbował mnie zabić!

- Tłumaczyłem ci kiedyś, że dla niego liczyła się wyłącznie SPRAWA. - W głosie Caramela pojawił się gniew. Proszę, zatem i on sporadycznie ulegał emocjom. - Sprawa wymagała twojej śmierci, postanowił o niej z bólem serca. Gdyby chodziło o mnie, podjąłby decyzję bez większych oporów.

- Więc po co ta zabawa w zemstę? - rzucił Colin. Do diabła, to jego, a nie Caramela, usiłował zabić Gordon. Po czym umarł z imieniem syna na ustach. A gnojek wyzywał Colina od pupilków! - Pozbawiłeś mnie cennego źródła informacji...

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz? - przerwał mu Caramel. Oczy mu się przebarwiły i raczej nie był to zaplanowany efekt. - Zabiłem Bensa, bo inaczej on wykończyłby mnie. Proste. Jeśli przy okazji się zemściłem, super. A co, ty nie chciałeś zabić Udana? Gdybyś miał możliwość wykończenia gościa, z uśmiechem powiedziałbyś mu, że równy z niego chłop i dziękujesz za przysługę?

- No, to trochę co innego...

- Co tu widzisz innego? - Caramel warczał. Zaraz jednak odetchnął głęboko. Jego oczy odzyskały piwną barwę, wygiął usta w sarkastycznym półuśmieszku.

- Benson między innymi dlatego stanowił dla mnie zagrożenie, że spodziewał się zemsty.

- A gdybym to ja zabił Gordona? - zapytał Colin.

Bo przecież tylko przypadkiem tę śmierć wziął na siebie agent. Colin wygrał pojedynek ze stryjem i gdyby Benson im nie przeszkodził, zastrzeliliby Gordona natychmiast po otrzymaniu od niego wyjaśnień. Poniekąd też ułatwił agentowi namierzenie ofiary. I co, do niego Caramel nie miał pretensji?

- Działałbyś w obronie własnej - odparł chłopak, już całkiem spokojny. - Poza tym zabiłbyś swego stryja, niemalże drugiego ojca, przekonany, że jesteś jego najbliższym żyjącym krewnym. Zrozumiałbym twoją decyzję.

- Przykro mi - mruknął Colin.

- Mnie nie aż tak bardzo. Nie lubiłem drania. Właśnie dlatego zacząłem ci pomagać. Żeby mu zaleźć za skórę, pokrzyżować jego tajne plany bojownika o dobro organizacji. - Caramel mówił zjadliwie, wpatrzony w ziemię, znów ulegając emocjom. - Sam nie wiem, co sobie wtedy myślałem. Z kapłanami nie można przez chwilę pograć we własną grę, a później wrócić do dawnego życia. Podjąłem decyzję pod wpływem impulsu, potem robiłem to, co w danych okolicznościach wydawało mi się najszlachetniejsze, no a teraz już muszę doprowadzić tę

sprawę do końca. Miałem moment, kiedy rozważałem, czy się nie wycofać...

- Alan - wtrącił Colin.

- Właśnie. Może dzięki smarkaczowi coś bym dla siebie utargował... albo nie. Nie liczyłem na słowność kapłanów, raczej na ich chęć zachowania informacji o badaniach genetycznych w tajemnicy przed społecznością.

- Myślałem, że chcesz ich szantażować ujawnieniem ludziom szczegółów tych eksperymentów - zdziwił się

Colin, choć przecież sam powątpiewał, dlaczego kapłani mieliby się przestraszyć takiej groźby, skoro do odkrycia świata prawdy o istnieniu społeczności wystarczyłaby dostatecznie widowiskowa przemiana.

- Ludzie... - mruknął Caramel. - Dumaliby, naradzali się, a organizacja w tym czasie uruchomiłaby swoje macki i sprawa w mig zostałaby zatuszowana. Kapłani tak naprawdę najbardziej boją się buntu w szeregach społeczności. Gdyby odpowiednio rzecz rozegrać, taki dzieciak wystarczyłby, żeby przekonać alfy, że przez lata karmiono je kłamstwami. No ale, jak mówię, chwilowo odpuściłem temat - dodał lżejszym tonem. - Odbijemy draniom twoją siostrę, to może warto będzie rozważyć powrót do tej koncepcji. A teraz zasypmy dół i zmywajmy się stąd, bo Benson mógł się jakoś zabezpieczyć, chociażby zaopatrując się w lokalizator, i możliwe, że inni agenci zastanawiają się już, czy na pewno wszystko u niego gra, skoro od blisko dwóch godzin tkwi w lesie.

- Tin? Tin!

- Jezu, Colin. - Miała zaspany głos, a Colin ponieważ właśnie załapał, że jest grubo po północy.

Zerknął na zegarek. Dwadzieścia po, to nie aż tak strasznie późno. Bywało, że o tej porze Tin dopiero zaczynała szykować się do snu. Ale jasne, teraz musiała gromadzić siły, żeby od rana godnie zabawiać szczeniaka.

- Sorry - mruknął z niechęcią. - Właśnie zakopaliśmy Bensona, przy okazji pogadałem trochę z Caramelem o jego...

- Co zrobiliście? - przerwała mu zdumiona.

No tak, kiedy ostatnim razem z nią rozmawiał, nadal obserwował pseudonaukowców. Pokrótce zdał jej relację z najświeższych wydarzeń - nie rozwodził się zbyt długo, bo łąda moment miał wjechać do Hanoweru. Kiedy znów dołączy do Caramela, powinien wiedzieć, jaką obrać strategię.

- Wydaje mi się, że mogę mu zaufać - zakończył Colin. - Wręcz jakbym słyszał podpowiedź przeczucia, ale chyba jednak jest to co najwyżej intuicja. A nawet boję się, że po prostu przyzwyczałem się do myśli, że mam sprzymierzeńca, i uparcie odrzucam wszelkie rozsądne argumenty przemawiające za rozstaniem z nim.

- Moje przeczucie nadal milczy. Wsłuchiwałam się w wewnętrzny głos, bez skutku, więc w tej chwili także nie powiem ci nic pewnego...

- Ale uważasz, że powinienem mu zaufać? - domyślił się Colin.

- Tak - odparła, choć w jej głosie brakowało pewności. - Postanowił ci pomóc, żeby dopieć ojcu. Gdyby Gordon nagle zmienił zdanie i zaczął cię chronić, niewykluczone, że wówczas z kolei Caramel spróbowałby cię zabić. Dlatego wyczuwałam u niego rozchwianie. Teraz Gordon nie żyje, a Caramel zdecydował, że wesprze cię w poszukiwaniach siostry. Może kieruje nim głównie chęć zaszkodzenia kapłanom, ale tak czy owak przyświeca wam wspólny cel.

Mówiła cicho, jakby podkreślała, że dzieli się z Colinem domniemaniami, które wcale nie muszą okazać się trafne. Jednakże on odbierał sytuację podobnie.

Caramel skorzystał z okazji, żeby odegrać się na ojcu, samą Emily mając w głębokim poważaniu. Potem pojął, że wdepnął w bagno, i zaniepokojony o własną skórę, zaangażował się w poszukiwania dzieciaków z kliniki, chcąc się zabezpieczyć przed kapłanami. Gdyby Colin nie wrócił do Drezna, kumpel pozostałby przy planach szantażu, że

zaprezentuje dzieciaka paru silnym alfom i wywoła bunt w społeczności. Prowadziłby spokojne życie z dala od swoich, nie interesując się, czy koledze udało się uwolnić siostrę. Jednakże Colin nawiązał kontakt, a Caramel zdecydował się na powrót do niego dołączyć i wytrwać już do końca. Poniekąd podjął decyzję w chwili, kiedy zostawiał w tamtej knajpie swój numer telefonu. Rodzaj loterii: Colin się odezwie, zostawiam dzieciaka i kontynuuję akcję przeciw kapłanom; nie odezwie się, dbam o własne interesy, a los Emily mi zwisa.

Zresztą, patrząc wstecz, Colin dostrzegał w zachowaniu i wypowiedziach Caramela wahanie, które teraz znikło. Tak, wreszcie mógł chłopakowi w pełni zaufać i właściwie nie potrzebował opinii Tin – choć miło, że się z nim w tej kwestii zgadzała. I nawet nie skomentowała, że jakimś cudem przez siedem lat mieszkania w osadzie Colin nie zajarzył, że Gordon i Caramel są spokrewnieni.

Psiakrew, dlaczego nigdy nie zaciekawiała go ostentacyjna samotność Caramela? Chociaż... wszyscy członkowie straży zachowywali się trochę tak, jakby mieli na świecie tylko siebie nawzajem. Nie utrzymywali bliskich relacji z rodzicami, wujkami, ciotkami, kuzynami, a nawet z rodzeństwem, jeśli nie należało do straży. Mieszkali razem, tworzyli miniaturową zamkniętą społeczność, do pozostałych mieszkańców osady odnosząc się obojętnie, bez względu na pokrewieństwo. Caramel zagubił się Colinowi na tym tle, choć zgoda, powinna była go zastanowić niezależność tak młodego osobnika. Z drugiej strony, szczeniaka generalnie obowiązywały inne reguły niż pozostałych.

- Cholera, Caramel, na czym to polega? - zapytał Colin, kiedy opuścili Hanower ukradzionym przez niego peugeotem. Wkrótce go porzucą; szkoda im było kasy na wynajem wozu, no i czasu na szukanie całodobowej wypożyczalni. - Dlaczego w osadzie nikt mi o niczym nie mówił? Jasne, mogłem się domyślić, że jesteś synem Gordona, ale widocznie okazałem się niedostatecznie

bystry. Natomiast na pewno zapamiętałbym, gdyby ktoś choć słowem się przy mnie zająknął... - Urwał i sapnął, tłumiąc gniew. Byli z Caramellem kuzynami, a Colina nie raczono o tym poinformować!

- A jak często gawędziłeś z kimś w osadzie? - zapytał Caramel. - Jesteś piekielnym dominantem, Colin. Słabszych traktujesz z góry, a równych sobie natychmiast zaczynasz atakować. Śmiem przypuszczać, że niewiele osób lubiło z tobą rozmawiać.

Colinowi zadrgały skrzydełka nosa. No cóż, nie trzeba było zaczynać tematu.

Zresztą, szybko zauważył, że nie należy do ulubieńców osady. No dobra, Rose go lubiła, znalazłoby się też kilka innych przychylnych mu waderek, tyle że nie był to rodzaj sympatii sprzyjający pogaduszkom o koligacjach rodzinnych lidera. Znając życie, wszyscy zakładali, że Colin wie o swoim pokrewieństwie z Caramellem i po prostu ma je głęboko w nosie.

Powstrzymał się przed zadaniem pytania, dlaczego sam Gordon nie przedstawił go kuzynowi od razu pierwszego dnia pobytu Colina w osadzie. Czy nie od Caramela wypadało zacząć prezentację? Fakt, że Colin nie potrafił sobie przypomnieć, czy tamtego dnia chłopak znajdował się pośród witających go mieszkańców osady. Niewykluczone, że hasał akurat z wilkami, rozmyślnie ignorując przyjazd rywala. Jeśli jednak Colin nie zadał kumplowi tego pytania, powodowała nim głównie obawa, że dla Gordona Caramel liczył się tak mało, że ten nawet nie pomyślał o stosownej prezentacji.

Wtedy się nie liczył. W chwili śmierci Gordon zmienił zdanie.

Colin zerknął na prowadzącego wóz kumpla. Kumpla, no właśnie. Jeszcze długo nie przyzwyczai się do określenia „kuzyn”, a i sam Caramel chyba nie palił się do akcentowania łączącego ich pokrewieństwa. Nie pomagał Colinowi ze względu na zobowiązania rodzinne. I niech tak będzie, liczył się efekt.

- Sądzisz, że w tym świętym gaju cokolwiek znajdziemy?
- zapytał z przekąsem Colin.

Dane z lokalizatora w samochodzie naukowców wskazywały, że śledzeni jechali non stop - nie licząc jednego krótkiego postoju na stacji benzynowej - aż do sporego kompleksu leśnego za Norymbergą. Tam zatrzymali się na dłużej, by po czterdziestu minutach ruszyć w dalszą drogę, i wkrótce potem trop się urywał. Możliwe, że w urządzeniu wyczerpała się bateria, jednak bardziej prawdopodobnie brzmiało przypuszczenie, że zostało ono zneutralizowane.

Las, dokładnie tak, jak mówił Benson. Niewykluczone zatem, że prawdą było także i to, że kapłani uszykowali tam zasadzkę na Colina, w związku z czym nie zaszkodziłoby zastanowić się, jak jej uniknąć. Colin wpatrywał się w satelitarne zdjęcie tej okolicy, jakby mógł dojrzeć na nim bieżące poczynania kapłanów.

- Jasne - stwierdził Caramel. - Ślady niedawnej bytności kilku ludzi, w tym naszych „naukowców”, żebyśmy nie mieli wątpliwości, że trafiliśmy we właściwe miejsce.

- Ale nadal upierasz się, że Benson kłamał?

- Przypuszczam, że jednak wiedział o lokalizatorze albo przynajmniej podejrzewał, że uciekliśmy się do jakiejś technicznej sztuczki - odparł Caramel, nieporuszony. - Nawet gdyby mnie zabił, a potem przekonał cię do swojej bajeczki, sprawdziłbyś, dokąd prowadzili nas tamci dwaj. Może nawet byś tam pojechał, tyle że za dnia i odczekawszy nieco. Kapłani musieli się przygotować na taką ewentualność.

- Dlaczego nie dopuszczasz możliwości, że Benson zweryfikował poglądy? - warknął Colin. - Dobra, wtedy w Stanach pokłócił się z Gordonem, przekonany o słuszności działań kapłanów. Potem przemyślał swoje stanowisko albo uzyskał nowe informacje, zmieniające obraz sytuacji. I odtąd starał się mi pomóc, choćby po to, żeby dorwać i zabić Emily. Niemniej do czasu jej uwolnienia grałby uczciwie. Co ci się nie podoba w takiej wersji zdarzeń?

- Nie zmienił stanowiska, wierz mi.

Jasne, super. Caramel tak twierdzi, więc tak właśnie było. Mniejsza o dowody czy choćby przekonujące argumenty. Colin gniewnie wpatrzył się w ekran laptopa. Odnosił wrażenie, że kumpel nadal coś przed nim zataja. Ile jeszcze tych sekretów?

- Nawet jeśli jest tak, jak mówisz, w tym lesie mimo wszystko może się czaić banda kapłanów - mruknął Colin.

- Poczekamy do rana w Norymberdze, bo i tak musimy wymienić samochód. - Caramel umilkł, jakby się nad czymś zastanawiał. - Znając życie, od razu wpadniesz w wir podejrzeń - odezwał się wreszcie - ale powinieneś pojechać tam sam. Mnie zapewne spróbowaliby zabić.

W Colinie rzeczywiście natychmiast zaczęły kiełkować rozmaite podejrzenia. Może Caramel ciągle pracował dla kapłanów, sprawnie usunął sprzyjającego Colinowi Bensona, a teraz usiłował doprowadzić misję do końca?

- Dojedźmy najpierw do celu - mruknął Colin, zamykając laptopa.

„Naukowcy” podróżowali w niezłym tempie: zrobili trasę w niespełna trzy godziny, tak więc Caramel również nie oszczędzał silnika. Wkrótce dotrą na miejsce. Może wtedy Colina oświeci?

W Norymberdze porzucili peugeota i, zmieniając taksówki, udali się do stosunkowo - jak na centrum - niedrogo hotelu. Cóż, Caramel płacił, ze środków kapłanów. Nie wybiła jeszcze piąta rano, im zaś bezwzględnie był potrzebny odpoczynek. Podali się za podróżujących po Europie angielskich turystów; okazało się, że w Dreźnie Caramel skombinował dla nich paszporty. Prawdę mówiąc, niezbyt oszałamiającej jakości, ale zmęczony recepcjonista nie przyglądał się im uważnie, zwłaszcza że Caramel entuzjastycznie nawijał mu o norymberskich zabytkach, które oni dwaj koniecznie muszą

zobaczyć, powtarzając niemalże słowo w słowo to, co chwilę wcześniej usłyszeli od uczynnego taksówkarza.

Colin padł ze stęknieniem na łóżko. Odkąd na autostradzie strzeliła im opona, utracił kontrolę nad wydarzeniami. Odnosił wrażenie, że cały czas robi jedynie to, co mu każą, a taka myśl zdecydowanie mu się nie podobała. Chętnie skonsultowałby z Tin koncepcję wyprawy do lasu, ale znów by ją obudził. Zresztą, najpierw powinien się kimnąć, żeby nie wypaść w rozmowie z nią jak ostatni tuman.

O dziewiątej rano czuł się nieco bardziej wypoczęty, ale, niestety, nie spłynęło nań oczekiwane olśnienie. Słyszał miarowy, spokojny oddech Caramela. Psiakrew, ten to miał nerwy.

Wezwał Tin, licząc na stymulującą rozmowę, jednak, choć już nie spała, zabawiała Alana. Jakżeby inaczej. Poinformowała Colina radośnie, że szczył zjadł z apetytem śniadanie, bez przerwy mówi do niej „mama”, jest szalenie ruchliwy, bystry i cudownie się uśmiecha.

- Do diabła, Tin, wierz mi, nie interesują mnie najnowsze wiadomości na temat tego szczeniaka - warknął, zanim zdążył dobrze pomyśleć. - Doskonale się miewa pod twoją opieką, i świetnie, natomiast ja muszę się teraz zmierzyć...

- Nie trzeba było zabierać go od rodziców - przerwała mu twardo. - Podoba ci się to czy nie, jesteś teraz jego ojcem, więc postaraj się wczuć w tę rolę. Zwłaszcza że innym ojcom bardzo wysoko ustawieś poprzeczkę.

- Jakim znowu ojcem... - zachnął się Colin.

- Sam się nim mianowałeś - wypomniała mu gniewnie, niemalże z furją. - I przestań nazywać go szczeniakiem. On ma imię.

Przez chwilę Colin miał chęć się spierać, dowodzić jej, że działał dla dobra smarkacza, ale szybko uznał, że pogoniłaby go jak wilczyca od swoich młodych.

- Tin, proszę cię, mam tu poważny problem.

Milczała długą chwilę, dając mu odczuć, że ataku na Alana nie wybaczy tak łatwo. Wreszcie łaskawie zgodziła się

przekazać małego Carol, żeby bez przeszkód pogadać z Colinem.

- Co ja ci mam powiedzieć? - westchnęła, kiedy naświetlił jej sytuację. - Mają plany tylko wobec ciebie, oczywiste więc, że Caramel im przeszkadza, on zaś ma pełne prawo do zachowania ostrożności. Jeśli nie całkiem mu ufasz, odczekaj kilka dni, nim zajrzysz do tego lasu.

- Zapowiadają deszcz, za kilka dni niewiele wywęszę.

- Jeżeli kapłani chcą cię gdzieś doprowadzić, podsuną ci nowy trop - powiedziała ostrożnie.

Jasne, w normalnej sytuacji kapłani zatarliby ślady, byłoby więc bez znaczenia, czy Colin zajrzy do tego lasu dziś czy za tydzień. Natomiast jeżeli pozostawili po sobie trop, zrobili to celowo i zadbają, żeby go podjął.

- Rozumiesz coś z tego? - zapytał przybity. Psiakrew, kompletnie się zagmatwał. A przeczucie kpiło z niego, odmawiając mu najmniejszej wskazówki. - Dlaczego obudzili się właśnie teraz? Prawie półtora roku włóczyłem się bez celu i jakoś nikt nie machał chorągiewką, żeby wskazać mi miejsce pobytu Emily.

- Przez ten czas cię kontrolowali. Potem otrząsnąłeś się z wpływu Udon, na moment stracili cię z oczu, zmusiłeś ich do zakrojonej na szeroką skalę akcji usuwania śladów po eksperymentach genetycznych...

- To akurat Caramel - mruknął Colin.

- Tak, ale zdaje się, że kapłanom nieco inaczej przedstawił sytuację - zauważyła, najwyraźniej rozbawiona.

- Cieszę się, że poprawiłem ci humor - burknął Colin. - Twoim zdaniem pierwotnie mieli inny plan, teraz jednak chcą jak najszybciej doprowadzić sprawę do końca?

- Prawdopodobnie - przyznała, na powrót poważna. - Jeśli twoja śmierć ma służyć zwiększeniu mocy Emily, najpierw musieli nauczyć ją nad nimi panować. Myślę, że po tylu miesiącach tak czy owak znaleźli się blisko założonego celu, więc przyspieszenie momentu odprawienia rytuału nie stanowi dla nich wielkiego problemu.

- Nie zdołaliby podsunąć mi tropu, gdyby Benson nie wysłał mnie na Fionię, a z Bensonem nie spotkałbym się, gdybym nie nawiązał kontaktu z Matem. Skąd mogli wiedzieć, że w ogóle odezwę się do brata? Albo że nie zrobię tego od razu po przybyciu do Europy, jeszcze zanim zginęli jego kumple?

Benson powiedział mu w Warszawie, na pozór ze skruchą, że ocalił Mata tylko dlatego, by za jego pośrednictwem nawiązać kontakt z Colinem. Czyżby dranie zaplanowali nawet ten szczegół? Gdyby Udo, dominując Colina, wpoił mu między innymi niechęć do wszelkich kontaktów z bratem, podjęta przezeń próba odszukania Mata stanowiłaby dla kapłanów sygnał, że ich ofiara stała się zbyt samodzielna.

Z kolei nad Matem popracował Benson, gwarantując sobie, że chłopak prędzej czy później odezwie się do niego z prośbą o pomoc w szukaniu siostry. Prędzej czy później, ale dopiero po rozmowie z Colinem, jako że ta prośba nabierała sensu dopiero w kontekście wiedzy o pracy Bensaona dla organizacji, a żeby ten fakt ustalić, bracia musieli zgadać się na temat faceta, którego wcześniej obaj uważali za łowcę, człowieka. Ha, właściwie Colin doszedł do tego, że typ jest agentem, głównie za sprawą sfingowanej śmierci Bensaona. Gdyby półtora roku temu znany mu dobrze łowca po prostu wyjechał z miasteczka, jego powrót na scenę, kiedy Mat potrzebował pomocy, nie walnąłby Colina jak obuchem w łeb. Czy zatem temu celowi służyło owo kretyńskie przedstawienie?

Colin trochę się nabiedził, żeby jasno wyłożyć Tin całą teorię. Jednakże coraz bardziej się do niej przekonywał, zwłaszcza że tym sposobem wybielał się w oczach swojej dziewczyny - nie mogła dłużej wytykać mu, że przez tyle miesięcy olewał brata, skoro to pieprzony Udo tak go zaprogramował.

- Myślisz, że wiedzą, gdzie jesteśmy? - zaniepokoiła się Tin.

- We Francji kazałem Matowi i Carol wyrzucić wszystkie rzeczy, więc raczej nie są w stanie was namierzyć - powiedział z nadzieją. - Ale gdybyś mogła podpytać tych dwoje, czy z kimś się kontaktowali... Mat nie ma wilczego genu, inaczej przebudziłyby się, mieszkając pod jednym dachem z Emily. Nie wydaje mi się, żeby nawet Udo zdołał go zdominować. Gdyby kapłani potrafili wpływać na ludzi, nie inwestowaliby takiej kasy w badania nad stworzeniem człowieka podatnego na dominację. Benson musiał zastosować tradycyjne sztuczki psychologiczne, ale Mat ma przecież swój rozum, więc nie sądzę, żeby popełnił większe głupstwo niż ten mejl wtedy.

Im dłużej ją przekonywał, tym większe ogarniały go obawy, czy w tej właśnie chwili agenci organizacji nie podkradają się pod domek kempingowy na obrzeżach Poznania. Psiakrew. Ale przecież gdyby kapłani wiedzieli, gdzie przebywa Tin, dawno wykorzystaliby ją przeciw Colinowi.

- No dobrze. - Spróbował skierować myśli z powrotem ku kwestii ewentualnej zasadzki. - Dzisiaj zajrzę do tego lasu. To rzeczywiście było kiedyś święte miejsce?

- Nie kojarzę. Poszukam w sieci, ale nawet o głazach z Fionii nie znalazłam ani słowa, a w tym przypadku chodzi o drzewa.

Może wybrali tę lokalizację przypadkowo, a może faktycznie kiedyś oddawano tu cześć bogom - Tin usiłowała powiedzieć Colinowi, że dla jego sprawy ten szczegół nie ma większego znaczenia. Pewnie i racja. Błądził po omacku, dlatego też w każdej informacji dopatrywał się potencjalnego źródła objawienia.

- Co mówiła? - zapytał Caramel.

Obserwował Colina jednym okiem. Ciekawe jak długo. Dobrze przynajmniej, że to nie była rozmowa telefoniczna.

- Jest twoją wielką fanką - mruknął Colin. - Też uważa, że mnie w tym lesie nie zabiją.

- Przecież gdyby coś ci groziło, przecucie by cię ostrzegło - stwierdził leniwie Caramel i ziewnął.

Łatwo mu było się mądrzyć, skoro zaplanował, że spędzi ten dzień w hotelu.

- Przeczucie nie zawsze ostrzega, zakoduj to sobie wreszcie - warknął Colin. - Gdyby było inaczej, moja matka nadal by żyła.

Tak, Colin powinien jak najczęściej przywoływać ów niezbity dowód na zawodność przeczucia. Choćby nawet widział jasno każdy szczegół najbliższej przyszłości, miał podstawy wątpić, czy w krytycznym momencie otrzyma ostrzeżenie o śmiertelnym niebezpieczeństwie. Taka świadomość skłaniała do ostrożności.

ROZDZIAŁ 9

- Jakież wieści od Richarda? - zapytała bez większej nadziei Oriana.

Agent powinien był złożyć meldunek po spotkaniu z Colinem, ale się nie odezwał. Teoretycznie mogło istnieć wiele przyczyn tej sytuacji, jak choćby banalny brak okazji do dyskretnego wykonania telefonu lub nieco mniej banalna gra na zwłokę, wpisująca się w większy, indywidualny plan Bena. Lars rozpoczął podchody, żeby go usunąć, agent zaś nie dożyłby swego wieku, gdyby nie potrafił zwęszyć tego rodzaju zagrożeń. Wydawało się zatem więcej niż prawdopodobne, że Benson rozegrał relację Colin-Erasmus dokładnie tak, jak sobie założył, teraz zaś celowo zwlekał z raportem.

Mimo to Oriana skłaniała się ku przypuszczeniu, że agent zginął.

- Nic - mruknął Lars.

Chyba także liczył się ze śmiercią Bena, choć dziwiła się jego reakcji. Przecież chciał usunąć agenta, dopuszczał nawet możliwość, że tym się skończy konfrontacja z Erasmusem. A może jednak nie? Oczywiście, syn wilczycy nie miał prawa pokonać agenta. Lars planował zabić Bena dopiero wtedy, gdy przestanie potrzebować jego usług, w tej chwili zaś niecierpliwie oczekiwał na wiadomość o nastrojach Colina.

- Przypuszczasz, że Erasmus wygrał - stwierdziła, starannie maskując zawartą w tych słowach złośliwość.

- Richard to nie byle chłystek, którego każdy zdoła podejść. Jeśli rzeczywiście tak się stało, chłopak jest bardziej niebezpieczny, niż sądziliśmy.

„Sądziłiśmy”. Zwalczyła irytację. Erasmus mógł się okazać problemem, taki wniosek podpowiadał rozsądek, Oriana jednak odkryła, że w duchu mu sekunduje. Lars właśnie wydał na niego wyrok, ona zaś życzyła nieszczęśnikowi, żeby się z tej sytuacji wywinął, jakkolwiek zakrawałoby to na cud.

Nie zamierzała wszakże stawać w obronie chłopaka. Jeśli Benson nie żył, z jej punktu widzenia Erasmus wypełnił swoją misję i właściwie przestał być dla Oriany przydatny.

Dlaczego zatem nadal po cichu mu sprzyjała?

- Wypada też uwzględnić, że dziewczyna jednak im towarzyszyła - odezwał się znowu Lars. - Ukryli ją przed Richardem, a potem uderzyła z zaskoczenia.

- Zdołaliby go oszukać? - zapytała, mimo że odebrała słowa kapłana jako prowokację.

- Tamten zobaczył dziewczynę. Jeśli nie znajdowała się wtedy w pobliżu, pozostaje twoja teoria o silnym związku emocjonalnym między nią a Colinem.

Taki stan rzeczy stawał pod znakiem zapytania przypadający ledwie za kilka dni planowany finał. Niemniej Richard znalazł miejsce, z którego Colin i jego kuzyn obserwowali Juana tamtej feralnej nocy, i stwierdził, że pojawili się tam sami. Dziewczyna mogła mimo to przebywać gdzieś w pobliżu, dostatecznie blisko, żeby tamten wyczuł jej obecność, na przykład w samochodzie albo w przydrożnym motelu, ale były to czyste spekulacje.

- Dasz Colinowi kilka dodatkowych tygodni? - odważyła się zapytać.

Posłał jej chmurne spojrzenie.

Śmierć dwóch kapłanów mocno zachwiała jego pozycją. Do tej pory Lars nie popełnił błędu, zatem jeśli nawet Per uważał, że podwładny czasem podejmuje zbyt wielkie ryzyko albo przekracza granice dobrego smaku, formalnie nie mógł mu nic zarzucić. Larsa jednakże trudno było lubić, niekiedy też trochę się zapominał w swojej arogancji wobec przywódcy. Nic dziwnego, że Per skorzystał z okazji, żeby podać w wątpliwość predyspozycje Larsa do dalszego

prowadzenia tej operacji. Może kapłan się wypalił? Załamał pod ciężarem odpowiedzialności?

Oriana nabrała pewności, że za zamkniętymi drzwiami gabinetu Pera odbyła się mniej więcej taka rozmowa. Jednakże wobec bliskiego finału operacji wprowadzanie zmian kadrowych byłoby nierozsądne, skończyło się zatem na gorzkich słowach. Gdyby wszakże Lars przesunął ostatni etap o kilka tygodni, Pierwszy Kapłan rozważyłby ustanowienie nowej osoby odpowiedzialnej za operację.

Uzmysłowiła sobie, że powinna odtąd zachowywać wzmożoną ostrożność, bowiem to ona była najsensowniejszym - a kto wie, czy nie jedynym - kandydatem na miejsce Larsa. Kapłan zaś nie odstąpi dzieła swego życia bez zażartej walki. Jeżeli wiedział cokolwiek o sekretnych powiązaniach Oriany, uplecie z tych faktów wiarygodną intrygę. Będzie działał ostrożnie i z umiarem, żeby dla odmiany nie narazić się na zarzut, że tak długo tolerował przedstawicielkę wrogich sił w samym sercu operacji, ale w końcu zaproponuje Perowi jej głowę.

Prawdę mówiąc, powinna spodziewać się po Larsie takiego zagrania również wówczas, gdyby operacja zakończyła się fiaskiem. Cała nadzieja Oriany w tym, że Lars mimo wszystko jej nie rozszyfrował, dzięki czemu nie doszedł jeszcze, z której strony ją ugryźć. Jej oficjalna kariera miała nieskazitelny przebieg.

- Zapewne są teraz pod Norymbergą - stwierdził Lars. - Dostaną nowy trop i zobaczymy, jak zachowa się Colin. To tylko zadufane w sobie młode wilczki. Kontynuuj zajęcia z dziewczynką normalnym trybem. Na razie jeszcze jej do niego nie zabiorę.

Odnutowała, że nie zamierzał wyjawic, jakiego rodzaju nowy trop ma na myśli. No cóż, Lars musiał się tłumaczyć wyłącznie przed Perem, Orianie zaś wspominał o swoich planach, ilekroć chciał zasięgnąć jej opinii. Gdy był pewien swej decyzji, konsultacje uważał za zbędne i nie miało to nic wspólnego z zaufaniem, jakim darzył - bądź nie - swoją współpracownicę.

Zapukała do drzwi pokoju Emily, pięć minut spóźniona na początek porannych zajęć. Dziewczynka obrzuciła ją bacznym spojrzeniem, jakby chciała zapytać, czy coś poszło nie tak, ale się powstrzymała.

Oriana ponownie dostrzegała w zachowaniu podopiecznej pewną sztuczność. Przepytowała małą z wzorów chemicznych, jednocześnie zastanawiając się, czy to nie jednak Emily stanowi najsłabsze ogniwo planu Larsa.

Jak zareagowałby kapłan na takie oświadczenie? Przypuszczalnie natychmiast odsunąłby Oriane od operacji, argumentując, że straciła obiektywizm. Czyżby dziewczynka usiłowała wyeliminować kapłankę z gry? Byłoby to ryzykowne posunięcie, jeśli wszakże wyczuwała, że Oriana jej nie lubi, mogła uznać, że owo nastawienie wynika z rodzących się podejrzeń.

Ten wniosek prowadził do następnego, jeszcze bardziej niepokojącego: że faktycznie istniał powód do podejrzeń. A także, że smarkula była szalenie pewna swej pozycji u Larsa.

Oriana postanowiła, że niczego kapłanowi nie powie: wykorzystałby to przeciw niej. Ograniczy się do uważnej obserwacji podopiecznej, a kiedy ustali, czy Emily planuje ucieczkę, czy też inne, jeszcze dotkliwiej krzyżujące im szyki przedsięwzięcie, podejmie decyzję, jakie podjąć działania.

Liczyła się nawet z tym, że będzie zmuszona zabić małą.

Przerażały ją własne myśli. Nigdy nikogo własnoręcznie nie zabiła, a rozważała zimnokrwisty mord na dziecku. I dlaczego? Ponieważ ubzdurała sobie, że Emily zdoła rozwinąć swe umiejętności do tego stopnia, by zagrozić kapłanom.

Podobnie jak siostra, Oriana odziedziczyła po matce dar – albo raczej przekleństwo – widzenia tego, co dopiero miało nastąpić. Na szczęście, w przypadku Oriany ów przeklęty dar dało się potraktować jako nieco lepiej rozwiniętą intuicję, nic, na czym można by bezkrytycznie polegać. Niekiedy przewidywania Oriany sprawdzały się co do joty,

innym znów razem rzeczywistość ją zaskakiwała. I tak było dobrze, nie musiała obawiać się własnych snów.

Ingrid nie dało się oszukać. Kiedy oczyma wyobraźni ujrzała przyszłą sytuację, wiedziała, że albo się na nią zgodzi i wydarzenia potoczą się tak, jak w jej wizji, albo powinna natychmiast spróbować im zapobiec. I to akurat ona musiała urodzić córkę o niebieskich oczach.

Czemu niebieskookiej nie powiła Oriana? Przekazałaby ją chętniej rodzinie na wychowanie i kontynuowała kapłańską służbę, nigdy się nie dowiadując, jaki los przeznaczono jej dziecku. Gdyby zaś którejś nocy obudził ją senny koszmar albo w dziennym świetle odezwała się ostrzegawczo intuicja, Oriana doszukiwałaby się przyczyn w przeżywanym właśnie stresie lub złożyła te zajścia na karb wyrzutów sumienia z tytułu porzucenia córki.

Albo Lars. Dlaczego to nie on spłodził niebieskooką? Miał niezwykle jasne tęczęwki, ale jednak koloru niebieskiego, a przy tym zupełnie by się nie przejął, że jego latorośl czeka okrutna śmierć w młodym wieku. Z pewnością poczułby się wręcz dumny, że może w ten sposób przysłużyć się społeczności.

Wśród swoich przodków Ingrid i Oriana nie znalazły nikogo o niebieskich oczach, czemu więc dziewczynka pojawiła się akurat w ich linii rodu? Naturalnie, przekleństwo mogło przyjść od tego niedołęgi, męża Ingrid, choć ona sama upierała się, że jest inaczej.

Oriana nigdy nie zrozumiała wyboru siostry. Przy swojej urodzie i innych przymiotach Ingrid mogła mieć każdego, a zdecydowała się na takiego mięczaka, szmatławą betę. To przez niego zginęła. Prawdziwy mężczyzna zdołałby ją obronić, a w tym związku to ona zwykle broniła jego.

Niegdyś Oriana pomogła ocalić jedno dziecko, teraz rozważała zabicie innego. Właściwie była w tym swego rodzaju równowaga.

Colin bez większego trudu znalazł miejsce, gdzie „naukowcy” zostawili samochód. Trochę przerażała go dokładność tego amatorskiego urządzenia: skoro jego śledzili zawodowcy, dysponujący o wiele bardziej profesjonalnym sprzętem, musieli swego czasu znać każdy jego krok, gest, myśl niemalże...

W lesie panował spokój. Jak zatem wyglądała sprawa z zasadzką? Oczywiście, że Benson wciskał mu kit, kiedy opisywał, na czym miałyby ona polegać; gdyby kapłanom chodziło wyłącznie o zabicie Colina w wyznaczonym do tego miejscu, nie bawiliby się w takie podchody.

- Tin? Dotarłem do celu - odmeldował się, żeby wiedziała, że powinna odtąd nasłuchiwać wskazówek przecucia. A nuż jej wewnętrzny głos przebudzi się, żeby ostrzec ją o grożącym Colinowi niebezpieczeństwie?

- Och, myślałam, że uprzedzisz mnie wcześniej - powiedziała stropiona.

Jasne, ani chybi miała na głowie Alana, a Carol z Matem gdzieś się zmyli, żeby odpocząć od bachora i pomigdalić się w miłym otoczeniu. Colin powstrzymał się od komentarza. Musiał skupić się na zadaniu, a kolejny spór o małego gnojka mu w tym nie pomoże.

- Ruszam tropem tych dwóch - rzucił. - Będę się odzywał co kilkanaście minut.

„Naukowcy” zapuścili się w głąb lasu i jakiś czas później wrócili tą samą trasą. Na razie Colin nie zwęszył innych woni, to znaczy, owszem, kręcili się tu ludzie, ale na tyle dawno, że nie sądził, by to byli maskujący się kapłani.

Zastanawiał się, czy jest obserwowany. Caramel obawiał się próby zamachu na jego życie, gdyby towarzyszył Colinowi w tej wyprawie, przypuszczał zatem, że kapłani zostawili kogoś na czatach.

- Dlaczego tak kombinują? - zwrócił się do Tin. Tak, tak, miał się skupić na otoczeniu, ale ten spacer zaczynał go nudzić. - Podsyłają mi tych pseudonaukowców, potem Benson ma odwrócić od nich moją uwagę...

- Może ci dwaj byli zaledwie agentami i nie chciano ich wtajemniczać w szczegóły operacji? - zasugerowała. - Albo też...

- No? - ponaglił ją, z góry poirytowany, bo takie niedokończone zdania znaczyły zwykle, że przyszło jej do głowy niepoehlebne dla Colina wyjaśnienie.

- Zdominowany przez Udoną, nawet jeśli nie posuwałeś się do przodu w poszukiwaniach Emily, to jednak nieustannie o niej myślałeś - powiedziała z wahaniem. - Potem poznałeś mnie, spędziłeś ze mną trochę czasu... Im może się wydawać, że w tej chwili siostra nie jest dla ciebie tak ważna, jak powinna być, żeby rytuał odniósł skutek.

- Zależy mi na Em - wycedził.

- Oczywiście, ja to wiem, ale oni chyba odnoszą trochę inne wrażenie - odparła gładko. - Dla mnie ich działania wyglądają tak, jakby mamili cię wizją rychłego osiągnięcia celu, a kiedy się zapalasz, kiedy oczyma wyobraźni widzisz siebie tulącego siostrę, gwałtownie odbierali ci nadzieję na szybkie zakończenie sprawy. Nie całkiem, a podsuwając ci nowy obiecujący trop i zarazem mnożąc trudności.

Wyrzucała z siebie słowa z natchnieniem, jak wtedy, gdy przemawiało przez nią przeczucie, ale Colin darował sobie ponowne dociekanie, czy jej wewnętrzny głos wreszcie dał o sobie znać.

Zależało mu na Emily! Co za gnój śmiał dojść do wniosku, że jest inaczej? Niby jak Colin powinien się zachowywać, choćby teraz, tu w lesie? Nawoływać Em z rozpaczą w głosie? Usiąść na pniu i zapłakać nad losem siostrzyczki?

Dotarł do polany, gdzie powitało go więcej woni, na pozór ludzkich, podobnie zresztą jak te należące do „naukowców”. Śledzeni pokręcili się trochę po polanie, a potem zawrócili do samochodu. Colin spojrział na zegarek. Szedł ponad kwadrans, to by się zgadzało. Zapewne miał sobie dopowiedzieć, że ów rytualny mord musiał się odbyć konkretnej nocy, ze względu na układ gwiazd lub inne cholerstwo, dlatego w tej chwili już nikt tu na niego nie

czeka. Względnie poinformowałaby go o tym Benson, gdyby miał okazję.

No dobrze, doprowadzono go na tę polanę. Zgodnie z poglądem Caramela powinien tu znaleźć kolejny trop, a z kolei w myśl teorii Tin niekoniecznie ostateczny, jeśli jakiś palant stwierdzi, że Colin nadal jest niewystarczająco zaangażowany w poszukiwania siostry.

Z furią kopnął pień zwalonego na skraju lasu drzewa. Jeśli kapłanom zależało na pokazówce, urządzi ją dla nich.

Ponownie obszedł polanę, wnikliwiej badając pozostałe wonie. Starał się dociec, czy kręcił się tu Udo. Łajdak potrafił zmieniać swój osobniczy zapach, ale skoro kapłani uważali Colina za kompletnego idiotę, który złapie się na najbardziej naciągane sztuczki, czemu Udo nie miałby przeparadować tędy, rozsiewając tę samą woń, jaką zostawił w salonie, gdzie rozszarpał Godfrey'a i Vivian?

Nie zwęszył jednak kapłana; nie wyczuł w ogóle żadnej znajomej czy choćby podejrzanego woni. Gdyby trafił na tę polanę przypadkiem, uznaliby, że pokręciło się na niej kilku przygodnych spacerowiczów, i powędrowałby dalej.

Ha! Czyżby mimo wszystko nie mieli go za skończonego kretyna? Miło z ich strony, tyle że tym sposobem Colin pozostał bez sensownego tropu. Jak ci dranie rozumowali? Zakładali, że zostanie w Norymberdze i będzie regularnie zaglądał do lasu? A może właśnie namierzali corsę, którą zostawił na leśnym parkingu?

Uchwycił się tej ostatniej koncepcji. Planowali śledzić Colina, żeby w stosownym momencie podsunąć mu nowy trop.

- Tylko żebyś niechcący nie wystawił im Caramela - zaniepokoiła się Tin, kiedy podzielił się z nią tym domysłem.

- Lepiej wynajmij pokój w innym hotelu, a do niego zadzwoń z relacją.

- Widzę, że jego los bardzo ci leży na sercu - mruknął z przekąsem Colin.

- To twój kuzyn i sprzymierzeniec. Oczywiście, że... - Umilkła nagle.

- Co? - zapytał z irytacją Colin. Zapewne przyszła jej do głowy kolejna denerwująca koncepcja.

- Nieważne - odparła po chwili Tin. - Nie odbieram Caramela jako tchórza czy histeryka, więc jeśli otwarcie mówi, że spodziewa się zamachu na swoje życie, widocznie uważa, że kapłani nie przepuszczą najmniejszej okazji, żeby usunąć go z drogi. Nie powinieneś go narażać.

Colin zmarszczył brwi. Nie podobała mu się ta obrona Caramela, w dodatku zawierająca oskarżenie wobec niego. Przy tym odniósł wrażenie, że Tin nie mówi mu wszystkiego, zapewne nie chcąc go wkurzyć.

- Świetnie, będę na niego chuchał i dmuchał, a w razie kłopotów zasłonę własnym ciałem - warknął Colin.

- Jestem pewna, że Caramel nie zawaha się narazić życia, kiedy uzna, że sytuacja tego wymaga - łagodziła. - Natomiast tutaj, dzisiaj, na nic by ci się nie przydał, tak więc postąpiłby głupio, podejmując ryzyko tylko po to, żeby dotrzymać ci towarzystwa.

- Nie jest wszechwiedzący. Mogłem potrzebować pomocy.

- Właśnie... Daj mi numer jego telefonu, żebym mogła go powiadomić, gdybyś znalazł się w tarapatkach.

Tą prośbą autentycznie wyprowadziła go z równowagi. Na cholerę jej numer telefonu gnojka? Tak, tak, przedstawiła zgrabne uzasadnienie, ale Colin nie zamierzał się na nie nabierać. Owszem, miał podać Tin ten zamiar już wcześniej, kiedy zawiózł jej Alana - obiecał to Caramelowi - tylko że zapomniał. No i fajnie. Ale ona musiała wtrącić swoje trzy grosze.

- Oj, Colin - westchnęła, kiedy wymownie milczał. - Nie chcesz, to mi go nie podawaj. Myślałam tylko o twoim bezpieczeństwie.

Ze złością podyktował Tin kolejne cyfry. Psiakrew, dlaczego zawsze pozwalał się jej podejść?

Wynajął pokój w motelu pod Norymbergą i zadzwonił, by poinformować o tym Caramela. Gnojek, wilcza jego mać, sprawiał wrażenie zaskoczonego, że Colin wykazał się taką troską o jego dobro. Ustalili, że chłopak opuści hotel, zostawiając rzeczy Colina w recepcji, żeby ten mógł je sobie wieczorem odebrać. Mieli kontaktować się telefonicznie, w razie konieczności, to znaczy gdyby Colin trafił na ów wyczekiwany trop.

Colin przekąsił coś w mieście, odebrał swoją torbę, wrócił do motelu i rzucił się na twarde łóżko. Miał nadzieję, że nie przyjdzie mu spędzić w Norymberdze tygodnia; o tym, że mógłby utkwąć tu na dłużej, wolał nawet nie myśleć. Kapłanom wystarczy chyba rozsądku, żeby nie przetrzymywać go w niepewności?

Przez chwilę miał chęć coś rozwalić, choćby telewizor. Cholera, co go napadło? Złościła go wizja Tin ucinającej sobie telefoniczną pogawędkę z Caramelem, nonsensowna, bo przecież ona skorzysta z numeru komórki chłopaka dopiero, gdy Colin znajdzie się w potrzebie - a wówczas jemu na pewno nie będzie w głowie zazdrość o kumpla. Kuzyna. Caramel nie stałby się przecież bardziej atrakcyjny dla Tin przez fakt swego pokrewieństwa z Colinem?

Wściekł się na siebie za te rozważania. Wstał z łóżka i zaczął spacerować po pokoju. Nosiło go, psiakrew. Aż zaczynał się obawiać, że całą jego pracę nad sobą wzięli diabli.

Przystanął. Mimo że jeszcze w Warszawie Colin błysnął samokontrolą, Benson spodziewał się, że w tej restauracji zdoła sprowokować go zaledwie kilkoma zawołowanymi sugestiami. Wręcz liczył na jego wściekłość, planując owo spotkanie. Ciekawe.

- Tin? Możesz gadać czy znowu zajmujesz się tym... Alanem?

- O tej porze Alan dawno śpi - odparła z wyrzutem. Delikatnym, zgoda, ale jednak mogła sobie darować. - Gramy w scrabble. Poczekaj, przejdę do kuchni. I tak chciałam zaparzyć herbatę.

Scrabble. Colin spędził minioną noc na grzebaniu zwłok, kapłani widzieli w nim ofiarnego barana, a Mat grał sobie w scrabble! Dobra, Colin nie chciałby mieć teraz brata u swego boku, ale nie zaszkodziłoby, gdyby chłopak trochę się pomartwił.

- Jestem - odmeldowała się Tin.

- Sądzisz, że powinienem odgrywać wściekłość?

- Co?

- Kiedy otrząsnąłem się z dominacji Udon, aż mną trzęsło - wyjaśnił, zniecierpliwiony, że nie załapała od razu; pewnie myślami błędziła wokół jutrzejszych zabaw z Alanem. - Przypuszczałem, że to skutek zbyt gwałtownego wyzwolenia się spod wpływu tego drania, ale teraz myślę, że on zaplanował taki efekt. W gniewie brak miejsca na ostrożność, łatwiej się taką osobą manipuluje. Gdybym kipiał wściekłością, chwyciłbym podsunięty mi trop, nie zwracając sobie głowy pytaniami, czy nie trafiłem na niego zbyt łatwo albo czy taka nieostrożność kapłanów nie wydaje się podejrzana. Jeśli na ich użytek zacznę się zachowywać jak furia, oni postąpią tak, jak sobie zaplanowali na początku, i szybko doprowadzą mnie do Emily, zakładając, że nie spodziewam się zasadzki. Jeżeli wydam im się zbyt opanowany, opracują nowy, bardziej dla mnie niebezpieczny plan.

- Benson wiedział, że Gordon cię ostrzegł - zauważyła. - Prawdopodobnie doniósł im o tym.

- Ale zarazem do ostatniej chwili liczył na to, że postąpię po prostu, kierując się głównie emocjami.

Milczała dłuższy czas, aż Colin zaczął podejrzewać, że rozważa, jak mu delikatnie powiedzieć, żeby tworzenie teorii zostawił innym.

- Ojciec próbował nad tobą zapanować - odezwała się wreszcie z wahaniem. - Starał się nauczyć cię kontroli nad popędami, zwłaszcza wynikającymi z twojej wilczej natury.

- Nie całkiem tak bym to określił - wycedził Colin.

Że też nie znajdował się w tej chwili na ulicy! Osiągnął właśnie odpowiedni nastrój do wiarygodnego odegrania

ślepej furii. Rozwaliłyby ze trzy samochody i Udo zyskałby powód do zadowolenia.

- A dla mnie właśnie taki obraz wyłania się z twoich relacji - sprzeciwiła się łagodnie. - Sam przyznajesz, że się go słuchałeś, a wolny poczułeś się dopiero po jego śmierci. Wolny i przez to niesubordynowany. Colin, jeśli rzeczywiście powinieneś z zaangażowaniem szukać Emily, żeby rytuał odniósł pożądany skutek, kapłani nie mogli dopuścić, żebyś stał się potulną, niezdolną do złamania zasad jednostką.

- Nawet pięćdziesięciu Godfreyów nie nauczyłoby mnie potulności - warknął Colin.

Niemniej śmierć Godfrey'a, choć niewątpliwie służyła też przejęciu Emily przez Udonę, w dużej mierze była spektaklem wymierzonym bezpośrednio w Colina. Wystarczyłyby dwie kule albo sprawnie zaaranżowany wypadek samochodowy, żeby dziewczynka natychmiast trafiła pod opiekę wuja, tak chętnie zasięgającego porad u swego sąsiada. Jeśli zatem Udo urządził tę jatkę, zrobił to, żeby wyzwolić Colina spod wpływu ojca. Nadal jednak Colin odnosił wrażenie, że tej teorii czegoś brakuje...

Psiakrew, chciał tylko skonsultować z Tin pomysły odgrywania wściekłości. Nie wzywałby jej, gdyby podejrzewał, że rozmowa zboczy na temat Godfrey'a.

Nazajutrz Colin przejechał się znów do lasu, nie zniósłby bowiem beczynnego tkwienia w motelowym pokoju. Wystarczyło, że pomyślał o Godfreyu i wczorajszej rozmowie z Tin, by furiackie niszczenie krzaków wyszło mu bardzo przekonująco.

Miał ogromną chęć zapolować, poczuć rozkoszny smak krwi w ustach. Tylko musiałby zostawić gdzieś ciuchy, razem z komórką, a dranie zapewne skorzystałoby z okazji, żeby coś mu podczepić. To znaczy, jeśli opanowali sposoby całkowitego maskowania swej woni, a tego nie dało się

wykluczyć. Cholera. Znalazł się sam w lesie i nie mógł sobie pobiegać.

Zmasakrował jeszcze kilka krzaków. Może Benson nie bez słuszności uważał nieprzemienialnych za lepszych od typowych świadomych alf, co rusz zmagających się z palącą potrzebą zmiany postaci? Wprawdzie Colin miał wątpliwości, czy inne silne alfy, jak choćby Caramel czy Fish, doświadczają podobnego jak on przymusu przy okazji byle wizyty w lesie, bo nie zaobserwował u nich tego rodzaju wewnętrznej walki. Ale przecież fakt, że niczego nie dało się po nich poznać, nie świadczył jeszcze, że nie przeżywali tego rodzaju rozterek.

Wrócił do samochodu. Minęła pora lunchu, o czym entuzjastycznie przypominał mu żołądek, tak więc Colin podjechał do pierwszej z brzegu przydrożnej restauracji. Ech, upolowałyby sobie soczystego zająca, a tak musiał żuć duszoną golonkę. A właściwie – żułby zająca, natomiast golonka rozplýwała mu się w ustach, tak więc czerpał z jedzenia niewiele przyjemności.

Ruszył do motelu, na tyle sfrustrowany niedawnym posiłkiem, że niemal przegapił upragniony nowy trop. Na mijanej właśnie stacji benzynowej kątem oka spostrzegł kobietę. Nie zdążył jej się dobrze przyjrzeć, jednak wydała mu się znajoma... a w każdym razie poruszyła parę trybików w umyśle Colina.

Zjechał na najbliższy parking, przed kolejną przydrożną knajpą. Na szczęście stało na nim kilka samochodów, tak że wtapiał się w otoczenie. Kiedy ją spostrzegł, tamta kobieta oddalała się od czerwonej meganki, jakby akurat skończyła tankować paliwo i szła za nie zapłacić. Miał nadzieję, że się nie pomylił i ona rzeczywiście podróżuje tą renówką – oraz że po opuszczeniu stacji skręci w prawo, przejeżdżając obok Colina. No, ale jeśli oddelegowali ją tu kapłani, będzie się starała pociągnąć Colina za sobą.

Tylko czy na pewno została tu przysłana? Zauważył ją fuksem, równie dobrze mógł przemknąć obok stacji, zatopiony w myślach. Tak wysoko cenili jego

spozostzegawczość? Czy teź kaźdy świadowy na miejscu Colina zarejestrowałby tego rodzaju szczegół, a jedynie jemu wydawało się to nie wiadomo jakim osiągnięciem?

Nadal nie kojarzył, kto to taki, im zaś usilniej próbował sobie przypomnieć, skąd ją zna, tym większą pustkę miał w głowie. W trakcie europejskiej włóczęgi spotkał niewielu świadomych, a Becky czy tej waderki spod Dijon tak szybko by nie zapomniał. Oczywiście, mógł poznać tę kobietę, przekonany, że ma do czynienia z człowiekiem. Flirtował z nią? Chyba tak, bo natychmiast odezwało się w nim poczucie winy, zatem swego czasu myślał o babce w sposób, który nie spodobałby się Tin.

Niepokoił się, że czerwone megane nie nadjeżdża. Jak długo można płacić za paliwo? Czyżby jednak skrećiała w lewo?

Rozważał już, czy nie wrócić pod stację, kiedy drogą przemknęła czerwona renówka, zdecydowanie przekraczając dozwoloną prędkość.

Ze zdenerwowania Colin miał problem z uruchomieniem silnika. Na szczęście za drugą próbą wóz odpalił i Colin skierował wynajętą corsę w ślad za meganką. Zerknął na wskaźnik poziomu paliwa. Psiakrew, mniej niż pół baku, a laska przed chwilą zatankowała, niewykluczone więc, że będzie gnać bez przystanku kilka godzin. Upomniał się, żeby nie martwić się na zapas.

Dogonił ją po chwili; miała francuskie blachy. Poznali się we Francji?

Olśnienie spłynęło nań nagle, kiedy śledzona włączyła migacz, Colin zaś skupił się na tym, żeby nie pomylić skrętu, a zarazem nie dać się zauważyć.

Nie spotkali się w Europie, ale jeszcze w Stanach, dlatego nie umiał jej dopasować do okoliczności. Celia! Jakim cudem nie zidentyfikował jej od razu? Zgoda, minęło półtora roku, ale przecież wzbudziła wtedy jego zainteresowanie, kilka razy rozmawiali, a na koniec dość spektakularnie się z Colinem pożegnała. W dodatku nie tak dawno o niej myślał, choć w tej chwili nie kojarzył, przy

jakiej to było okazji. Zaklął pod nosem. Czemu nie zainteresował się, czy ją złapano?

Wyjął komórkę z tylnej kieszeni spodni - zadanie odrobinę karkołomne przy tym tempie jazdy - i, nie spuszczać oczu z zadu czerwonego megane, wybrał numer Caramela.

- Jak potoczyły się poszukiwania Celi? - zapytał bez zbędnych wstępów.

- He?

- Celi, laski, która przypuszczalnie załatwiła Hammera, wyprowadziła Basila pod lufę Stipe'a i raniła Dustina - wyjaśnił z przesadną dokładnością Colin. Caramel faktycznie nie kojarzył, o kogo chodzi? - Straż miała ruszyć za nią w pościg.

- A co, widziałeś ją? - zainteresował się Caramel. Cóż za domyślność!

- Właśnie za nią jadę. Ciekawe, że nie wydajesz się zdziwiony... - Colin zawiesił głos.

- Kurde, Colin, a dla ciebie nie było oczywiste, że to agentka organizacji? - dociął mu Caramel.

Drań doskonale wiedział, że nie było - inaczej Colin nie pytałby teraz o jej losy, a najpewniej znacznie wcześniej poruszyłby ten temat. Zaciśnął zęby, walcząc o zachowanie spokoju. Jeśli ulegnie wściekłości, zgubi megankę.

- Skoro ustaliliśmy, że Celia pracuje dla kapłanów, rozumie się samo przez się, że straż nie miała szans jej dorwać - odezwał się ugodowo Caramel. - Nikt nie zabronił Fishowi kontynuowania pościgu, po prostu laska przepadła bez śladu. Wiedziałeś o niej tylko tyle, ile ci powiedziała: że jest właścicielką niewielkiej firmy z Seattle i mieszka w centrum. Jedyna Celia Alton, jaką namierzyli w Seattle, okazała się szacowną starszą panią.

- I Fish się poddał? - Colin nie przepadał za liderem straży, szczególnie od chwili gdy Caramel uzmysłowił mu parę rzeczy w kwestii hipokryzji Fisha, nigdy jednak nie odmówiłby facetowi determinacji. - Czy też jemu jednemu delikatnie coś zasugerowano?

- Kiedy poszukiwania utknęły w miejscu, Gordon powiedział, że przekazuje sprawę komuś innemu, a straż ma wrócić do swoich zwykłych zadań. - W głosie Caramela nie dało się wychwycić ani śladu drżenia, kiedy wspominał o zmarłym ojcu. Colin mimowolnie podziwiał kumpla: on sam nie potrafił sobie wyobrazić, że kiedykolwiek będzie z równą obojętnością wypowiadać imię Godfrey'a. - Nie wiem, czy Fish usłyszał mniej oficjalne wyjaśnienie, ale nie wyłapałem u niego kłamstwa, a zazwyczaj mi się to udawało. Sądzę, że jeśli Gordon nie musiał tłumaczyć mu danej kwestii, to tego nie robił. Dla kapłanów Fish jest płótką.

Poza tym Fish nie zadawał zbędnych pytań. Rozkaz to rozkaz. Benson także wypełniał rozkazy, ale przynajmniej miewał własne zdanie i próbował je mniej lub bardziej oficjalnie przemycić.

- Myślisz, że ona jest przynęta? - zapytał Colin. - Cudem ją zauważyłem...

Caramel wymownie odchrząknął.

- Śledź ją, pozorując ostrożność - doradził. - Nie przejmuj się, gdybyś ją zgubił, ale nie zaszkodzi, jeśli odegrasz wtedy panikę. Laska na pewno się postara, żebyś znowu ją namierzył.

- Caramel... Jeśli ona jest agentką, po jaką cholere zabija Hammera?

Już po sformułowaniu tego pytania Colin upomniał się w duchu, że nie zdobył dowodów na to, że Celia stała za śmiercią George'a Hammera. Kłusownika mógł załatwić Liner, dokładnie tak jak w wersji przedstawionej kolegom Mata. Z kolei Basil nie sprecyzował, z kim flirtuje, niewykluczone więc, że tamtej nocy robił podchody do innej wadery, a Stipe namierzył tę parkę czystym przypadkiem. Ostatecznie, Colin oba te wydarzenia tłumaczył niechęcią Celi do zbyt natarczywych mężczyzn, tymczasem agentka organizacji nie pozwoliłaby sobie na realizację prywatnej zemsty w trakcie akcji. Przede wszystkim, taka wadera,

jako niezrównoważona psychicznie, nie przeszłaby procesu rekrutacji.

Jeśli zatem Celia zawitała wtedy do miasteczka, przysłano ją, żeby obserwowała Colina, a nawet zwróciła na siebie jego uwagę. Dziwne jednak, że znalazła się na miejscu, zanim on opuścił osadę... Skąd wiedzieli, że Colin w ogóle się tam wybierze? I dlaczego Celia nie zaraportowała, że do Idaho zjeżdżają się nieświadomi?

Cholera, zaczynał się w tym gubić. A jeśli dalej będzie tak intensywnie myślał, zgubi także czerwone megane.

- Oj, Colin. - Caramel westchnął ciężko, jakby litował się nad beznadziejnym przypadkiem. - Istnieje jakaś przepowiednia, prawda? Najwyraźniej mówi ona o mocach twojej siostry i służącym ich zwiększeniu rytuale, do którego kapłani potrzebują ciebie. Udo zabił twojego ojca...

- Tak, jasne, że bym stał się krnąbrny i niezależny - przerwał mu gniewnie Colin. - Co to ma do rzeczy?

- Włożyliby tyle trudu w przygotowania, a potem pozwolili, żebyś olał zniknięcie siostry?

- Nie olałbym Emily - warknął Colin. Caramel gówno wiedział!

- Doprawdy? Widziałeś ją poprzednio, kiedy miała trzy czy cztery lata, i nagle porzuciłbyś przyjemne życie w osadzie, bo mała zniknęła? I może jeszcze nie uznałbyś za podejrzanego, że Gordon, czy ktokolwiek inny, informuje cię o porwaniu, zamiast opowiedzieć ci bajeczkę o ściśle tajnym szkoleniu dziewczynki, która okazała się wyjątkowo zdolną i silną alfą?

- Sugerujesz, że Celia zabiła Hammera, żeby ściągnąć mnie do Idaho? - zakpił Colin.

- A nie wydaje ci się dziwne, że Udo musiał tak pilnie wyjechać akurat w czasie przebudzenia Emily, i w dodatku pozostawił ten skarb kapłanów bez opieki? - odparł w podobnym tonie Caramel. - Oni chcieli, żebyś nie tylko tam przyjechał i odnowił więzi z siostrą. Miałeś dowiedzieć się o właściwościach Emily, pogadać z mordercą twojego ojca, usłyszeć od stryja, że tobą manipulował, poczuć się przez

wszystkich oszukany, a potem wyobrazić sobie małą w rękach Udon, psychopaty, który bez najmniejszego powodu rozszarpał jej matkę. Gdyby zabrakło choć jednego elementu, być może nie zdecydowałbyś się za nią ruszyć. A to, czy Hammera zabiła akurat Celia, nie ma większego znaczenia. Musiał zginąć człowiek, żebyś przeczytał o tym w necie. Tak na marginesie, nie miałeś wtedy dyżuru przy kompie, prawda? Ale nie zdziwiło cię, że Fish dowiedział się o tym „ataku zwierzęcia” dopiero od ciebie?

- Kto miał...? - zaczął Colin, ale domyślił się odpowiedzi.
- Dustin?

Caramel milczał. Jasne, że Dustin, sługus kapłanów. No, nie, bez jaj, kapłani nie podejmowaliby tak gigantycznego ryzyka jedynie po to, żeby na powrót związać Colina z siostrą i zachęcić go do pospieszenia małej z odsieczą.

- Fantazjujesz - warknął Colin. - A łowcy? Media? Tam się zjechało trzydziestu jeden nieświadomych!

- Jacy łowcy? - zapytał spokojnie Caramel. - Benson? Czy może chodzi ci o Stipe'a, którego i tak planowano sprzątnąć? Czytałem w teczce Bensona, że Stipe go kiedyś postrzelił. Twój własny raport, zdaje się? Nie sądzisz, że Stipe zaczął coś podejrzewać, a Benson skorzystał z okazji, żeby twoimi rękami zlikwidować zagrożenie? Albo na przykład w ten sposób sprawdzali, jak daleko jesteś się gotów posunąć w swej samowoli?

- I jeszcze powiedz mi, że wszystko to od dawna było dla ciebie oczywiste - wycedził Colin.

- Szczerze? Zacząłem układać sobie tę teorię, kiedy powiedziałaś mi o rytuale. Gdyby, jak najpierw zakładałem, kapłani oczekiwali od ciebie jedynie pomocy przy kontrolowaniu Emily, o wiele chętniej widzieliby cię żyjącego spokojnie w osadzie. Ewentualnie zadbaliby o odnowienie waszych bratersko-siostrzanych więzi już po tym, jak Em trafiłaby do nich na nauki. Natomiast w przypadku rytuału...

- Popłynąłeś - przerwał mu gwałtownie Colin. - Nie zdołaliby wszystkiego przewidzieć! Nawet tego, czy za nią

ruszę, nie mówiąc o moich zachowaniach tam, na miejscu!

A jednak Colin znalazł się w Europie, po części za sprawą dominacji Udon, lecz niewątpliwie także szczerze zaangażowany w szukanie siostry. Może nie w każdym szczególe zdarzenia potoczyły się wedle założeń kapłanów, ale główny cel osiągnęli. Ostatecznie, Gordonowi zwykle udawało się sprowokować pożądane zachowanie Colina, mimo że podejmowane przez stryja działania na pozór prowadziły do przeciwnego rezultatu.

Zakończył rozmowę, argumentując, że przez tego rodzaju debilne gadki niemal stracił z oczu renówkę Celi.

Nie, psiakrew, Caramel nie mógł mieć racji! Co z tego, że teoria idealnie pasowała do całej reszty? Zgoda, niefrasobliwość Udon wydawałaby się dziwna, nawet gdyby chodziło o zwykłego obserwatora sprawującego pieczę nad przeciętną młodą świadomą, a Celia niewątpliwie była agentką organizacji, tak więc, jeśli zabiła Hammera, zrobiła to na wyraźne polecenie swych mocodawców, ale na pewno dało się inaczej wyjaśnić całą tę sytuację.

Jednakże tak naprawdę najbardziej wkurzało Colina, że sam nie wpadł na takie wytłumaczenie zdarzeń sprzed półtora roku. Ba, nawet nie pamiętał o Celi, nie przyszło mu do głowy zapytać Caramela o wyniki pościgu. Gdyby poruszył ten temat, dawno wiedziałby, że Celia jest agentką, a wtedy migiem dorobiłby sobie ciąg dalszy.

Jasne, to Udo, dominując Colina, zepchnął wszelkie pytania o Celię w głąb jego umysłu! Dlatego przez długie miesiące europejskiej włóczędzy Colin ani razu nie wspomniął tej waderki, mimo że nieźle się wówczas na nią napalił.

Tyle że z wpływu Udon Colin otrząsnął się przeszło dwa i pół miesiąca temu, a pytanie o Celię jakoś mu nie zaświtało. Tymczasem najwyraźniej nawet kapłani zakładali, że Colin wie - inaczej dzisiaj nie podesłaliby mu akurat jej.

Cholera, nadal czegoś tu nie rozumiał. Czy kapłanom nie przeszkadzało, że Colin w zasadzie wszystkiego się już domyślił? Czyżby, jak twierdził Caramel, byli do tego stopnia zadufani w sobie, że nie spodziewali się komplikacji z powodu tak drobnego jak ten, że Colin ma świadomość grożącego mu niebezpieczeństwa? Albo zakładali, że działa pod wpływem impulsów, niezdolny do wyciągnięcia wniosków z następujących po sobie kolejno zdarzeń?

Głowa pękała mu od natłoku pytań. Psiakrew, nie powinien się rozpraszać - meganka znów na chwilę znikła mu z oczu. Miał wielką chęć skonsultować z Tin nowe wieści i przypuszczenia, ale postanowił odłożyć rozmowę na później. Najpierw zdecyduje, czy przyjąć postawę „teraz wszystko jasne”, czy też „posłuchaj, co za nonsens wymyślił Caramel”.

W zasadzie zdołałby pogadać z Tin, gdyż Celia wypadła na autostradę, kierując się w stronę Francji. Musiał jednak skupić się na prowadzeniu wozu, jako że laska grzała sto osiemdziesiąt, momentami dwieście, aż Colin obawiał się, że corsa nie wytrzyma takiego tempa. Całe szczęście, że wybrał wóz z w miarę mocnym silnikiem. Tylko czy Celia nie powinna mimo wszystko nieco przystopować, żeby go nie zgubić?

Kierowała się do Francji, co wydawało się logiczne, biorąc pod uwagę jej blachy. Czyżby usiłowano go przekonać, że brała udział w przygotowaniu leśnej zasadzki - jako zewnętrzna obstawa, bo na polanie na pewno nie zwęszył jej woni - a kiedy akcja się nie powiodła, zacierała ślady, pakowała sprzęt czy co tam innego zajęło jej środek i pół czwartku, żeby wreszcie ruszyć do bazy, czystym przypadkiem nabierając paliwa akurat w czasie, kiedy Colin przejeżdżał obok stacji?

Czemu sytuacja nie miałaby naprawdę tak wyglądać? Wtedy stałoby się jasne, dlaczego Celia gna bez

opamiętania... Proszę, nagle Colin stał się entuzjastą zbiegów okoliczności.

Zadzwoił po raz drugi do Caramela, podając mu kierunek; nie powinni się zanadto od siebie oddalać. Poza tym niewykluczone, że Celia z kimś się spotka, a wtedy przydałoby się śledzić zarówno ją, jak i tę drugą osobę.

Kumpel zdążył się już spakować i wymeldować z hotelu. Dobrze, chociaż Colina zezłościło, że drań znowu go ubiegł. W dodatku rzeczy Colina zostały w motelu, bo nie chciał trzymać laptopa w corsie, kiedy wałęsał się po lesie. Psiakrew. Powinien był powierzyć pieczę nad nim Caramelowi, a do pokoju zabrać tylko torbę z ciuchami, których utraty by nie żałował. Tymczasem teraz musiał prosić gnojka, żeby wpadł po komputer, no i przy okazji resztę rzeczy. Niech się włamie albo użyje w recepcji swych negocjacyjnych zdolności, droga wolna. Byleby się pospieszył, bo Celia pędzi jak szalona i kumpel będzie miał sporo do nadgonienia.

- Jasne, stary, co tylko zechcesz - odparł z ironią Caramel.

Celia zwalniała jedynie przy ograniczeniach prędkości; nie zanosilo się na to, żeby planowała urządzić sobie postój. Colin z narastającym niepokojem zerkał na wskaźnik poziomu paliwa w corsie. Może nie wystarczyć do granicy, a przy tym tempie jazdy po wizycie na stacji benzynowej nie miałby szans dogonić agentki.

Okazało się jednak, że Celia nie zmierza do Francji, a przynajmniej nie od razu. Wybrała zjazd na Karlsruhe i Heidelberg, potem na Heidelberg i Leimen, aż wreszcie wjechała do Heidelbergu.

W mieście Colin trzymał się blisko niej; musiałyby być wyjątkowo marnie wyszkolona, względnie baaardzo głęboko tonąć w myślach, żeby się nie zorientować, że ktoś ją śledzi. Czy nie uzna, że Colin robi to zbyt otwarcie? No cóż, w trakcie tych kilku krótkich pogawędek, jakie ucieli sobie w Stanach, dawała do zrozumienia, że ma o nim raczej niskie mniemanie, tak więc może jego obecna nieudolność nie

wyda jej się dziwna. Niezbyt miła myśl... ale przecież Colin wcale nie był nieudolny, powinien zatem cieszyć się, że udało mu się wpoić Celi równie błędne przekonanie.

Celia przebiła się przez miasto, a potem przejechała mostem przez rzekę, do dzielnicy willowej. Zatrzymała się na podjeździe posesji w trzeciej linii od rzeki. We wstecznym lusterku widział, że zwleka z opuszczeniem auta, jakby szykowała rzeczy do zabrania. Wreszcie otworzyła drzwi, a Colin zaklął, bo właśnie dotarł do końca uliczki i musiał skręcić, jeśli nie chciał zostać spostrzeżony. Jasne, Celia przypuszczalnie wiedziała o jego obecności, ale istniała przecież maleńka szansa na to, że natknął się na nią przypadkiem. W każdym razie znikła Colinowi z oczu, tak że nie dojrzał, czy wzięła coś z samochodu.

Budynek, przed który zajechała Celia, wyglądał na zwykły dom jednorodzinny, nie był mały, ale też nie przesadnie wielki, w sam raz dla grupy rodzinnej z dziećmi w wieku szkolnym. Przemknęło mu przez myśl, że sama Celia, będąc trochę po trzydziestce, mogła się już dochować potomstwa. No, ale nie przyprowadziłaby Colina do własnego domu! I wtedy raczej wjechałaby do garażu. Zatem?

Upał się, że w domu mieszka rodzina z dziećmi, choć równie dobrze mógł trafić na bazę wypadową agentów, jak ta w Darlington. Tyle że w Darlington w budynku oficjalnie mieściła się firma komputerowa, tak więc nikogo nie dziwiły zajeżdżające tam raz po raz samochody, wnoszony i wynoszony sprzęt i zmieniające się twarze. Natomiast ten dom stał w dzielnicy typowo mieszkalnej i udatnie wtapiał się w to otoczenie. Tak, na podjeździe, tuż obok meganki Celi, Colin spostrzegł porzucony dziecięcy rower, stąd wzięło mu się przekonanie, że ma do czynienia z rodziną.

Czy agentka odwiedzałaby ludzi? Oczywiście, mogli świadczyć usługi organizacji, nie wiedząc nawet, dla kogo pracują. Tylko że Colin nie pojmował, po co Celia pokazywałaby mu taki dom. Chyba że miała się z kimś spotkać i chciano, żeby zaczął śledzić tę osobę. Czy za

moment pojawi się tutaj Udo? No bo, któż inny wydałby się Colinowi na tyle ważny, żeby przerzucił się z Celi na nowy obiekt?

Zaparkował w cichej uliczce. Rzucił się tu w oczy, cholera.

Znów skontrolował stan paliwa. Prawie nic mu nie zostało. Jeżeli miał kogokolwiek śledzić dalej, musiał zajrzeć na stację. A jeśli Celia w tym czasie odjedzie?

Zadzwoił do Caramela, ale ten dopiero co wjechał na autostradę, tak więc nie dotrze na miejsce wcześniej niż za półtorej godziny. Psiakrew.

- Kurde, Colin, trzeba było nie zostawiać laptopa w motelu - zirytował się Caramel. - Albo przynajmniej nie trzymać na dysku istotnych danych.

Colin w ostatniej chwili powstrzymał się przed poinformowaniem gnojka, że nie jest idiotą i nie przechowuje w kompie niczego ważnego. Nie było sensu spierać się o pierdoły.

- Po prostu się pospiesz - warknął, kończąc rozmowę. Wahał się, co zrobić. Obserwować dom czy jechać na stację?

Cóż, jeśli Celia wpadła tam tylko na chwilę, żeby zaraz podążyć dalej do Francji, z pustym bakiem Colin momentalnie ją zgubi. Jeżeli natomiast laska zostanie w środku przynajmniej kwadrans, uda mu się bez problemu obrócić po benzynę i z powrotem.

Ruszył z piskiem opon. Trudno, najwyżej przegapi przybycie Udo. Nie darowałby sobie, gdyby został jak palant w unieruchomionym wozie.

Pamiętał, że mijał stację; znajdowała się dalej, niż mu się pierwotnie wydawało, tak więc złorzeczył, na czym świat stoi, przekonany, że pomylił drogę, i wściekły, że traci tyle czasu. Wreszcie jednak dotarł do celu, nabrał paliwa i czym prędzej ruszył w drogę powrotną.

Przejechał ulicą obok obserwowanego domu. Czerwone megane nadal stało samotnie na podjeździe. Colin odetchnął z ulgą, zaraz jednak dopadły go obawy, czy Celia

nie wymieniła bryki. Opuściła dom przez ogród i tyle ją widział.

Sklął się za tego rodzaju wymysły. Gdyby chciała się Colinowi wymknąć, nic by mu nie dało sterczenie pod oknami budynku.

Zostawił corsę dwie uliczki dalej i postanowił się przejść.

Renówka ciągle parkowała pod domem, uporczywie samotna.auta gospodarzy zapewne stały w zamkniętym podwójnym garażu. Nic się nie działo. Było wczesne popołudnie, ładna pogoda, ale też dzień roboczy, więc tylko gdzieś mieszkający siedzieli na tarasie. Od strony interesującego go budynku nie dobiegał jednak gwar rozmów, tak więc Celi nie ugoszczono w ogrodzie, a Colin znajdował się za daleko, by pokusić się o wyłapanie głosów rozbrzmiewających w domu.

Co dalej? Nie mógł tak spacerować w nieskończoność ani też siedzieć w aucie. Kursując corsą w tę i z powrotem także szybko zwróciłyby na siebie uwagę. To była taka dzielnica, gdzie każda obca osoba i każdy obcy wóz natychmiast przyciągają ciekawskie spojrzenia, śledzące obiekt tak długo, aż stanie się jasne, kogo odwiedza intruz.

Wrócił do auta i objechał okolicę, szukając neutralnego miejsca do zaparkowania. W pobliżu znajdowały się tereny spacerowe, gdzie na pewno czasem zaglądali „obcy”. Rzeczywiście, znalazł parking dla spacerowiczów, tyle że jego corsa okazała się na nim jedynym pojazdem. Cholera. Wysiadł i znów wolnym krokiem ruszył w stronę tamtego domu. Nie miał wyjścia, musiał przycząć się w krzakach.

Na tego rodzaju podchodach upłynęła Colinowi prawie godzina, a w otoczeniu obserwowanego budynku nic się nie zmieniło. Teoretycznie powinien się cieszyć, że nie staje przed dylematem: śledzić Celię czy osobę, z którą się spotkała. No, ale bez jaj...

Odezwał się do Tin, zrelacjonował jej bieżące wypadki i rewelacyjne odkrycia dotyczące wydarzeń sprzed półtora roku, była jednak akurat na spacerze z Alanem, sama, i choć na pozór z uwagą wysłuchiwała Colina, wyczuwał jej

rozkojarzenie. Nie potrafiła mu też doradzić niczego poza cierpliwym czekaniem. Był cierpliwy, psiakrew!

Wreszcie, po kolejnych dwudziestu minutach, Celia wyszła przed dom w towarzystwie pary, wedle oceny Colina było to małżeństwo około czterdziestki. Żegnała się z nimi jak osoba, która wstąpiła na kawę do znajomych, znalazłszy się przejazdem w okolicy. Colin nie tracił czasu na obserwacje; szybko wycofał się z krzaków i popędził do samochodu, obojętny na to, co sobie pomyślą okoliczni mieszkańcy.

Dopał corsy i wrócił na uliczkę akurat na czas, żeby zobaczyć światła stopu czerwonego megane. Skręcało w lewo, zmierzając ku głównej drodze, ciągnącej się wzdłuż rzeki. Celia obrała tę samą trasę, którą tu przyjechała, najwyraźniej więc kierowała się znów ku autostradzie.

Po raz kolejny wybrał numer Caramela. Kumpel był już niedaleko Heidelbergu, tak więc Colin podał mu adres domu i opisał sytuację.

- Ja będę się trzymał Celi - oznajmił. - Nie wiem, czemu miał służyć ten postój, bo nie odniosłem wrażenia, żeby chciała mi wskazać tych dwoje. Powiedziałbym raczej, że starała się taką niby towarzyską wizytą uspić moje podejrzenia, że niby nie domyśla się, że ją śledzę. Możliwe jednak, że z kimś się tam spotkała albo że ci dwoje to para agentów, którym coś przywiozła.

- Dobra, spróbuję się tam zakraść i sprawdzić, co jest grane - odparł Caramel. - Daj mi godzinę.

- Spoko. Tylko nie mitręż, bo jeśli teraz Celia jedzie spotkać się z kapłanem...

- Zdecyduj się - przerwał mu Caramel; ostatnio stał się dziwnie drażliwy. - Mam sprawdzić ten dom czy trzymać się blisko ciebie?

Cholera, żeby Colin to wiedział. Wsłuchał się w siebie, ale, oczywiście, przeczucie nie zamierzało udzielić mu wskazówki. A co podpowiadała zwykła intuicja?

- Sprawdź - rzucił stanowczo. - Po prostu uwiń się z tym szybko.

Caramel odburknął coś. Sam zaoferował pomoc, darowałby więc sobie fochy. Chociaż już po zakończeniu rozmowy Colin pożałował, że nie polecił kumplowi od razu jechać za nim. W tym domu chłopak nie znajdzie sensownego tropu, jego ustalenia co najwyżej zaspokoją ciekawość Colina.

Ach, trudno. Nie zadzwoni do gnojka, żeby go powiadomić o zmianie zdania.

Celia wjechała na autostradę i znowu pędziła jak opętana, a Colin dzielnie dotrzymywał jej tempa. We Francji zwolniła do przepisowych stu trzydziestu. Jak daleko go prowadziła? Colina znów stopniowo ogarniało zniecierpliwienie. Miał nadzieję, że chociaż tym razem jego trud zostanie nagrodzony i otrzyma trop, po którym trafi wprost do Emily.

Kiedy tak jechał za meganką, wymyślając rozmaite scenariusze dalszych wydarzeń, ani się obejrzał, jak minęła godzina. W zasadzie zorientował się dopiero po kolejnych dwudziestu minutach... Czy Caramel powiedział: „Daj mi godzinę” ot tak, niezobowiązująco, czy też wyraźnie sugerował, że jeśli nie odezwie się w wyznaczonym przez siebie terminie, będzie to sygnał, że wpakował się w tarapaty?

Colin doskonale znał odpowiedź, szukał tylko dla siebie usprawiedliwienia, wściekły, że brak wiadomości od kumpla uderzył go z takim opóźnieniem.

Sięgnął po komórkę, zaraz jednak uznał, że nie jest to najlepszy pomysł. Jeśli Caramel został złapany, Colin zdradzi swoim telefonem, że umawiali się na kontakt; zresztą, choćby dzwonił jedynie w celu zasięgnięcia porady, oczekiwałby, że kumpel odbierze albo szybko sam się do niego odezwie.

No tak, tylko że jeśli Caramel zwyczajnie zapomniał, że obiecał dać znać za godzinę, Colin postąpi horrendalnie

głupio, gdy za moment zawróci, porzucając Celię.

Sęk w tym, że był pewien, że chłopak potrzebuje pomocy. Pewien tak, jak w dawnych dobrych czasach, kiedy tego rodzaju dylematy rozstrzygało za Colina przecucie, choć samego głosu przecucia nie usłyszał. Cholera. Dlaczego nie miał takiej pewności wcześniej, kiedy decydował, czy Caramel powinien sprawdzić ten przeklęty dom?

Nieistotne. Liczył się wyłącznie fakt - niezbity - że Caramel znalazł się w niebezpieczeństwie, a Colin musiał postanowić, czy będzie dalej śledził Celię, być może jedyną jego nadzieję na odnalezienie siostry, czy też pospieszy na ratunek kumplowi, co do którego intencji nadal żywił wątpliwości.

Tyle że jeśli kapłani wciągali Colina w zasadzkę, podsuną mu inny trop, natomiast na utratę Caramela Colin nie mógł sobie pozwolić. Nie był to najszlachetniejszy powód ruszenia koledze z odsieczą, niemniej usprawiedliwiał decyzję o porzuceniu Celi. Agentka przypuszczalnie doprowadziłaby Colina do siostry, której los powinien być dla niego nadrzędny, ważniejszy niż przyjaciel w potrzebie - chyba że bez udziału owego przyjaciela akcja odbijania Emily kapłanom stałaby się z góry skazana na porażkę.

Lecz czy rzeczywiście Caramel stanowił niezbędny warunek sukcesu? Bo w takim razie - czy półtorej godziny temu przecucie nie powinno było wrzasnąć na Colina, żeby chłopak trzymał się z dala od tamtego domu? Cóż, sam uparcie powtarzał, że przecucie nie zawsze ostrzega o niebezpieczeństwie. Wcześniej nie udzieliło mu żadnej podpowiedzi; na tej podstawie nie dało się wnioskować, że chciało śmieci Caramela. Zwłaszcza że teraz pchało Colina z powrotem. To znaczy, chyba.

Miał chwilę do namysłu, bo na razie nie widział znaków zapowiadających zjazd z autostrady. Natarczywie wezwał Tin. Zaczęła przebąkiwać, że właśnie czyta Alanowi bajkę, ale przerwał jej warknięciem. Pokrótce opisał sytuację.

- Mam zawrócić?

- Colin, nie wiem - odparła bezradnie. - Sam powiedziałeś, że przeczucie każe ci wracać...

- Powiedziałem: chyba.

A jednak zwolnił, widząc tablicę informującą o następnym zjeździe. Zmienił pas.

- Myślę, że powinieneś do niego jechać - odezwała się Tin, ale tak niepewnie, jakby niemalże chciała doradzić Colinowi coś przeciwnego.

Włączył migacz.

- Dam ci znać, kiedy coś ustalę - rzucił szorstko.

Cholera, próbował zwalić na Tin odpowiedzialność za własną decyzję o rezygnacji ze śledzenia Celi, choć od początku wiedział, że musi zawrócić. Pieprzone przeczucie. Miał nadzieję, że przy następnej okazji odezwie się z mniejszym opóźnieniem.

ROZDZIAŁ 10

Oriane zaschło w gardle, tak długo opowiadała o najważniejszych wydarzeniach z historii europejskiej społeczności, jakie nastąpiły latach pięćdziesiątych. Zapoczątkowane przez Anthony'go zjednoczenie stopniowo przybierało zorganizowaną formę. W każdym kraju powstały wyspecjalizowane wilkołacze służby, utrzymujące ze sobą stały kontakt, gdy zaś zapotrzebowanie na daną usługę było rzadsze, tworzone ponadnarodowy zespół. W wielu przypadkach podobne rozwiązania stosowano już wcześniej, choćby tam, gdzie w grę wchodziła ochrona tajemnicy, a więc przede wszystkim w sprawach dotyczących nieświadomych, owym działaniom jednak często brakowało wówczas koordynacji.

Widziała, że Emily jej nie słucha, przy czym tym razem dziewczynka nie udawała rozkojarzenia. W południe Lars zabrał ją na dół i pokazał tamtego. Oriane poinformował o swej decyzji po fakcie, nie wdając się w szczegóły, tak że nie wiedziała nawet tego, czy dziewczynka zareagowała szokiem, przerażeniem, czy też przyjęła nowe doświadczenie względnie spokojnie.

- Poprowadź dziś łżejsze zajęcia - poinstruował Oriane Lars. - I tak niewiele z nich wyniesie.

Dlatego też Oriana opowiadała podopiecznej o rozwoju europejskiej organizacji, skupiając się na ciekawostkach, a jedynie z rzadka wplatając między nie daty i nazwiska. Kątem oka obserwowowała dziewczynkę, usiłując dociec, jakie wrażenie wywarło na niej spotkanie z tamtym. Poruszyło ją, to oczywiste, Oriana spodziewałaby się wszakże strachu lub przynajmniej wewnętrznego rozdygotania, a tymczasem wyczuwała fascynację. Fascynację! To dziecko miało

niespełna dwanaście lat, należałoby zakładać, że takiego kalibru przeżycie okaże się ponad jego siły.

W dodatku Emily nie starała się ukryć swoich emocji. Być może nie była w stanie, raczej jednak nie przejmowała się opinią Oriany, tak jak nie interesowały jej w tej chwili fakty z historii społeczności.

Skończyły zajęcia wcześniej niż zwykle, tuż przed szóstą. Zdaniem Oriany zalecenie, żeby po tak wstrząsającym doświadczeniu tłoczyć małej do głowy prozaiczne wiadomości, wydawało się odrobinę chybione, ale po namyśle doszła do wniosku, że Lars chciał poznać jej opinię na temat reakcji dziewczynki. I co miała mu powiedzieć?

- Jest dość spokojna - poinformowała kapłana. - Rozkojarzona, niemniej jak na taki wstrząs, wykazuje godne podziwu opanowanie.

Czekał na Oriane w gabinecie, dokąd udała się od razu po zakończeniu zajęć. Czekał, mimo że lekcja historii mogła trwać jeszcze godzinę. Niecierpliwił się. Być może Oriane sprawiłoby to satysfakcję, gdyby zachowanie dziewczynki tak bardzo jej nie niepokoiło.

- Mówiłem, że jest silna - stwierdził, nie kryjąc dumy, jakby chodziło o jego rodzone dziecko.

Przyjrzała mu się dyskretnie. Na swój sposób lubił tę małą. Do synów nie żywił podobnych uczuć. Co najwyżej czasem, gdy któryś wykazał się cennymi zdolnościami, odczuwał dumę z własnych genów, z faktu, że wyprodukował dla społeczności tak doskonały egzemplarz. Wszystkie wady tych chłopców wynikały, naturalnie, ze skażenia genami ich matek.

Emily praktycznie dorastała u boku Larsa. Chociaż trzymał się w cieniu, widywał ją częściej niż jakiegokolwiek innego członka społeczności. Dziewczynka stanowiła serce operacji, ponosił za nią osobistą odpowiedzialność. Prowadził ją przez lata, to mniej, to znów bardziej dyskretnie, i uważał za swoje dzieło. Był z niej dumny, z tego, że okazała się taka pojętna i silna. Idealna, by

wreszcie, po tylu nieudanych próbach, przepowiednia się wypełniła.

Kapłan poświęcił tej operacji szmat życia, podczas gdy Oriana dołączyła do niej dopiero na ostatnim etapie, owszem, najważniejszym, jednakże realnym tylko dzięki temu, co do tej pory zdziałał Lars. Już wcześniej docierały do niej pogłoski na temat jego dokonań; kiedy została wtajemniczona w szczegóły, postarała się uporządkować fakty.

Odkąd na świat przyszedł Colin, wypełnienie przepowiedni stało się priorytetem dla Larsa, w tym czasie młodego, ambitnego kapłana. Zabił matkę chłopca, gdyż zbyt wyraźnie ujrzała jego przyszłość, choć teoretycznie mógł tym sposobem przekreślić szansę na narodziny dziewczynki. Sądził tak Per, ówczesny Drugi Kapłan, i paru innych wtajemniczonych. Lars miał silne poparcie u Iana, Pierwszego Kapłana, jednak tak czy owak na pewien czas popadł w niełaskę. Wierzył wszakże w swoją misję, upierał się, że skoro przepowiednia mówi o linii rodu ojca, matka nie ma znaczenia, może nawet być człowiekiem, a rodzeństwo to rodzeństwo, nieważne że przyrodnie. Pilnie studiował pradawne pisma, analizował poprzednie przypadki, szukając drobnych niedociągnięć, które przesądziły o porażce – i wytrwale dowodził swych racji.

Kiedy przewidywania Larsa się sprawdziły i urodziła się dziewczynka, jego pozycja bardzo się wzmocniła. Nie zapomniał, kto występował przeciw niemu, i bezlitośnie gnębił przeciwników. Ponieważ zrealizowanie zaleceń przepowiedni stawało się coraz bardziej palącą kwestią, a nikt nie znał tej sprawy tak dobrze jak Lars, kapłan zyskał nietykalność.

Prowadził operację wedle własnego uznania, osobiście podejmował każdą decyzję, manipulował Colinem, edukował Emily. Zdarzały mu się potknięcia, jak choćby pomysł zabicia partnerki chłopaka, lecz przecież ostatecznie nie dochodziło do realizacji takich chybionych koncepcji, Lars wiedział bowiem, kiedy zasięgnąć

zewewnętrznej opinii. Formalnie operacją dowodził Per, jako że nic nie mogło się zdarzyć bez wiedzy i akceptacji Pierwszego Kapłana, ale Lars w zasadzie otrzymał wolną rękę. Niektórzy krzywili się na rozmach jego działań, zwłaszcza gdy wiązały się one ze sporym ryzykiem ujawnienia światu faktu istnienia społeczności, zamykał im jednak usta pytaniem, czy ich zdaniem cel nie jest tego wart. Gdyby nie zachowywał się tak arogancko, Per zapewne odpuściłby mu tych dwóch martwych kapłanów.

Lars niepokoił się, bo na ostatnim etapie nie wszystko przebiegało zgodnie z planem, ale jego obawy odnosiły się wyłącznie do Colina. Emily go nie zawiodła.

Kontrolował jej rozwój od małości, dlatego też była dokładnie taka, jaką chciał ją widzieć.

Jak w tej sytuacji Oriana miała go przekonać, że dziewczynka może się wyłamać? Gdyby chociaż zyskała pewność co do rzeczywistych zamiarów matki. Emily chciała im uciec? Czy też teraz, kiedy poznała największą tajemnicę kapłanów, zaświtał jej w głowie inny, znacznie bardziej niebezpieczny pomysł?

- Nie sądzisz, że sterowanie nią byłoby prostsze, gdyby przestraszyła się mocniej? - zapytała Oriana.

- Wpadła w panikę? - podsunął ironicznie Lars.

- Bała się go - sprostowała spokojnie. - Jak również tego, co mógłby zrobić, gdyby wyrwał się na wolność. Odniosłam wrażenie, że on ją bardziej fascynuje niż przeraża.

- Przestraszyła się akurat tyle, ile trzeba - uciął chłodno Lars.

Oriana poważyla się uczynić zamach na jego świętość i natychmiast stała się podejrzana. Być może powinna spróbować podejść kapłana z innej strony, ryzykowałyby jednak, że zostanie odsunięta od podopiecznej, a właśnie teraz chciała mieć smarkulę na oku. Do końcowej rozgrywki zostało niewiele czasu, niewykluczone, że za mało, by zmienić zamiary dziewczynki, jeśli solidnie wbiła je sobie do głowy. Zarazem Lars na pewno będzie nad nią pracował,

wykładał kolejne szczegóły planu, obserwował, jak Emily je przyjmuje, i reagował, zauważywszy u niej rozterki.

Owszem, Lars bywał czasem ślepy na oczywiste prawdy, ale zarazem Oriana nie znała bardziej przenikliwej osoby. Sama co chwila zmagala się z myślą, że ją przejrzał – a oszukałaby go dwunastolatka? Chyba powinna pozostawić kapłanowi ocenę nastawienia dziewczynki do czekającego ją zadania. Zachowa wszakże czujność, tak że w razie gdyby Lars mimo wszystko mylił się co do smarkuli, Oriana spełni rolę wentyla bezpieczeństwa.

- Co zdecydowało o tym, że jej go pokazałeś? - zapytała zatem neutralnie, starając się odbudować zaufanie Larsa do swojej osoby.

Przez kilkanaście sekund mierzył ją ciężkim spojrzeniem.

- Otrzymałem raport z obserwacji zachowań Colina w lesie – odparł wreszcie. - Richard błędnie ocenił poziom jego samokontroli, chłopak w ogóle nad sobą nie panuje. Przeszliśmy do kolejnego etapu, śledzi w tej chwili naszą agentkę.

- Richard się pomylił? - zapytała zdziwiona.

Lars westchnął.

- Brzmi nieprawdopodobnie – przyznał. - Colin był sam, nie odnotowano, by ktokolwiek mu towarzyszył albo dołączył do niego w mieście.

Zatem podejrzewał Bersona o zdradę. Logiczny wniosek, kiedy kontakt z agentem nagle się urywa, a raporty z innych źródeł przeczą jego wcześniejszym doniesieniom. Benson podkreślał, że obawia się próby zabójstwa ze strony syna Gordona, spotkał się z nim i Colinem, a potem słuch o nim zaginął. Kapłani mieli założyć, że poniósł śmierć, i szukać jego ciała, dzięki czemu on na pewien czas zyskałby swobodę ruchów.

Takie posunięcie pasowałoby do Bersona i Lars przyjmował je za najbardziej wiarygodne wyjaśnienie zaistniałej sytuacji. Oriana teoretycznie się z nim zgadzała, jednakże nie potrafiła wyzbyć się przeświadczenia, że agent nie żyje.

- Na wypadek gdyby ten wilczek nadal wspierał Colina, przygotowaliśmy niespodziankę - odezwał się znowu Lars.

Szykował się do rozwinięcia tej myśli, ale w tej chwili odezwał się wewnętrzny telefon. Dzwoniono do Larsa i agent ochrony pytał, czy przełączyć rozmowę na bezpieczny aparat w gabinecie kapłana.

Nie czekała, aż Lars zasygnalizuje, żeby zostawiła go samego. Domyślała się, że chodzi o meldunek agenta zajmującego się teraz Colinem, czyli teoretycznie nie było to nic, czego nie powinna usłyszeć, ale Lars lubił wydzielać jej informacje. Być może chciał wyrobić sobie opinię na temat nowych faktów, zanim wspomni o nich Orianie. Zwłaszcza gdy otrzymywał złe wiadomości, a była przekonana, że tym razem nadeszły właśnie takie.

Odkąd Colin zrezygnował ze śledzenia Celi, działał jak w transie. Mknął z powrotem, wyciągając z silnika corsy, ile tylko się dało. Nie przejmował się rozpaczliwym rykiem maszyny; był pewien, że bez przeszkód dotrze do celu.

Musiał dostać się do tego domu i wyprowadzić stamtąd Caramela. Nie wnikał, skąd w nim przeświadczenie, że kumpel znajduje się w budynku. Wiedział to i już. Jeśli na miejscu okaże się, że poczynił błędne założenie, po prostu pogodzi się z faktem, że poniosła go wyobraźnia, nie zaś w odmienny niż zwykle sposób przemówiło przecucie.

Wreszcie dotarł do Heidelbergu. Zostawił corsę tam gdzie poprzednio, na parkingu dla spacerowiczów, tym razem w towarzystwie sponiewieranej vectry. Dochodziła ósma wieczorem, na dworze nadal było jasno, tak więc Colin nie mógł liczyć na to, że zdoła zakraść się na miejsce niepostrzeżenie.

Dlatego nawet nie próbował się kryć. Przemierzył trzy ulice dzielące go od celu, minął interesujący go dom, a potem nagle zwęszył woń Caramela - i czmychnął śladem kumpla w zarośla, pewien, że trop doprowadzi go na tyły

posesji. Rzeczywiście, po chwili stanął przy ogrodzeniu, w gwarantującym dyskrecję cieniu gęsto rosnących drzew. Caramel przesadził w tym miejscu drewniany płot, sięgający Colinowi do brody. Colin ostrożnie zerknął do ogrodu, stwierdził, że nikogo w nim nie ma, a drzwi na taras są zamknięte, po czym także pokonał przeszkodę.

Podkraść się pod ścianę budynku, dokładnie tak, jak wcześniej Caramel, a potem do drzwi prowadzących na taras, przy których chłopak chwilę nasłuchiwał. Jeśli agenci nie opanowali sztuczki całkowitego maskowania osobniczej woni - albo jej postarzania - z tarasu po raz ostatni korzystano przed dwoma dniami.

W salonie nie było żywej duszy, z wnętrza nie dobiegały Colina żadne odgłosy, nawet szum silnika łódki czy śpiew wody w rurach. Widocznie kuchnia i łazienka mieściły się od frontu.

Gdzie się podzieli mieszkańcy? Para, która zegnała Celię? Dziecko, będące właścicielem rowerku, nadal leżącego na podjeździe od strony ulicy? Wybyli gdzieś wkrótce po pożegnaniu z agentką? Podejrzał, że ta cisza uspiła czujność Caramela.

Znalazł wyłamane piwniczne okienko, przez które kumpel dostał się do środka. Widocznie Caramel zastał je uchylone, bo szyba była cała, a rama nie nosiła śladów włamania. I nie wydało mu się podejrzane, że dom wręcz zaprasza go do środka?

Ha, chłopak zgrzeszył nadmierną pewnością siebie. Sądził, że w najdrobniejszych szczegółach przewidział działania kapłanów, oni zaś bynajmniej nie zamierzali dostosowywać się do jego wizji. Zakładał, że całkowicie skoncentrowali się na Colinie, jego zaś, wilczy pomiot, zlekceważyli, nie uważając za godnego przeciwnika. Albo, że Benson nie zdążył zaraportować o obecności Caramela, a kapłani okazali się nie dość rozgarnięci, żeby domyślić się jego udziału, zwłaszcza że po lesie pod Norymbergą Colin kręcił się samotnie. Gnojek nie spodziewał się, że przygotowują zasadzkę specjalnie na niego. Oczywiście

bowiem, że nie dybali na Colina – przynęta w postaci tego domu była zbyt mało atrakcyjna, żeby oderwać go od śledzenia Celii.

Dlaczego po raz kolejny skomplikowali sprawę, zamiast wysłać snajpera, żeby odstrzelił chłopaka? Chcieli zwabić go do tego domu, z dala od ludzkich spojrzeń... Chcieli dorwać Caramela żywego. Cóż, przynajmniej istniała szansa, że Colin nie przybył za późno.

Z trudem przecisnął się przez wąski otwór; szczuplejszemu koledze na pewno poszło łatwiej. Znalazł się w pralni. Intensywna, dobrze tu zadomowiona woń proszków do prania i innej chemii sugerowała, że jest to faktycznie pomieszczenie gospodarcze, a nie stworzona dwa dni wcześniej dekoracja. Inna sprawa, że przez te cholerne proszki zakręciło Colina w nosie i stracił trop.

Z pralni prowadziły dalej tylko jedne drzwi, niby zatem było jasne, dokąd skierował kroki Caramel, a jednak Colin zamarł z dłonią na klamce. Kumpel stąd wyszedł, nie spodziewając się, że w pralni znajdzie cokolwiek interesującego. I włożył prosto w pułapkę. Potem zaś wrócił, tyle że nie o własnych siłach.

Colin przyjrzał się podłodze z wzorzystych, drobnych kafelków. Wydawała się idealną całością, ale im dłużej patrzył, tym wyraźniej widział odcinający się na niej prostokąt. Ten zapach proszków... Nie znał się na prowadzeniu gospodarstwa domowego, w osadzie nie zawracał sobie głowy praniem czy sprzątaniami, ale przecież nie pamiętał, żeby za czasów Vivian woń chemii gospodarczej osiągała u nich w domu taką intensywność.

Wyciągnął rękę, wcisnął pierwszy przycisk na panelu suszarki do ubrań i ustawił w poziomie oba jej pokrętła. Zamaskowany kafelkami właz zjechał w dół, a potem wsunął się pod podłogę. Jeśli teraz nie kierowało Colinem przecucie, to nie wiedział, jak interpretować tę sytuację.

Nie zauważył schodów, drabiny czy innej konstrukcji pozwalającej dostać się na dół. Świadomi są z natury skoczni, nie to co ludzie.

Zeskoczył, lądując miękko na betonowej posadzce. Na oślep sięgnął w prawo, zamykając za sobą właz. Jak miło.

Tutaj wnieśli Caramela. Ściślej, zrzucili go, a potem podążyli w ślad za nim. Musiał być nieprzytomny. Oszołomili go... ale nie na długo, bo chcieli z nim pilnie porozmawiać. Postrzelili go środkiem, na który mieli gotowe antidotum?

Czegokolwiek użyli, źle obliczyli dawkę, Colin bowiem poczuł zapach krwi, zarówno Caramela, jak i trzech obcych świadomych. Chłopak zbyt szybko odzyskał przytomność i zaczął się bronić, korzystając z zębów i pazurów - agenci nie wspieliby się na takie wyżyny nieroztropności, żeby zostawić mu pistolet. Colin gubił się, które z odmalowujących się w jego umyśle wizji są autentycznymi obrazami niedawnej przeszłości, które zaś wytworami jego wyobraźni. Nieważne. Istotne, że wiedział, co powinien teraz zrobić.

Wyjął glocka, którego zwrotu zażądał od Caramela jeszcze przed swą pierwszą wizytą w lesie pod Norymbergą. Czekają go pokonanie dwóch przeciwników; jeden z nich został ranny w niedawnej potyczce. Łatwizna. Zwłaszcza że Colin działał z zaskoczenia - i wiedział, gdzie tamci w tej chwili stoją.

Słyszał ich podniesione głosy, dobiegające zza przymkniętych, ciężkich stalowych drzwi. Spierali się, dlatego nie usłyszeli przybycia Colina. Właz pracował bezszelestnie, jednak zeskok z wysokości piętnastu stóp trudno wykonać równie cicho, nawet gdy ma się na nogach w miarę miękkie adidas.

Colin stanął na wprost drzwi. Przez wąską szparę zionęło krwią.

Zawahał się - bo właściwie dlaczego przeczucie nie ostrzegło jego matki? Może kiedy czas danej jednostki się kończy, wewnętrzny głos nie tylko nie uprzedza o niebezpieczeństwie, ale wręcz sam popycha ku zagładzie? Ach, nawet jeżeli tak, na pewno nie dotyczyło to jeszcze Colina.

Pchnął drzwi i oddał dwa strzały, mierząc tam, gdzie według jego wizji powinni stać agenci. Informacja przekazana przez zmysły napłynęła z minimalnym opóźnieniem, na szczęście potwierdzając wskazówkę przeczucia. Colin strzelił raz jeszcze, dobijając drugiego basiora, który miał minimalnie więcej czasu na reakcję i zdążył rzucić się w bok, tak że oberwał w bark zamiast w głowę.

Ten trzeci strzał był bardziej odruchem niż rozmyślnym działaniem; Colin nie zdobyłby się na, bądź co bądź, zimnokrwiste morderstwo jednego ze swoich, gdyby choć przez chwilę zastanowił się nad tą kwestią. Dobrze zatem, że zadziałał odruchowo. Problem ze świadomymi polega na tym, że po zranieniu są w stanie pozbierać się na tyle szybko, żeby jeszcze nieźle namieszać. Skuteczne spętanie silnej alfy także stanowi nie lada sztukę, a Colin nie marzył o oberwaniu środkiem usypiającym w plecy, kiedy będzie wynosił stąd Caramela.

Właśnie, Caramel. Colin zwyczajnie obawiał się spojrzeć na kumpla. Na razie poświęcił więcej uwagi agentom. Trzej nie żyli. Dwóch sam przed chwilą wykończył, kolejnego niewątpliwie załatwił Caramel. On również ranił czwartego agenta, i to na tyle ciężko, że o sprawnej regeneracji nie było mowy - po prawdzie, gość nie wyglądał na takiego, który ma perspektywy się wykaraskać. Kumple się nim zajęli, opatrzyli mu rany i zapewne planowali wystawić go na ozdrowiający blask księżyca, który jednak wszędzie dopiero za kilka godzin. Nie wyglądało na to, że facet wytrzyma tak długo.

A Caramel? Colin wreszcie skierował wzrok na kolegę. Chłopak leżał na stole. Żył, choć nie było z nim dużo lepiej niż z rannym agentem. Zaczął podskakiwać, więc dowalili mu srebrem, a za wyciąganie zabójczo trującego metalu wzięli się dopiero po tym, jak poskładali swojego towarzysza. Oczywiście mieli do Caramela żal, tak więc najchętniej zostawiliby go samemu sobie, tyle że otrzymali zadanie wydobywania z chłopaka informacji. Zdawali sobie

sprawę, że czeka ich długie tłumaczenie się przed szefostwem, jakim cudem do tego stopnia spartaczyli robotę, startując we czterech przeciw jednemu – zawodowcy kontra amator, wilczy pomiot, a w dodatku małolat.

Zależało im wyłącznie na informacjach na temat tego, ile wie Colin, jakie ma plany, czym się kieruje. Ach, no i także: co spotkało Bensona. Później zabiliby więźnia.

Colin patrzył na rannego. Od momentu oddania ostatniego strzału nie ruszył się z miejsca, usiłując ogarnąć własne emocje. Cieszył się, że Caramel żyje? Ulżyło mu? Czy też gdzieś na dnie umysłu przyczaił się wstydlivy zawód? Colin przyjechał najszybciej, jak zdołał, nie miałby więc sobie nic do zarzucenia, gdyby zastał kumpla martwego. Chłopak zginąłby przez własną nieostrożność.

Otrząsnął się. Cholera, znalazł sobie czas i miejsce na rozważania! Zresztą, Caramel ciągle miał szansę wykitować, wiele mu nie brakowało.

Podszedł do stołu i obwąchał kumpla. Nieźle oberwał. Oddychał nieregularnie, z cichym rżeniem – chyba przestrzelili mu płuco. Jego serce biło jednak z determinacją świadcząca o woli przeżycia.

Caramel miał na sobie spodnie i buty, najwyraźniej więc ograniczył przemianę do górnej części ciała, obawiając się, że ubranie skrępuje mu ruchy. Colin rozejrzał się. Pod ścianą zauważył zwiniętą w kłębek, poszarpaną, zakrwawioną bluzę – agenci zdarli ją z rannego, zanim wzięli się za wyjmowanie kul.

Czy wydobyli wszystkie? Raczej tak, jeśli wziąć pod uwagę, że nie dłubali już przy Caramelu, kiedy Colin wpadł do pomieszczenia. Ciało chłopaka pokrywała zakrzepła krew. Dobrze. Pytanie, czy rany się nie otworzą, kiedy Colin zacznie go taszczyć na górę. W zasadzie powinien z tym poczekać godzinę lub dwie, żeby proces samozdrowienia posunął się nieco do przodu, zażegnując niebezpieczeństwo nagłego krwotoku. Ci dwaj jednak ani chybi wezwali pomoc do swojego rannego kumpla.

Nie, nie należało pozostawać tu nawet pięciu minut dłużej, niż to było konieczne. Colin zarzucił sobie chłopaka na plecy i ruszył do wjazdu.

Wypadałoby zbadać teren, sprawdzić, co się stało z małżeństwem żegnającym Celię na podjeździe. Jednakże Colin był pewien, że dom jest pusty. Tamtych dwoje wyjechało z wizytą do znajomych, biorąc ze sobą swoje pociechy, na wypadek gdyby z ukrytych pod podłogą piwnicy pomieszczeń przedostał się dźwięk nie przeznaczony dla uszu młodych. Rodzice, dawni agenci, wiedzieli sporo o tajnych działaniach organizacji, niemniej wydawało się mało prawdopodobne, by wtajemniczano ich w sprawę Colina. Ich dom był na kilka godzin potrzebny – takie wyjaśnienie wystarczyło, żeby gospodarze usunęli się z drogi, nie zadając pytań.

Colin dotarł pod wjazd i położył kumpla na posadzce. Nie sądził, że zdoła podskoczyć na taką wysokość z równie pokaźnym obciążeniem. Musiał istnieć sposób na znoszenie i wnoszenie tutaj ciężarów... choć Caramela bezpardonowo zrzucono na dół. A Colinowi nie nasuwało się żadne rozwiązanie, mimo że doskonale wiedział, jak otworzyć i zamknąć wjazd.

Przytasczył stół, na którym leżał wcześniej Caramel, a potem ustawił na nim drugi, znaleziony w innym pomieszczeniu. Konstrukcję zwieńczyło krzesło. Kiedy Colin wspiał się na tę piramidę, sięgał dłońmi krawędzi otworu.

Wrócił po Caramela i bez większego problemu wsunął go na podłogę pralni. Chłopak nawet nie stęknął. Colin nie uważał tego za dobry znak.

Podciągnął się do pralni. Na razie wszystko szło sprawnie.

Musiał podstawić od frontu corseę. Nie, lepiej weźmie wóz Caramela, zwłaszcza że chłopak miał w bagażniku jego rzeczy z motelu. W corsie dranie mogli mu już założyć nadajnik. Dobrze, tylko gdzie Caramel zostawił brykę?

W tej chwili Colin nie miał pojęcia, gdzie stoi samochód kumpla, ani nawet jakiej jest marki, nie widział jednak

powodu, żeby nie oświeciło go w tej kwestii, kiedy znajdzie się na ulicy. Znowu zarzucił sobie Caramela na plecy i przeszedł przez dom, do hallu, gdzie położył go na podłodze z wielkich, imitujących marmur kafli.

Obmacał kieszenie spodni chłopaka i z prawej przedniej wydobyl kluczyki. Volkswagen. Czyżby granatowy golf? Caramel przejawiał dziwaczne poczucie humoru.

Odblokował zamek frontowych drzwi, ale zawahał się z ręką na klamce. Nie, nie mógł wyjść od frontu. Zaraz wypatrzyłaby go uczynna sąsiadka, która uznałaby za swój obowiązek zaalarmować właścicieli, że ktoś kręci się po ich posesji.

Zerknął na Caramela. Nic mu się tu przez tę chwilę nie stanie.

Cofnął się do pralni, przecisnął przez okienko i przesadził ogrodzenie. Dokąd teraz? Przeczucie milczało... Psiakrew. Podszeptało mu parę ruchów, a Colin natychmiast zachowywał się tak, jakby pozbawiony jego wskazówek stawał się kompletnie bezsilny. Tymczasem tuż pod nosem miał trop Caramela i całkiem trafnie mógł założyć, że doprowadzi go on do auta chłopaka. Od czasu do czasu Colin będzie zmuszony przykucnąć pod pozorem zawiązywania sznurówki - czy raczej poprawiania rzepów - żeby upewnić się, że kumpel szedł właśnie tędy, niemniej doskonale poradzi sobie bez pomocy wewnętrznego głosu.

Okazało się, że Caramel zaparkował dwie ulice dalej. Rzeczywiście, był to golf, model trzydrzwiowy.

Colin podjechał pod dom i zatrzymał się na podjeździe, ustawiając samochód w poprzek, drzwiami pasażera od strony wejścia. Przy okazji najechał na ten cholerny rower. Trudno, rodzice kupią dzieciakowi nowy.

Na razie posadzi Caramela z przodu, a w pobliskim lesie przeniesie go na tylne siedzenie, skąd w tej chwili wzięł kurtkę chłopaka, żeby nie wystawiać na widok publiczny jego nagiej, zakrwawionej klaty.

Podszedł do frontowych drzwi, jakby zjawił się z towarzyską wizytą. Udał, że dzwoni, a potem, że ktoś mu

otwiera i on się z tą osobą wita. Jeśli mimo wszystko ktoś z sąsiadów powiadomi policję, będzie to problem organizacji. Colin i tak zrobił więcej, niż musiał, żeby zachować tę akcję w tajemnicy.

Posadził Caramela i nieporadnie ubrał go w kurtkę, klnąc sążnięcie przy tej czynności. Objął kumpla lewą ręką w pasie, zarzucając sobie na szyję jego prawe ramię, jakby taszczył pijanego – poszło mu sprawnie, jako że nie tak dawno przećwiczył ten manewr na równie bezwładnym Bensonie.

Otworzył drzwi golfa, wepchnął chłopaka na siedzenie pasażera i przypiął go pasem. Głowa Caramela osunęła się w stronę fotela kierowcy. Colin zatrzasnął drzwi, okrążył wóz, wsiadł, przepchnął kumpla tak, by ten oparł się głową o boczną szybę po swojej stronie, i niespiesznie ruszył.

W lesie ostatecznie tylko położył oparcie fotela rannego i wsunął mu pod głowę wyjęty z bagażnika sweter. Powoli zapadał zmrok, nikogo więc nie zdziwi śpiący współpasażer w mknącym autostradą samochodzie.

Dobrze, teraz należałoby się gdzieś zadekować. Colin oberwał srebrem w brzuch i wychodził z tego całą noc. Caramel zarobił co najmniej trzy kulki – tyle ran Colin zauważył przy pobieżnych oględzinach – w dodatku każdy z tych postrzałów sam jeden wyglądał na poważniejszy niż tamta rana Colina. No i chłopak troszkę sobie poleżał ze srebrem w ciele. Cholera, stanie się cud, jeśli gnojek się z tego wyliże, a jego zdrowienie w najlepszym razie potrwa kilka dni. Potrzebowali dyskretnego lokum.

Najpierw jednak Colin musiał znaleźć spokojną leśną polanę, a przynajmniej połąć otwartego terenu osłoniętą przed ludzkim wzrokiem, gdzie będzie mógł wystawić kumpla na blask księżyca. Jeżeli Caramel dożyje do jego wschodu.

Kierował się na północ, w stronę Frankfurtu, planując odbić potem w prawo i wykorzystać lasy Odenwaldu. Było to miejsce położone dostatecznie blisko, żeby – uwzględniając czas potrzebny na znalezienie polany – nie stracili ani odrobiny księżycowego blasku, niewątpliwie zielone, no i nie była to ani Norymberga, ani Francja, dokąd udała się Celia.

Kiedy Colin mknął autostradą, nawiedziła go myśl, że „Odyn” w nazwie tego pasma górskiego może sugerować, że dokonał umiarkowanie szczęśliwego wyboru... Ale bez przesady. W Niemczech czy Skandynawii roi się od nazw związanych z dawnymi bogami i nic z tego dla niego nie wynikało, podczas gdy Haarby ze świętymi głazami czy ten nieszczęsny las pod Norymbergą nie nasuwały tego rodzaju skojarzeń. Musiał pamiętać, że organizacja mistrzowsko opanowała sztukę kamuflażu i odwracania uwagi. Powinien szukać świątyni tam, gdzie nie spodziewałby się jej żaden ludzki znawca tematu wilczych bóstw.

Słyszał oddech Caramela i bicie jego serca, powolniejsze niż w tamtej piwnicy, ale nadal zdecydowane. Chłopak walczył. Noc w blasku księżycy i będzie dobrze.

Odezwał się do Tin, zapewniając, że wszystko w porządku. To znaczy, uwzględniając alternatywy.

- Ale wyjdzie z tego? – dopytywała się, zaniepokojona.

Taa, Colin faktycznie miał dar przekonywania.

- Jasne. Ja się wylizałem, a byłem w cięższym stanie.

- Starał się ją pocieszyć. – Byleby dotrwał do wschodu księżycy.

- Ty w ogóle go nie potrzebowałeś – zauważyła rzeczowo.

No właśnie, tym się kończyły próby podniesienia jej na duchu: czepiała się słówek.

- Widocznie mam silniejszy organizm – burknął gniewnie.

- Idź spać, odezwę się rano.

- Jest jeszcze wcześniej. Niedawno położyłam Alana.

- Tin...

- Daj znać, gdybyś czegoś potrzebował.

Cholera, racja, ona także zarobiła srebrną kulkę. Miała pojęcie, jak przebiega proces zdrowienia, a zatem orientowała się również, że Caramel musiał poważnie oberwać, jeśli po paru godzinach od zajścia nadal pozostawało niejasne, czy przeżyje.

Colin czuł się podle. Niby dopiero co dokonał nie lada wyczynu: wtargnął do tajnej kryjówki agentów, załatwił dwóch zawodowców, nie dając się nawet drasnąć, uratował kumpla. Kapłani zapewne pluli sobie w brodę, że tak drastycznie nie docenili przeciwnika. Tymczasem sam Colin nie zrobił właściwie niczego. Gdyby nie kierowało nim przecucie, zwiedziłby sobie dom i zachodził w głowę, gdzie przepadł trop Caramela. A kiedy wreszcie by ustalił, że w pralni znajduje się wąż do podziemnych pomieszczeń, potrzebowałby co najmniej tygodnia, żeby dociec, jak się draństwo otwiera.

Bez podszeptów przecucia był zwykłym nieudacznikiem. Dlatego, choć pragnął błysnąć przed Tin bohaterскими dokonaniem, nie zagłębiał się w szczegóły akcji odbijania Caramela, ona bowiem natychmiast dostrzegłaby prawdę. Colin działał niczym zaprogramowana przez przecucie maszyna; kiedy wewnętrzny głos w nim zamierał, stawał się bezużyteczny, jakby odłączono mu zasilanie.

Najbardziej jednak zdenerwowało Colina odkrycie, że jego przecucie miewa się doskonale, a mimo to z niewiadomych przyczyn nie pomaga mu w odnalezieniu Emily. Dlaczego? Czyżby w głębi ducha nie wierzył, że nadal jest o co walczyć - że kapłani ciągle jeszcze nie zdołali przekabacić jego siostrzyczki? Och, zatłukłby każdego, kto posądziłby go o takie nastawienie. Lecz czy przecucie nie wiedziało zawsze lepiej od niego, co Colin faktycznie chce osiągnąć?

Znalazł odpowiednią polanę; pozostawało liczyć, że w okolicy nie pojawią się amatorzy uroków nocnego nieba. Cóż, lepiej dla nich, żeby omijali łukiem Colina, bo w tej chwili z miłą chęcią zatopiłby zęby w przygodnym spacerowiczu. Zdaje się, że Mat zarzucił mu nie tak dawno,

że zachowuje się jak typowy filmowy wilkołak? Taa, rozszarpanie obściskującej się parki świetnie wpisałoby się w ten wizerunek.

Odgonił te wizje. Co mu znowu odbiło?

Przyjrzał się Caramelowi. Chłopak leżał na plecach, bez kurtki. Otrzymał jeszcze dwa postrzały – tych ran Colin wcześniej nie zauważył, ale tak czy owak były stosunkowo niegroźne. Na wylizanie się z nich wystarczyłoby Caramelowi jedna noc.

Niech ten pierdolony księżyc wreszcie wszędzie, szczeniak bardzo tego potrzebował. Tak, Colin zdecydowanie wolałby zająć się w tej chwili polowaniem, choćby na ludzi, byleby nie sterczeć bezsilnie w oczekiwaniu na pojawienie się życiodajnego blasku. Każda minuta zwłoki...

Zacisnął zęby. Powinien zostawić tu kumpla i wrócić rano. Znalazłby trupa, trudno.

Rozpoczął gniewny spacer po obrzeżach polany, jak najdalej od Caramela, zarazem mając go w zasięgu wzroku. Cholera, niech gnojek nie robi sobie jaj. Colin nie po to rezygnował ze śledzenia Celi, żeby ten mu się teraz przekręcił.

Rankiem Caramel nadal żył, chociaż Colin nie odnotował zasadniczej poprawy jego stanu. Ani nawet drobnej, skoro o tym mowa. No dobrze, może ranny troszeczkę mniej rzeził.

Colin zaniósł go z powrotem do wozu i ubrał w bluzę, żeby zakryć pokrwawione ciało. Twarz wytarł mu koszulką zmoczoną resztką wody mineralnej, jaką znalazł w butelce pod siedzeniem.

Musieli zadekować się gdzieś pod dachem, najlepiej w samotnym domku kempingowym, skąd bez problemu mógłby wystawiać rannego na blask księżyca. Poza tym wprawdzie Caramel nadal nie wydał z siebie ani jednego jęku bądź stęknienia, ale diabli wiedzą, czy w późniejszej

fazie zdrowienia nie zacznie się wydierać. Ha, przynajmniej Colin optymistycznie zakładał, że nastąpi kolejna faza.

Ulokował Caramela na przednim siedzeniu, znów układając go tak, jakby chłopak spał, zmęczony podróżą.

Odwiedził dwa kempingi; pierwszy oferował tylko stanowiska dla namiotu lub przyczepy, na drugim istniała wprawdzie możliwość wynajęcia przyczepy, jednak trudno było tu mówić o dyskrecji, i to mimo, że sezon turystyczny jeszcze się na dobre nie zaczął. Przy tym na Colina popatrywano podejrzliwie, jakby przyjechał podglądać dzieci... No cóż, chyba powinien zrezygnować z szukania kryjówki w miejscach rodzinnego wypoczynku.

Westchnął i po chwili namysłu ruszył w kierunku Drezna. Weźmie swoją toyotę, położy tylne siedzenia, robiąc Caramelowi wygodne legowisko, a potem będą się przemieszczać, dopóki chłopak nie odzyska przytomności.

- Jak on się czuje? - zapytała około południa Tin.

- Bez zmian - mruknął Colin. Nie obroniłby już tezy, że Caramel oberwał niewiele mocniej niż on swego czasu od Alberta. - Ale skoro nadal żyje, powinno być coraz lepiej - dodał, pocieszając samego siebie.

Wydawało mu się, że coś takiego zapamiętał ze szkolenia: jeśli świadomy nie przekręci się przed pierwszym po odniesieniu rany wschodem dającego choć trochę blasku księżyca, wyliże się z tego. Tyle że na szkoleniach straży notorycznie wciskano im kit, a zresztą akurat tej informacji Colin tak czy siak nie był pewien. Może wymyślił sobie tę teorię, żeby podtrzymać się na duchu?

W głowie miał pustkę. Ani śladu podszeptów przeczucia, zero koncepcji na następny krok. No dobrze, mógł po raz kolejny pojechać na Fionię i pewnie tak zrobi, jeśli nie wpadnie na oryginalniejszy pomysł, bo te cholerne głązy stanowiły jego jedyny punkt zaczepienia. Nie pogardziłby jednak bardziej błyskotliwym rozwiązaniem.

Dlaczego to przeklęte przeczucie tak ochoczo pomogło mu odbić Caramela, a nie chciało udzielić najmniejszej

wskazówki odnośnie do miejsca pobytu Emily?

- Sam dobrze wiesz, że przecuciem nie da się sterować - wyrzuciła mu delikatnie Tin.

- Od razu sterować - zirytował się. - Nie żądam, żeby reagowało na każde moje wezwanie, ale, do cholery, o Emily bez przerwy myślę! Nieustannie zastanawiam się, gdzie jej szukać! Powinienem więc chyba doznać olśnienia, prawda?

Milczała chwilę, aż Colin zaczął podejrzewać, że przyczepi się do tego „bez przerwy” i „nieustannie”. Dobrze, niech będzie, często bieżące problemy odwracały jego uwagę od siostry, ale przecież poszukiwania pozostawały dla niego sprawą nadrzędną, nawet jeśli przejściowo koncentrował się na czymś innym.

- A jeśli z jakichś względów nie powinieneś odnaleźć Emily zbyt szybko? - zasugerowała Tin. - Na przykład dlatego, żeby dać jej czas na naukę pod okiem kapłanów? Przecucie ani ci nie pomaga, ani nie spowalnia twoich działań, bo w ten sposób spotkasz się z siostrą w najwłaściwszym momencie. Natomiast jeżeli dla powodzenia tej akcji niezbędny jest udział Caramela, to oczywiste, że przecucie podpowiedziało ci, jak go uratować.

- Teoria dobra jak każda inna - burknął Colin.

Nie podobało mu się, że zdaniem Tin sam by sobie nie poradził. Caramel koncertowo wpakował się w zasadzkę i nie żyłby już, gdyby nie odsiecz Colina! Zawsze przyda się ktoś, kto zabezpieczy tyły albo z kim można przedyskutować dany pomysł, tyle Colin gotów był przyznać, lecz bez przesady.

Zezłościła go tym brakiem wiary w jego możliwości. Zgoda, sam miewał podobne przemyślenia, ale jedną rzeczą jest sporadycznie powątpiewać we własne siły, jako że każdy ma czasem prawo znaleźć się w dołku, a całkiem inną znosić ataki własnej dziewczyny. Jeśli Tin zamierzała raczyć go tego rodzaju refleksjami, wolał ograniczyć ich kontakty do minimum, przynajmniej do czasu wyzdrowienia

Caramela. Bo a nuż wyprowadziłaby Colina z równowagi na tyle, że uszkodziłby kolegę.

Caramel odzyskał przytomność w niedzielę nad ranem. Poruszył się i chrząknął, budząc Colina, który wolał sen od bacznej obserwacji leżącego w bezruchu kumpla.

W ogóle Colin dużo ostatnio spał. Spał za dnia, na parkingach przy autostradzie, i nocą, gdy już ulokował nieprzytomnego Caramela na umożliwiającym zażycie kąpieli księżycowej skrawku gruntu. Poza tym krążył po całych Niemczech, no i, oczywiście, nie odmawiał sobie posiłków. Zatrzymywał się na nie pięć, siedem razy w ciągu doby, żeby teraz, w okresie względnego spokoju, maksymalnie odbudować siły.

Po prawdzie, znajdował się na skraju nerwowego wyczerpania. Nie dlatego, że aż tak bardzo przejmował się losem Caramela; im dłużej z nim siedział, tym bardziej było mu obojętne, jak ta sprawa się zakończy. Byleby się wreszcie zakończyła.

- No, w końcu - warknął Colin. - Ile można dochodzić do siebie? A ponoć ćwiczyłeś radzenie sobie z ranami postrzałowymi!

Caramel otworzył usta, ale tylko zacharczał. Odkaslnął. Skrzywił się boleśnie.

- Kurde - wykrztusił w końcu. - Jak długo...?

- Dwie i pół doby. Pamiętasz, co zaszło?

W odpowiedzi Caramel jedynie sapnął. Jasne, głupio mu się było przyznać do własnej nieudolności. Pewnie zastanawiał się, czy otwarcie się pokajać, czy udawać zanik pamięci.

- Załatwiłem pozostałych dwóch - poinformował go Colin.

- Z twojego powodu odpuściłem śledzenie Celi.

- Beze mnie niewiele byś zdziałał - odparł Caramel, z grymasem unosząc się na łokciach.

No co za bezczelny, zadufany w sobie typ! Colin na moment przymknął powieki.

- Jesteś głodny? - zapytał, jako tako odzyskawszy panowanie nad sobą.

- Jak diabli - potwierdził Caramel, zamiast jednak spróbować usiąść, ostrożnie opadł z powrotem na ziemię.

Niby życzył sobie, żeby mu usługiwać? Colin znów stoczył krótką wewnętrzną walkę, ale ostatecznie bez słowa powędrował do toyoty po torbę z wołowiną. Kupił mięso w sobotę przed południem, w cieple odrobinę się już zaśmiardło - akurat na tyle, żeby dodawało mu to delikatnego smaczku.

Upuścił reklamówkę obok Caramela. Na pewno nie będzie gnojka karmił.

Przyglądał się, jak chłopak krzywi się z bólu, próbując usiąść. Ponieważ jednak nie poprosił o pomoc, Colin nie rwał się, by go podnieść.

- Cholera, Caramel, jak mogłeś tak głupio się wpakować? - mruknął, kiedy kumpel opróżnił reklamówkę, osuszył trzy półtoralitrowe butelki niegazowanej wody mineralnej i na koniec głośno beknął. - Cisza w domu powinna była wzbudzić twoje podejrzenia, a ty wlałeś prosto w pułapkę.

- Jaka cisza? - Caramelowi znów donośnie się odbiło. - Chyba wolę świeższe mięso. Nie kupiłeś przypadkiem snickersów? - Mina Colina wystarczyła mu za odpowiedź. Westchnął. - Kiedy się tam zakradłem, w salonie byli facet i babka, zapewne para, którą widziałeś z Celią. Kłócili się o zawartość... Nieważne, teraz wiem, że odstawili pokazówkę. Kobieta wyszła zagniewana, gość pogonił za nią z przeprosinami. Trzasnęły drzwi i dopiero wtedy nastąpiła cisza. Dzieciaków nie słyszałem. Uznałem, że jest czysto.

Colin cmoknął wymownie. Choć raz miał okazję się powywyższać, akcentując, że sam nie popełniłby równie idiotycznego błędu. Przynajmniej gnojek spuści z tonu.

- Kiedy tak stanowczo mnie tam posłałeś, pomyślałem... - podjął Caramel.

- Przecież nie mam przeczuć! - przerwał mu Colin. Ściągnął brwi. - Wtedy nie miałem. Powiedziałbym ci.

- No cóż, zasugerowałem się. Uznałem, że nic mi nie grozi, skoro twoje przeczucie mnie tam posyła. Trudno, widocznie tak miało być. - Caramel wzruszył ramionami. - Przynajmniej dowiedziałem się, że uważają mnie za groźnego przeciwnika. To nieco zmienia postać rzeczy.

Colin gapił się na niego z niedowierzaniem. Gnojek nawet z ewidentnej porażki czynił powód do dumy. Groźny przeciwnik! Tak, Udo na pewno przed nim drżał.

- Czy oznajmiasz mi właśnie, że się wycofujesz? - zapytał uprzejmie Colin.

- Nie, ale powinienem całkowicie zniknąć im z oczu. - Caramel podciągnął kolana pod brodę i oplótł je rękoma. Wyglądał marnie, ale jego jakże cenne poczucie własnej wartości najwyraźniej nie ucierpiało. - Byłem nieprzytomny prawie trzy doby, czyli poważnie oberwałem. Nawet jeżeli ci dwaj zabici przez ciebie agenci nie zdążyli złożyć raportu, w tej piwnicy było pełno mojej krwi, przypuszczalnie mieli tam też zainstalowane kamery. Wiedzą, że balansowałem na granicy śmierci. Jeśli nikt cię nie śledził... Zauważyłeś kogoś?

- Nie - burknął Colin. Caramel zadał pytanie takim tonem, jakby przecząca odpowiedź Colina była dla niego równie oczywista, co niewiarygodna.

- Hm. Załóżmy optymistycznie, że zabrakło im do tego zadania ludzi. Kiedy przy najbliższej okazji zobaczą cię samego, będą się zastanawiać, czy przeżyłem. Muszę zniknąć, zupełnie... a jednocześnie być tuż przy tobie.

- Znaczy, w bagażniku? - rzucił kpiąco Colin, ale natychmiast pojął, że dokładnie takie rozwiązanie kumpel ma na myśli.

- Zasłonisz mnie roletą.

- Super - mruknął Colin. Żałował, że nie ma sedana. - A gdzie, twoim zdaniem, powinienem teraz pojechać, żeby pokazać się kapłanom, samotny i zrozpaczony po stracie kumpla?

Znów ironizował, tym razem chcąc zamaskować fakt, że prosi Caramela o radę. Psiakrew, czemu sam nie potrafił niczego wymyślić? No, nikt nie twierdził, że gnojek wychyli się za chwilę z błyskotliwą koncepcją. Ani chybi będzie go stać tylko na sugestię, żeby wrócili na Fionię.

Caramel dumał chwilę, z brodą opartą na kolanach i ostentacyjnie skupionym wyrazem twarzy.

- Moglibyśmy załatwić dwie sprawy za jednym zamachem - oznajmił wreszcie. - Naprowadzić ich na ciebie i przy okazji przekonać, że nie przeżyłem. Najpierw jednak musimy wybrać stosunkowo niedużą miejscowość, gdzie wysłannik agentów długo by cię nie szukał, a przy tym potencjalnie związaną ze społecznością, tak by nie dziwił twój kilkudniowy pobyt w tym miejscu. Stamtąd zadzwonisz do Dustina z pytaniem, dlaczego nikogo nie powiadomił o ataku na Hammera, mimo że miał wtedy dyżur. Kiedy spróbuje wykręcić się sianem, będziesz go uparcie atakować, żeby rozmowa trochę potrwała. Zakładam, że kapłani przygotowali się na twoją próbę nawiązania kontaktu z kolegami ze straży i namierzą cię od razu, ale na wypadek gdyby nie okazali się tak przewidujący, byłoby dobrze, żebyś zażądał od Dustina drobnej przysługi, w ramach zadośćuczynienia za tamto jego niedopatrzenie. Dasz mu dzień czasu i zadzwonisz dowiedzieć się, czy wywiązał się z obietnicy. Prawdopodobnie tak czy owak natychmiast doniesie o waszej rozmowie. Nie sądzę, żeby chwalił się, że go rozszyfrowałem, więc kapłani nie powinni podejrzewać, że twój telefon jest podpuchą. Z kolei Dustin, jeśli tylko dasz mu szansę, nawiąże do mnie. Zapyta, czy się spotkaliśmy, albo wspomni, że również opuściłem osadę. Wtedy ze złością powiesz mu, że nie żyję. Chodzi mi o to, żebyś odegrał pełnię frustracji. Zostałeś całkiem sam, nie masz pojęcia, gdzie szukać Emily, a w dodatku odkryłeś, że w sprawie Hammera coś mocno śmierdzi, i szukasz winnych.

- Nie byłoby rozsądniej wrócić na Fionię? - powątpiewał Colin, zły, że Caramel nawet nie zaproponował takiego

rozwiązania. - Czemu miałbym jechać do przypadkowej miejscowości, skoro jedyny sensowny trop znalazłem w Haarby?

- To już lepszy byłby ten las pod Norymbergą - mruknął Caramel, nie kryjąc braku entuzjazmu do obu koncepcji. - Gdyby Benson podsunął ci nazwę miejscowości, zyskałbyś dobry powód, żeby tam jechać.

- Ale nie podsunął - warknął Colin.

Caramel uśmiechnął się szeroko. No tak, Benson nie żył - i nie miał okazji zdać przełożonym raportu z ostatniej rozmowy z Colinem. Nie znaleźli przy nim podsłuchu, komórkę miał wyłączoną, a zresztą sam zapewne nie chciałby, żeby kapłani znali każde słowo, jakie wypowiedział do Colina, tak więc istniała więcej niż spora szansa, że treść ich ostatniej wymiany zdań pozostała dla organizacji tajemnicą.

- Mam powiedzieć Dustinowi, że Benson coś mi zasugerował? - domyślił się Colin.

- Brawo. Tylko może nie wyjeżdżaj od razu z nazwiskiem. Przebywasz właśnie gdzieś, gdzie spodziewałeś się znaleźć trop Emily, a tu nic. Najwyraźniej zrobiono cię w konia. Kolejny powód...

- Jarzę - przerwał mu gniewnie Colin.

Jakby sam nie potrafił ułożyć bajeczki dla Dustina! Zaczynał żałować, że Caramel odzyskał przytomność. To były takie spokojne dni.

- A jeśli nikogo nie przyślą? - rzucił zrzędliwie.

- Wtedy zawsze pozostają nam ponowne odwiedziny w Haarby - odparł zadowolony z siebie Caramel, po czym beztrąsko zmienił temat. - Wziąłeś z golfa wszystkie moje rzeczy?

Colin skinął gniewnie głową.

- Przeszukałem go i oddałem do wypożyczalni.

- Super. - Caramel przeciągnął się leniwie. - A moja broń? Zabrałeś ją z tej piwnicy?

- Uratowałem ci życie - warknął Colin. - Nie miałem czasu myśleć o pieprzonej broni.

Nie znalazł też nic w rzeczach Caramela, które z nudów przejrzał. Zapewne więc kumpel wziął ze sobą do tego domu nie tylko pistolet typu spod Dundee, ale także broń zdobytą na Bensonie. Kretyn! A teraz, zamiast poczuwać się do winy, gnojek szczyrzył zęby w uśmiechu, jakby to on ciągle był górą, chociaż przez jego lekkomyślność został im jedynie glock Gordona.

- Colin?! - W głosie Dustina pobrzmiwało zdumienie, ale Colin wychwycił także ekscytację i radość. - Kurczę, stary, gadaj, co u ciebie? Znalazłeś siostrę?

Ekscytacja i radość. Gdyby nie informacje od Caramela, Colin jak durny dałby się nabrać, że Dustin ucieszył się, że kolega żyje, jest cały i zdrowy, a w dodatku akurat jego zaszczycił telefonem. Tymczasem drań szczał w gacie na myśl o niebywałej szansie na zapunktowanie u mocodawców.

Cholera, dlaczego Colin od razu zakładał najgorsze? Caramel pracował dla kapłanów, a mimo to pozostał jego sprzymierzeńcem. Czemu także Dustin nie miałby wykorzystywać tych łajdaków do realizacji własnych celów, zarazem po cichu kibicując Colinowi?

Tyle że to Dustin pełnił wtedy dyżur przy necie.

- Dlaczego nie zaraportowałeś Fishowi o śmierci Hammera? - zaatakował Colin.

Po drugiej stronie na chwilę zapadła cisza: ewidentnie zaskoczył kolegę, który zwykle nie miał problemów z błyskawicznym formułowaniem ripost.

- Oczywiście, że zaraportowałem - powiedział wreszcie Dustin. - Ale fakt, że trochę późno, no bo... kurczę, organizowałem wypad na imprezę, pamiętasz, Rose próbowała cię namówić... To miało być coś odjazdowego, niespodzianka, więc stawałem na rżęsach...

Prawdę mówiąc, Colin nie pamiętał, gotów był jednak przyjąć, że członkowie straży rzeczywiście planowali wtedy

zabalować, ani chybi za namową Dustina, bo to on przeważnie rzucał hasło. Natomiast wydawało się co najmniej podejrzane, że sam Dustin tak doskonale pamięta owo zdarzenie... a zwłaszcza fakt, że Rose namawiała do czegoś Colina. Zabezpieczał sobie tyły, na wypadek gdyby Colin już wtedy zarzucił mu przeoczenie sprawy Hammera. Względnie nie posądzał Colina o podobną spostrzegawczość, za to spodziewał się, że zostanie wezwany na dywanik przez Fisha. Nagany lidera straży raczej nie uniknął, ale udało mu się nie wzbudzić podejrzeń. No, chyba że Fish także od początku wiedział, że przez jakiś czas powinien lekceważyć śmierć Hammera. Colin zaklął w duchu. Nawet kiedy osobiście powiadomił lidera straży o zjeździe nieświadomych, kumple nieszczególnie spieszyli się z przyjazdem.

Tymczasem Dustin głądził o absorbujących kwestiach organizacyjnych i tym, jak strasznie zrobiło mu się głupio, kiedy wreszcie siadł do kompa i skapnął się, co mu umknęło.

- Fish dowiedział się o sprawie ode mnie - przerwał mu ostro Colin.

- No właśnie, spóźniłem się dosłownie o włos...

- Gdyby straż dotarła chociaż dzień wcześniej, do niczego by nie doszło! - wybuchł Colin. - Nie straciłbym siostry! Wysłałibyscie nieświadomych do domów i po kłopotcie!

Była to oczywista bzdura i każdy inny członek straży wytknąłby Colinowi błąd w rozumowaniu: skoro to Emily wpływała na nieświadomych, straż nie zdołałaby niczego zrobić, dopóki dziewczynka przebywała na miejscu. Jasne, oficjalnie koledzy nie wiedzieli, że za nietypowe zachowanie zerówek odpowiadała siostra Colina, ale musieliby być kretynami, żeby się nie domyślić związku. Zresztą, choćby w grę wchodziła anomalia astronomiczna, dopóki nieświadomi łazili nakręceni, straż pozostawała bezsilna. Wręcz lepiej, że nie przybyła zbyt szybko - przecież wtedy w lesie niemalże doszło do jatki!

Z drugiej strony, porwanie Em wyglądało na zdarzenie niezależne od obecności zerówek. Nastąpiłoby, choćby nieświadomi w piątek czy sobotę gromadnie ruszyli do domów.

Dustin jednak nie wytknął Colinowi braku logiki, a przeciwnie, zaczął się korzyć. Gadał jak najęty - jakby zależało mu na utrzymaniu kolegi jak najdłużej na linii. Colin zmrużył oczy. Tak, zdecydowanie, Dustin go wystawiał. Oczywiście, drań kłamał bardzo sprawnie, w końcu przez lata udało mu się omamić wszystkich w straży... no dobrze, wszystkich z wyjątkiem Caramela. W każdym razie typ potrafił grać, może tylko w tej chwili zanadto się starał.

Ciekawe, jak to było wtedy z Celią? Dustin podrywał waderę na polecenie kapłanów czy zwyczajnie się napalił i zasłużenie oberwał za te zaloty?

- Skończ - warknął Colin. - Emily tym nie pomożesz.

- A nadal... nic nie wiesz? - zapytał ostrożnie Dustin.

- O tym, co się z nią stało?

No tak, oficjalnie dziewczynkę uprowadził sąsiad Stewartów, poszukiwany przestępca, ewentualnie pedofil - diabli wiedzą, jakie informacje na temat Udoni Weinera organizacja podsunęła policji. Colinowi wydawało się jednak, że również przynależność Udoni do społeczności powinna szybko stać się dla członków straży oczywista.

Dla Dustina była niewątpliwie bardziej oczywista niż dla pozostałych, choć generalnie on także większości detali musiał się domyślać. Otrzymywał jedynie suche rozkazy, bez jakichkolwiek tłumaczeń, niemniej drań lubił myśleć, że góruje nad innymi. Być może sądził, że wyłącznie on, dzięki swym supertajnym konszachtom, doszedł prawdy - i teraz przed Colinem odgrywał totalną niewiedzę, o jaką podejrzewał kolegów ze straży.

- Sądzisz, że to takie proste? - rzucił z rozgoryczeniem Colin. - Każdy, kto usiłuje mi pomóc, ginie! Dostaję wskazówkę, podążam tym tropem, i nic! Nie wiem, czy to dlatego, że robię coś źle, czy ktoś wystawił mnie do wiatru,

a ja nie wychwyciłem kłamstwa! W ogóle nic już nie wiem! Poza tym jednym faktem, że to ty miałaś wtedy śledzić w necie doniesienia o atakach zwierząt!

- Colin, naprawdę piekielnie mi przykro, że tak wyszło...

- Kto teraz jest liderem? - przerwał mu znowu Colin.

- Roger - odparł odruchowo Dustin. - A ty skąd wiesz, że Gordon...? - zreflektował się.

- Wiem i tyle - uciął Colin.

Drań będzie przed nim odgrywał zaskoczonego... Chociaż, racja, pewnie nikt Dustinowi nie zrelacjonował dalszych losów Gordona. Typek się nie liczył, bo też do czego potrzebny był kapłanom szpieg w straży, skoro Fish okazał się tak dyskretny, lojalny wobec organizacji, gotów wypełnić każdy rozkaz?

Znienacka Colinowi zaświtała niemiła myśl, że to on stanowił główne - a niewykluczone, że jedyne - zadanie Dustina. Chłopakowi tego nie powiedziano, żądano od niego raportów o wszystkich członkach straży, jednak naprawdę kapłanów interesował wyłącznie Colin.

Cholera, czy nie ocierał się znów o megalomanię? Niemniej, im dłużej analizował tę koncepcję, tym bardziej wydawała mu się sensowna.

- Colin?

- Roger - powtórzył Colin, żeby zyskać chwilę na zebranie myśli.

No tak, poprzednik Fisha na stanowisku lidera straży. Logiczny wybór i zapewne częsta ścieżka awansu, której Colin jakoś nigdy nie brał pod uwagę. Śmiać mu się chciało na myśl, że swego czasu uważał siebie za kandydata na przyszłego lidera amerykańskiej organizacji. Roił sobie, że Gordon przygotowuje go do tej roli!

- Jasne, że Roger - powiedział znowu. - Chyba nie tak łatwo go podejść?

- Podejść? - Dustin odrobinę się zaniepokoił. Najwyraźniej Roger wzbudzał większy postrach niż jego poprzednik.

- Przejął dom Gordona? - indagował Colin. - Jego rzeczy?

- Mieszka w waszym domu, tak, ale rzeczy nie tyle przejął, ile...

- Potrzebuję stamtąd jeden drobiazg - przerwał mu znowu Colin. - Gordon miał tomik wierszy Tennysona, stary, w okładce z czerwonej skóry, z podkreśleniami w środku. Zdobędziesz go dla mnie.

- Słuchaj...

- Jesteś mi to winien - warknął Colin. - Zadzwoń jutro, o tej samej porze. I, psiakrew, TYM RAZEM nie daj ciała.

Przerwał połączenie, zadowolony z przebiegu rozmowy. Mówiąc o kłamstwie, którego nie zdołał wychwycić, zasugerował, że wydobywał informacje od Bensaona, być może torturami. A kiedy żalił się, że wszyscy wokół niego giną, nawiązywał do śmierci Caramela. W każdym razie miał nadzieję, że dla przesłuchujących nagranie jego słowa okażą się dostatecznie czytelne. Nieco gorzej, jeśli kapłani będą zdani na raport Dustina z tej rozmowy, ale liczył, że ten pieprzony zdrajca wyłapał chociaż wiadomość na temat zgonu tak nielubianego przez siebie kolegi. Cóż, najwyżej Colin wróci jutro do tematu.

Tomik wierszy. Długo dyskutowali z Caramelem, jakie zadanie dać Dustinowi, aż Colin przypomniał sobie, że widział stryja - dwa, góra trzy razy - czytającego tę książeczkę. Przy jednej okazji zerknął mu przez ramię i zauważył podkreślenia. Gordon, jakkolwiek wydawało się to dziwaczne, był do tego stopnia wielbicielem poezji, że zaznaczał ulubione wersy. Natomiast kapłani niewątpliwie pomyślą, że podkreślenia kryją zaszyfowaną informację. Dotyczącą czego? Ha, niech się dranie pogłowią. Tuż przed śmiercią Gordon mógł okazać się znacznie bardziej wylewny wobec bratanka, niż to wynikało z raportu, jaki otrzymali od Bensaona.

ROZDZIAŁ 11

- Zadzwoił po raz drugi - poinformował ją Lars. - Nadal jest w Skogn.

- Dlaczego Richard skierował go akurat tam? - zastanowiła się głośno Oriana.

Tak naprawdę interesował ją tomik wierszy. Jak Gordon mógł postąpić tak nierozsądnie, żeby pokazać go Colinowi? Nawet jeśli chłopak szperał w rzeczach stryja, nie pytając o pozwolenie, Gordon powinien trzymać Tennysona dobrze ukrytego. Teraz książka trafi w ręce kapłanów, mimo że Oriana uparcie łudziła się, że były lider zabrał ją ze sobą i po drodze schował gdzieś lub zniszczył.

- Choćby dlatego, że to daleko stąd - skonstatował Lars. - Chciał na pewien czas usunąć nam chłopaka z oczu i wykorzystać go w negocjacjach. Dziwię się tylko, że dotąd się nie odezwał.

Lars utwierdził się w przekonaniu, że agent żyje i manipuluje Colinem stosownie do własnych celów. Takie wyjaśnienie również stanowiło dla kapłana nie lada cios, jako że przecież w kwestii operacji deklarował całkowite zaufanie do Bensa. Chyba mimo wszystko wolałby wiadomość, że wilczy pomiot pokonał nieprzemienialnego.

Oriana zgadzała się, że najwięcej przemawia właśnie za zdradą Bensa, którego chytry plan został wszakże zniweczony, kiedy Colin z nudów i frustracji postanowił zadzwonić do kolegi ze straży, żeby wypomnieć mu zaniechanie obowiązków i przy okazji poprosić o ów nieszczęsny tomik poezji. Mimo to nadal sądziła, że agent zginął. Wtedy zaś teoria Larsa traciła sens, a Colin był sprytniejszy, niż zakładali, bądź też jego kuzyn jednak przeżył i to on ułożył plan: wyjazd do Skogn i telefon do

szpiega kapłanów. Czy możliwe, że Colin lub Erasmus przejrżeli kolegę ze straży?

Nie podzieliła się tymi domysłami z Larsem; nie umiałyby ich dobrze uzasadnić. Poza tym, taka wersja zdarzeń wydawała się mniej niebezpieczna niż ta zakładająca zdradę Bensaona, a zawsze lepiej przygotować się na gorszą ewentualność.

Zresztą, Oriana sama nie wiedziała, czy nie upiera się przy wersji z martwym Bensonem wyłącznie ze względu na tomik wierszy. Wolała, żeby to nie on był inicjatorem poszukiwań książki, choć musiała przyznać, że wydawało się mało realne, żeby Colin zupełnie przypadkowo przypomniał sobie o Tennysonie tuż po spotkaniu z agentem. Liczyła, że Benson użył tomiku jako ostatniego argumentu, żeby ocalić życie, przy czym ta rozpaczliwa próba się nie powiodła.

Zastanawiała się, czy może bezpiecznie nawiązać do Tennysona. Co wyda się bardziej podejrzane: pytanie o wiersze czy całkowite przemilczenie kwestii?

- Na czym stanęło? Chłopak ze straży znalazł dla Colina tę książkę czy umówili się na kolejną rozmowę?

- Ustalili, że ten... hm... Dustin - Lars wypluł owo imię z pogardą, na jaką w jego mniemaniu zasługiwał każdy wybrakowany członek społeczności - wysłał ją Colinowi na poste restante w Berlinie. Przesyłka nigdy nie dotrze do celu, ale tego Colin nie będzie miał okazji sprawdzić.

Z tych słów wynikało, że chłopak znalazł tomik, a kapłani przekazali go odpowiednim służbom. Czy na pewno? Oriana powinna wykazać dalsze zainteresowanie tematem?

- Na co Colinowi ta książka? - zapytała, świadoma, że tego rodzaju dociekania są zasadne jedynie w kontekście poczynań Colina.

- Podobnie jak wizyta w Skogn - stwierdził kwaśno Lars.
- Chłopak błądzi po omacku.

- To chyba dobrze?

Odkąd Colin zawrócił po kuzyna i pokonał dwóch agentów, pojawiły się podejrzenia, że jednak odzyskał swe

zdolności. Jak dostał się do podziemnych pomieszczeń? Zmusił przebywającego akurat na zewnątrz agenta, żeby zaprowadził go do Erasmusa? Takie wyjaśnienie brzmiało prawdopodobnie, gdyż bez względu na sytuację agentom nie wolno było strzelać do Colina ani nawet ranić go w walce wręcz. Mieli unikać konfrontacji. Mimo wszystko jednak przypuszczenie, że amator tak sprawnie poradził sobie z dwoma zawodowcami, nie korzystając z atutu w postaci zdolności do zagładania w przyszłość, wydawało się zbyt optymistyczne.

Żałowała, że nie było tam zainstalowanych kamer. Obsesyjna dbałość o zachowanie tajemnicy, objawiająca się między innymi w ograniczaniu do minimum ilości materiałów, które potencjalnie mogłyby wpaść w ręce ludzi, niekiedy przynosiła więcej szkody niż pożytku.

Niemniej teraz Colin przebywał na północy Norwegii, gdzie na pewno nie znajdzie wskazówek dotyczących jego siostry czy organizacji w ogóle. Oczywiście, przy założeniu, że przed Orianą nie zatajono istotnych faktów na temat Skogn. Generalnie uważałyby to za prawdopodobne, lecz Lars najwyraźniej również nie widział powodu, żeby chłopak zawędrował właśnie tam. Mimo to Colin tkwił w tym odległym miejscu, sfrustrowany i zagubiony, jakby jego nadnaturalnie rozwinięta intuicja pozostawała w uśpieniu.

- Dobrze, ale tylko pod warunkiem, że każdą decyzję podejmuje z myślą o siostrze - mruknął Lars.

Tak blisko finału wszystkie reakcje i zachowania Colina powinny mieścić się w widełkach zawartych w planie, a tymczasem chłopak po raz kolejny wymknął się Larsowi spod kontroli. Oriana nie spodziewała się wszakże, żeby kapłan rozważał zakończenie operacji.

- Coś postanowiłeś - stwierdziła.

- Skoro szczęśliwym zbiegiem okoliczności dowiedzieliśmy się, gdzie jest Colin, nie możemy dać Richardowi kolejnej szansy na ukrycie chłopaka. Nad samym Colinem warto byłoby jeszcze popracować, ale

biorąc pod uwagę Emily, moment jest idealny. Dlatego przechodzimy do ostatniego etapu.

Rzeczywiście, zorientowała się, że nie zmienił tempa pracy z dziewczynką, mimo że Colin zawrócił pomóc kuzynowi. Emily dzień po dniu poznawała szczegóły swego zadania i najwyraźniej nie wzbudzały w niej one oporu, Lars bowiem sprawiał wrażenie usatysfakcjonowanego tymi sesjami, a Oriana także nie zaobserwowała u podopiecznej oznak tłumionego wzburzenia czy buntu. Jaki z tego wypływał wniosek? Dziewczynka była tak zimna, obojętna na los brata? Czy też zakładała, że do realizacji wyznaczonego jej zadania nie dojdzie, kiedy bowiem Colin po nią przybędzie, Emily zniecierpliwiona zwróci się przeciw opiekunom, silniejsza, niż oceniał ją Lars, i bez problemu utoruje sobie i bratu drogę ku wolności?

Oriana nie potrafiła powiedzieć, która z tych wizji bardziej ją niepokoi. Próba ucieczki, nieważne, czy zakończona sukcesem, oznaczałaby fiasko operacji, jednakże taki chłód u niespełna dwunastoletniego dziecka przyprawiał ją o dreszcze. Najwyraźniej Lars zakładał, że skoro przepowiednia nie wspomina o ewentualnych moralnych oporach dziewczynki przed wypełnieniem misji, ich brak jest naturalny, a jedynie błędy kapłanów, którzy odpowiadali za podobne operacje, doprowadziły do tego, że siostra nie chciała skrzywdzić brata.

Nie zgromadziła wystarczających argumentów, żeby się z nim spierać. To Lars wprowadził ją w szczegóły operacji, od niego usłyszała o wcześniejszych próbach. Sprawiał wrażenie, że doskonale wie, co robi, a zachowanie i reakcje dziewczynki ani trochę go nie dziwiły, zatem także Oriana powinna przyjąć, że są dokładnie takie, jakie być powinny. Może gdyby sama miała dostęp do dawnych pism i relacji poprzedników Larsa, którym się nie powiodło, dostrzegłaby jeden czy drugi pominięty przez niego szczegół, aczkolwiek brzmiało to dość nieprawdopodobnie.

Colin w dalszym ciągu nie bardzo rozumiał, dlaczego musieli tuc się półtora tysiąca kilometrów, żeby czekać na wysłannika kapłanów akurat na dalekiej północy Norwegii. Ale skoro Caramel się uparł... Niewątpliwą zaletą tego kraju była możliwość biwakowania w zasadzie gdziekolwiek, bez obaw, że ktoś się przyczepi. Colin rozbijał namiot w pobliżu toyoty, tak więc nikt nie zdołałby podkraść się niepostrzeżenie i zwęszyć śpiącego w aucie Caramela. Chłopak bardzo uważał, żeby nie zostawić nigdzie swej woni; samochód opuszczał wyłącznie za potrzebą, a w tym celu Colin wywoził go kilkadziesiąt kilometrów od Skogn.

Wybór padł na Skogn ze względu na hałdę ziemi, będącą ponoć kopcem grzebalnym - tak twierdziła Tin, skoro zaś oni dwaj szukali niedużej miejscowości z charakterystycznym, związanym z dawnymi wierzeniami punktem, przy którym mogliby się kręcić, jej zdaniem Skogn pasowało idealnie. Colin wyłączył się na chwilę, kiedy Tin rozwodziła się nad detalami, tak że nie całkiem zrozumiał, czy jest to wioska, czy część pobliskiego miasteczka, niemniej miejsce było malownicze, nieduże, no i miało ten swój kopiec. Na mapę spojrział dopiero po tym, jak Caramel zapalił się do wyprawy.

Colin zadzwonił do Dustina z kupionej w Norwegii komórki i zostawił ją potem włączoną, jeśli więc agenci kapłanów nie namierzyli go w trakcie pierwszej rozmowy, powinni byli ustalić numer, z którego dzwonił, i dzięki temu określić jego pozycję. Pozbył się karty po wykonaniu drugiego telefonu.

Tyle że nic się nie działo. Po raz pierwszy gadał z Dustinem w poniedziałek, przypomniał się we wtorek, a teraz zbliżał się czwartkowy wieczór, w okolicy zaś nie pojawił się nikt, kogo przy choćby największej dozie optymizmu można by wziąć za agenta.

- Ile jeszcze mam tu tkwić? - zapytał Colin, patrząc na drogę przed sobą. Objechał, po raz kolejny, okolice Trondheim i wracał do Skogn, znów rzucić okiem na kopiec.

- Nawet przy założeniu, że to Benson kazał mi szukać siostry na tym zadupiu, cztery dni w zupełności wystarczą, żebym się przekonał, że facet wysłał mnie w pierwsze potencjalnie związane ze społecznością miejsce, jakie mu się nasunęło.

- Gdybyś miał tutaj szukać Emily, to zgoda - przyznał Caramel, zwinięty pod roletą w bagażniku toyoty. - Ale jeżeli tylko kolejnej wskazówki, całkiem sensownie mógłbyś założyć, że otrzymasz ją dopiero podczas pełni księżyca.

- Kazesz mi kręcić się pod tą górką dwa tygodnie?!

Jeszcze trochę, a Colin zacznie wietrzyć spisek. Czyżby Tin jednak coś przeczuła, jakieś wiszące nad Colinem niebezpieczeństwo, i w zмовie z Caramelem starała się utrzymać go przez dłuższy czas na północy Norwegii, gdzie nie groziło mu, że wpakuje się w kłopoty? Żałował, że uległ i podyktował jej numer komórki kumpla.

- Spokojnie, daj im szansę - powiedział Caramel. - Niech będzie, że do soboty. Potem pojedziemy, dokąd ci pasuje, i wrócimy tu w czasie pełni.

- Cholera, a jeśli wszystkie nasze domniemania są błędne?

Caramel nie odpowiedział. Jasne, w minionych dniach Colina co rusz ogarniało zwątpienie i zadręczał kumpla tego rodzaju pytaniami, ale przecież ktoś w ich gronie powinien robić za głos rozsądku. Gnojek nie dopuszczał możliwości, że się myli, a Tin wprowadziła przytakiwała Colinowi, jednak chyba głównie dlatego, żeby szybko dał jej spokój i pozwolił zająć się Alanem. Psiakrew, nawet gdyby w żyłach tego szczeniaka płynęła krew Colina, jej oddanie dziecku działałoby mu na nerwy.

Zatrzymał wóz przy kopcu. Super, stęsknił się za widokiem tej porośniętej trawą hałdy. Wysiadł, gniewnie trzaskając drzwiami. Przynajmniej swobodnie sobie spacerował, podczas gdy Caramel leżał zwinięty w bagażniku toyoty. Colin ani trochę nie współczuł kumplowi. Powiedziałby wręcz, że odczuwa delikatną satysfakcję, że gnojek odbiera lekcję pokory.

Leniwym krokiem ruszył wokół kopca. Słońce zachodziło tu bardzo późno, a ledwie zrobiło się ciemno, już nastawał świt, tak więc o dyskretnych nocnych obserwacjach nie było mowy. W ciągu tych paru dni tubylcy mijali Colina obojętnie, z rzadka zaszczycając go spojrzeniem, byli jednak mili, ilekroć o coś pytał lub zaglądał do sklepu, niekoniecznie akurat w Skogn, jako że nie chciał zwracać na siebie uwagi kupowaniem ilości mięsa stosownej dla sfory psów.

Kiedy wracał do samochodu, pod kopcem, zaledwie kilka kroków od toyoty, zatrzymało się stare volvo. Colin widział jedynie sylwetkę kierowcy, ale na tylnym siedzeniu - lub w bagażniku - mogła ukrywać się kolejna osoba. Ani przez moment nie zakładał, że ma do czynienia z przypadkowym turystą.

Zesztywniał. Jeśli typ trzymał broń w pogotowiu... Upomniał się, że kapłani nie chcą go zabić. Tak, tylko że Colin co rusz podawał w wątpliwość tę teorię, a poza tym nie sposób było wykluczyć tego, że w tej chwili mierzy do niego kolejny zwolennik poglądów Gordona.

Kierowca volvo zgasił silnik, wolno otworzył drzwi samochodu i równie ostrożnie wysiadł, od razu unosząc ręce na wysokość głowy. Drobnny gość z wyrazem zagubienia na twarzy. Stał i prezentował Colinowi wnętrza swych dłoni. Cholera, ki diabeł?

Mężczyzna, na oko pod czterdziestkę, miał na sobie dżinsy i rozpiętą elegancką kurtkę, spod której wзираła również rozpięta sportowa marynarka. Strój trochę niepraktyczny jak na agenta, a ten wyraz zagubienia na twarzy... tak, wydał się Colinowi znajomy.

Facet jakby czekał na jego ruch.

Colin podszedł bliżej. Glocka miał z tyłu za paskiem, ale nie sięgał po niego. Bądź co bądź, znajdowali się na widoku. Już te uniesione ręce gościa wyglądały dziwnie.

Wiatr na chwilę nieznacznie zmienił kierunek, dzięki czemu Colin złapał woń mężczyzny. Tak jak podejrzewał: nieświadomy.

Przybysz wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Colin! - powiedział ze szczerą radością w głosie, ale się nie poruszył.

- Emily? - zapytał ostrożnie Colin, przyrzekając sobie, że jeśli Caramelowi wyrwie się później najmniejszy komentarz, gnojek oberwie tak, że spędzi w śpiączce kolejny tydzień.

- Colin! - powtórzył radośnie facet i postąpił krok do przodu, opuszczając ręce. Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby zamierzał paść Colinowi w objęcia, przystanął jednak stropiony. - Tak, to ja. Duchem. To znaczy myślą. Potraktuj to ciało jako przekaźnik... urządzenie. Colin... Nie cieszysz się? - W głosie typka zabrzmiała płaczliwa nuta.

Psiakrew, Colin nie chciał ranić siostrzyczki, ale ta nowa sytuacja odrobinę zbiła go z tropu... Półtora roku szukał Emily, a teraz miałby ją przed sobą, tak po prostu? Nieświadomy bezsprzecznie znajdował się pod czyimś wpływem, lecz kto Colinowi zagwarantuje, że facetem sterowała Em, a nie na przykład Udo?

- Przepraszam cię, skarbie, cieszę się... cieszyłbym się, gdybym wiedział, że to naprawdę ty. - Mówił łagodnie, zarazem zastanawiając się gorączkowo, czy nie robi z siebie idioty.

- Zapytaj mnie o coś, co wiemy tylko my dwoje. Jasne, oczywista sprawa.

Poszukiwał pytania, które pozwoliłoby jednoznacznie zweryfikować osobnika. Szkopuł w tym, że większość zapamiętanych przez Colina scenek sam na sam z siostrą pochodziła z okresu jej wczesnego dzieciństwa. Czy dziewczynka pamiętała zdarzenia z czasów, kiedy liczyła sobie trzy latka? Szczerze wątpił; nie był nawet pewien wiarygodności własnych wspomnień. Z kolei w trakcie ich ponownego spotkania przed półtora rokiem spędzili ze sobą w gruncie rzeczy ledwie kilka chwil. Rozmawiali o bzdurach... Colin opowiadał Em o społeczności i obowiązujących w niej zasadach... Nie przypominał sobie żadnej charakterystycznej informacji, którą mogła usłyszeć jedynie od niego. Szlag.

Zresztą, nawet gdyby wymyślił adekwatne pytanie, skąd pewność, że kapłani nie wydobyli od małej wszystkich zapamiętanych przez nią szczegółów z wczesnego dzieciństwa i fragmentów rozmów z Colinem? Emily nie znała się na psychologicznych sztuczkach, a ci dranie gnębili ją przeszło półtora roku. Przemycali w rozmowach niewinne dociekania, prosili, żeby opowiedziała im ciekawą historyjkę. Przypuszczalnie wiedzieli o dziewczynce więcej niż Colin, tak więc zdołaliby się świetnie przygotować do tego rodzaju testu.

Jednakże czy ktokolwiek poza Em umiałby w ten sposób pokierować nieświadomym? Jedną sprawą jest dominacja – zmuszenie zerówki, żeby postąpiła zgodnie z wolą rozkazującego, inną zaś prowadzenie za jej pośrednictwem normalnej konwersacji, pełnej nieoczekiwanych zmian tematu. Udo ani chybi potrafiłyby nakłonić tego faceta, żeby tu przyjechał i przekazał Colinowi ustną wiadomość albo z narażeniem życia podjął próbę zabicia go, ale nawet kapłan nie poradziłby sobie ze sterowaniem nieświadomym jak robotem.

Emily czekała cierpliwie. No właśnie... Colin już zaakceptował myśl, że rozmawia z siostrą.

- Jak mnie znalazłaś? - zapytał wreszcie.

Wprawdzie nie było to pytanie, na które odpowiedź znała wyłącznie Emily, niemniej wiele zależało od wiarygodności mających zaraz nastąpić wyjaśnień.

- Podśluchałam, że się ciebie spodziewają w Skogn. Nie tak dawno uczyłam się o tym, co przetrwało do naszych czasów po wikingach, więc po prostu nie mogłam!

- W męskim głosie narastała pensjonarska ekscytacja.

- Znaczy, że od razu wiedziałam, gdzie to jest. Tak się cieszę, Colin. Chciałam cię odnaleźć, jak tylko nauczyłam się panować nad nieświadomymi na odległość, ale nie miałam pojęcia, gdzie zacząć. No i jak szukać tak, żeby się nie domyślili, bo gdyby przyłapali takiego nieświadomego, od razu by się zorientowali, że to ja nim steruję. Kiedy usłyszałam nazwę Skogn, to naprawdę, aż nie wierzyłam...

A potem nie mogłam trafić tu blisko na żadną marionetkę, aż dopiero pod Oslo, tak że bałam się, że nie zdążę... Nie masz pojęcia, jak się cieszę!

Przybysz znowu wykonał ruch, jakby chciał Colina objąć.

Colin mimowolnie cofnął się o krok. Przecież nie będzie się tulił do faceta! Że też Emily nie ustrzeżiła ponętnej szesnastki... Upomniał się. To nadal byłaby jego siostra, takie wizje nagle wydały się Colinowi co najmniej dwuznaczne.

- Gdzie jesteś? - zapytał, przypominając sobie, że w pierwszej kolejności powinien ustalić ten szczegół. Kapłani w każdej chwili mogli nakryć małą, a Colinowi zostałyby zaledwie wspomnienie ich krótkiej rozmowy, która po paru dniach wydałaby mu się przywidzeniem. - To znaczy, gdzie cię trzymają?

- Chyba w okolicach Kolonii - powiedziała, marszcząc brwi. - Podśluchałam, jak Bart narzekał na korki, bo zdarzył się karambol na wjeździe do Kolonii... a jechał po zaopatrzenie, czyli raczej niezbyt daleko. Chociaż nie wiem, jak długo go nie było... Kiedyś zabrali mnie do lasu, nocą, taką furgonetką bez okien z tyłu, ale jak tylko ruszyliśmy, udało mi się podsunąć do przodu i zerknąć zza zasłonki... I mignął mi znak KFC, taki wysoki.

Pradawna świątynia sąsiadowałaby z KFC? Do diabła, bez jaj.

- Przepraszam. - Emily zrobiła skruszoną minkę. - Ja wiem, że to niewiele i jest mnóstwo KFC... Ale mnie znajdziesz, prawda? Colin?

- Jasne, kochanie. Cały czas cię szukałem, nie przestałem ani na sekundę.

Nadal nie otrząsnął się z szoku. Rozmawiał z Emily! Na sto procent to była ona, obędzie się bez przeprowadzania idiotycznych testów.

Tyle pytań cisnęło mu się na usta... powstrzymał się jednak. Kapłani ani chybi wysłali tu swojego agenta, który mógł lada moment nadjechać. Gdyby zobaczył lub zwęszył

nieświadomego, nie mówiąc o podsłuchaniu jego rozmowy z Colinem... Musieli natychmiast stąd spadać.

Colin już zamierzał otworzyć klapę bagażnika, żeby polecić Caramelowi, by poprowadził volvo nieświadomego - porzucenie wozu tutaj nie wchodziło w grę, a nie chciał nawet na moment rozstawać się z Em. Tylko że Caramel stanowił jego kartę atutową, od której właściwego wykorzystania być może zależała wolność dziewczynki. Do Trondheim było blisko. Colin przetrwa tak krótką rozłąkę z siostrą.

Chaotycznie przedstawił Emily plan: pojedą do Trondheim, zostawią volvo w miejscu, gdzie nie będzie rzucało się w oczy, a potem Em przesiądzie się do toyoty i razem ruszą do Kolonii, tam zaś spróbują odnaleźć właściwe KFC. Przed nimi prawie doba, którą spędzą w podróży, więc nagadają się za wszystkie czasy.

- Dobrze, tylko ja nie zawsze mogę rozmawiać - zastrzegła Em. - Staję się wtedy rozkojarzona, a jeśli na przykład akurat mam lekcje...

- Ach, no tak, naturalnie - zreflektował się Colin, przerażony, że właśnie ją stracił, nie znajdzie tego cholernego KFC i w ogóle wszystko przepadło. - W takim razie samochód...

- Teraz spoko, mam już wolne - przerwała mu. - Wieczorem zawsze zostawiają mi czas dla siebie, kiedy czytam, oglądam telewizję, i takie tam. Ale potem od rana muszę się pilnować. Mogę prowadzić auto, bo tak naprawdę nie ja to robię... Łapiesz, to jak z prasowaniem i rozmową przez telefon. Możesz jednocześnie prasować i rozmawiać, przez telefon lub z kimś obok ciebie, ale nie dasz rady skupić się na dwóch rozmowach naraz. Ten facet umie prowadzić, czyli jest jak żelazko. Wydaję mu polecenie, ale nie myślę nad tym, w jaki sposób je wykonuje, tak jak nie tłumaczę żelazku, jak ma się nagrzewać...

- Jasne, świetnie - przerwał jej nieco szorstko, bo w efekcie dalej tkwili pod kopcem. - Ruszajmy już, pogadamy

potem.

Chciała mu jak najbardziej obrazowo wyjaśnić zasadę kierowania przez nią działaniami nieświadomego, niemniej Colinowi nie do końca się podobało, że Em ciągle porównuje typka do maszyny. Żelazko... Zgoda, sam też nie darzył zerówek przesadnym szacunkiem, ale jednak były to żywe, czujące istoty. No i, przede wszystkim, Colin nie uważał siebie za sympatycznego gościa, natomiast Emily zawsze była kochaną, miłą dziewczynką. Co ci dranie z nią zrobili?

- Wszystko słyszałeś? - zapytał Colin, bezskutecznie starając się ukryć ekscytację. Odnalazł siostrę! - Myślisz, że to ona?

Jechał przodem i co dwie sekundy nerwowo zerkał w lusterko, czy aby na pewno volvo podąża za nim.

Obawiał się, że Caramel zacznie go przekonywać, że to tylko kolejna gierka kapłanów: przysłali agenta, silną alfę, podobnie jak Celia zdolnego zafałszować swą woń, tak by Colin odbierał go jako nieświadomego. Przygotowywał się na odparcie tych argumentów. Nie pozwoli odebrać sobie siostry, teraz, kiedy się przekonał, że draniom nie udało się namieszać jej w głowie. Wcale się nie zmieniła! No, nie tak bardzo, jak się obawiał. W ciągu półtora roku u dziecka tak czy owak zachodzą kolosalne zmiany.

- Nie obito mi się o uszy, żeby ktokolwiek potrafił tak manipulować innym osobnikiem - odparł po dłuższym milczeniu Caramel. - To była zerówka?

- Tak, na sto procent. Na pewno nie ktoś o umiejętnościach Celi...

- Ufasz jej? - wpadł mu w słowo Caramel.

- Niby czemu miałbym nie ufać? - Colin natychmiast się wkurzył, aż toyotą nieznacznie zarzuciło.

- Spokojnie - mruknął Caramel. - Tylko pytam. Jesteś jej bratem, znasz ją, a dla mnie to obca osoba.

Czy Colin rzeczywiście tak dobrze znał Emily? Psiakrew, nie zdołał wymyślić pytania, które pozwoliłoby ją zweryfikować. Ale ten sposób mówienia...

- Tak, to na pewno ona - oświadczył.

- Nie wątpię. Chodziło mi raczej o jej motywacje...

- Słuchaj...

- Colin! Czekaliśmy w Skogn na wysłannika kapłanów, a pojawiła się ona. Sorry, rozumiem, że jest twoją siostrą, ale musisz wziąć pod uwagę, że została tu podesłana. Choć nie twierdzę, że zdaje sobie z tego sprawę. - Caramel mówił pospiesznie, jakby lada moment spodziewał się wybuchu Colina. - Nie wkurzaj się, po prostu uwzględnij możliwość, że kapłani mają ją na oku, specjalnie wspomnieli przy niej o Skogn, specjalnie ten Bart opowiadał o korkach w Kolonii i również celowo pozwolili jej zobaczyć totem KFC.

Colin chętnie zatrzymałby wóz i sprzął gnojka na miazgę, ale zdrowy rozsądek nieśmiało sygnalizował, że Caramel mówi całkiem do rzeczy. Nie wtedy, kiedy posądzał Emily o świadomą współpracę z kapłanami, ale gdy sugerował, że została przez nich zmanipulowana. Ostatecznie, ci dranie chcieli doprowadzić Colina do siostry, czemu więc nie mieliby posłużyć się w tym celu samą dziewczynką? Grali na jego uczuciach, liczyli, że rozmowa z małą totalnie go rozkojarzy, że Colin zapomni o ostrożności, dążąc do jak najszybszego spotkania z Emily w jej prawdziwej postaci.

- Sądzę, że będzie lepiej, jeśli nie wspomnisz jej o mojej obecności - odezwał się znowu Caramel. - Tak na wszelki wypadek...

- Jeżeli potrafi sterować także fizycznymi cechami zerówek, sama cię zwęszy albo usłyszy - warknął złośliwie Colin.

- Zależy, skąd wzięła tego nieświadomego - sprzeciwił się Caramel. - Jeśli doprowadziła do jego gwałtownego przebudzenia, jak w przypadku tamtych osobników, wątpię, żeby nawet ona zdołała tak od razu wyostrzyć mu słuch i węch. Zresztą, przekonamy się, kiedy wsiądzie do samochodu.

Głupi gnojek, bez przerwy czepiał się Emily, jak nie jej motywacji, to umiejętności. Po prawdzie jednak Colina zdenerwowała insynuacja, że dziewczynka wykorzystuje do swoich celów niewinnego faceta, być może ojca rodziny, który bez jej udziału nigdy by się nie przebudził. No, ale choćby i tak było, typkowi nie działa się żadna wielka krzywda. Zrobi swoje i wróci do domu, nie pamiętając niczego z tej eskapady. Nasłucha się od żonki za kilkadziesiąt dni nieobecności, i tyle.

Niemniej także Tin, kiedy Colin w paru słowach obwieścił jej radosną nowinę, przyczepiła się do kwestii wykorzystywania przez Emily niewinnego osobnika.

- Cholera, a jaki miała wybór? - zirytował się Colin. - Usłyszała, gdzie może mnie znaleźć. Powinna olać szansę na odzyskanie wolności, bo użycie takiego żywego przekaźnika wydaje się moralnie dwuznaczne?

- Rozumiem wyższą konieczność, ale odnoszę wrażenie, że dla niej taki dylemat w ogóle nie zaistniał - odparła z wahaniem Tin.

- Odnalazłem siostrę! - wybuchł Colin. - Czy nie możesz zwyczajnie cieszyć się z tego razem ze mną?

- Zasadniczo jeszcze jej nie odnalazłeś - sprostowała.

Psiakrew, co za baba! Chociaż, właściwie miała rację...

- No właśnie - rzucił gniewnie. - Dojeżdżamy do Trondheim, więc zaraz nie będę mógł rozmawiać, a chciałem cię prosić, żebyś sprawdziła dla mnie adresy restauracji KFC w Kolonii i okolicy.

Ponieważ faktycznie akurat wjechał do Trondheim, pożegnał się z Tin na odczepnego i skupił na szukaniu miejsca, gdzie opuszczone volvo długo nikogo nie zainteresuje. Kiedy Colin odbije Emily, ten nieświadomy stanie się zbędny, zatem wróci sobie po swoją brykę, a potem do dawnego życia. W czym problem? Jasne, byłoby fajniej, gdyby Em znalazła przebudzoną zerówkę, mającą na sumieniu czyjeś życie - nad taką nikt by się nie litował. Ale jak się nie ma, co się lubi...

Z ulgą zamknął za Emily drzwi po stronie pasażera. Cholera, przywykł już do myśli, że ten niepozorny facet jest jego siostrą, i w efekcie traktował go tak, jak gdyby miał fizycznie do czynienia z małą dziewczynką, co dla postronnego obserwatora wyglądało przecież dość dziwnie.

- Zatem do Kolonii - oznajmił radośnie. - Jesteś zmęczona?

- Troszeczkę - przyznała. - Jejku, tyle wrażeń... Normalnie kładę się spać o dziesiątej, ale dzisiaj udam, że śpię...

- Nie, nie, nie rób niczego, co mogłoby wzbudzić ich podejrzenia. Byłabyś jutro niewyspana, skoro więc kładziesz się o dziesiątej, to o dziesiątej.

- Ale już prawie dziewięta - zaprotestowała, patrząc na zegarek na desce rozdzielczej. - W ogóle nie pogadamy.

- Będziemy mieć jeszcze masę czasu na rozmowy - zapewnił braterskim tonem.

Znając życie, Caramel zwijał się ze śmiechu, słuchając tej wymiany zdań. Srał go pies. Colin spod oka przyjrzał się małej. To znaczy nieświadomemu. Nie, nie zorientowała się, że w aucie podróżuje trzecia osoba. Dobrze. Jeśli podejrzenia wobec Emily - naturalnie, te zakładające, że pozwoliła się zmanipulować kapłanom, innych bowiem nie zamierzał brać pod uwagę - okażą się niesłuszne, Colin przeprosi ją po stokroć i do tego samego zmusi Caramela. Do tej pory jednak słuszniej było dmuchać na zimne.

O Tin także nic siostrze na razie nie powie, choćby dlatego, żeby nie dawać jej dodatkowego tematu do rozmyślań. I bez tego miała dostatecznie dużo na głowie - musiała oszukać kapłanów i doprowadzić brata do miejsca swego uwięzienia, a nie mógł wykluczyć, że początkowo Em poczuje się zazdrosna o inną kobietę w życiu Colina. Baby bywają w tych kwestiach nieobliczalne. Oczywiście, zazdrość szybko małej przejdzie, ale niech się to odbędzie

na spokojnie, kiedy już znajdą się wszyscy troje w bezpiecznym miejscu. Poprawka, wszyscy czworo. Ciągłe zapominał o cholernym Alanku.

- Co się stanie z tym ciałem, kiedy pójdziesz spać? - zapytał rzeczowo, z pewnym żalem wracając do teraźniejszości.

- Najbezpieczniej będzie, jeśli go na ten czas uśpię, żeby nam nie wywinął numeru. A w ogóle, to on musi do ubikacji.

- Do...? Poczekaj, zaraz namierzemy zarośla.

Jego siostrzyczka miałyby wejść do męskiej toalety, między prezentujących fiuty facetów? Colinowi nie podobała się nawet myśl o Em oglądającej interes tego opanowanego przez nią ciała. Wolał nie omawiać z nią zbyt szczegółowo tego tematu, ale liczył, że mała nie angażuje się w intymne sprawy nieświadomego, tak jak nie wtrącała się, kiedy prowadził samochód.

- O, jest lasek - powiedział z przesadną beztróską.

Wysiadła, a Colin z niepokojem odprowadził ją wzrokiem. Powinien pójść za nią? Powtarzał sobie, że nic jej się nie stanie. Choćby ten nieświadomec za minutę wpadł pod ciężarówkę, Emily znajdowała się fizycznie daleko stąd i nie poniosłaby żadnej szkody. Musiałyby tylko poszukać sobie nowego ciała. A jak znalazłaby Colina po raz drugi? Zakodował sobie, żeby dać jej numer telefonu.

- Też bym się odlał - mruknął z tyłu Caramel.

- W każdej chwili możesz się jej ujawnić - stwierdził ze złośliwą satysfakcją Colin.

- Skoro ona o tej dziesiątej czy jedenastej idzie spać, zajedź na noc do motelu, żeby ululała gościa w pokoju. I tak nie wytrzymasz całej doby za kółkiem.

Colin zmarszczył brwi. Chciał jak najprędzej znaleźć się w Kolonii. Jadąc bez postoju, powinien tam dotrzeć jutro wieczorem, czyli akurat w porze, kiedy Emily mogła z nim bezpiecznie rozmawiać. Będzie ledwo przytomny, ale trudno. Od razu zrobią objazd lokalnych KFC, a potem Colin odpocznie. Nie mógł pozwolić sobie na utratę całego dnia,

kiedy w każdej chwili groziło mu zerwanie kontaktu z siostrą.

- Wytrzymam - burknął. - Staniemy wrzucić coś na ząb. Temu ciału się to przyda, a ty w międzyczasie załatwisz swoje potrzeby.

Ciało wybiegło z lasu i radośnie wpakowało się z powrotem na siedzenie pasażera.

- Jedziemy? - zapytała z ożywieniem Emily.

- Jedziemy - potwierdził Colin. - Spróbuj sobie przypomnieć, czy oprócz totemu KFC spostrzegłaś inne charakterystyczne szczegóły. Jutro wieczorem postaramy się zlokalizować właściwą restaurację.

- Colin... - zaczęła, ale zaraz umilkła stropiona. - Tylko bądź ostrożny, dobrze? Bo oni coś planują, chyba chcą zrobić ci krzywdę. Nie darowałabym sobie, gdyby przeze mnie...

- Em! Nawet gdyby coś mi się stało, jestem dorosłym facetem i świadomie podejmuję ryzyko. Wiem, co mi grozi. Będę ostrożny. To ja nie darowałabym sobie, gdybym odpuścił. Nie martw się, razem ich wykołujemy.

- Może jednak nie powinieneś... - spróbowała znowu.

- Koniec tematu - uciął. - Zaraz zatrzymamy się na jedzenie, żebyś przed snem nakarmiła tego faceta.

Widział, że Em waha się, czy nie kontynuować sporu. Z jednej strony pragnęła, żeby brat ją uwolnił, z drugiej - dopiero teraz uzmysłowiła sobie, że naraża go na niebezpieczeństwo. I gotowa była odrzucić marzenie o wolności, żeby przypadkiem Colinowi nie stała się krzywda!

Zerkał na nią co chwila, nie mogąc się nacieszyć jej widokiem. Zgoda, formalnie rzecz biorąc, siedział obok niego obcy mężczyzna, ale gość stopniowo przejmował mimikę twarzy Emily, tak więc Colin odnosił wrażenie, że patrzy na siostrę.

Przepelniało go szczęście, choć rozsądek nieustannie zalecał więcej ostrożności. Mimo wewnętrznych oporów, Colin powinien jednak liczyć się z sytuacją świadomej współpracy Emily z kapłanami. Nie byłaby to jej wina, ci

dranie skutecznie manipulowali całą społecznością, czemu więc nie jedną małą dziewczynką? Na pewno umieliby ją przekonać, by podstępnie ściągnęła brata do świątyni, przy okazji wydobywając zeń maksimum informacji. Colin musiał się przy małej pilnować, dla dobra Tin. Na usprawiedliwienia przyjdzie czas potem.

Nie! Wkurzył się, na Caramela, że w ogóle podpowiedział mu takie rozwiązanie, ale również na siebie, że tak skwapliwie je podchwycił. Niby się oburzył, a proszę, chwilę później otwarcie rozważał zdradę siostry, zamiast po prostu rozkoszować się jej towarzystwem. Wreszcie odnalazł Emily! Dlaczego sam sobie zatruwał radość z tego faktu?

Do celu podróży dotarli nieco po ósmej kolejnego wieczoru. Colin padał na pysk, choć jednocześnie rozpierał go entuzjazm. Okazało się, że w Kolonii i najbliższej okolicy są zaledwie cztery restauracje KFC, z tego jedna w centrum miasta, zatem mogli ją sobie odpuścić. Trzy punkty do sprawdzenia! Nie spodziewał się, że sprawa okaże się tak prosta. Jeszcze dziś będzie wiedział, gdzie przetrzymują jego siostrę!

Dawno nie czuł się tak szczęśliwy. Nawet w naprawdę błogich chwilach spędzanych z Tin gdzieś na dnie umysłu czaił się wyrzut sumienia, że podczas gdy Colin oddaje się rozrywkom, jego siostra niecierpliwie czeka na ratunek. Zadreczał się wizjami tego, co spotkało Emily, wyobrażał sobie, jak mała cierpi, jak się boi, gdybał, czy kapłani zdołali ją przekabacić.

Teraz wreszcie wyzbył się obaw. Jego siostra, choć przetrzymywana pod przymusem i tęskniąca za wolnością, nie doświadczyła ze strony kapłanów niczego szczególnie złego. Zdobyła nowe umiejętności, dojrzała, ale zarazem pozostała tą samą miłą dziewczynką. Jakiegokolwiek niecne

poglądy kapłani usiłowali wtłoczyć jej do głowy, ponieśli porażkę.

Momentami panikował, że dranie raptem dostrzegą swoją przegraną, a wtedy machną ręką na przepowiednię i zabiją Emily, na godziny, ba, minuty przed tym, jak Colin do niej dotrze. I choć odpędzał takie obrazy, to uparcie powracały. Odkąd porozmawiał z siostrą i przekonał się, że nie przybył za późno, wszystkie czarne scenariusze przerażały go bardziej niż do tej pory.

Tak, tak, w trakcie długiej podróży, gdy ciało spało obok niego na fotelu pasażera, Colin obiecał sobie zachować ostrożność, licząc się z tym, że Em uległa argumentom kapłanów i tylko świetnie wcieliła się w rolę kochającej siostrzyczki, ale im dłużej z nią przebywał, tym trudniej przychodziło mu uwierzyć w taką ewentualność. Nie wykluczał, że dranie wykorzystują dziewczynkę, żeby zwabić go w pułapkę, lecz robili to bez jej wiedzy.

Mimo to nie wspomniał małej ani o Tin, ani o Caramelu, choć w tym drugim przypadku był już bliski wywleczenia chłopaka z bagażnika i posadzenia za kierownicą. Ostatecznie doszedł jednak do wniosku, że w razie wpadki Emily mogłoby się wypsnąć słówko na temat towarzysza Colina.

Przez te tajemnice czuł się niezręcznie: nie chciał okłamywać siostry. Na szczęście nie miał po temu wielu okazji. Minionego wieczoru wypytywał małą o szczegóły otoczenia i ogólnie życie pod skrzydłami kapłanów; czas szybko zleciał i dziewczynka musiała położyć się spać, zanim rozmowa zeszła na pobyt Colina w Europie. Od rana natomiast Em odzywała się rzadko, właściwie tylko po to, żeby poinformować brata, że wszystko u niej w porządku, opiekunowie niczego się nie domyślają, a teraz musi się wyłączyć, żeby jej rozkojarzenie nie wzbudziło podejrzeń.

Szczerze mówiąc, Colinowi pasowały te sporadyczne kontakty. Nie chodziło nawet o konieczność okłamywania siostry. Po prostu nie wiedziałyby, o czym z nią gadać, mając do dyspozycji cały dzień. Półtora roku temu omawiali

aktualne problemy albo też Colin opowiadał jej o społeczności. Teraz to raczej Em byłaby w stanie doedukować brata w kwestiach związanych z funkcjonowaniem organizacji, natomiast jego pytania o bieżące sprawy zaczynały dziewczynkę irytować.

Opisała mu pomieszczenia, w których przebywa, swoich opiekunów i rozkład dnia, ale te informacje były w zasadzie nieprzydatne w planowaniu akcji odbicia Emily. No bo, co z tego, że miała kontakt głównie z dwiema osobami, Udonem i kapłanką Orianą, skoro nie potrafiła określić, jak wielu jeszcze kapłanów oraz ich pomocników Colin powinien się spodziewać? Widywała innych mężczyzn i chłopców – Oriana była jedyną kobietą – nie wiedziała jednak, czy przebywają tam na stałe. Potrafiła podać najdrobniejsze szczegóły na temat kilku znanych sobie pokoi, lecz nie miała pojęcia, jak dostać się do nich od głównego wejścia. Uporczywe pytania Colina denerwowały ją, gdyż czuła się bezsilna.

Jednakże tutaj, w Kolonii, mogli podjąć konkretne działania: znaleźć właściwe KFC. Colin, pełen nadziei, zawiózł siostrę najpierw w pobliże restauracji zlokalizowanej po wschodniej stronie miasta. Em pokręciła głową.

Nie przejął się tym, ponieważ zostały im jeszcze dwa punkty. Kiedy wszakże Emily je również odrzuciła, Colin poczuł, jak spędzona za kierownicą doba gwałtownie przytłacza go swym ciężarem. Marzył tylko o tym, żeby paść na łóżko i zasnąć. Kiedy obudzi się rano, na pewno okaże się, że Tin przegapiła tę najważniejszą restaurację albo Em pomyliła KFC z McDonalodem.

- Przepraszam - powiedziała Emily, a w męskim głosie nieświadomego zabrzmiała płaczliwa dziecięca nuta. - Już sama nie wiem... Może oni rozmawiali o kimś innym, kto utknął w korku w Kolonii, a ja uznałam...

- Em, kochanie, nie poddawaj się tak szybko. - Colin starał się podnieść małą na duchu, choć sam toczył w tej chwili beznadziejny bój z rezygnacją. - Zobaczyłaś totem

KFC jesienią, kiedy drzewa gubią liście, może więc dlatego teraz wszystko wydaje ci się inne? Zastanów się, spróbuj sobie przypomnieć inne detale. Jutro znowu zrobimy objazd. Odpocznijmy oboje. Jestem na nogach od czwartku rano, ledwo widzę na oczy, ale jutro wieczorem na pewno pójdzie nam lepiej.

Uśmiechnęła się, choć Colin spostrzegł, że kosztuje ją to sporo wysiłku. Dokładnie tak: kiedy spoglądał na twarz nieświadomego, widział Em, każdy jej grymas, który doskonale zapamiętał.

- Poszukam hotelu, żebyś mogła położyć to ciało spać - dodał.

Skinęła głową, jakby się bała odezwać, w przekonaniu, że głos ją zawiedzie. Podobnie jak Colin, uwierzyła, że wybawienie jest tuż-tuż, po czym nagle pojawiało się domniemanie, że podała bratu błędne informacje. Oboje ulegli złudzeniu, że wszystko pomyślnie się zakończyło, no bo przecież siedzą obok siebie w aucie i rozmawiają, między innymi o tym, jak małą traktowali kapłani, jakby ten temat należał już do przeszłości. Tymczasem w każdej chwili groziło im ponowne rozdzielenie, jeśli zaś Emily pomyliła się, kierując brata do Kolonii, z tego spotkania nie wynikł jak dotąd żaden pożytek. Colin dowiedział się, że siostra jest cała i zdrowa, ale jeśli ich kontakt się urwie, jej samopoczucie natychmiast znów stanie się dla niego niewiadomą.

W hotelu natychmiast padł na łóżko, nie zawracając sobie głowy choćby takim drobiazgiem, jak zdjęcie butów. Już na pół śpiąc odnotował, że Emily bardziej sumiennie dba o to obce ciało, niż Colin o własne - posłała nieświadomego do łazienki, skąd wkrótce dobiegł szum prysznic.

A Tin zarzucała małej bezduszość.

Spał nie najlepiej, dręczony wizjami kapłanów - Udon a i tej wadery, ponurej więdźmy z potarganymi włosami -

duszających Emily poduszką, pochylających się nad nią we śnie z lubieżnymi uśmiechami na bladych twarzach, wlokących małą na przesłuchanie do przerażająco sterylnego pomieszczenia. Mimo że co kwadrans Colin budził się na chwilę, zmieniał pozycję i omiatał spojrzeniem pokój, by upewnić się, że nikt się tu nie zakradł, a zerówka miarowo oddycha, koszmar senny powracał, kiedy tylko ponownie przymknął powieki. Bo też co z tego, że nieświadomy miewał się wyśmienicie? On nie był Emily. Oddychałby spokojnie, choćby ją właśnie zamordowano.

Zwlekł się z łóżka przed dziesiątą. Facet nadal spał i Colina natychmiast ogarnął niepokój. Na szczęście, ledwie postąpił krok ku niemu, mężczyzna otworzył oczy.

- Wstałeś! - Emily uniosła się na łokciach, a potem usiadła, opuszczając na miękką wykładzinę bose stopy. - Myślałam wczoraj o tych drzewach. Chyba masz rację! Tam się coś zmieniło w otoczeniu, właśnie jakby wcześniej były drzewa, a teraz je wycięli. W tej chwili nie mogę dłużej gadać, ale wieczorem...

- Czekaj, Em! - Dorskoczył do nieświadomego, jakby siostra w tej sekundzie zamierzała zniknąć. - O którą restaurację ci chodzi?

- Te drugą. Cholewcia, muszę lecieć. Odezwę się w ciągu dnia.

Nieświadomy pozostał w pozycji siedzącej, wpatrzony tępo przed siebie, przywodząc na myśl wyłączonego androida.

Colin uzmysłowił sobie, że Em poniekąd uziemiła go w hotelu - nie powiedziała, o której się znów odezwie, on zaś obawiał się ciągnąć ze sobą to ciało, gdyż pozbawione jej kontroli, mogło zachować się nieobliczalnie. Dotychczas albo miał nieświadomego w samochodzie, albo Emily jasno nakazywała mu jeść, iść do toalety czy też przejść z auta do hotelowego pokoju.

Tymczasem Colin palił się do wizytacji okolic tej drugiej restauracji. Czy teraz przecucie wreszcie się odezwie? Nie

oczekiwał od niego niczego ponad skromne: „Tak, to tutaj”, kiedy na moment zatrzyma wzrok na właściwym obiekcie.

Obiekcie... Emily miała pokój z oknem wychodzącym na wewnętrzny ogród. Za czym Colin powinien się rozglądać? Za większym domem mieszkalnym? Firmą? Klasztorem? Prywatną uczelnią?

Spojrzał znów na nieświadomego.

- Muszę na krótko wyjść - powiedział do niego. - Wrócę o drugiej.

Nie był pewien, czy ta wiadomość trafi do dziewczynki. Odbierała tylko te wrażenia zmysłowe, które docierały do nieświadomego w chwili, gdy akurat nim sterowała, czy potrafiła odtworzyć sobie jego doznania jak film, przewijając nieinteresujące momenty, albo na żądanie otrzymywała raport o istotnych zdarzeniach?

Na wszelki wypadek Colin napisał także kartkę, którą położył na wykładzinie przed nieświadomym. Miał nadzieję, że Em ją zauważy - że nie wpadnie w panikę z powodu nieobecności brata.

Wyszedłszy na parking, uprzytomnił sobie, że minionego wieczoru kompletnie zapomniał o Caramelu. No, ale w końcu to żaden problem wydostać się z wnętrza kombi. Co innego, gdyby Colin zostawił kumpla zamkniętego w typowym bagażniku.

Rzeczywiście, toyotę zastał pustą. Powstrzymał odruch sięgnięcia po komórkę, zanim wsiadł do wozu. Całkiem jakby zakładał, że ktoś go obserwuje, choć przecież taka sytuacja wymagałaby współpracy Emily z kapłanami.

- Skąd do mnie dzwonisz? - zaniepokoił się Caramel.

- Z samochodu - warknął Colin. - Nie widzą mnie. Gdzie jesteś?

Wkrótce potem spotkał się z kumplem w tłoczonym, mimo stosunkowo wczesnej pory, centrum handlowym. Fakt, była przecież sobota.

Od chłopaka zionęło czosnkiem, niezłymi perfumami i olejem silnikowym. Najwidoczniej starał się upozować na mechanika samochodowego, świętującego dzień wolny.

Nawet Colin ledwie wyczuwał pod tym kamuflażem doskonale mu znaną osobniczą nutę kolegi.

Powtórzył kumplowi rewelacje Emily: chyba znaleźli właściwą restaurację.

- Trochę się gubię - mruknął Caramel. - Bierzesz pod uwagę, że mogą cię obserwować, a zarazem jakbyś bezgranicznie jej ufał...

- Ci dranie bez przerwy czymś mnie zaskakują - warknął Colin. - Wolę przesadzić z ostrożnością niż nie dopilnować głównianego drobiazgu, ale jeśli sobie życzysz, wyjdę na środek tej hali...

- Spokojnie - przerwał mu łagodnie Caramel. - Mówiłem ci już, to twoja siostra i zdaję się na twój osąd. Po prostu skoro jej ufasz, może ściągnęłyby nam tu jeszcze kilka zerówek? Zrobiłyby zamieszanie, odwracając uwagę ochrony.

Colin przyglądał mu się spode łba. Gnojek mówił poważnie? Nagle bezkrytycznie akceptował opinię Colina, gotów na jej podstawie planować akcję, w której zaryzykuje własne życie?

Nie, chłopak go podpuszczał. Swoją pozorną zgodnością zmuszał Colina do bardziej krytycznego spojrzenia na Emily. Do diabła, gdyby nie Caramel... i Tin, ona także... gdyby nie tych dwoje, Colin wierzyłby każdemu słowu siostry, każdemu jej uśmiechowi. I byłoby cudownie! Zamiast tego zmagał się z wątpliwościami. Czy bowiem było możliwe, by mała dziewczynka okazała się na tyle silna psychicznie, żeby przez półtora roku skutecznie opierać się wpływowi kapłanów?

- Nie chcę jej wciągać w tę akcję - burknął wreszcie Colin. - Przeżyłaby wstrząs, gdyby któryś nieświadomy zginął. Poza tym ogłuszyłby ją, a cały nasz plan ległby w gruzach. Mielibyśmy stado dezorientowanych zerówek.

- Tak tylko dumam. Porywamy się we dwóch na siedzibę kapłanów.

- Do niedawna ci to nie przeszkadzało - warknął Colin.

Niemniej poczuł delikatne ukłucie strachu. Co zrobi, jeżeli Caramel się teraz wycofa?

- Rozdzielimy się - powiedział chłopak. - Niewiele zdziałam, siedząc w bagażniku.

Colin nie skomentował, że ten pomysł wyszedł od Caramela. Przyłapał się na tym, że raptem nie chce dostarczać kumplowi najmniejszego pretekstu do zerwania współpracy.

ROZDZIAŁ 12

- Na początku był totalnie skołowany - paplała Emily z pełnym zadowolenia uśmiechem, jakby uważała sytuację za wyśmienity żart. - Taki pocieszny. Nie wiedział, jak się wobec mnie zachowywać, no bo głupio mu było obściskiwać się z facetem.

- Dobrze, że tak szybko dał się przekonać, że to ty - skomentował sucho Lars.

- Prawda? - ucieszyła się dziewczynka. - Jest taki łatwowierny. Sam mi podsunął te wycięte drzewa!

- Wie, że posiadasz szczególne zdolności - stwierdził Lars. - Nikt inny nie zdołałby tak zdominować nieświadomego.

Kapłan nieustannie studiował entuzjazm dziewczynki. Nie uznawał niefrasobliwości, zwłaszcza gdy nawet drobna pomyłka mogła ich drogo kosztować. Emily wszakże każdy szorstki komentarz mentora traktowała jak najbardziej wylewną pochwałę i pęczniała z dumy, po kilka razy powtarzając tę samą relację.

Oriana w milczeniu śledziła rozmowę. Zaskoczyło ją przyzwolenie Larsa, by została w pokoju podopiecznej, kiedy pojawił się, by poprowadzić przedpołudniowe zajęcia z dziewczynką. Wyjątkowo przyszedł wcześniej, za dziesięć jedenastą, najwyraźniej specjalnie po to, żeby zatrzymać współpracownicę. Sądziła, że kapłan nie chce więcej wysłuchiwać jej opinii na temat Emily. Czyżby zaprosił Oriane do udziału w tej sesji właśnie w celu ostatecznego rozwiania jej wątpliwości?

Przysłuchiwała się zatem, a wątpliwości, zamiast zanikać, jedynie w niej narastały.

Już dużo wcześniej Lars wyjaśnił dziewczynce, że Colin, przy swoim braku samokontroli, stwarza zagrożenie dla społeczności i gdyby z przepowiedni nie wynikało, że jako dorosły mężczyzna stanie się bardzo użyteczny, nie dożyłby obecnego wieku. Dlatego powinien czuć się wdzięczny za te podarowane lata, Emily zaś nie miała powodów robić sobie wyrzutów. Czas jej brata się skończył, bez względu na to, jaką ona podejmie decyzję. Lars stwarzał wrażenie, że oferuje podopiecznej wybór, a potem w szorstkich słowach wyrażał dumę z jej postawy.

Oriana zgadzała się, że ta argumentacja brzmi przekonująco, nawet jeśli nieopanowanie Colina w dużej mierze pozostawało zasługą intryg samego Larsa. O ile jednak potrafiła zrozumieć, że dziewczynka zgadza się wypełnić misję, o tyle nie pojmowała, jak wciąganie brata w pułapkę może dostarczać jej takiej radości. Chyba że, naturalnie, Emily nosiła się z zamiarem wspólnej ucieczki i teraz albo nieco przesadnie odgrywała entuzjazm dla planu Larsa, żeby uśpić jego czujność, albo też autentycznie cieszyła się na spotkanie z bratem i nie umiała zapanować nad tymi emocjami. Mimo wszystko błyszczące gorączkowo oczy dziewczynki wzbudzały w Orianie niesmak.

- Dzisiaj wieczorem powiem mu, że na pewno chodzi o to KFC - oświadczyła Emily.

- Oczywiście, źle byłoby przeciągać twoje niezdecydowanie - przyznał chłodno Lars, w ten sposób ganiąc podopieczną za przejmowanie inicjatywy. To on jej dyktował, kiedy należy wykonać następny krok.

Wbrew swej woli Oriana znów czuła podziw dla kapłana. Dotarli do ostatniego etapu i jeśli teraz coś się nie powiedzie, jeśli Emily przeszarżuje i wzbudzi podejrzenia Colina, sprawa będzie stracona. Tymczasem Lars prezentował wręcz lekceważący spokój. Nie zmienił podopiecznej rozkładu zajęć, a relacji z kontaktów dziewczynki z bratem wysłuchiwał dopiero w porze ich codziennych sesji. Oriana chyba nie umiałaby czekać tak długo. Chociaż właściwie wczoraj czekała jeszcze dłużej,

Lars bowiem dopiero wieczorem raczył powtórzyć jej fragmenty raportu Emily.

Dziewczynka powinna wiedzieć, że darzy się ją zaufaniem, że nie jest pionkiem w grze, ale jej aktywnym, podejmującym samodzielne decyzje uczestnikiem. Zarazem jednak błędem byłoby dać jej do zrozumienia, jak kluczowe zadanie wypełnia. Mogłaby się zestresować albo przeciwnie, nabrać zbyt wysokiego mniemania o sobie. Dlatego Lars zachowywał się tak, jakby spotkania małej z Colinem stanowiły zaledwie mniej istotny punkt planu.

- Zauważyłaś, żeby Colin do kogoś dzwonił? - zapytał Lars. - Wspominał, że ktoś mu pomaga?

Emily pokręciła głową.

- Spróbuję go wysondować...

- Nie - uciął ostro kapłan. - On ma widzieć w tobie swoją ukochaną, nadal dziecinnie naiwną siostrzyczkę. Nie wolno ci go o nic wypytywać, a już zwłaszcza podchwytliwie. Twój brat nie grzeszy bystrością, ale, niestety, nie jest aż tak głupi, żeby sondowanie go nie niosło ze sobą ryzyka.

Lars najpierw udzielał reprimendy, potem wyjaśniał, dlaczego Emily winna unikać określonych zachowań. Niby działała samodzielnie, ale zawsze zgodnie z wytycznymi swego mistrza. W gruncie rzeczy jednak, z czego Oriana w tej chwili zdała sobie sprawę, Lars był bezsilny. Emily powie bratu, cokolwiek zechce. Kapłanowi pozostawało zaufać małej, że ich nie zdradzi. Że już tego nie zrobiła.

Kiedy Lars udzielał dziewczynce początkowych instrukcji, nie wspominał, że Colina mogą wspierać Erasmus lub Benson. Obawiał się, że może zbyt szybko zadać pytanie, które tylko jej wyda się sprytnie sformułowane. Teraz, kiedy kontakt został nawiązany, a Colin na nowo zakochał się w swojej małej siostrzyczce, ryzyko, że jakiś jej gest czy słowa wzbudzą w nim podejrzenia, uległo znacznemu ograniczeniu. Oriana spodziewała się, że Emily, pomimo ostrzeżeń Larsa - albo wręcz z czystej przekory - zapyta brata o pomocników. Przypuszczała, że kapłan również bierze pod uwagę taką ewentualność.

- Wydaje się, że w pełni rozumie istotę problemu i oczekiwania względem niej - skomentowała z wahaniem Oriana w porze lunchu, kiedy dziewczynka miała przerwę w zajęciach.

Lars spojrzał na nią przeciągle.

- Przestała mówić „mistrzu” - stwierdził.

Owszem, ten szczegół nie umknął uwagi Oriany. W trakcie rozmowy Emily była rozbrykana, niemalże bezczelna, choć ciągle jeszcze w taki sposób, że w razie potrzeby zdołałaby usprawiedliwić swoje zachowanie zdenerwowaniem spowodowanym realizowaną misją.

- Bardzo przeżywa ciężką na niej odpowiedzialność - powiedziała Oriana.

Pokiwał głową. Zastanawiała się, na ile ją w tej chwili prowokuje.

- To dobrze, że jest pewna siebie - odezwał się po krótkim milczeniu. - Niepokoję się jednak, czy nie przeholuje. Byłoby lepiej, gdyby Colin nie uwierzył jej tak szybko. Nabrała przez to przekonania, że da radę dowolnie nim manipulować.

Niepokoił się! Doprawdy zdumiewające wyznanie. Niestety, jego zastrzeżenia nie pokrywały się z obawami Oriany. Lars upatrywał niebezpieczeństwa w dziecinnym przeświadczeniu Emily o własnym sprycie, nie przeszło mu wszakże przez myśl, że dziewczynka może zdradzić.

- Sądysz, że kilka dni wystarczy, żeby Colin dostatecznie mocno się z nią związał? - zapytała. - Rozważałeś przerwanie ich kontaktu, tak by zinterpretował je jako naszą interwencję? Zasugerowała mu właściwe KFC, obejdzie się więc bez dodatkowego potwierdzenia.

- Tak, zastanawiałem się nad takim rozwiązaniem - odparł. - Wolę, żeby Colin miał ją u boku, bo znów zacznie ratować wszystkich wkoło, byle nie własną siostrę. Jeśli na sam koniec zajdzie potrzeba wpędzenia go w panikę, zastosujemy takie ostre cięcie. Wiem, co ci się nie podoba w Emily - dodał zniechęcony. - Swoboda, z jaką oszukuje brata. Jej emocjonalny chłód. Pamiętaj jednak, że właśnie ta jej

cecha od początku stanowiła podstawowy warunek sukcesu.

Pojęła, że Lars ma rację. Przepowiednia wyznaczała kapłanom szalenie trudne zadanie: znaleźć rodzeństwo, w którym brat byłby nieskończenie oddany siostrze, a siostra nie miałaby skrupułów, by zabić brata, doskonale wyczuwającego, jako silna alfa, intencje innych osób, zwłaszcza bliskich. Potrzebowali właśnie takiego dziecka jak Emily, w gruncie rzeczy odrażającego. Oriana miała podstawy, by nie lubić tej małej, i powinna się z tego cieszyć, gdyby bowiem dziewczynka okazała się ciepłą, uroczą istotą, już na wstępie przegraliby tę bitwę.

Mimo to Oriana nie poczuła się uspokojona. Dwunastolatka gotowa zabić własnego brata, a wręcz czerpiąca przyjemność z tej myśli, potencjalnie mogła okazać się zdolna do znacznie gorszych czynów. Jeśli zaś owa dziewczynka przy okazji żywiła głębokie przeświadczenie o własnej wyższości nad pobratymcami, włączając w to kapłanów, należało się spodziewać, że jej pomysły będą nie tylko z gruntu złe, ale i bardzo głupie.

Przepowiednia nie mówiła przecież, co się wydarzy. Zawierała sugestię rozwiązania, które miało szansę - zaledwie szansę - odnieść skutek. Kapłanom pozostawiono wybór, czy z tej sugestii skorzystają, i niewykluczone, że podjęli niewłaściwą decyzję.

Zarazem jednak nie istniała żadna inna alternatywa. Oriana westchnęła ciężko w duchu. Powinna dać sobie wreszcie spokój z czarnymi wizjami i z nadzieją czekać na pomyślny finał.

- Tak. - Emily uśmiechnęła się, aczkolwiek jakby z wahaniem. - Tak, to tutaj.

Colinowi niewiarygodnie ulżyło. To tutaj. A przecucie niech się wypcha, poradził sobie bez jego pomocy.

Wiedział, gdzie ją trzymają. Choćby ich kontakt znienacka się urwał, Em już mu się nie wymknie.

Wczesnym przedpołudniem zrobił wstępne rozpoznanie, starając się wytypować budynki dostatecznie duże, by pasowały do opisu Emily, czyli pomieściły spory wewnętrzny ogród. Niewiele zyskał z tej wyprawy, gdyż zdecydowana większość obiektów w pobliżu restauracji – a Em twierdziła, że zauważyła totem tuż po opuszczeniu miejsca swego pobytu – spełniała przyjęte przez Colina kryteria.

Zirytował się, rzucił kilka wiązanek i dopiero wtedy wpadł na pomysł, żeby zerknąć na zdjęcia satelitarne. Spodziewał się, że organizacja zadbała o to, by akurat tego terenu nie dało się obejrzeć w dostatecznie dużym powiększeniu, jednak ku jego zaskoczeniu obraz był świetny, tak że Colin szybko odnalazł budynek z ogrodem na zamkniętym dziedzińcu.

Pozostało mu wieczorem przywieźć w to miejsce Emily, żeby uzyskać ostateczne potwierdzenie. Nie dopuszczał do siebie myśli, że siostra znów pokręci głową. No i udało się! To tutaj.

Minął budynek, nie zwalniając tempa jazdy; potem znajdzie bezpieczny punkt obserwacyjny i obejrzy go sobie dokładniej. Niemniej z tego, co zdążył zobaczyć, nigdy nie domyśliłyby się, że ma do czynienia ze świątynią... No dobrze, uparł się na świątynię, podczas gdy Em ani razu nie wspomniała o obecności bóstwa, czy choćby jego posągu, ani też o odprawianych przez kapłanów obrzędach. Przypuszczalnie trzymali ją w jednej z należących do organizacji kryjówek.

Szkopuł w tym, że nawet jak na zwykłą kryjówkę miejsce wydawało się Colinowi... zbyt mało dyskretne.

Zamiast płotu teren otaczał żywopłot, zatem w zasadzie każdy mógł bez trudu dostać się w pobliże budynku. W dodatku napis na eleganckiej tablicy głosił, że jest to ośrodek konferencyjno-szkoleniowy, a na podjeździe przed głównym wejściem stał autokar. Niby dobra przykrywka,

nic bowiem nie rozbudza tak ludzkiej ciekawości jak ogrodzenie pod prądem i brama zamknięta na cztery spusty, ale bez przesady... Żeby aż wpuszczać do swojej siedziby tłumy?

Z relacji Emily wynikało, że do wewnętrznego ogrodu dostęp mieli tylko członkowie społeczności. Widać go było z okien wszystkich pomieszczeń, z których korzystała ona, jej opiekunowie i przybywający z wizytą kapłani. Do pokoi wchodziło się z okalającego dziedziniec ciemnego korytarza. Na jego przeciwległej ścianie także znajdowały się drzwi, nieliczne i, na ile Em zdołała się zorientować, zamknięte na klucz.

Wydawało się logiczne, że jedne z tych drzwi prowadzą do powszechnie dostępnej części budynku i stamtąd do wyjścia, niemniej dziewczynka nie potrafiła wskazać właściwych. Ilekroć kapłani zabierali małą poza ośrodek, wynosili ją z pokoju z workiem na głowie i dla zmyłki obchodzili kilka razy korytarz. Colina ogarnęła furia, kiedy wyobraził sobie tę scenę.

W każdym razie część budynku przylegająca do wewnętrznego ogrodu była niedostępna dla ludzi. Nie istniała. Nie obawiano się, że jakiś znudzony wykładem, dociekliwy uczestnik szkolenia, obejrzawszy sobie wcześniej ośrodek na zdjęciach satelitarnych, uprze się, żeby dotrzeć na dziedziniec? Colin nie rozumiał sensu podejmowania tak wielkiego ryzyka. Dlaczego nie stworzono przykrywki w postaci firmy?

Cóż, powody dokonania przez kapłanów akurat takiego wyboru nie miały w tej chwili znaczenia. Colin musiał opracować plan dostania się do serca budynku w oparciu o stan faktyczny. Zacznie od rekonesansu, którego przedmiotem będzie ośrodek konferencyjno-szkoleniowy, ze wszystkimi zaletami i wadami takiego rozwiązania.

- Spróbujesz mnie uwolnić dzisiaj w nocy? - zapytała z nadzieją Emily, oglądając się zarazem niespokojnie na siedzibę kapłanów.

- Kochanie, muszę się przygotować - odparł łagodnie. - Obejrzeć dokładnie to miejsce, zastanowić się, jak wdrzeć się do środka i co będzie mi do tego potrzebne.

Po jej minie widział, że czuje się zawiedziona.

- Em, będę miał tylko jedną szansę. Nie mogę wparadować do hallu, licząc na łut szczęścia.

- Wiem - powiedziała cicho. - Ale myślałam, że już jutro...

- Głos jej się załamał.

- Będę działał najszybciej, jak zdołam - zapewnił. - Odwiozę cię teraz do hotelu, a nocą wrócę na obserwację.

- Chcę iść z tobą - zaprotestowała natychmiast. - Może coś mi się skojarzy, kiedy będziemy przyglądać się budynkowi z zewnątrz.

- Nie, Emily. Po pierwsze, za bardzo się ekscytujesz i kapłani mogą coś zauważyć. Po drugie, powinnaś się wysypiać, tak jak dotąd. I wreszcie, wolę wiedzieć, że to ciało znajduje się w hotelu, bezpieczne, dzięki czemu w każdej chwili mogę z tobą porozmawiać.

- Znalazłabym innego nieświadomego, w Niemczech to mniejszy problem.

- Nie, Emily - powtórzył. Nie spodobało mu się, że z taką łatwością wykorzystaby kolejną zerówkę. Czyżby Tin jednak miała trochę racji, krytykując małą?

Inna sprawa, że sam nie rozumiał, czemu tak ostro sprzeciwia się propozycji siostry. A nuż rzeczywiście by mu pomogła? Z kolei z Caramel przedyskutowałyby plan później, za dnia... Mimo to Colin nie chciał, żeby Emily poznała ów plan czy choćby tok rozumowania Colina. Psiakrew, niby czemu nie miałyby poznać?

Ustąpiłby, gdyby Em poprosiła go po raz kolejny, ale nie protestowała więcej, zatem ciało pozostało w hotelu.

- Skoro wpuszczają tam przypadkowych ludzi, bez problemu wywołamy zamieszanie - orzekł Caramel, oglądając na laptopie zrobione przez Colina zdjęcia ośrodka

konferencyjnego i terenów wokół niego, marne, szczerze mówiąc, ze względu na słabe światło.

Caramel jedynie przejechał się wynajętym golfem obok budynku; nie towarzyszył Colinowi w trakcie zwiadu, żeby nie zostawiać swojej woni nigdzie w pobliżu, na wypadek gdyby agenci kapłanów regularnie patrolowali okolicę. Zdaniem Colina, nieco przesadzał.

- Poczekamy na następną turę gości - ciągnął chłopak - a w tym czasie zorganizujemy materiały i skonstruujemy amatorski ładunek wybuchowy.

- Nie chcę czekać - sprzeciwił się Colin. - Następni goście mogą przybyć za miesiąc. Skorzystajmy z okazji, że teraz jest tam pełno ludzi.

- Jak zwykle w gorącej wodzie kąpany - skomentował Caramel.

Colin zacisnął pięść. Dopóki nie uwolnią Emily, nie mógł sobie pozwolić na starcie z Caramelem, a gnojek bezczelnie wykorzystywał sytuację.

- Boję się, że im się nagle odmieni i postanowią ją zabić - wyjaśnił.

- Przeczucie ci tak sugeruje? - zainteresował się natychmiast Caramel.

Colin zastanowił się nad tym pytaniem. Niby marzył, żeby przeczucie wreszcie raczyło mu pomóc w sprawach bezpośrednio związanych z siostrą, ale w tym przypadku wolał jednak wyjaśnienie, że ponosi go wyobraźnia, inaczej bowiem zagrożenie byłoby przerażająco realne.

- Sam nie wiem - odparł; jeśli powołując się na wewnętrzny głos, miał szansę nakłonić kumpla do szybszego działania, ani myślał rezygnować z tego argumentu.

- Tak mi się wydaje, chociaż ostatnio miewam problemy z odróżnieniem głosu przeczucia od zwykłych obaw.

- Colin zmarszczył brwi. A jeśli teraz przemówiło przeczucie, a on go nie rozpoznał? - Nie chcę niepotrzebnie zwlekać. Po co nam bomba? Kupimy fajerwerki. Jeśli podrzucimy je pod te samochody - wskazał cztery auta,

zaparkowane na lewo od podjazdu - i tak zrobi się zamieszanie. Teraz wszystkim odbija na punkcie terroryzmu. Potem znajdą fajerwerki i uznają sprawę za dziecinny wygłup.

Caramel cmoknął sceptycznie.

- Chcesz nasłać policję na siedzibę kapłanów? - warknął Colin.

- Poradzą sobie. Nie takie sprawy tuszowali. Poza tym z tego, co mówi Emily, wynika, że to jedynie pomniejsza, tymczasowa placówka edukacyjna. Ona i paru nauczycieli. Nie przechowują tam manuskryptów zawierających najskrytsze tajemnice społeczności.

- Prawdopodobnie nie - przyznał Colin. - Ale „prawdopodobnie” to jednak trochę mało.

- Mamy jedno podejście. Co zrobisz, jeśli ludzie od razu się zorientują, że to tylko fajerwerki, panika nie wybuchnie, a kapłani zaczną się bacznie rozglądać za dowcipnisiem?

Cholera, gnojek miał trochę racji. A skoro potrafił skonstruować domowej roboty bombę...

- W takim razie co proponujesz? - rzucił Colin, kiedy milczenie się przedłużało.

- Widziałeś tam przedtem autokar, prawda? Teraz go nie ma. W sobotni wieczór raczej przyjechał zabrać uczestników szkolenia niż ich przywiózł. Zatem i tak w budynku nie przebywa w tej chwili wielu ludzi. Moim zdaniem została jedynie obsługa, a tę przypuszczalnie stanowią świadomi. Albo kontrolowane przez kapłanów zerówki.

Jasne. Caramel nie mógł od razu napomknąć, że według niego ośrodek świeci aktualnie pustkami. Straciłby okazję dowiedzenia swej wyższości.

- Poczekajmy na nową grupę - ciągnął Caramel. - Obiekt wygląda na luksusowy, wątpię więc, czy wynajmują w nim pokoje także dla kierowców. Uczestników szkolenia podrzucą tu busiki bądź autokar, który potem na kilka dni gdzieś się zmyje. Na neutralnym terenie podczepimy do niego ładunek i zdetonujemy go, kiedy wróci po pasażerów.

- A jeżeli na drogę powrotną podstawią inny? - Jeden z nas będzie cały czas śledził ten właściwy i przy pierwszej okazji odzepi ładunek, a potem zaczekamy na kolejnych gości - odparł gładko Caramel, przy czym wydawał się rozbawiony faktem, że Colin tak uparcie szuka luki w jego planie.

Colin z trudem powstrzymał się przed dalszym wyrażaniem wątpliwości. Niech Caramelowi będzie, zabiorą się do sprawy zgodnie z jego sugestią - a kiedy się okaże, że przewidywania gnojka są guzik warte, przejdą do rozwiązań proponowanych przez Colina. Do tej pory jakież mu się przecież nasuną.

Na szczęście ośrodek szkoleniowy nie narzekał na brak klienteli. Już we wtorek po południu zajechały przed niego dwa autokary, tak że Colin i Caramel mogli rozpocząć akcję.

Colin cieszył się z tego, sam bowiem naciskał na pośpiech, zarazem jednak... no cóż, tak jakby się bał, odrobinę. Niedzielny i poniedziałkowy wieczór spędził na pogaduszkach z siostrą. Początkowo skrępowany, nieporadny, szybko złapał bakcyła i przekomarzał się z małą, co rusz prowokując ją do śmiechu. Gawędzili o drobiazgach, gdyż zależało mu na rozluźnieniu dziewczynki, tak by jej narastające zdenerwowanie nie zaalarmowało kapłanów. Zdążył poczuć się beztrosko, zapomnieć, że zasadniczo nadal wszystko może pójść źle, a on nawet nie widział siostry.

Dostał namiastkę radosnej przyszłości, jaka nastąpi, gdy akcja się powiedzie, ale jednocześnie dotkliwiej zdawał sobie sprawę, jak wiele straci w razie porażki.

Pierwszy problem pojawił się, kiedy z autokarów wysiedli pasażerowie.

- Nigdzie dalej nie jadą - doniósł Caramelowi, który czekał w wynajętym golfie, gotów ruszyć za pojazdami. -

Kierowcy przestawili je tylko na prawo od głównego wejścia i wysiedli.

Kumpel intensywnie ukrywał się przed agentami kapłanów, czyli zapewne rozbijał się po knajpach, czekając na telefon od obserwującego ośrodek szkoleniowy Colina. Zdążył jednak dotrzeć w pobliże KFC, zanim pasażerowie pozbierali swoje bagaże i tłumnie weszli do budynku. Tyle że nie było kogo śledzić.

- Autokary są na polskich blachach, nie opłaca im się wracać - dodał Colin. - Postoją tu kilka dni i...

- Rany, a może jutro zabiorą tych ludzi na wizytację fabryki albo wycieczkę krajoznawczą? - przerwał mu Caramel. - Nie stresuj się. To tylko drobna modyfikacja dobrego planu.

Colin zacisnął zęby. Drobna modyfikacja, jasne. Gnojkiowi nie przeszłoby przez gardło, że pomylił się w ocenie sytuacji. Genialny strateg!

Przynajmniej raz Tin poparła Colina i nie przejawiała zachwytu planem Caramela, chociaż jej przeszkadzała głównie bomba - obawiała się, że ucierpią ludzie. Uspokoił ją, że chodzi im jedynie o trochę hałasu, ognia i dymu. Ewentualnie parę osób nabawi się stłuczeń, kiedy wszyscy będą się poszturchiwać i przewracać w trakcie panicznej ucieczki.

Po prawdzie jednak to Caramel zajął się kupnem składników i produkcją bomby, a Colin, choćby nawet uczestniczył w tym procesie, nie zdołałby orzec, jakie zniszczenia może spowodować taki ładunek. Owszem, na szkoleniu straży uczył się o materiałach wybuchowych, ale ponieważ nigdy nie miał okazji spożytkować tej wiedzy w praktyce, rychło wywietrzała mu z głowy. Zmarszczył brwi. Zresztą, na razie nawet jeszcze draństwa nie podłożyli i nie wiadomo, czy nadarzy się po temu sposobność.

O ósmej zadzwonił do hotelu, poinformować Em, że dziś się nie zobaczą. W jej głosie usłyszał ekscytację: natychmiast założyła, że brat szykuje się, by odbić ją tej nocy.

- Przyjechała spora grupa gości, muszę się przekonać, kto to taki - wyjaśnił chłodno. - Uzbrój się w cierpliwość. Też chciałbym jak najszybciej mieć tę sprawę za sobą, ale nie wolno mi działać pochopnie.

Przygasała, wyczuł to nawet przez telefon. Otworzył usta, żeby ją pocieszyć, ale się powstrzymał. Zależało mu właśnie na tym, by chodziła przybita.

Tkwiał pod ośrodkiem do późna, ale nie zdarzyło się nic godnego uwagi. Nie spodziewał się, że autobusy wyruszą gdzieś w środku nocy, tak więc pojechał do hotelu, z zamiarem zgromadzenia sił na jutro, choć szczerze wątpił, by przewidywania Caramela się sprawdziły.

Rano Colin wrócił na stanowisko przed dziewiątą, żeby wkrótce się przekonać, że ten pieprzony geniusz mimo wszystko się nie pomylił: dwadzieścia po dziewiątej kierowcy podstawili autokary pod wejście, a chwilę później z budynku zaczęli się wysypywać uczestnicy szkolenia. Kobiety niosły nieodłączne torebki, niektórzy mężczyźni aktówki, nikt jednak nie zabrał bagażu. Uwzględniając ich dość formalne stroje, jechali zwiedzać zakład pracy.

Rzeczywiście, autokary zawiozły ekipę do parku przemysłowego na północy miasta. Szkopuł w tym, że teren był pilnowany, tak że dyskretnie podczepienie ładunku miało marne szanse powodzenia.

- Nie tutaj, to gdzie indziej - stwierdził beztrąsko Caramel. - Później pewnie wezmą ich na obiad albo zwiedzanie.

Jasne, to nie on miał podczepiać ładunek. Zadanie spadło na Colina, na wypadek gdyby kapłani świetnie wiedzieli o jego poczynaniach i, spodziewając się podobnego zagrania, obwąchiwali każdy zajeżdżający pod ośrodek pojazd. Tym sposobem gnojek siedział sobie zrelaksowany w golfie, od niechcienia udzielając koledze instrukcji, podczas gdy Colin nie mógł ani na chwilę spuścić z oczu tych pieprzonych autokarów, bo, znając życie, akurat wtedy ruszyłyby w dalszą drogę.

- Na razie wszystko idzie po waszej myśli - powiedziała ostrożnie Tin. - A ty złościsz się...

- Jakbym co? - wszedł jej w słowo.

- Nic. Po prostu niepotrzebnie się złościsz.

Chciała powiedzieć, że Colin zachowuje się tak, jakby na siłę szukał powodów do przerwania akcji. Albo zaklinał katastrofę... Nie, to ostatnie na pewno nie. Bał się, że wszystko spieprzy, dlatego z ulgą powitałby konieczność przełożenia akcji, ale jednocześnie całym sercem pragnął jej powodzenia.

Wyzwał się w duchu od tchórzy. Wydarzenia spadły na niego zbyt raptownie. Nawet teraz, kiedy siedział w aucie, czekając na okazję do wykonania jednego z ostatnich ruchów przed atakiem na siedzibę kapłanów, nie wierzył, że tak mało dzieli go od osiągnięcia celu.

Zmarszczył brwi. Z jednej strony, rozmowy z Em dały mu przedsmak wielu przyszłych wieczorów, jakie spędzą w miłej rodzinnej atmosferze, z drugiej, ilekroć oczyma wyobraźni próbował ujrzeć siostrę, realnie ją, na przykład przy kuchennym stole, razem z Tin i tym cholernym szczeniakiem, nie potrafił. Nic, czarna plama.

Znowu dramatyzował, psiakrew. Nie wiedział nawet, jak Emily teraz wygląda, jak więc mógłby wyobrazić ją sobie w trakcie wspólnego śniadania? Czarna plama znaczyła tyle, że Colinowi brakło koncepcji odnośnie do zmian, jakie zaszły w wyglądzie dziewczynki.

Po pięciu godzinach uczestnicy szkolenia zapakowali się z powrotem do autokarów, które dostarczyły ich na plenerową imprezę. Wprawdzie do zapadnięcia zmroku zostało jeszcze sporo czasu, ale przy autobusach nie czuwali nawet kierowcy, tak że Colina czekało o wiele prostsze zadanie, niż gdyby miał podkraść się nocą do pojazdu stojącego na oświetlonym parkingu.

Caramel przygotował trzy bomby; plan tak czy owak zakładał podczepienie dwóch, na wszelki wypadek, z trzecią jako rezerwą. Ponieważ pojawiły się dwa autokary, każdy otrzymał własną wybuchową niespodziankę. Colin przykleił

ładunki power tape w pobliżu baków, a potem chyłkiem przemknął z powrotem do toyoty. Bułka z masłem. Jeśli tak dalej pójdzie...

- Świetnie - stwierdził przez telefon Caramel, aczkolwiek bez przesadnego entuzjazmu. Zazdrosny sukinsyn.

- Jedź do hotelu, ja będę mieć oko na autokary.

- Do hotelu? Powaliło cię? Mamy szansę dzisiaj zakończyć sprawę!

- Właśnie dlatego. Pogadaj z Emily, przekonaj ją, że cały twój plan sprowadza się do namówienia jednego z polskich gości, żeby nagrał ci komórką filmik i cyknął parę zdjęć wewnątrz budynku. Takie plenerowe imprezy zwykle trochę trwają, ale jeśli nie wyrobisz się na czas, uderzymy jutro, kiedy znów gdzieś...

- Atakujemy dzisiaj! - wkurzył się Colin. - Gównu mnie interesuje, że nagle zrobiłeś się podejrzliwy...

- Dmuchał na zimne - przerwał mu sucho Caramel.

- Zdawało mi się, że w tej kwestii się zgadzamy. Jedź do hotelu i uspij jej czujność. Zaczęli balować przed piątą, powinno więc w zupełności wystarczyć, jeśli o dziewiątej zostawisz Em pod pozorem wyprawy na nocną obserwację.

- Przestań mi rozkazywać - warknął Colin.

Mimo to pojechał. W kluczowym momencie - jak dotąd najważniejszym w trakcie tych długich poszukiwań - odpuszczał, składając powodzenie akcji w ręce Caramela. Psiakrew, kiedy zaczął do tego stopnia gnojkwowi ufać?

Z trudem wytrzymał do wpół do dziewiątej. Rozmowa z Emily się nie kleiła. Dziewczynka wydawała się rozgoryczona powolnością działań brata, Colin zaś czuł się winny, że ją oszukuje - w mniemaniu małej powodem było niespełnienie jej oczekiwań - zatem podejmowane przez niego próby prowadzenia dowcipnej konwersacji wypadły żałośnie.

- Emily, muszę poznać rozkład pomieszczeń - przekonywał, wczuwając się w rolę. - A nie podam się za dostawcę pizzy, żeby samemu zrobić rekonesans, bo choćbym wspiał się na wyżyny sztuki kamuflażu, nie ukryję mojej osobniczej woni.

- Te drzwi na pewno i tak są zamaskowane - stwierdziła Em, starając się nadać głosowi neutralne brzmienie. - Widziałeś w necie, gdzie znajduje się dziedziniec i jak on się ma do głównego wejścia. Ja się nie znam, ale...

- Skarbie, proszę cię. Za to ja się znam i wiem, jak ważne jest odpowiednie rozpoznanie terenu.

Wiedział, a mimo to zamierzał wtargnąć do budynku, nie mając bladego pojęcia, jak wygląda w środku.

Niewykluczone, że istniały plany architektoniczne albo przynajmniej ulotki reklamowe obiektu, z mapką sal konferencyjnych i zdjęciami pokoi, Colin zaś nawet nie pomyślał, żeby poprosić Tin o poszperanie w sieci. Cholera. Caramel zresztą także odpuścił temat. Dlaczego? Czyżby obaj liczyli na to, że krokami Colina pokieruje przeczucie, jak w Heidelbergu?

Uzmysłowił sobie, że nie tylko liczy na taki przebieg zdarzeń, ale jest wręcz przekonany, że kiedy dostanie się do budynku, bez trudu odnajdzie drogę. Czy jednak nie postępował ciut lekkomyślnie?

Zostawił Emily i pojechał pod ośrodek konferencyjny. Opuściwszy parking, wybrał numer Caramela. Trafił idealnie: impreza właśnie się zakończyła, uczestnicy szkolenia, w większości mocno wstawieni, pakowali się do autokarów, co w tych okolicznościach szło im cokolwiek niemrawo. Colin miał zatem czas na zajęcie strategicznej pozycji.

- Po drugiej stronie ulicy na prawo od ośrodka rośnie trochę drzew i krzewów, tam się spotkamy - oznajmił kumpłowi, kończąc połączenie.

Caramel planował zarzucić śledzenie autokarów, kiedy tylko ruszą w drogę powrotną, i wdepnąć mocniej na gaz, tak by zająć miejsce obserwacyjne u boku Colina, zanim

rozbawione towarzystwo dotrze do celu. Zapewne Colin powinien oburzyć się na propozycję zostawienia autobusów bez dozoru, niemniej kompletnie go ona nie ruszyła, jakby był pewien, że na tym polu nie pojawią się komplikacje.

Pewien. Świetnie, zatem przecucie wkroczyło do akcji. Byleby w krytycznym momencie nie wypięto się na Colina.

Czekając na kumpla, analizował ostatnią rozmowę z Emily. Tak bardzo starała się mówić neutralnie i maskować rozczarowanie, że jej prawdziwe odczucia natychmiast stawały się dla Colina oczywiste. Powstrzymywała się przed próbami wywierania na niego nacisku, a przecież nawet jej beztroski uśmiech krył ponaglenie. Colin sądził, że Em po prostu nie umie dostatecznie dobrze panować nad emocjami, ale teraz zaświtało mu podejrzenie, że postępowała tak z pełną świadomością. Dlaczego? Bo sama z siebie pragnęła przyspieszyć działania brata? Czy też ktoś zasugerował jej odpowiednie zagrania?

Zdecydował, że ją ogłuszy. Jeśli choć na ułamek sekundy ogarną go wątpliwości, ogłuszy dziewczynkę, zwiąże i zaknebluje, gdyż jako świadoma mała niewątpliwie szybko odzyska przytomność. Wyniesie ją stamtąd, wywiezie na odludzie - i wtedy spróbują na nowo się porozumieć.

Wypatrywała jego przybycia przez półtora roku. Gdzieś w trakcie tego oczekiwania mogła znienawidzić brata, przekonana, że zostawił ją samą.

- Bu! - rzucił za jego plecami Caramel.

Colin drgnął gwałtownie i z wściekłością zacisnął zęby.

- To chyba nie jest najlepszy moment na zażarte dyskusje z Tin? - zapytał uprzejmie kumpel.

- Nie gadałem z Tin - warknął Colin. - Rozmyślałem nad zachowaniem Emily. Masz rację, trzeba będzie na nią uważać. Ale to ja podejmę decyzję, jak postąpić.

- Spoko. Za moment będą. Nie jechałem wiele szybciej od nich.

W milczeniu obserwowali podjazd i parking przed ośrodkiem. Colin uznał, że faktycznie powinien odezwać się do Tin. Dziwne, miał poczucie, że chodzi o drobne zadanie,

nie zaś o najważniejszą w jego dotychczasowej karierze akcję, kończącą poszukiwania siostry, z której z całkiem sporym prawdopodobieństwem nie ujdzie z życiem. Nawet nie przyszło mu do głowy, że jeśli w tej chwili nie zamieni paru słów z Tin, niewykluczone, że już nigdy nie będzie miał ku temu okazji.

Chyba jednak byłby bardziej spięty, gdyby coś mu realnie groziło?

- Tin? Niedługo zaczynamy. Diabli wiedzą, ile nam zejdzie, a nie chciałbym, żebyś się denerwowała. Odezwę się, jak będzie po wszystkim. - Mówił niemalże beztrosko, jakby nie spodziewał się komplikacji, sugerując, że ona również nie ma powodów do niepokoju.

- Uważaj na siebie - powiedziała.

Miło, że znów wyrażała troskę o Colina, a nie o osoby, z którymi zamierzał się spotkać, choć, niestety, w tym konkretnym przypadku wolałby, żeby było inaczej.

- Naszły cię czarne wizje? - zażartował, niezbyt udatnie kamuflując kolejne pytanie o jej przeczucie.

- Nie - odparła z wahaniem. - Ale nic mi też nie mówi, że jest dobrze. Ilekroć staram się ocenić sytuację, widzę pustkę...

To trochę tak jak Colin. Zmarszczył brwi. Czy, opracowując plan ataku na bazę kapłanów, nie potraktowali zbyt lekceważąco groźby zasadzki? Niby pamiętał o rytuale, niby uwzględniał ewentualność, że dranie wykorzystują Emilię, żeby zwabić go w pułapkę, a przecież górę brało w nim przeświadczenie, że tym razem przechytrzył przeciwnika i kapłani nie spodziewają się, że ich ofiara lada moment rozpocznie akcję odbijania siostry.

- Wszystko będzie w porządku - zapewnił dziarsko. - Daj mi znać, gdybyś dostrzegła niebezpieczeństwo, ale poza tym czekaj, aż ja się odezwę. Mogłabyś mnie rozproszyć w najmniej odpowiedniej chwili.

- Przecież wiem - szepnęła łagodnie.

- Przyjechały autokary, muszę kończyć.

Autobusy właśnie zatrzymały się na podjeździe. Od razu zaczęli się z nich wysypywać uczestnicy szkolenia, tak więc Colin nie miał czasu na rozpamiętywanie każdego wypowiedzianego przez Tin zdania. Zresztą, nie rozumiał, skąd w ogóle przyszła mu do głowy taka koncepcja. Psiakrew, wcale nie zakładał, że odbył z nią właśnie ostatnią rozmowę.

- No dobra - mruknął Caramel, wyjmując z kieszeni zdalny detonator.

- Poczekaj, aż wszyscy wejdą do budynku, żeby nikomu nic się nie stało.

- Przestań przejmować się ludźmi. Oni by się tobą nie przejęli. Gramy o wysoką stawkę, więc zamieszanie też powinno być z prawdziwego zdarzenia. Niech przyjedzie policja, straż pożarna, pogotowie, a nawet brygada antyterrorystyczna.

Caramel wygłosił swoje oświadczenie spokojnie, jakby szykował się do dłuższego sporu. Zanim jednak Colin wytoczył pierwszy kontrargument, kumpel nacisnął przycisk detonatora.

Odkąd opuścili punkt obserwacyjny, Colin znów działał jak w transie, całkowicie zdając się na wskazówki wewnętrznego głosu. Poprowadził Caramela do bocznego wejścia, którego wcześniej nawet nie zauważył, bez trudu sforsował drzwi i ruszył korytarzem, a potem przez opustoszałą kuchnię, z której huk wybuchów wywabił cały personel.

Z kuchni mogli przejść do sali jadalnej, skąd dwuskrzydłowe, szklane drzwi prowadziły do hallu, pełnego teraz przerażonych ludzi, lub też podążyć w głąb budynku przejściem dla personelu. Colin bez wahania wybrał drugą opcję, pewnie wiodąc kumpla przez labirynt rozgałęziających się korytarzy. Część z nich była ogólnodostępna, z innych korzystała tylko obsługa, nie

napotkali jednak nikogo. Trzeba było Caramelowi przyznać, że potrafi odwracać uwagę.

Po zdetonowaniu ładunków odczekali trzy minuty, zanim opuścili kryjówkę. Chcieli dostać się na teren ośrodka tuż przed pojawieniem się na miejscu zdarzenia pierwszych wozów na sygnale, ruszyli zatem dopiero, kiedy usłyszeli zbliżający się ryk syren. Caramel wykorzystał ten czas, żeby zadzwonić na numer alarmowy z kupionej najwyraźniej wyłącznie do tego celu komórki. Wrzeszczał panicznie do słuchawki, po niemiecku, choć z wyraźnie polskim akcentem, co chwila powtarzając „*Terroristen*”.

- Powiedziałem im, że tuż przed wybuchem w hallu recepcji kręcił się podejrzany typ - wyjaśnił po zakończeniu rozmowy, wyjmując z komórki kartę. Wytarł oba przedmioty z odcisków palców i cisnął je w krzaki.

- W hallu?

- Załatwiłem ochronie zajęcie. No, idziemy.

Colin podążył za kumplem, po kilku krokach go wyprzedził, a Caramel bez oporów zaakceptował jego przewodnictwo - i teraz, niespełna kwadrans później, stali w sercu budynku, przed drzwiami, na pozór kryjącymi kolejne pomieszczenie dla personelu. Colin jednak wiedział, że te drzwi prowadzą do Emily. Zawahał się z ręką na gałce.

- No dalej - ponaglił go Caramel. - O co chodzi? To tutaj?

- Tutaj.

Tyle Colin wiedział, lecz poza tym poczuł się nagle kompletnie zagubiony. Wewnętrzny głos doprowadził go do tego punktu i porzucił, zostawiając po sobie dotkliwą pustkę.

- Przyznaję, jestem pod wrażeniem - mruknął Caramel. - Na co czekamy?

Pod wrażeniem... Jasne, kumpel po raz pierwszy obserwował na żywo działanie przeczucia, czy raczej, gwoli ścisłości, Colina działającego pod jego wpływem. Szkopuł w tym, że Colin wcale nie był pewien, co nim sterowało.

Niby odnajdywał właściwą drogę podobnie jak w Heidelbergu, kiedy ratował Caramela, a jednak tym razem

udzielający mu wskazówek głos brzmiał dziwnie obco. Zgoda, ostatnimi czasy przeczucie co rusz go zaskakiwało, lecz zawsze odbierał je jako część samego siebie. W tym przypadku...

- Colin?

Spojrzał na Caramela. Dotarli aż tutaj, nie wycofają się tylko dlatego, że Colin nagle nie umiał stwierdzić, co zastaną za drzwiami.

Przekręcił gałkę, ale drzwi, podobnie jak wcześniej kilkoro innych, okazały się zamknięte na zamek. Cóż, Colin szarpnął nieco mocniej i blokada ustąpiła. Ich oczom ukazało się pomieszczenie gospodarcze, dość przestronne jak na miejsce służące do przechowywania środków czystości, ścierek, mopów i odkurzacza, niemniej totalnie nieciekawe z punktu widzenia przygodnego wycieczkowicza. Tak jak w tamtej pralni, woń środków chemicznych miała maskować fakt, że ze składziku korzystało zadziwiająco wiele osób.

Colin nie znalazł na ścianie włącznika światła, nie zauważył też lampy czy świetlóvky. Gdyby trafił tu przypadkowy gość ośrodka, musiałyby zostawić otwarte drzwi, żeby cokolwiek zobaczyć, a to, oczywiście, nie sprzyjało wnikliwym oględzinom.

Weszli obaj do pomieszczenia, zamykając za sobą drzwi. Stali w ciemności, czekając, aż przystosuje im się wzrok. Caramel bez słowa wskazał na przymocowany do ściany stojak na miotły i mopy; chyba spodziewał się tu kamery z mikrofonem. Dzięki panującemu na zewnątrz zamieszaniu istniała szansa, że ochrona nie zwróci uwagi na ruch w składziku, ale rozmowa natychmiast by ją zaalarmowała.

Faktycznie, na pierwszy rzut oka tylko za stojakiem mogły kryć się sekretne drzwi - chyba że znów zastosowano klapę w podłodze. Colin odruchowo spojrzał pod nogi. Nadal przepełniało go poczucie pustki. Dobrze, że Caramel przejął inicjatywę.

Kumpel oglądał w milczeniu stojak. Na migi dał do zrozumienia, że jego zdaniem są tutaj drzwi, tyle że diabli

wiedzą, jak się je otwiera. Wyraźnie liczył na kolejny przyływ natchnienia u Colina.

Colin miał chęć roześmiać się głośno, wykpiwając ostrożność kolegi. Znienacka nabrał przekonania, że ich wizyta, mimo tylu starań, dla nikogo tutaj nie stanowi tajemnicy. Kapłani wprawdzie nie przewidzieli najazdu policji i antyterrorystów, poza tym wszakże sprawy przebiegały po ich myśli.

Usłyszeli szmer i stojak na mopy zaczął się płynnie cofać. Spojrzeli po sobie: otwierano im? Nie wydawało się to dobrą wróżbą...

Raptem Caramel wyrwał Colinowi zza paska glocka i rzucił się naprzód. Przygniótł kogoś do ściany, po czym dwukrotnie pociągnął za spust. A Colin stał.

Kumpel gniewnie zasygnalizował mu, żeby także przekroczył drzwi, prowadzące do krótkiego, zakończonego zamkniętymi drzwiami korytarzyka. Colin posłuchał odruchowo. Przejście zamknęło się za nim po paru sekundach.

Drobny chłopak osunął się po ścianie, martwy. Colin patrzył na niego wstrząśnięty. Oceniał go na góra szesnaście lat. Jedna sprawa: zabić silną alfę w bezpośredniej walce, a zupełnie inna – wykończyć z zaskoczenia dzieciaka, być może podobnie jak Emily porwanego z domu, rozdzielonego z rodziną w imię realizacji chorych celów kapłanów.

- Ocknij się - warknął Caramel, tak cicho, że Colin bardziej odczytał słowa z ruchu jego warg niż je usłyszał. - Przenieśmy go.

Colin bezwolnie chwycił nogi zabitego. Chłopak okazał się lekki, Caramel bez problemu udźwignąłby go sam, ale najwyraźniej nie chciał się pobrudzić krwią.

Co za debil otwiera tajne przejście, nie upewniwszy się najpierw, że po drugiej stronie nie czai się nikt niepowołany? Już drzwi prowadzące z ogólnodostępnego korytarza ośrodka konferencyjnego do składziku powinny być wyposażone w alarm. Chłopak zaś wylazł prosto na

nich. Kapłani posłali go na śmierć. Bo chyba nie liczyli, że skończy się na nieznacznym poturbowaniu delikwenta? A może gdyby Colin znalazł się tu w pojedynkę, ograniczyłby się do postrzelenia nieszczęśnika, tak by unieruchomić go na dłużej, nie zabijając?

Pakowali się w zasadzkę, a Caramel, zwykle tak cholernie bystry, teraz jakby niczego nie zauważał.

Stanęli w półmroku pozbawionego okien, wyłożonego ciemnymi kaflami korytarza, z rzadka oświetlonego pojedynczymi staromodnymi kinkietami o słabych żarówkach. Colin rozpoznał miejsce z opisów Em: dotarli do wewnętrznej części.

Caramel wskazał głową najbliższe drzwi. Nasłuchiwali pod nimi chwilę, po czym, pewni, że w środku nikogo nie ma, spróbowali je otworzyć. Zamknięte. Colin użył wytrychów; zamek na szczęście nie był skomplikowany, inaczej bowiem rychło straciłby cierpliwość i zastosował rozwiązanie szybkie i skuteczne, tyle że nieco bardziej hałaśliwe.

Nie rozumiał, dlaczego nadal przejmują się zachowaniem ciszy. Przecież ustalili, że obecność ich dwóch tutaj nie stanowi dla kapłanów zaskoczenia.

Pokój za drzwiami wyglądał jak rzadko używany magazyn. Idealna kryjówka dla ciała. Oczywiście, woń krwi martwego była doskonale wyczuwalna, ale poszukiwania przelotnie zaprzętną uwagę ewentualnych podążających ich tropem agentów.

Po prawdzie wszystkie te czynności wydawały się stratą czasu – może i usunięcie ciała z korytarzyka spowolni pościg, ale oni dwaj także zamarudzili przy tej okazji dłuższą chwilę. Colin powinien się wściekać o tę zwłokę, czuł jednak dziwną niechęć do zjednoczenia z siostrą.

Chyba oszalał. Cekał na ten moment tyle miesięcy, po czym zamiast pędzić do Em, wypatrywał pretekstu, żeby opóźnić spotkanie. Czyżby się obawiał, że kiedy ją uratuje, zabraknie mu celu w życiu? Psiakrew, dopiero wtedy stanie przed prawdziwym wyzwaniem: zapewnić bezpieczeństwo

siostrze, a przy okazji także Tin. Niemniej, to było już coś innego – zadanie na lata, grożące monotonią, przy czym o tym, że je zrealizował, Colin przekona się dopiero, kiedy wszyscy troje umrą ze starości – on jako ostatni.

Szli słabo oświetlonym korytarzem. Emily nie wiedziała, gdzie się znajduje przejście do ogólnodostępnej części budynku, nie potrafiła więc określić położenia własnego pokoju względem niego. Pozostawało im podążać korytarzem, w nadziei na to, że natkną się na jej woń.

Tylko że otaczające ich zapachy wydawały się dziwnie wytłumione, jakby ostatni raz ktoś przechodził tędy przed trzema dniami, mimo że w pomieszczeniu gospodarczym, pod drażniącym odorem chemii dało się wyczuć sporo świeżych woni. Nie wywęszyli nawet tego chłopaka, jakby zmaterializował się tuż przed tajemnym przejściem. Ewidentnie kapłani zastosowali tu swoje sztuczki. Jasne, inaczej Em bez trudu ustaliłaby, które drzwi wiodą ku wolności.

Wokół panowała cisza. Do miejsca, w którym się znaleźli, nie docierały żadne odgłosy z zewnątrz. Jeżeli w tej części budynku przebywał ktokolwiek poza zabitym chłopakiem, nie akcentował swojej obecności. Przyczaiła się również Emily, jakby nie chciała zostać odnaleziona.

Colin skłął się za to ostatnie sformułowanie. Emily była gdzieś w pobliżu, nie wątpił w to, inaczej bowiem przeczucie nie wskazywałoby mu drogi tutaj. Skąd jednak dziewczynka miałaby wiedzieć, że brat po nią idzie? Zwłaszcza że godzinę wcześniej zapamiętała przekonywał ją, że utknął w fazie opracowywania planu. Mała ani chybi usłyszała wybuch, od którego budynek zadrżał w posadach. Zorientowała się, że na kapłanów spadły problemy, ale nie miała pojęcia, co ta okoliczność oznacza dla niej samej. Za chwilę ją stąd wywiozą? Udo przyjdzie ją zabić? Każda z tych czarnych wizji wydawała jej się zapewne bardziej realna od wyjaśnienia, że to brat spieszy jej na ratunek, bo po co w takim razie wmawiałby jej, że jeszcze długo nie podejmie próby uderzenia na siedzibę kapłanów?

Cholera, powinien ją zawołać? Na pozór pomysł brzmiał co najmniej nierozsądnie, ale Colin nie odnosił wrażenia, by takie działanie miało okazać się błędem. Przeciwnie...

- Emily! - krzyknął.

Caramel szarpnął go za ramię, nadal na migi dając do zrozumienia, żeby się przymknął. Colin wzruszył ramionami i znów zawołał siostrę. Kierował nim teraz wewnętrzny głos, odmienny od tego, który doprowadził go do tajemnego przejścia - i ten głos wzbudzał w nim zdecydowanie większe zaufanie.

- Emily!

Gdzieś przed nimi, za załomem korytarza, otworzyły się drzwi. Caramel się spiął, Colin jednak wiedział, że to dobry znak. Za kilka sekund zobaczy siostrę.

- Emily!

- Colin!

Najpierw usłyszał jej głos, radosny, minimalnie tylko odmienny - dojrzszy - od tego, jaki zapamiętał, a potem Em wybiegła z za rogu, z niedowierzaniem w oczach, jakby ostatkiem sił trzymała się w ryzach, by przedwcześnie nie okazać radości.

Jej wyraz twarzy zmienił się raptownie, kiedy spostrzegła stojącego za Colinem Caramela.

- Co on tu robi? - zapytała tak ostro, że Colin, marszcząc brwi, zatrzymał się w pół kroku, choć właśnie zamierzał porwać małą w ramiona. - Dlaczego nic mi o nim nie powiedziałaś? - odezwała się znowu, tym razem z płaczącym wyrzutem. - Okłamałaś mnie.

Poczuł się podle. Dziewczynka tak długo na niego czekała, po czym na powitanie dowiadywała się, że brat rozmyślnie zataił przed nią istotną informację. Za ledwie wczoraj pytała Colina, czy nie uda mu się zorganizować pomocy! Wolał nie wyobrażać sobie, jak Emily zareaguje na wiadomość o Tin.

- Kochanie, chodziło mi tylko o powodzenie akcji - wyjaśnił.

Mimo iż zarzucił jej właśnie, że nie utrzymałaby języka za zębami, mała rozpogodziła się i, zanim zdążył się zorientować w jej zamiarach, mocno się do niego przytuliła. No, nie była już taka mała... Wyrosła wprost niewiarygodnie. I spoważniała. Powoli stawała się kobietą... Nie, bez przesady. Jeszcze nawet nie skończyła dwunastu lat. Nadal była jego małą siostrzyczką, tyle że odrobinę wyższą niż podczas ich ostatniego spotkania.

Niezdarnie poklepał ją po plecach; przeszkadzała mu świadomość, że Caramel stoi z tyłu i gapi się na nich, ani chybi z ironicznym uśmiechem błakającym się po wrednym pysku.

- No, no, już - mruknął Colin. - Zmywajmy się stąd.

Emily zmierzyła krytycznym spojrzeniem Caramela, jakby dociekała, czy ten nieznany jej osobnik zasługuje na zaufanie. Trudno się małej dziwić, po wszystkim, co przeszła.

- To Caramel, nasz kuzyn - wyjaśnił Colin. Zaskoczył samego siebie, decydując się na taki sposób prezentacji. Po raz pierwszy pomyślał o Caramelu jako o członku rodziny.

Sam zainteresowany chyba także nie czuł się zręcznie w roli krewniaka, bo ograniczył się do kwaśnego uśmiechu i powitalnego uniesienia dłoni.

Em otworzyła usta, żeby - wnosząc z jej miny - wyrazić dalsze wątpliwości, kiedy nagle od strony sekretnego przejścia dobiegł cichy dźwięk, jakby zamykanych ostrożnie drzwi.

Dziewczynka zamarła, Colin i Caramel wymienili szybkie spojrzenia.

- Cholera - szepnął Colin.

Chyba jednak wydzieranie się na korytarzu nie było najszcześniejszym pomysłem. No, ale chociaż znalazł Em. Teraz tylko musiał ich wszystkich stąd wyprowadzić.

Ktoś zdążył ku nim - trzy osoby, przypuszczalnie kapłani, albo też nieźle uzbrojeni agenci, którzy nie wpakują się dwóm amatorom prosto pod lufę.

Emily zamachała nagle, pokazując za siebie, a potem odwróciła się i pobiegła korytarzem. Nawet gdyby Colin rozważał inny plan, nie zaryzykowałby wołania jej, nie wspominając o ewentualnej samotności, pozostało mu więc ruszyć w ślad za siostrą. Za plecami słyszał ciche kroki Caramela.

Emily zatrzymała się przed drzwiami, na pozór nieróżniącymi się od pozostałych w korytarzu. Wydawałoby się, że powinien się za nimi kryć pokój z oknem wychodzącym na wewnętrzny ogród.

- Umiesz je otworzyć? - zapytała z nadzieją.

Zanim Colin zdołał obejrzeć drzwi, Caramel bez słowa odsunął małą na bok i dwukrotnie strzelił w zamek.

Colin sapnął gniewnie. Zgoda, było to rozwiązanie szybkie i dzięki tłumikowi względnie ciche, ale mieli tylko tego glocka i niewielki zapas naboju, w perspektywie zaś grubszą strzelaninę. Może więc należało w tym przypadku użyć raczej siły mięśni? Chociaż drzwi otwierały się w ich stronę. W tej sytuacji kopnięcie nie zawsze rozwiązuje sprawę, a gałka mogłaby zostać Colinowi w dłoni.

Psiakrew, czemu zastanawiał się nad takimi pierdołami? Chyba starał się zagłuszyć niepokój wywołany łatwością, z jaką udało im się sforsować drzwi, bo przecież tam, gdzie w grę wchodziło odcięcie dostępu świadomym, zwykły zamek wydawał się zabezpieczeniem wręcz śmiesznym.

Dlaczego Colin zakładał, że wkracza na teren, gdzie mogli przebywać wyłącznie uprawnieni do tego kapłani?

Wszystkie te wątpliwości przemknęły mu przez głowę, kiedy Caramel ostrożnie otwierał drzwi. Okoliczności nie sprzyjały jednak wnikliwym rozważaniom - uciekali przed pościgiem, a znaleźli się właśnie w niewielkim pomieszczeniu bez okien. Kolejny fałszywy składzik, tyle że tym razem dalej przechodziło się przez właz w podłodze. Swoją drogą, kapłani nie grzeszyli kreatywnością.

Emily uklękła i zaczęła dotykać wzorów na kafelku, na oko nieróżniącym się od pozostałych.

- Tędy się schodzi do lochu - wyjaśniła szeptem, nie podnosząc wzroku. - Czasami tam ćwiczyłam, kiedy nie było wiadomo, czy uda mi się za pierwszą próbą, bo mury wytłumiają moje oddziaływanie. To znaczy nie tyle mury, ile podziemia.

Właz otworzył się z ledwie słyszalnym zgrzytem, ujawniając wiodące w dół wąskie i strome schody, oświetlone jeszcze marniej niż korytarz, który właśnie opuścili.

- Z lochu prowadzi na zewnątrz tunel? - zapytał równie cicho Colin.

- Nie wiem na sto procent, ale raz byłam świadkiem, jak ktoś stąd wyszedł i witał się z Orianą, całkiem jakby dopiero co przybył z daleka - wyjaśniła Emily, znów obejmując przewodnictwo. - Wydaje mi się, że na końcu tej sali na dole znajduje się wejście do korytarza, ale nigdy mnie tam nie zabrali.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym przejściu? - dociekał Colin, idąc za nią.

Caramel dotrzymywał im tempa.

- Oj, przecież nie mam pewności, czy to rzeczywiście jest przejście - zachnęła się dziewczynka. - A choćby było, jak znalazłbyś wylot tunelu?

Niby racja, ale jej wyjaśnienia nie uspiły podejrzeń Colina. Być może pakowali się w pułapkę bez wyjścia, gdy kapłani odetną im drogę na górze... Za ich plecami rozległ się cichy szum zasuwającego się na powrót włazu. Zapewne zamykał się automatycznie, ale mimo wszystko Colinowi przebiegł po plecach nieprzyjemny dreszcz.

Zerknął do tyłu. Kumpel wzruszył ramionami; także zidentyfikował ów odgłos, lecz tak czy owak nie mieli wyboru. Musieli iść przed siebie, zagłębiając się w wilgotny półmrok podziemi.

Emily nie zwolniła kroku. Colin przyglądał się jej smukłym plecami. Czy możliwe, że świadomie zwabiła go w

pułapkę? Lochy. Sztandarowe miejsce na krwawe rytuały. Ale przecież Em nie poprowadziłaby brata ku śmierci, w żadnym wypadku. Nawet potężni kapłani nie zdołaliby nakłonić jej do tego rodzaju współpracy.

Tylko że dziewczynka nie musiała wiedzieć, co naprawdę zamierzają jej opiekunowie. Choć swego czasu ostrzegała Colina przed ich planami...

Schody ciągnęły się bez końca, nieustannie stromo w dół. Robiło się coraz chłodniej – i coraz ciszej. Nawet odgłos ich kroków był dziwnie wytłumiony.

Wreszcie dotarli do ogromnej... sali? pieczary? Ostatnia dająca marne światło żarówka jarzyła się u podnóża schodów, dalej zaś panowała ciemność tak nieprzenikniona, że Colina zawodził jego doskonały wzrok. Wiedział, że grota jest ogromna, ale nie potrafił się zdecydować, czy powstała naturalnie, czy też stanowi dzieło członków społeczności. Musiałby dotknąć ściany, przekonać się, czy ma do czynienia z litą skałą, czy konstrukcją z cegieł bądź kamienia, lecz Emily parła do przodu, Colin zaś nie chciał jej zgubić.

Co ona tu, do cholery, ćwiczyła? Sam na sam z Udonem?

- Tędy - ponagliła Em, przyspieszając kroku.

Posłusznie podążał za nią, kierując się bardziej słuchem i węchem niż wzrokiem, przy czym nie był pewien nawet wskazań tych dwóch pierwszych zmysłów, jako że w tej dziwnej ciemności wszystko wydawało się rozmyte i nierealne.

- Szybciej - powiedziała znów Emily, podekscytowana.

Spodobała jej się rola przewodniczki. Zachowywała się tak, jakby to ona pospieszyła bratu na ratunek, nie zaś odwrotnie... A może chodziło o coś innego, czego Colin nie potrafił w tej chwili uchwycić?

Ogarnął go niepokój. Odnosił wrażenie, jakby przeczucie nagle przemówiło wielogłosem, spierając się samo ze sobą, miotając między przeciwstawnymi wskazówkami, przy czym każda z nich alarmowała o śmiertelnym zagrożeniu - Colin

zaś żadnej nie rozumiał, gdyż nakładały się na siebie, dając w efekcie bełkotliwy jazgot.

- Tutaj. - Emily zatrzymała się i wykonała niewidoczny gest, zapewne wskazując otwór przed sobą, jako że Colina musnął jeszcze chłodniejszy powiew. - Wydaje mi się, że tym tunelem wydostaniemy się na zewnątrz.

Chciał złapać ją za rękę, ale chwycił powietrze, Em bowiem już weszła w niski korytarz, rzeczywiście zasługujący na miano tunelu. Colin brutalnie przekonał się, że dalej musi iść schylony, kiedy wyrznął czołem w ścianę. Na moment go zamroczyło, nie mógł sobie jednak pozwolić na zwłokę. Pocierając dłonią stłuczone miejsce, pospieszył za siostrą.

Cholera, nigdy jeszcze nie przebywał w takich ciemnościach. Czy podobnie czuje się człowiek nocą w lesie? Co za ułomność.

Jednakże Em poruszała się pewnie, jakby jej ten problem nie dotyczył - albo jakby dobrze знаła trasę. Colin nerwowo uczepliłby się tej drugiej sugestii, gdyby nie fakt, że idący za nim Caramel także nie wydawał się zagubiony. Czyżby zatem tylko jego zawodziły zmysły? Super. To Colin miał dowodzić tą akcją, a tymczasem bezwolnie podążał za siostrą, nie wiedząc, gdzie się znajduje, ślepy i niemalże głuchy. Z trudem wychwytywał odgłos własnych kroków, nie mówiąc o biciu serca czy stąpaniściach dziewczynki.

Nie słyszał także pościgu. Jeżeli kapłani życzyli sobie, żeby oni troje, a przynajmniej Colin i Emily, znaleźli się w tych podziemiach, rokowało to gorzej, niż gdyby po piętach dreptała im banda wściekłych agentów. Może to jednak znów ciemność pochłaniała dźwięki, tak że w rzeczywistości pościg znajdował się tuż za nimi?

Colin zamierzał uratować siostrę, tymczasem wpakował ją w większe kłopoty. Jeżeli tunel kończył się kolejną pieczarą, tym razem pozbawioną wyjścia, utkną tu, zdani na łaskę kapłanów. Emily straci to minimum zaufania, jakie zdołała u drani pozyskać; niewykluczone, że utraci również życie.

Nisko sklepiony korytarz urwał się raptownie. Colin poczuł wokół siebie więcej przestrzeni. Wpadł na Emily, która właśnie się zatrzymała; wystarczyło mu refleksu, żeby podtrzymać małą, zanim gruchnęła o ziemię.

- Trochę tu niesamowicie - szepnęła dziewczynka, niepewnie, choć jednocześnie z pełnym wyczekiwania napięciem. - Colin, pójdziesz teraz przodem?

Jej słowa natychmiast pochłonęła ciemność. Colin nadal nic nie widział, nawet trzymanej w ramionach siostry, a jednak nabrał przekonania, że znaleźli się w kolejnej przestronnej pieczarze. Błysnęła mu myśl, że dotarli do celu.

Jakiego celu?

Zmierzali do wyjścia, szukali świeżego powietrza, odgłosów zewnętrznego świata, blasku rozświetlonej ulicznymi latarniami nocy, nie zaś tej dziwnej groty. Colin nie wyczuwał zagrożenia ani też czyjejkolwiek obecności, ale zarazem owo wrażenie pustki i bezpieczeństwa odbierał jako sztuczne, narzucone przez kogoś, kto czarną płachtą przesłonił prawdziwy obraz sytuacji. Coś kryło się w ciemności, idealnie się w nią wtapiając.

- Wycofujemy się - zarządził Colin. Przypuszczał, że z ich trojga tylko on jeden, dzięki wrodzonej wrażliwości na nadnaturalne przekazy, dostrzega przerażającą nietypowość tego miejsca, dlatego dodał: - To pułapka.

Liczył na to, że Caramel uzna informację za pochodzącą od przeczucia i posłucha bez oporów. Usłyszawszy za plecami szmer, pojął, że kumpel dobywa broni. Cholera, jeszcze tam na górze, przy władze, powinien był zażądać zwrotu glocka. Zanim jednak otworzył usta, by nadrobić owo zaniedbanie, rozległo się znajome, choć tutaj ledwie słyszalne pyknięcie - i Colin poczuł palący ból srebrnej kuli.

Emily wrzasnęła, wyrrywając się z jego objęć, Colin zaś zwał się na ziemię, miał wrażenie, w zwolnionym tempie.

- Ty! - zawołała Em.

Nie widziałaby jej nawet wówczas, gdyby zewsząd nie oblepiała go ciemność, jako że upadł zwrócony twarzą w

stronę przeciwną niż ta, w którą uskoczyła dziewczynka. Nie potrafił zmobilizować się do wykonania choćby najmniejszego ruchu. Em ani chybi mówiła do Caramela...

- Rzuć to - rozkazała tonem tak zimnym, że Colin poczuł paraliżujący chłód. - Rzuć.

Caramel się nie odezwał. Znów zabrzmiał wytłumiony wystrzał, tuż po nim kolejny; błyskawicznie rozplynęły się w ciemności. Później rozległ się cichy dźwięk, którego Colin nie umiał zidentyfikować... nie chciał go rozpoznać, choć dobrze wiedział, że taki niepozorny odgłos wydałoby osuwające się na twarde podłoże ciało dziewczynki.

Oberwał srebrem, dlaczego więc nie stracił przytomności? Wolałby leżeć bez czucia, nieświadom biegu wypadków... Skoncentrował się na bólu palącym mu wewnątrz. Jeśli chciał cokolwiek zrobić, musiał najpierw go pokonać, zregenerować się chociaż trochę. Wtedy spróbuje zabić tego skurwiela.

Jeżeli Caramel zaraz się nie spostrzeże, że powinien dokończyć dzieła.

Nie słyszał sukinsyna. Ta cholerna ciemność przytłaczała, odbierała wolę istnienia. Może Colin wcale nie zachował świadomości, może tak wyglądała śmierć? A wraz z nią pojawił się ciąg przykrych wyobrażeń, podczas gdy w rzeczywistości Emily zdołała zmusić Caramela do rzucenia broni?

Spoczywał na czymś twardym - litej skale, kamiennej posadzce - i czuł, jak pali go srebro. Cisza. Cisza go przerażała. Wiedział, że Em leży tuż obok, niemalże na wyciągnięcie ręki, ale nie słyszał jej oddechu, bicia serca.

Lecz przecież nie słyszał ich także wcześniej, bo tutaj coś działo się z dźwiękiem. Emily mogła więc przeżyć, na pewno przeżyła, po prostu to miejsce naigrawało się z Colina, nie pozwalając mu zaznać spokoju. Em nic nie dolegało, w ciemności Caramel spuszczał, ona zaś przypadła do ziemi i udawała martwą. Drań pobiegł w głąb pieczary, w samo jądro ciemności, przekonany, że załatwił

ich oboje. Tymczasem Colin tylko lekko oberwał i lada moment się pozbiera, a Emily nie została nawet draśnięta.

Usiłował zawołać siostrę, ale próba otwarcia ust wywołała jedynie falę oślepiającego bólu.

Uratował skurwysynowi życie! Jak mógł mu zaufać? Dlaczego nie ostrzegło go przeczucie, dlaczego, do cholery, nie uprzedziło Tin, która przecież starała się wysondować intencje tego łajdaka? I otrzymała odpowiedź, niejednoznaczna, zgoda, z pewnością jednak nie sugerowała ona takiego rozwoju wypadków!

Raptem Colin zapragnął zasnąć, nie myśleć, nie wiedzieć, nie zadrećcać się. Tak, zaśnie, a kiedy się obudzi, wydarzenia ostatnich dni okażą się sennym koszmarem, wynikłym z jego przemęczenia i rozgoryczenia brakiem efektów w poszukiwaniach Emily. Na moment Colin zwątpi wtedy w sens swej wędrówki, zastanowi się, czy owego upiornego snu nie uznać za ostrzeżenie, lecz ostatecznie zdecyduje się kontynuować zadanie, sam, usuwając z drogi Caramela. I tym razem wszystko skończy się dobrze, Colin opuści budynek z siostrą wtuloną w jego ramiona, zabierze Tin i we troje wyjadą do pieprzonej Australii, zamieszkają na pustyni, będą skwierczeć w upale, ale przynajmniej nikt nie wpadnie na to, by szukać ich akurat w takim miejscu.

Coś usłyszał. Jakby przytłumione warczenie. Tyle że typowe warczenie zwykle coś wyraża, to zaś wydawało się równie pozbawione treści jak warkot samochodowego silnika. Nasilało się jednak uparcie, aż nagle rozległ się krótki ryk i znów zapadła cisza.

Doświadczał omamów słuchowych? Tak, na pewno, nie zdołałby przecież wychwycić odległego warczenia, nie słysząc zarazem znacznie bliższego bicia serca Emily, a był przekonany, że dziewczynka jedynie udaje martwą.

Musiał do niej dotrzeć. Spróbował się poruszyć i jęknął z bólu. Psiakrew, zachowywał się jak pierdolone chucherko, maminsynek, który zarobi draśnięcie i pozuje na rannego, podczas gdy siostra potrzebuje go już, natychmiast. Zebrał się w sobie.

Z tyłu rozległ się odgłos kroków grupy biegnących osób. Czy te dźwięki również rozbrzmiewały wyłącznie w jego wyobraźni?

Wiedział, że nie. Cisza stała się mniej gęsta, także ciemność jakby się odrobinę rozrzedziła. Widział swoją dłoń, spoczywającą na kamiennej posadzce. Gdyby zdołał odwrócić głowę, zobaczyłby Em.

Zbliżająca się grupa zwolniła... Intruzi dotarli dopiero do wejścia do tunelu. Skoro Colin słyszał ich z tak daleka, nie mógł dłużej się łudzić, że serce Emily bije, tyle że po prostu nie dość donośnie.

Znowu rozległo się warczenie, tym razem bliżej Colina, odmienne niż poprzednio. Odniósł dziwaczne wrażenie, że to Caramel na nowo uczy się warczeć.

Poczuł powiew, kiedy jakiś stwór przeskoczył nad nim i wpadł w tunel – był tak szybki, że nie mógł być zwykłym świadomym. Wydawał się złudzeniem. Być może Colin przyjąłby tę interpretację, gdyby po chwili nie usłyszał odgłosów kotłowaniny i krzyków agonii. Również one trwały tak krótko, że zaczął się zastanawiać, czy nie majaczy.

Cisza. Ponownie ta nienaturalna cisza, aż Colin pokusił się o idiotyczne przypuszczenie, że wytwarza ją wokół siebie ta istota. Po raz kolejny otuliła go ciemność.

Leżał w bezruchu. Czuł pulsujący ból, niemniej wydawał się on teraz całkiem znośny, wręcz niewart wspomnienia. Niestety, z każdą sekundą w Colinie narastało przeświadczenie, że stoi nad nim ta tajemnicza bestia, niewyczuwalna zmysłami, i że o jej obecności zaświadczą dopiero zęby zaciśnięte na jego gardle. Dlaczego zwlekała?

A Colin? Zamierzał leżeć tak aż do końca, poddając się bez walki?

Zacisnął powieki, odpędzając ból. Zaatakował ciemność.

ROZDZIAŁ 13

Wprawdzie Oriana nie miała sprecyzowanych oczekiwań odnośnie do sposobu, w jaki Colin dostanie się do budynku, niemniej siła wybuchu wydała jej się przesadą. Lars chyba również nie spodziewał się takiego widowiska. Przez moment sprawiał wrażenie, jakby zamierzał zakląć, choć przecież jego wielkie dzieło właśnie szczęśliwie dobiegało końca. Cóż z tego, że z większą pompą, niż prognozował?

Oriana poszła do Emily, by podtrzymać ją na duchu w ostatnich chwilach przed finałową rozgrywką. A także, przy okazji, upewnić się, że podopieczna nie zmieniła nastawienia do swojej misji. Zatem Lars dopuścił do siebie wątpliwości. Albo jedynie nie chciał niczego zaniedbać, choć jeżeli dziewczynka teraz się wyłamie, niewiele na to poradzą.

Nie wyłamie się wszakże, nie miała powodu. Marzyła o władzy, o pozycji gwarantującej powszechny szacunek, a Lars odmalował przed nią wizję takiego właśnie rozwoju kariery. Pod warunkiem, że Emily wypełni zadanie. Kiedy uratuje społeczność przed katastrofą, nawet kapłani spojrzą na nią z podziwem. Gdy zaś za sprawą projektu Dietera w każdym punkcie kuli ziemskiej zaczną rodzić się ludzie o typowej dla nieświadomych podatności na dominację, Emily, dzięki swoim zdolnościom, obejmie nad nimi rządy. Tysiące, miliony powolne każdej jej myśli: taka perspektywa ogromnie schlebiała smarkuli.

Naturalnie, Lars mocno podkoloryzował tę wizję. Kapłani nigdy nie okazaliby szacunku dziecku czy choćby młodej kobiecie, bez względu na jej zasługi, a Dieter na razie jeszcze nie osiągnął etapu prac nad wirusem, dzięki któremu gen podatności na dominację rozprzestrzeni się

wśród ludzi. W dalekiej przyszłości obietnice Larsa miały szansę nabrać realnych kształtów, Emily interesowało jednak tu i teraz, jako dziecko nie wybiegała myślą dwadzieścia lat naprzód. Czy zorientowała się, że na przyrzeczoną nagrodę przyjdzie jej długo poczekać?

W mniemaniu Larsa główny błąd jego poprzedników polegał na planach zabicia dziewczynek natychmiast po wykonaniu przez nie zadania. Uważał za oczywiste, że dziecko o takich zdolnościach wyczuje kłamstwo również u kapłana, a gdy pojmie, jaki przewidziano dla niego los, straci motywację. Dlatego Lars poznał marzenia Emily. Gwarantował małej nie tylko późniejsze bezpieczeństwo, ale i zaspokojenie ambicji. Tego, że nieco ubarwił swoje obietnice, nie powinna spostrzec.

- Co się stało? - zapytała Emily.

Słyszała wybuch, wychwyciła też zapewne pospieszne kroki kapłanów. Na ostatni etap operacji Lars ściągnął posiłki; zwykle przebywali tu tylko on i Oriana oraz zajmujący się zaopatrzeniem i ochroną zaufani agenci, a z rzadka do ich grona dołączał młody adept ze swoim mentorem.

- Przypuszczamy, że to Colin - poinformowała podopieczną Oriana. - Wysadził dwa autokary przed budynkiem, żeby skorzystać z powstałego zamieszania.

Dziewczynka skinęła z powagą głową.

- A jeszcze godzinę temu mówił mi, że najpierw musi dobrze rozpoznać teren, opracować plan, poprosić kogoś o zrobienie zdjęć wnętrza - powiedziała, ale nie sprawiała wrażenia zdziwionej nagłym zwrotem akcji. - Nie chciał, żebym się ekscytowała. Strasznie się bał, że nie zapanuję nad sobą i z czymś się przed wami zdradzę.

- To dobrze, że tak się o ciebie troszczy - stwierdziła wolno Oriana. Ciągle musiała sobie powtarzać, że całkowity brak skrupułów u tego dziecka stanowi wielką zaletę. - Pójdzie za tobą bez oporu, przekonany, że nie umiałabyś go oszukać.

Czy Emily w tej chwili grała? Niemniej, uciekając, straciłaby wszystko. Lars miał rację, gdy odmalowywał przed dziewczynką wizję nieograniczonej władzy, jaką uzyska dzięki współpracy z kapłanami. Czy istniała dla niej bardziej nęcąca alternatywa?

Nagle Oriana uzmysłowiła sobie, że owszem, smarkuli mogło się wydawać, że znalazła korzystniejsze dla siebie rozwiązanie.

- Tylko niech już przyjdzie - mruknęła Emily.

Nie kryła zniecierpliwienia i akurat to jej zachowanie nie było udawane.

- Nie tak łatwo się tu dostać - powiedziała Oriana. - Droga trochę mu zajmie.

- Zna trasę. - Emily wzruszyła ramionami. - Wtłoczyłam mu ją w myśli. Trafi jak po sznurku.

- Co zrobiłaś? - Oriana nie udało się ukryć zaskoczenia.

Lars tłumaczył smarkuli, że pod żadnym pozorem nie wolno jej podejmować prób ingerencji w umysł brata, gdyż tamten mógłby to wyczuć. Powtarzał ów zakaz aż do znudzenia.

- Wgrałam mu mapkę - doprecyzowała Emily, tonem informatyka objaśniającego bajecznie prostą czynność totalnemu laikowi. - Uzna, że kieruje nim przecucie.

- Mistrz Lars wydał ci takie polecenie? - spytała Oriana, siląc się na neutralny ton.

Emily chwilę przyglądała się mentorce z łobuzerskim uśmiechem, jakiego Oriana u niej dotąd nie zaobserwowała. Tymczasem trudno byłoby o okoliczności mniej skłaniające do żartów niż nieposłuszeństwo wobec Larsa.

- Mistrz Lars nie pokłada dostatecznej wiary w moich umiejętnościach - odparła wreszcie dziewczynka.

Oriana nie wiedziała, jak zareagować. Smarkula właśnie bezczelnie przyznała się do karygodnej niesubordynacji. Nie była głupia, nie zrobiłaby tego, gdyby przewidywała, że kapłanka zda komuś relację z tej rozmowy. Ponieważ zaś nie miała powodów sądzić, że mistrzyni zachowa informację dla siebie - ot, taki ich wspólny sekrecik - pozostawało jedno

wyjaśnienie: dziewczynka zakładała, że Oriana nie zdoła na nią donieść. Czy Emily rzucała jej wyzwanie?

- Mogłaś wszystko zniweczyć - oznajmiła Oriana, decydując się na razie na spokojne kontynuowanie wymiany zdań, żeby wydobyć ze smarkuli jak najwięcej.

- To tylko mapka. - Emily uśmiechnęła się, spoglądając na Oriane niewinnie. - Właściwie żadna ingerencja, absolutnie niewyczuwalna z zewnątrz, a nie chcielibyśmy przecież, żeby zabłądził. Przepraszam. - Zrobiła skruszoną minę.

- Wskazalibyśmy mu drogę - stwierdziła chłodno Oriana, udając, że wierzy, że Emily postąpiła tak dla dobra sprawy: że wprawdzie zachowała się krnąbrnie i głupio, ale nadal zamierza wypełnić swą misję. - Być może tamten niczego nie wyczuje, ale Colin widział, z jaką łatwością sterujesz nieświadomym. Gdyby rozbolała go głowa...

- Nie jest aż tak domyślny - przerwała jej z lekceważeniem Emily. Przerwała kapłance! - Słodziak z niego. Już się cieszę na nasze spotkanie. Wiążę z nim wielkie nadzieje.

Po plecach Oriany przebiegł dreszcz. Gorączkowo usiłowała odtworzyć bieg myśli Emily. Lars musiał wspomnieć dziewczynce, że tamtego krępuje dane niegdyś słowo i że istnieje realna groźba odzyskania przez niego wolności. Nawet jeżeli nie wyjaśnił istoty owego zagrożenia, dziewczynka wywnioskowała z tej informacji tyle, że sterując tamtym poprzez swego brata, zdoła wyprowadzić go z lochu i wykorzystać do własnych celów.

Najwidoczniej bowiem Lars nie uprzedził smarkuli, że w miarę upływu czasu możliwości wpływania na tamtego za pośrednictwem Colina będą drastycznie malały, aż w końcu osobowość jej brata zniknie i pozostanie tylko nieokiełznana bestia, która pożre swoją wybawicielkę.

- Posłuchaj mnie dobrze, Emily - zaczęła z powagą Oriana, ale właśnie wtedy zapukano do drzwi.

Otwarły się, zanim ona bądź Emily zaprosiły przybysza do środka.

- Bardzo przepraszam, mistrzyni - powiedział Andrew, przebywający tu teraz na naukach adept, z pokorą zwieszając głowę. - Mistrz Lars prosi cię pilnie, mistrzyni, do sali monitoringu.

Zaciskając zęby, Oriana odwróciła się znów do Emily. Prośby Larsa nie należało lekceważyć, niemniej akurat w tej chwili...

Poczuła potworny ból, kiedy w jej plecy wbiło się srebrne ostrze. Andrew! Nie dała rady się obejrzeć, runęła na podłogę, nawet nie wyciągając przed siebie rąk, żeby zamortyzować upadek. Nie umiała się poruszyć, ale zachowała świadomość. Smarkuła wiedziała, jak uderzyć.

- Idź mu otworzyć - rozkazała gdzieś nad jej głową Emily.

Zdominowała chłopaka, silną alfę. Zrobiła z niego taką samą marionetkę jak z nieświadomych. Lars jej nie docenił. Nawet Oriana pozwoliła się idiotycznie podejść...

- Jak widzisz, pilnie ćwiczyłam - poinformowała ją radośnie dziewczynka. - Przypuszczam, że powiodłoby mi się również z tobą, ale bałam się ryzykować. - Podeszła do Oriany i przykucnęła, zaglądając jej w twarz. - Żyjesz, prawda? Pomyślałam sobie, że po tylu latach on czuje się bardzo sfrustrowany... jeśli rozumiesz, o co mi chodzi... i lepiej, żeby ulżył sobie na miejscu... a oprócz mnie jesteś tutaj jedyną świadomą waderą. Nie dasz rady wyjąć sztyletu, prawda? - Popatrzyła krytycznie na Oriane. - Przynajmniej dopóki nie skończę tej sprawy z Colinem.

Oriana poczuła delikatne muśnięcie przerażenia, ale szybko przywołała się do porządku. Sztylet. Emily zamierzała zostawić ją samą, z ostrzem wbitym w plecy, przekonana o całkowitej bezsilności Oriany. Na szczęście nikt nie opowiadał dziewczynce o tym, jak dalece kapłani rozwinięli zdolność samoregeneracji. Tylko niech smarkuła wreszcie stąd pójdzie.

- O, braciszek mnie szuka - szepnęła Emily, kiedy na korytarzu rozległo się wołanie. - Pocieszny jest, prawda? Przyłazł do siedziby wroga i drze się jak opętany. No, muszę pędzić. Pa.

Poklepała Oriane po ramieniu i wybiegła z pokoju.

Oriana przymknęła powieki. Sztylet.

Sprytna smarkula pokierowała ręką Andrew tak, by ostrze uszkodziło kapłance rdzeń kręgowy. Oriana została sparaliżowana, nie tracąc przytomności. Chociaż nie, to Andrew uczył się, jak zadać cios, żeby osiągnąć taki efekt. Dziewczynka jedynie zmusiła go do wykorzystania tej wiedzy. Słusznie podejrzewała, że jeśli Oriana zachowa sprawność ruchową wystarczającą do tego, by wyjąć sztylet z rany, błyskawicznie się zregeneruje. Emily nie doceniła jednak potęgi siły woli swej mistrzyni. Dla własnego dobra powinna była pozbawić Oriane świadomości, ale przecież wtedy zepsułaby sobie całą zabawę.

Oriana skupiła się na sztylcie, wyobraziła go sobie, tkwiącego w jej ciele. Obcy przedmiot, którego należy się pozbyć. Ból zniknął – nim także dało się sterować siłą umysłu. Tkanki buntowały się przeciw ostrzu, wypychając je w górę, milimetr po milimetrze.

Niestety, był to czasochłonny proces. Oriana nie dopuszczała do siebie zwątpienia. Zdaży! Ale zaraz złośliwy chochlik dopowiadał: owszem, zdaży – uciec. Nie powstrzyma jednak dziewczynki. Nawet w tej chwili było już na to za późno.

Zdekoncentrowała się i natychmiast poczuła, że srebro wolniej opuszcza jej ciało. Przywołała się do porządku. Potem rozważy, jakie podjąć działania. Teraz liczył się wyłącznie sztylet.

Straciła poczucie czasu. Odcięła się od zewnętrznego świata, kierując wszystkie myśli ku zdradliwemu ostrzu.

Wreszcie sztylet wysunął się z rany na tyle, że ciężar rękojeści pociągnął go ku podłodze. Ostrze upadło z brzękiem.

Oriana nadal nie mogła się poruszyć. Chwilę potrwa, zanim odbudują się uszkodzone nerwy. Pozostawała skupiona na procesie leczenia, nie dopuszczając do siebie obaw czy wizji nadchodzących zdarzeń.

Dobrze. Wolno podniosła się na klęczki. Zakręciło jej się w głowie, ale wiedziała, że to chwilowa reakcja.

Wstała, zachwiała się, lecz utrzymała równowagę. Wykonała próbny krok i nieomal przypląciła go upadkiem. Jeszcze trochę. Stała. Żadnej taryfy ulgowej, wtedy szybciej się pozbiera.

Ile czasu upłynęło? Zwykle nie potrzebowała zegarka, ale teraz w głowie miała pustkę. Za oknem już pociemniało, zatem Oriana walczyła z niemocą dostatecznie długo, żeby tam, na dole...

Przypomniała sobie zapowiedź Emily. Sfrustrowany – jakże subtelnie smarkula go określiła. Oriana zdławiła strach. Groziło jej to samo, co miało stać się udziałem jej siostrzenicy, a wtedy zgadzała się, że chodzi o wyższą konieczność. Nawet przekonywała Ingrid. Co z tego, że później jej pomogła? Nie postąpiła tak z powodu zmiany zapatrywań, a dlatego, że najzwyczajniej w świecie nie potrafiła odmówić siostrze.

Odetchnęła głęboko. Nie miała niebieskich oczu, zatem nic jej nie groziło. To znaczy, nic poza szybką śmiercią. Tamtego nie interesowały zwykle wadery, inaczej zaspokojenie jego zachcianek nie stałoby się z biegiem lat takim problemem.

Postąpiła kolejny krok. Już lepiej. Wolno przespacerowała się po pokoju. Potrzebowała jeszcze co najmniej godziny, żeby w pełni odzyskać sprawność, ale nie mogła pozwolić sobie na taki luksus.

Ostrożnie otworzyła drzwi i chwilę nasłuchiwała. Cisza.

Gdzie był Lars i inni kapłani? Zeszli do lochu? Bo przecież tamten nie wydostałby się tak szybko. Chyba. O Boże. Nie, Oriana nie była wierząca. Kilka sesji z ich bóstwem wystarczyło aż nadto, żeby wyleczyć ją z wiary w wyższe byty. Teraz jednak bardzo by chciała, żeby istniała mądra, wszechmocna istota, zdolna interweniować, kiedy wymaga tego sytuacja.

Ta durna smarkula powinna najpierw przetestować, czy ma nad tamtym pełną kontrolę. Poświęcić temu zajęciu

kilka dni. Oriana wiedziała wszakże, że dziewczynka jest zbyt pewna własnych zdolności, by dopuszczać myśl o porażce. Zresztą, nie miało aż tak wielkiego znaczenia to, czy utraci nad nim władzę niemalże od razu czy za tydzień lub miesiąc. Prędzej czy później i tak to nastąpi. Orianie zaś w obu przypadkach groziła śmierć.

Szła korytarzem w niepokojącej ciszy.

Raptem otoczyła ją aż nazbyt znajoma woń. Oriana rozejrzała się nerwowo, ale natychmiast przymknęła powieki i policzyła w myślach do trzech. Jeśli tamten kręcił się w pobliżu, i tak nie miała najmniejszych szans.

Kiedy ponownie wciągnęła w nozdrza ową woń, odkryła w niej delikatną modyfikację. Należało się tego spodziewać.

To była dziwna woń, szalenie dyskretna, a zarazem przytłaczająca wszystkie inne unoszące się w korytarzu zapachy. Gdy dodać do tego maskujące sztuczki, na co dzień stosowane tu przez Larsa, ustalenie biegu zdarzeń sprawiało nie lada trudność.

Oriana zatrzymała się przy zejściu do lochu. Skoncentrowała się. Zignorowała tę dyskretnie przytłaczającą woń, starając się zidentyfikować pozostałe. Kapłani... Lars z obstawą, za nimi podążyli kolejni. Zeszło ich tam łącznie sześciu i żaden nie wrócił. Przed nimi szła wtedy Emily... także tylko w jedną stronę. I dwóch świadomych. Dwóch! Colinowi towarzyszył jego kuzyn? Jedna z tych ostatnich nut zapachowych mieszała się z wonią tamtego, Oriana nie umiała jednak stwierdzić, czyja, jako że nie znała osobniczej woni Colina.

Loch opuścił tylko ów nowy tamten. Dokąd się udał?

Zastanowiła się, czy od razu zejść na dół, czy najpierw zajrzeć do pokoju monitoringu, żeby się przekonać, czy tamten wy dostał się już z budynku i zaprezentował ludziom od najgorszej strony.

Wybrała drugie rozwiązanie.

Dwaj agenci ochrony nie żyli. Wyglądało na to, że Emily posterowała także nimi, żeby utrudnić kapłanom

przedostanie się do wewnętrznych pomieszczeń i podziemi. Wypełniwszy zadanie, zabili siebie nawzajem.

Na ekranach Oriana zobaczyła trwającą nadal krzątaninę po podwójnej eksplozji, ale najwyraźniej nikt nie ekscytował się atakiem nieznannej bestii.

Czy w takim razie tamten nadal krążył po pomieszczeniach wewnątrz budynku? Jeśli tak, to dlaczego dotąd nie zabił Oriany?

Podobno potrafił stać się niewidzialny. Oddziaływał na zmysły istot żywych w taki sposób, że nie wyczuwały jego obecności. Wzdrygnęła się. Kamery powinny jednak zarejestrować jego obraz. Niestety, rozmieszczono je wyłącznie w korytarzu – byle agent, choćby najbardziej zaufany, nie miał prawa szpiegować kapłanów w trakcie ich codziennych zajęć. Oriana przez chwilę patrzyła na ukazujące korytarz monitory. Pusto. Obrazu z tych kamer nie nagrywano, nie miała więc możliwości zobaczyć, co wcześniej działo się przy zejściu do lochu. Po raz kolejny przeklęła w duchu chorobliwą ostrożność kapłanów.

Przywołała się do porządku. Nie ucieknie mu, równie dobrze więc mogła zejść do lochu. A nuż darował jej życie w konkretnym celu?

Tamten, nie dziewczynka. Przyłapała się na tym, że rozważa wyłącznie intencje tamtego, jakby Emily definitywnie wypadła z gry.

Pewnym krokiem ruszyła z powrotem do zejścia do lochu. Zaczynała się domyślać, co się wydarzyło, i chciała zweryfikować tę teorię. Rozwiązanie, którego nikt nie brał pod uwagę, zapewne słusznie. Choć nie dało się też wykluczyć, że właśnie do takiego finału miała doprowadzić przepowiednia. Ostatecznie, głównym celem przepowiedni jest zwykle sprowokowanie działań, które pozwolą jej się wypełnić. Czemu więc nie pójść o krok dalej i nie ukryć pożądanej wizji przyszłości pod inną, niekorzystną wprawdzie, lecz zarazem jedyną akceptowalną? Kapłani zdecydowali się na rozwiązanie siostra-brat, gdyż obiecywało usunięcie problemu, natomiast nigdy nie

zgodziliby się powierzyć tak wielkiej władzy pojedynczemu osobnikowi, a zwłaszcza synowi wilczycy. Być może wcześniejsze próby tak szybko kończyły się fiaskiem, ponieważ brakowało wówczas tego trzeciego, najważniejszego uczestnika rozgrywki.

Oriana zeszła stromymi schodami i w kompletnej ciemności przecięła pierwszą salę, podążając tropem swych poprzedników. Jeśli ich rozszarpał, powinna węszyć krew, nie tylko tutaj, ale jeszcze na górze. Wybrałby inną metodę zabójstwa? Klóciłoby się to z informacjami, jakie miała na jego temat. Nie oglądała się za siebie, lecz świadomość, że tamten może iść krok w krok za nią, czała się tuż pod powierzchnią myśli.

Woń krwi uderzyła w jej nozdrza dopiero, kiedy Oriana z cichym plaśnięciem wdepnęła w coś mokrego, gęstego i lepkiego. Znienacka jej zmysły odzyskały sprawność – choć dotąd nie zdawała sobie sprawy, że funkcjonują nieprawidłowo.

Krew, wszędzie wokół niej. Kapłani. Lars. Emily miała rację, był bardzo sfrustrowany. I głodny, choć teoretycznie nie potrzebował pożywienia.

Powęszyła. Dziewczynki i jej brata tu nie było.

Przystanąła na chwilę przy kałuży częściowo zakrzepłej krwi Larsa. Jego plan, dopieszczany latami, był od początku skazany na porażkę. Nie dlatego, że Lars pogardzał kobietami. Ta myśl uderzyła Oriane nagle: on ich zwyczajnie nie rozumiał. W każdym mężczyźnie czytał jak w otwartej księdze i żywił przeświadczenie, że równie bezbłędnie rozszyfrowuje kobiety. Ale mylnie odczytywał wszystkie sygnały. Nigdy nie przejrzał Oriany – i dał się zwieść niespełna dwunastoletniej dziewczynce.

Ruszyła dalej. Pochyliła się, bez wahania wchodząc w niski tunel. Więzienie tamtego. Nie bała się. Spodziewała się, że Lars i pozostali poległi, toteż niedawne odkrycie nie wywarło na niej większego wrażenia. Właściwie odczuwała złośliwą satysfakcję na myśl o tym, jak niewielu zostało Perowi kapłanów. Pięcioro, licząc z Orianą. Trzy kobiety,

pewien starzec i Dieter, którego całkowicie pochłaniał ambitny projekt przemienienia ludzi w osobniki o uległości nieświadomych. Lars wolał współpracować z mężczyznami, a teraz wszyscy ściągnięci przezeń na pomoc kapłani nie żyli, z Drugim Kapłanem włącznie. Oriana zapragnęła się roześmiać. Mizogin Lars doprowadził do tego, że kapłańskie grono zostało zdominowane przez kobiety. Tych paru męskich adeptów się nie liczyło, zwłaszcza że stracili swoich mistrzów.

Utrzymała się w karbach. To szok dawał o sobie znać, a Oriana za wszelką cenę musiała zachować kontrolę.

Znów zwietrzyła krew. Emily i Colina. Słyszała bicie serca i cichy oddech jednej osoby. Na pewno nie dziewczynki.

Wzrok po raz kolejny ją zawodził, tak więc odszukała chłopaka, kierując się węchem. Pochyliła się nad nim, ale nie widziała rysów jego twarzy. Jednakże to musiał być Colin. Tak podpowiadała jej intuicja, a Oriana wyjątkowo nie miała ochoty się z nią spierać.

Był ranny, ale chyba niegroźnie.

Zostawiła go na chwilę i odnalazła dziewczynkę. Poszukała pulsu, przyłożyła głowę do piersi Emily i obwąchała ją starannie. Smarkuła nie żyła, Oriana wolała wszakże nie zostawiać najmniejszej furtki na błędną ocenę. Kolanem docisnęła tułów byłej podopiecznej do kamiennej posadzki i ukreśliła małej głowę, odrywając ją od ciała.

Wróciła do Colina. Dźwignęła go z cichym stęknieniem, okazał się bowiem zaskakująco ciężki, Oriana zaś nadal regenerowała siły po ciosie sztyletem. Zarzuciła sobie rannego na plecy i ruszyła w drogę powrotną.

Jęknął, kiedy mimowolnie przycisnęła go do sklepienia niskiego tunelu, ale pozostał nieprzytomny. Dobrze. Chciała pomyśleć, podczas gdy on będzie się regenerował.

W zasadzie powinna go zabić. Nie wykluczała, że jeszcze to robi, lecz najpierw wypyta go o wszystko, co zaszło na dole. Czy kuzyn udzielił mu wyjaśnień?

Właz zasunął się za nią z cichym zgrzytem. Niezdecydowana stanęła w korytarzu. Uznała, że lepiej nie

zostawać w budynku. Ludzie wkrótce odnajdą wewnętrzne pomieszczenia, pomimo wysiłków dbających o bezpieczeństwo obiektu agentów organizacji. Zresztą, z agentami Oriana także nie chciała się w tej chwili spotkać.

Kilkusetmetrowym tunelem ewakuacyjnym wyniosła rannego na zewnątrz. Położyła go na podściółce z zeszlórocznych liści i wreszcie, w mroku nocy, jakże jasnym w porównaniu z panującą w lochu ciemnością, spokojnie mu się przyjrzała.

To był Colin. Przez całą drogę tutaj Oriana zwyczajnie nie odważyła się choćby na niego zerknąć, z obawy że wyciągnęła błędne wnioski i tamten złał się w jedno właśnie z Colinem, a wtedy pozostałoby już tylko czekać na ostateczną katastrofę. Teraz przynajmniej istniała nadzieja.

Erasmus. Oczywiście. Bystry i powszechnie lekceważony - ta to kombinacja czyniła go szalenie niebezpiecznym.

Musiał wiedzieć od samego początku. W pierwszym raporcie, przekazanym jeszcze za pośrednictwem Bersona, doniósł, że podsłuchał ojca - nie, nie użył słowa „ojciec”, informował, że podsłuchał lidera - jak ten przekazuje komuś polecenie zabicia Colina. Wydało mu się to zagraniem bardzo nie fair, dlatego ruszył za zamachowcem.

Tak brzmiała oficjalna wersja, ale faktycznie Erasmus podsłuchał znacznie więcej. Uzyskał wiadomości, które Oriana przekazała Gordonowi, odkrył całą prawdę o przepowiedni. Dowiedział się o istnieniu przysięgi, a choć jej treść wówczas pozostawała dla niego tajemnicą - Oriana nie wypuściłaby w świat informacji tej wagi - Gordon niewątpliwie wspomniał o groźbie wyzwolenia się tamtego. Inteligentny chłopak zapewne założył, że samodzielnie znajdzie ów słaby punkt przysięgi, kiedy po zjednoczeniu z tamtym pozna każde jej słowo.

Później opracował własny plan. Zwiódł wszystkich - Bersona, Larsa, swego ojca, Colina. Nawet Oriane, choć ona jedna go nie lekceważyła. Wykazał się wielkim opanowaniem i determinacją, a te cechy dobrze rokowały na przyszłość. Być może mu się uda. Ale tylko być może.

Colin jęknął, otworzył oczy i mętnym wzrokiem omiół otoczenie, po czym znów odpłynął.

Zbadała go. Czysty postrzał, kula przeszła na wylot, a rany wlotowa i wylotowa już się zabiły. Jako silna alfa powinien był dawno odzyskać świadomość, widocznie jednak poszukiwał ucieczki od szoku.

Obejrzała go raz jeszcze, a później starannie obwąchała. Pachniał tamtym. Kiedy odgarnęła mu włosy z prawej skroni, jej oczom ukazało się stłuczenie, także powoli zanikające.

Zatem jego kuzyn strzelił, Colin zaś pozbił się stosunkowo szybko i zaatakował... Dlaczego tamten go nie zabił? Chodziło o przejaw miłosierdzia czy chęć przedłużenia zabawy z ofiarą?

Colin jęknął ponownie i wyglądało na to, że lada moment odzyska przytomność.

- Colin. - Kobieta przemówiła cicho, łagodnie, tonem głosu dając do zrozumienia, że ma dobre intencje.

Nie wierzył w czyjekolwiek dobre intencje. Spiął się do skoku.

Szkopuł w tym, że samo naprężenie mięśni ujawniło Colinowi, jak bardzo jest słaby i obolały. Jakie miałyby z nią szanse?

- Jestem kapłanką - odezwała się znowu, pośrednio udzielając mu odpowiedzi na to pytanie. - Prawdopodobnie mnie jedną oszczędził.

- Kto? - Głos Colina zabrzmiał chrapliwie i obco.

Spróbował usiąść. Przeszył go ból - to był znak, że od pełnej regeneracji dzieliła go długa droga. Najchętniej opadłby z jękiem z powrotem na ziemię, ale nie chciał okazać słabości. Zacisnął zęby i uniósł się, a potem trochę się przesunął, opierając plecy o drzewo.

Gdzie się znajdował? Siedział na podściółce z zeschniętych liści, wsparty o pień drzewa, nie był to jednak wewnętrzny

ogród tamtego budynku. Słyszał przytłumiony szum ulicznego ruchu, niezbyt natarczywy, ale też o tak późnej porze nie należało się spodziewać wielu samochodów. Była noc, ciągle ta sama, Colin nie sądził bowiem, żeby od postrzału minęło więcej niż parę godzin, skoro rana wydawała mu się tak świeża. W powietrzu unosiła się woń spalenizny. Widocznie kapłanka wyniosła go z budynku sekretnym tunelem, tak więc przebywali stosunkowo blisko ośrodka konferencyjnego.

Obserwowała go w milczeniu. Kapłanka. Ani chybi Oriana, do niedawna opiekunka Emily. Piękna wadera, choć na oko dobiegała już piątej kreski. Zarazem jednak emanowała takim chłodem i dostojnością, że myślenie o niej jak o pociągającej kobiecie zakrawało na profanację. Colina zdziwił nieco jej strój, spodnie i bluzka, niby kobieca, ale o raczej męskim kroju. Cholera, po kapłance spodziewałby się powłóczystej szaty.

Odwdzięczył się jej wyzywającym spojrzeniem: nie ponowił pytania.

- Kto? - powtórzyła za niego. - Gordon wspomniał ci o naszym bogu, prawda?

- Powątpiewałem, czy go nie wymyśliliście, żeby uzasadnić swoją pozycję.

Uśmiechnęła się nieznacznie. Zatem sytuacja wydawała jej się zabawna? Colin natychmiast przestał rozważać, dlaczego jemu zupełnie nie jest do śmiechu.

- Nasz bóg istnieje całkiem realnie, a Gordon akurat w ten fakt nie wątpił, chociaż tamtego widzieli tylko nieliczni spośród kapłanów - odparła. - Ma postać ogromnego wilka i nigdy nie opanował umiejętności transformacji.

- Tamtego? - wtrącił Colin. - Dlaczego nie używasz imienia?

Sprawiła wrażenie zaskoczonej - jakby nie spodziewała się, że Colin jest dość bystry, by zwrócić uwagę na ów szczegół, mimo że unikała nazwania bóstwa w niezwykle czytelny sposób.

- On nosi wiele imion i przydomków. Wzorem innych podobnych mu istot wędrował niegdyś po świecie, akcentując tu i ówdzie swoją obecność, ludzie zaś nadawali mu imiona, inne w każdym systemie wierzeń, przypisywali określone atrybuty, niekoniecznie przezeń posiadane, niekiedy zlewali go w jedno z innym bóstwem, a gdzieś tam czcili pod postacią kilku różnych boskich bytów. Nigdy nie interesowało go zdobycie rzeszy wyznawców, nie zależało mu, żeby ktokolwiek opisał jego prawdziwe cechy.

- Wydawało mi się, że to wiara przesądza o sile boga - mruknął Colin.

- Nie. Nie w jego przypadku. Innym, bardziej próżnym bogom, mogło zależeć na oddawanej im czci, on wszakże... Nie w tym rzecz, że był ponad to. Powiedziałabym raczej, że jakiegokolwiek przemyślenia nie należą do praktyk często przez niego stosowanych.

- Jest idiotą? - doprecyzował Colin.

Ponownie się uśmiechnęła.

- Słuszniej byłoby stwierdzić, że znajduje się we władaniu żądz tak potężnych, że przyćmiewają w nim zdolność myślenia. Żądy krwi, przede wszystkim. Jest nieustannie wściekły, nęka go potrzeba niszczenia.

Wściekły... Colin przypomniał sobie słowa Tin na temat oczu, jakie ukazały jej się przy głazach na Fionii. Zobaczyła wtedy tego cholernego boga. Co z tego wynikało? Teraz, kiedy bydlak najwyraźniej wydostał się na wolność? No i dlaczego w ogóle tak niespodzianie zerwał się kapłanom ze smyczy? Colin podejrzewał, że do tej ostatniej kwestii Oriana dotrze wkrótce i bez jego ponagleń.

- Zatem najbardziej oczywiste imię... - zaczął.

Uniosła palec.

- Najbliższe oddania jego prawdziwych cech rzeczywiście były ludy skandynawskie - przyznała - ale nie należy wypowiadać ani tego, ani żadnego innego imienia czy przydomku, które potencjalnie mogłyby się do niego odnosić. Miano go przyzywa. Lepiej unikać go również w

myślach, bo choć tamten nie potrafi przeniknąć do naszych umysłów, wyrobisz sobie cenny nawyk. Być może przesadzam, ale imienia ani przezwiska twego kuzyna także już odtąd nie wymawiaj.

- Caramela? - zdumiał się Colin.

Skrzywiła się. Jasna cholera, bez przesady, że niby co się stanie?

- Jak mówiłam, tamten nie potrafi zmienić postaci - podjęła. - Jednakże kiedy ugryzie kogoś ze społeczności, to znaczy wbije zęby w ofiarę i przytrzyma ją żywą przez kilka minut, zlewa się z nią w jedno. Na jakiś czas przejmuje wtedy jej cechy, zyskując większą kontrolę nad popędami i zdolność przybierania ludzkiej postaci. Da się z nim wtedy nawet porozmawiać. Niestety, ta zewnętrzna powłoka prędko się zużywa, aż znowu pozostaje tylko nieokiełznana bestia.

- I to właśnie spotkało Caramela?

Znowu się skrzywiła. Psiakrew, skoro sukinsyn nie żył, wymawianie jego przydomku nie narobi szkód!

- Wydaje mi się, że twój kuzyn chciał zostać ugryziony - odparła z wahaniem Oriana.

- Chciał umrzeć? - zapytał z niedowierzaniem Colin.

- To nie takie oczywiste. Tamten, dopóki miał możliwość wyboru, zawsze decydował się na nieświadomych, z rzadka na słabych świadomych. Nie przetrwały przekazy, by kiedykolwiek zlał się w jedno z alfą. Zabijał alfy, to tak, ale wtedy kąsał szybko, rozszarpywał ofiarę. Dlatego podejrzewano, że instynktownie traktuje alfy jako zagrożenie. Istniała szansa, że silna alfa zdołałaby mu się oprzeć, a nawet nad nim zapanować.

- Uważasz, że mojemu, hm... kuzynowi się udało?

- Nikt tego dotąd nie próbował - odrzekła Oriana. - On nigdy nie ugryzłby kapłana, choć, rzeczywiście, na przestrzeni wieków zdarzyło mu się paru rozszarpać. Całkiem możliwe, że ci nieszczęśnicy liczyli na inny bieg zdarzeń. O tym, czy zamysł twój kuzyna się powiódł,

będzie można wyrokować dopiero za pewien czas, kiedy teoretycznie powinien nastąpić zanik jego osobowości.

Colin zmarszczył brwi. No, super, tyle że nadal nie pojmował, co z tym wszystkim wspólnego ma on i...

- Miał ugryźć mnie - stwierdził odkrywczco.

Po raz kolejny wydawała się zaskoczona domyślnością Colina. Cholera, jakie ci łajdacy mieli o nim zdanie? Wolno skinęła głową.

- Znasz mit o spętaniu nordyckiego wilka - powiedziała, a Colin odniósł wrażenie, że słyszy lekko pytający ton. - Wydarzyło się coś bardzo podobnego, z tym że nasz bóg złożył przysięgę. Jest potężny i nieśmiertelny, ale niezbyt lotny, tak więc pewien świadomy, Sturla, zdołał go sprytnie podejść. Został bohaterem... którego legendę znają tylko kapłani. Dla tamtego słowa, właśnie z tego względu, że tak rzadko ich używał, miały ogromną moc. Choć osobiście skłaniam się ku teorii mówiącej o konsekwencjach grożących mu za pogwałcenie przysięgi. Nieistotne, czy rzeczywiście by go spotkały. Ważne, że w nie uwierzył i że napełniały go dostatecznym przerażeniem, by przez wieki nie odważył się złamać przyrzeczenia. Niestety, w treść przysięgi wkradł się niepozorny błąd, głupie potknięcie w szyku zdania. Tamten miał pozostać spętany, „dopóki ludzie żyją na Ziemi”.

- No i? - zapytał Colin, ponieważ zamilkła. - Przecież żyją.

Zapewne kapłanka spodziewała się, że Colin wykrzyknie: „Ach, no jasne!”, lecz on najwyraźniej tym razem okazał się mniej bystry, niż tego oczekiwała. Poza tym nadal nie widział związku między tym pieprzonym bogiem a sobą i...

- Gdyby użyto sformułowania: „dopóki na Ziemi żyją ludzie”, problem by się nie pojawił - uzupełniła, ale Colin jakoś ciągle nie doznawał olśnienia. - Na pozór wydaje się, że chodzi o ten sam warunek, niemniej w jego aktualnej postaci ktoś sprytny mógłby zasugerować interpretację: „dopóki ludzie ograniczają swoją przestrzeń życiową do

Ziemi", a to zastrzeżenie od jakiegoś czasu nie jest spełnione.

- Bez jaj - mruknął Colin, na poły kpiąco, na poły z gniewem.

Co ona sobie wyobrażała? Emily nie żyła - wreszcie to sobie powiedział! - a babsko wciskało mu kit o lotach kosmicznych.

- Zrozum, że nie ma znaczenia, czy tłumaczenie brzmi mądrze. Wystarczy, żeby pozwoliło tamtemu obejść warunek przysięgi. Naturalnie, sam nigdy nie wpadłby na taki fortel, a podsuwani mu nieświadomi nie słyszeli o przysiędze. Istniało jednak ryzyko, że ktoś, choćby jakiś szalony kapłan, podszeptał mu rozwiązanie. Ponadto tamten stawał się coraz bardziej wściekły, aż do granicy zaślepienia. W takim stanie ducha mógłby po prostu zapomnieć o danym słowie, a skoro, formalnie rzecz biorąc, ono przestało go wiązać, to jeżeli nawet faktycznie istniały zabezpieczenia na wypadek takiej sytuacji, straciły swą moc. - Westchnęła. - W zasadzie mówienie o nim jako o bogu wydaje się sporym nadużyciem. Także tutaj ludy skandynawskie znalazły się najbliżej prawdy. On jest po prostu nieśmiertelną, potężną bestią, której nie da się zabić żadnym sposobem... prócz, być może, jednego.

- Przepowiednia - szepnął Colin.

- Tak, właśnie tego dotyczyła przepowiednia. Mówiła o dziewczynce, która potrafi sterować działaniami świadomych, i jej bracie, silnej alfie o zachwianej samokontroli, zapatrzonym w siostrę bez pamięci i dzięki temu wyjątkowo podatnym na jej dominację. Ponieważ tamten dawno nie dostał nikogo, z kim zlałby się w jedno, a tylko w ludzkiej postaci wolno mu było na chwilę opuścić podziemia, by zakosztować nocy, ugryzłby cię, nie zważając na nic. Zwłaszcza że wyczułby, jak słabo się kontrolujesz. Jesteś do niego pod wieloma względami podobny... miałeś taki być. Wściekły, nieokiełznany, niezdolny zapanować nad emocjami. Twoje cechy uśpiłyby jego obawy przed łączeniem się z silną alfą.

- Caramel nie był wściekły ani nieokiełznany, a jednak ten łajdak go ugryzł - prychnął Colin, znów zbyt późno przypomniawszy sobie, że ma nie wypowiadać przezwiska sukinsyna.

Znienacka pojął, co zaszło. Sztuczka Celii!

- Prawdę mówiąc, też mnie to zdziwiło - przyznała Oriana. - Ostatnio... tamten bardzo się zdenerwował pewną sytuacją, a przez wąski tunel prowadzący z pieczary nie mógł się przedostać w swojej naturalnej postaci, nie niszcząc przejścia, czego z kolei nie wolno mu było zrobić. Dlatego przypuszczam...

- Oszukał go - warknął Colin. - Zmienił swój zapach, tak jak Celia. Ta agentka, którą podesłaliście mi w Stanach. Myślałem, że jest zerówką.

Proszę, Oriana znów spoglądała na niego z podziwem. Jak miło. Najwyraźniej dotąd żaden kapłan nie wpadł na to, by dzięki tej sztuczce zagarnąć dla siebie moc bożka.

- No dobra, więc złały się ze mną w jedno... - ponaglił Colin.

- ...a wówczas Emily użyłaby swych zdolności, żeby nakłonić cię do samobójstwa - dokończyła Oriana. - Przepowiednia utrzymywała, że to jedyny sposób. Że on jeden zdoła zabić samego siebie, ponieważ jego potęga przeważa nad nieśmiertelnością.

- Ale nie wszyscy się z tym zgadzali - powiedział cicho Colin.

- Owszem. Krążyło wiele sprzecznych opinii, tak wśród kapłanów, jak i świadomych spoza naszego grona. Mimo że przepowiednia była pilnie strzeżoną tajemnicą, przez wieki pewne informacje wypłynęły. Liderów poszczególnych oddziałów organizacji, podległych nam bezpośrednio agentów, różne wysoko postawione alfy trzeba było przynajmniej częściowo wprowadzić w problem bóstwa, żeby przekonać ich do współpracy. Silne alfy wszakże niełatwo akceptują myśl o podporządkowaniu się. W organizacji działała opozycja, do której należał twój stryj...

- Zbaczasz z tematu - przerwał jej obcesowo Colin. Gordon gównem go obchodził! Nie żył. Podobnie jak Udo, a Colin słyszał, jak łajdak ginie, rozrywany zębami tamtego. To znaczy, jeśli wierzyć Orianie, że tylko ona przeżyła pogrom.

Kapłanka zamilkła. Czuł na sobie jej wzrok; dziwnie nie miał ochoty na nią spojrzeć.

- Przepraszam - mruknął wreszcie cicho.

- Przepowiednia miała szerokie grono entuzjastów - podjęła jakby nigdy nic Oriana - ale byli i tacy, którzy twierdzili, że skoro od tamtego przypuszczalnie wywodzi się społeczność, jego upadek zniszczy nas wszystkich.

Uważali, że skoro kiedyś swobodnie poruszał się po świecie, a zarówno społeczność, jak i ludzkość przetrwały te czasy, teraz również nie stanie się nic strasznego. Kolejna teoria zakładała, że tamten jest jednak w pełni nieśmiertelny, próba zabójstwa zaś grozi rozwścieczeniem go ponad ów punkt krytyczny. Jej zwolennicy utrzymywali, że wyzwolenie się tamtego jest mało prawdopodobne, jeżeli tylko nikt z mających z nim styczność nie popełni błędu, dlatego optowali za zachowaniem *status quo*. Inni wreszcie, a pomiędzy nimi twój stryj, wyznawali pogląd, że tamtego wprawdzie trzeba zabić, ale wy dwoje nie jesteście jeszcze tym właściwym rodzeństwem, które wypełni misję. Musisz bowiem wiedzieć, że na przestrzeni wieków podobne wam pary pojawiały się już w Unii rodu, z której się wywodzicie, i z dużym prawdopodobieństwem można było prognozować, że nie będziecie ostatni. Zwolennicy przełożenia operacji na później obawiali się, że Emily okaże się zbyt słaba, żeby zmusić was obu do zamachu na własne życie, względnie że twoja osobowość będzie nie dość dominująca, żebyś dokonał takiego czynu wbrew woli tamtego. Gdyby chodziło o prostą dominację, zadania mógłby się podjąć każdy dostatecznie potężny kapłan, kiedy tamten zlałby się w jedno z nieświadomym. Emily musiała pokonać jego wolę życia, stoczyć z nim bezpośrednią walkę, wykorzystując ciebie jako broń. Jeżeli twoje przywiązanie do niej nie

byłoby dość silne, siostra nie miałaby nad tobą wystarczającej władzy. Wydaje mi się, że twój stryj znał cię na tyle, by obawiać się właśnie takiej sytuacji. Zamyśliła się na moment.

- Właściwie tylko on w tej grupie dysponował rozsądnymi argumentami - ciągnęła jakby ze smutkiem.

- Pozostali prezentowali postawę asekurancką: nie wyrażali otwartego sprzeciwu wobec planów zabicia tamtego, a wręcz deklarowali dla nich poparcie, zarazem jednak nieustannie wynajdowali powody, żeby wypełnienie przepowiedni odłożyć do wielkiego nigdy. Nie znali ani ciebie, ani Emily, a ich argumentację dałoby się dopasować do każdego innego rodzeństwa.

- W której ty byłaś grupie?

Spojrzała mu w oczy.

- Wahałam się - odparła po dłuższej chwili. - Niekiedy głęboko wierzyłam, że trzeba przeprowadzić tę operację do końca, ponieważ wściekłość tamtego narasta i w końcu słowa tracą dlań znaczenie. Potem jednak ty zniknąłeś nam z oczu i zdawało się, że straciłeś zainteresowanie siostrą. Kiedy cię odnaleźliśmy, dotarły do nas wiadomości, że kontrolujesz się znacznie lepiej, niż powinieneś. Pojawiły się obiekcje: czy on w ogóle cię ugryzie? To jeszcze nie byłoby takie złe, rozszarpałby cię, traktując jak niespodziewaną ofiarę. Nie domyśliłby się podstępu i wszystko pozostałoby po staremu. Natomiast gdyby połączył się z tobą i ty okazałbyś się odporny na wpływ twojej siostry, groziłaby nam najgorsza z możliwych katastrof: niewykluczone, że dzięki twojemu umysłowi silnej alfy odkryłby błąd w pętającym go warunku. Od chwili uwięzienia pragnął odzyskać wolność, tak więc wydawało się oczywiste, że instynktownie wykorzysta każdą szansę. Ostatnio zaś... obudziły się we mnie wątpliwości co do Emily.

- Ona... wiedziała? Zgodziła się na wszystko?

- Wiedziała - odrzekła Oriana. - Natomiast zgodziła się jedynie na pozór. Doprowadziła cię tutaj, pod naszą

kontrolą... choć na koniec udało jej się nas zwieść. Przekonała nas, że nie planujesz szybkiego ataku.

- Wmówiłem jej to.

- Nie, Colin. Ona się ciebie tutaj dziś spodziewała. Pomogła ci do siebie dotrzeć. Wysłała chłopaka, żeby otworzył ci przejście. Odcięła kapłanom drogę do podziemi, by nie zdołali jej przeszkodzić, zanim dopnie swego. Chciała, żeby tamten cię ugryzł.

- Ale nie zamierzała zmuszać mnie do samobójstwa.

- Nie. Pragnęła cię kontrolować. Kontrolować tamtego. Pragnęła władzy. Trzymając bestię w ryzach swej woli, stałaby się nietykalna. Taką miała wizję.

- Chciała dla mnie tego, co zagarnął dla siebie Caramel - podsumował Colin.

Zauważył, że kapłanka znowu mimowolnie skrzywiła się na dźwięk tego przezwiska. Zdaniem Colina, niepotrzebnie. Przed chwilą pojął, że Caramel nadal trzyma się w pobliżu, przynajmniej mentalnie. Drań sporo wiedział, zależało mu jednak na uporządkowaniu tych informacji. Łaknął wyjaśnień tak samo jak Colin. Oriana powinna zdawać sobie z tego sprawę.

- Nie całkiem tego samego - sprzeciwiła się. - Ty nie zapanowałeś nad furją tamtego, nad jego żądzami. Nie radzisz sobie nawet z kontrolowaniem własnych emocji. Natomiast twój kuzyn... Jeśli ktokolwiek zdołałby wygrać walkę z tamtym, to jedynie on, choć nie rozumiem, jak mógł świadomie podjąć takie ryzyko.

- Dla władzy nad światem? - prychnął Colin. - Dla Caramela gra na pewno była warta świeczki.

Z satysfakcją obserwował, jak na twarzy Oriany pojawia się kolejny przelotny grymas. Miał ochotę raz po raz wykrzykiwać przydomek kuzyna, jedynie po to, by oglądać... tak, przestraszony, autentyczny strach na obliczu kapłanki.

Patrzyła na niego, leciutko przygryzając dolną wargę.

- Nie zyskał władzy nad światem - sprostowała wreszcie - a jedynie gwarancję całkowitej bezkarności, cokolwiek

zrobi. Oraz nieśmiertelność. Oczywiście, jedynie w wypadku, gdy uda mu się zachować własne ja. – Umilkła na moment. – Ostrzegłam cię, żebyś nie wypowiadał jego przezwiska. Nie posłuchasz, twoja sprawa. Musisz wszakże wiedzieć... Jak już mówiłam, wściekłość tamtego stwarzała poważne zagrożenie, dlatego też w układzie z nim znalazły się pewne ustępstwa. Od czasu do czasu przyprowadzano mu nieświadomego, żeby mógł na krótko przyjąć ludzką postać i spojrzeć w nocne niebo. Przystano również na inne jego żądanie: przyrzeczono mu każdą niebieskooką świadomą, jaka się kiedykolwiek urodzi.

Colin zerwał się, wściekły, po czym nieomal runął na ziemię, kiedy dał o sobie znać przeszywający ból. Oparł się ciężko o pień drzewa. Chętnie rozerwałby babie gardło, a mógł co najwyżej zabijać ją spojrzeniem. Niestety, z marnym skutkiem.

Obserwowała go beznamiętnie, pozwalając mu się uspokoić. Za to zachowanie nienawidził jej jeszcze bardziej.

– Podobno przed wiekami upodobał sobie taką niebieskooką świadomą – podjęła. – Siedemnastoletnią. Zapoznał ją, będąc akurat w ludzkiej postaci, i na swój sposób się zakochał, rychło jednak wzięły w nim górę żądze. Dalszego ciągu pewnie się domyślasz. Mimo to zapamiętał ją na zawsze i zażądał niebieskookich dziewcząt. Chciał je dostawać, kiedy ukończą siedemnaście lat. Kapłani uznali życie tych nielicznych wader za niezbyt wygórowaną cenę za kilkadziesiąt lat względnego wyciszenia, jakie gwarantowała każda taka ofiara. Dawniej udawało się którąś ocalić, kiedy zdarzyło się, że w niedługim odstępie czasu przyszły na świat dwie takie dziewczynki. Niestety, niebieskookie pojawiały się coraz rzadziej...

– Trzeba było podsunąć mu ludzką dziewczynę – wycedził Colin.

Potrząsnęła głową.

– Próbowano, ale po prostu ją rozszarpał, uznając zarazem, że chcieliśmy go oszukać, tak więc jego furia

jedynie przybrała na sile. Podobnie zareagował na niebieskooką nieświadomą i piwnooką świadomą. - Przygryzła wargi. - Nie myśl sobie, że dla mnie to tylko kolejna ofiara, którą społeczność ponosi w imię wyższego celu. Ona była... jest moją siostrzenicą.

Zaskoczyła Colina, wytrącając go ze spirali narastającej wściekłości. Sapnął cicho. - Jesteś jej ciotką? I mimo to przystałaś...?

- Nie miałam wiele do powiedzenia - wpadła mu w słowo. - Kapłani starali się jak najdłużej chronić taką dziewczynę i jej rodziców. Pozwalano im spędzić szczęśliwie te siedemnaście lat, a potem pozorowano śmierć nastolatki. Albo kapłan zabierał dziewczynę, tłumacząc, że rokuje wielkie nadzieje i będzie szkolona, pozna jednak tajemnice, które wykluczą jej kontakty z rodziną. Karmiono rodziców historyjkami stosownymi do ich charakteru, lecz nigdy nie dowiadywali się, że ich córka żyje z wyrokiem, ani też, co ją spotkało.

Zacisnął pięści. Gdyby tylko zgromadził odrobinę więcej siły...

- Mojej siostrze wyjawiono prawdę - ciągnęła Oriana. - Miewała przecucia i obawiano się, że ujrzy przyszłość swego dziecka. Wyjaśniono jej, jak ważna jest ta ofiara, a niemowlę oddano na wychowanie przybranym rodzicom. Ingrid miała pogodzić się ze stratą córki, żyć dalej tak, jakby nigdy jej nie urodziła, i wydać na świat więcej dzieci, których potomkowie przynieśliby społeczności kolejną niebieskooką. Ale ona nie zapomniała. Usiłowała odnaleźć małą, szóstym zmysłem dojrzeć miejsce jej pobytu. Najwidoczniej jednak kapłani ją zdominowali, bo nie umiała niczego dostrzec.

- Nie mogli przekonać jej, że dziewczynka zmarła? - dociekał gniewnie. - Albo zawczasu pozbawić jej przecuć?

Z Colinem im się ta sztuka udała! Cholerny Udo na wiele miesięcy skutecznie uciszył w nim wewnętrzny głos, potem zaś, kiedy Colin sądził, że odzyskał swe parapsychiczne

zdolności, przecucie nadal go zwodziło. Nie ostrzegło go i nie wykazało najważniejszego!

- Miłość matki do dziecka jest zbyt silna na takie sztuczki. Poza tym Ingrid była zrównoważona, niepodatna na wpływy. Myślę, że nawet ten bardzo niezadowolający efekt, jaki osiągnęli, wiele ich kosztował.

Zrównoważona i niepodatna na wpływy, całkowite przeciwieństwo Colina. Wróciła wściekłość, buzując w nim coraz gwałtowniej. Oriana broniła tych zbrodniarzy, mimo że chodziło o życie jej siostry i siostrzenicy!

- Pilnowali jej, musiała odgrywać obojętność na los córki, udawać, że jest szczęśliwa - mówiła Oriana. - Jej mąż się dostosował, uznał, że nic nie da się zrobić. Ingrid znalazła się na granicy obłędu. Na razie tylko ja to widziałam, ale ponieważ obawiałam się o nią... W tym czasie dopiero zaczynałam zdobywać pozycję w kapłańskim gronie. Wolno pięłam się w górę, nie dopuszczano mnie jeszcze do wielu sekretów. Wyjaśniono mi jednak dokładnie wagę ofiary z niebieskookiej dziewczyny, żebym pomogła przekonać Ingrid. Pomogłam... a kiedy kilka lat później ona poprosiła mnie o zdobycie dla niej adresu albo przynajmniej nazwy miasta, kraju... najdrobniejszej wskazówki, którą mogłaby podsunąć swojej rozwiniętej intuicji, uległam. Wymknęła się im, pojechała po dziewczynkę... i zginęła. Znaleźli ciała Ingrid i jej męża, ale dziecko przepadło bez śladu.

- Zabił ich łowca - wyjaśnił cicho Colin.

- Tak, niektóre fakty udało się potem ustalić. Parę dni wcześniej ten sam łowca zabił mojego brata. W krótkim czasie straciłam oboje rodzeństwa.

Umilkła. Colin odniósł wrażenie, że kapłanka obwinia Tin o śmierć brata i siostry, że wręcz jej nienawidzi, choć zarazem jakby sugerowała, że zadbała o to, by inne ważne fakty, na przykład taki, że wkrótce po tych zdarzeniach odpowiedzialny za nie łowca niespodziewanie wycofał się z zawodu, żeby zająć się wychowaniem córki, nie dotarły do wiadomości osób nadzorujących poszukiwania niebieskookiej. Czy jednak Oriana miałaby taką możliwość?

Środowisko europejskich łowców wydawało się dobrze zabezpieczone przed infiltracją przez szpiegów organizacji, niewykluczone zatem, że informacja o córce Antoine'a nigdy nie trafiła do ich uszu. Ewentualnie agenci nie znali nowej tożsamości byłego łowcy i pierwsze miesiące poszukiwań nie przyniosły rezultatu, potem zaś uznano, że drań sam zabił dziewczynkę, ale nie chciał już wracać do dawnego zajęcia. Łowca Antoine miał opinię faceta, który nie patyczkuje się ze zwierzyną.

- Sam zdecydujesz, czy powtórzyć jej tę historię - powiedziała Oriana. - Czy powinna wiedzieć, co jej grozi. Ty jednak musisz mieć świadomość niebezpieczeństwa. On ją zobaczył, nie tak dawno, kiedy podglądałeś kapłana na Fionii. Wiem, że jej z tobą nie było, ale musiał ją wyczuć, za twoim pośrednictwem, jak sądzę. Wściekł się, domagał się jej. Teraz, kiedy odzyskał wolność...

Colin zacisnął zęby. Nie, nie wspomni o widzianych przez Tin oczach. Zresztą, czy miał znaczenie sposób, w jaki ten potwór dowiedział się o jej istnieniu? Liczyło się wyłącznie to, że wie. Wie i przypuszczalnie spróbuje ją odszukać, właśnie przed tym Oriana ostrzegała Colina.

- Jeśli żadne z nas nigdy nie wypowie jego imienia ani przydomku, czy on mimo wszystko może ją odnaleźć? - zapytał wolno, choć przecież znał odpowiedź.

- Nie da się tego wykluczyć - odparła kapłanka.

Kłamała, ale tym razem wcale nie tęsknił za prawdą. Nie zależało mu na informacji, że Caramel, tamten, namierzy ich bez problemu, jeżeli tylko tego zapragnie, a Colin nijak go nie powstrzyma. Już nikt nigdy nie zdoła ponownie spętać bestii.

- A inny bóg? - zapytał rozpaczliwie. - Przecież muszą istnieć inni bogowie, potężniejsi od niego i zdolni go zabić!

- Poszukaj zatem takiego - poradziła chłodno Oriana. - Potem zaś przekonaj go, żeby ci pomógł.

Paraliżowała go beznadziejność sytuacji. Oriana oznajmiła mu właśnie, że kapłani szukali. Przez całe wieki

starali się odkryć inny, bezpieczniejszy sposób zabicia bestii.

Spojrzał na nią. Pojął, dlaczego wydała mu się taka piękna: była bardzo podobna do Tin. Czy raczej Tin do niej, jakby patrzył na matkę dziewczyny.

- Ona miała na imię Ingrid - rzekł wreszcie. - A ojciec?

- Ojciec był betą - wypluła z pogardą, zreflektowała się jednak. - Walter.

Nie zapytał, czy to prawdziwe imiona.

- Powinieneś już iść - odezwała się znowu Oriana. - Mnie czeka złożenie raportu z niedawnych wydarzeń. Ponieważ przy życiu zostaliśmy tylko my dwoje... oraz, oczywiście, on, liczę na twoją dyskrecję. Nie wspomnę o naszym spotkaniu. Aha... Do czego był ci potrzebny tomik Tennysona?

- A co, daliście się złapać? - prychnął Colin.

Miło wiedzieć, że kapłani nabierają się czasem na banalnie proste sztuczki.

Przyglądała mu się z uwagą.

- Dziwię się, że mnie po prostu nie zabijesz - rzucił wyzywająco Colin. - Wyjawiaś mi tyle waszych cholernych tajemnic. Ba, przyznałaś się do zdrady, bo tym przecież była pomoc, jakiej udzieliłaś siostrze. A teraz mam sobie pójść? Chciałaś się komuś wygadać? Nie boisz się, że ogłoszę członkom społeczności, że straciliście boga, zatem wasz mandat do rządu wygasł?

- Ależ właśnie w obecnej, jakże krytycznej sytuacji jesteśmy potrzebni bardziej niż kiedykolwiek - odparła z ironią. - Informacja o tym, że zamordowaliśmy naszego boga... O tak, tego rodzaju rewelacja mogłaby nam poważnie zaszkodzić. Chociaż zdarzali się w naszym gronie idealisci, którzy zakładali, że po śmierci tamtego struktura organizacji się zmieni, gdyż kapłani przełożą władzę demokratycznie wybieranym liderom.

Spokojnie wytrzymała jego spojrzenie. Z Colina stopniowo opadał gniew.

- Przyniosłam cię tu, żebyś opowiedział mi, co zaszło na dole - wyjaśniła. - Jednak zanim się ocknąłeś, całkiem

dobrze, jak sędzę, odtworzyłam sobie przebieg zdarzeń. Nie masz nic do dodania, prawda? Liczyłam na to, że kuzyn coś ci przekazał, ale później zrozumiałam, że nie bawiłby się w zbędne tłumaczenia.

Jasne, Caramel wspinał się na wyżyny elokwencji tylko wówczas, gdy zachodziła konieczność pomanipulowania Colinem. Sukinsyn rozwodził się nad kolejnymi bzdurnymi teoriami na temat jego roli w tej sprawie, podczas gdy od początku znał pełną treść przepowiedni! No, ale w gruncie rzeczy Colin był wdzięczny, że ów nowy Caramel – tamten nie wdawał się z nim w pogawędkę. A we wcześniejszych wyjaśnieniach gnojka ani chybi kryło się wiele prawdy. Chociaż sprytnie zawrócił Colina z drogi, kiedy ten niemal wpadł na związek między Emily a bóstwem...

- Tak, pierwotnie chciałam wydobyć od ciebie informacje, a potem cię zabić – kontynuowała Oriana. - Na szczęście pojęłam, że on celowo pozostawił cię przy życiu i również rozmyślnie oszczędził mnie. Być może więc życzył sobie, żebym udzieliła ci paru wyjaśnień i odesłała w świat. Ja zaś nie chcę sprzeciwiać się jego życzeniom. Widzisz zatem, że powody, dla których pozwalam ci odejść, są czysto egoistyczne.

Zatem jej także przyszło do głowy, że Caramel kręci się w pobliżu, przysłuchując się ich rozmowie. Oszczędził Colina, tak. Tylko w jakim celu?

Wkurzał go jej spokój. Przyznawała się do strachu w taki sposób, jakby w gruncie rzeczy mało ją interesowało, czy jej życie dobiegnie końca za kilka minut czy trzydzieści lat.

- Z tych samych powodów kapłani nie będą was niepokoić – dodała Oriana. - Chociaż nie zaszkodziłoby, gdybyś oddał chłopca.

- Nie – warknął Colin.

Jak zwykle po czasie, zrozumiał, że kapłanka najprawdopodobniej blefowała. Miejsce pobytu dzieciaka równie dobrze mógł znać wyłącznie Caramel, a Colin lepiej by postąpił, promując tę wersję. No, ale trudno, po ptakach.

- Nie obawiasz się, że skoro już mnie oświeciłaś, on wróci, żeby cię załatwić? - zakpił, żeby zatuszować swoją gafę.

- Tak, może to zrobić - przyznała. - Powtórzę: on teraz może wszystko, pozostając całkowicie bezkarnym.

Ostrzegła go po raz kolejny, jakby sądziła, że Colin nie pojmuje ogromu zagrożenia.

- Na ciebie już pora - powiedziała.

Patrzyła na niego wyczekująco. Odprawiała go! Psiakrew, ledwie potrafił się ruszyć. Skoro chciała się z Colinem rozstać, sama powinna stąd odejść.

Sapnął. Wreszcie z wysiłkiem oderwał się od drzewa i chwiejnie ruszył przed siebie.

Każdy krok wymagał od niego niebotycznego wysiłku, a więc również pełnego skupienia na wykonywanej czynności, tak że Colin nie był w stanie roztrząsać wyjaśnień Oriany. Czyżby dlatego kazała mu odejść?

Szedł, zmagając się z bólem. Wydawało mu się, że wędruje nieskończenie długo, przypuszczalnie jednak zrobił zaledwie kilkadziesiąt kroków, zanim dotarł do granicy drzew. Przez rzadniejące zarośla widział szosę, w tej chwili pustą. Spróbował przypomnieć sobie zdjęcia satelitarne. Jak długi mógł być taki sekretny tunel? W sąsiedztwie budynku znajdował się węzeł komunikacyjny, w jego obrębie Colin widział porośnięte drzewami skrawki terenu. Przypuszczalnie wylot tunelu zamaskowano w jednej z takich kęp.

Jezdnia. Czy Colin zdoła dostatecznie prędko pokonać ją w miejscu, gdzie piesi w ogóle nie mają prawa wstępu? Nie. Teraz, kiedy się zatrzymał, wątpił nawet w to, że zdobędzie się na kolejny krok, a cóż dopiero sprint w poprzek szosy.

Poza tym miał na sobie zakrwawione ubranie. Nie mógł się tak pokazać ludziom, zwłaszcza niezdolny do szybkiej ucieczki.

Ostatnim wysiłkiem woli cofnął się w głąb zarośli i osunął na ziemię. Przymknął oczy. Musiał się zregenerować, zanim postanowi, co dalej. Zanim w ogóle spróbuje przeanalizować zdarzenia tej nocy, już w zasadzie minionej, bo ciemność stopniowo ustępowała szarości świtu. Chmurzyło się, ale księżyc tak czy owak właśnie wyszedł z nowiu, więc nawet przy pogodnym niebie Colin niewiele by skorzystał.

Obudził się kilka godzin później. Nie miał zegarka, ale kryjące się wysoko za chmurami słońce wskazywało na środek dnia. Słyszał warkot silników przejeżdżających samochodów. Banalne cywilizacyjne hałasy, ludzie spieszący do codziennych zajęć, podczas gdy w pobliżu czaiła się pradawna, krwiożercza bestia. Colin znów na chwilę przymknął powieki, wyobrażając sobie rzeźnię, jaką mógłby zgotować temu miastu Caramel, gdyby tylko zechciał. Skoro więc Kolonii nie zalewał ryk syren pędzących na sygnale pojazdów, widocznie jak dotąd nie zdarzyło się nic strasznego.

Poruszył się i ta próba nie wywołała fali przeszywającego bólu. Dokuczały mu głód i pragnienie, normalka. Odzyskiwał sprawność, wszystko wydawało się w porządku.

A tak naprawdę czekał, kiedy uderzy w niego świadomość, że Emily nie żyje.

Zginęła jego siostra, potrafił już to sobie otwarcie powiedzieć - a czuł jedynie obojętność. Czy obserwował efekt uboczny odniesionej rany? Czy przez to, że ciało Colina pożytkowało całą energię na proces zdrowienia, jego umysł stał się czasowo niezdolny do wytwarzania emocji?

Emily. Stracił siostrę, powinien rozpaczać.

Pytanie brzmiało: kiedy ją stracił? Nie wątpił w słowa Oriany. Emily doskonale pojmowała, o co toczy się gra, i z rozmysłem usiłowała zabić brata. Colin bowiem zginąłby w momencie ugryzienia, nieważne, jak Em postąpiłaby potem: nakłoniła go do samobójstwa czy użyła do sterowania tamtą istotą. Nie zdołałby obronić się przed obcą jaźnią,

pozostałaby po nim zaledwie cząstka jego osobowości – narzędzie do sprawowania kontroli nad bestią.

Emily wiedziała, co chce osiągnąć, i konsekwentnie realizowała swój plan. Ostatnie kilka dni, kiedy Colin sądził, że – przynajmniej duchowo – odnalazł siostrę, okazało się kłamstwem. Mamiła go, żeby tym skuteczniej wciągnąć w pułapkę.

Chciałby wierzyć, że zrobili jej to kapłani – że zatruli dziewczynkę argumentami przemawiającymi za wypełnieniem wskazań przepowiedni, a opracowany przez nią później plan stanowił jedynie nieistotną z punktu widzenia Colina konsekwencją dzieła tych drani. Tyle że kiedy wracał myślami do wydarzeń sprzed półtora roku, odtwarzając ówczesne zachowania i wypowiedzi siostry, dostrzegał, że była taka już wtedy. Bezduszna i wyrachowana. Co więcej, pokazywała mu swoją prawdziwą twarz, sporadycznie, w krótkich odsłonach, natychmiast maskując wrażenie uroczym uśmiechem albo chwytającym za serce tonem głosu, niemniej nie były to wpadki, a celowe działanie. Bawiła się Colinem, sprawdzała, jak daleko może się posunąć bez uszczerbku dla swego wizerunku słodkiego aniołka.

Wtedy jeszcze nie wiedziała, jaką rolę wyznaczili dla niej kapłani. Do niedawna nie orientowała się nawet, że różni się od innych dzieci... a jednak się izolowała. Nie miała przyjaciół i ta sytuacja nie wynikała z nagłego ujawnienia się u Em drugiej natury. Noreen skarżyła się Colinowi na alienację małej, on zaś uznał ją za dowód, że dziewczynka jest świadomą... potem zaś zbagatelizował ów szczegół. Jego mądra, kochana siostrzyczka najwyraźniej była zbyt inteligentna dla swych rówieśników. Kolegowała się tylko z Pete'em; Colin byłby w tej chwili gotów się założyć, że zrobiła sobie z chłopca niewolnika, posłusznego każdemu jej rozkazowi.

Przypomniał sobie rozmowę z Emily na temat jej przebudzenia. Powiedziała coś w stylu, że kiedy przeszła pierwszą przemianę, zrozumiała wszystko, Colin zaś

potraktował tę deklarację z przymrużeniem oka, jak dziecięce przechwałki. Teraz dotarło do niego, że mówiła poważnie, po raz kolejny go wtedy prowokując. Wiedziała. Nie tylko, kim sama jest, ale też jak wpływa na nieświadomych. Być może pojmowała też instynktownie, że jej talenty mają posłużyć doniosłemu celowi, przez co sama poczuła się ważna. Lepsza od wszystkich.

Uśmiechnął się gorzko na wspomnienie jej pełnych niepokoju dociekań: „Ale to nie ja ich tu sprowadziłam?”. Świetnie zdawała sobie sprawę, że nieświadomi przybyli do miasteczka na jej wezwanie. Zapewne nie umiała jeszcze nawet minimalnie kontrolować swoich mocy, nie potrafiła wywołać u zerówek określonych zachowań ani też na powrót ich uspić, by mogły wrócić do domów, niemniej cała sytuacja ją bawiła. Domyślała się, że ktoś zorientowany czuwa nad wszystkim, i po prostu czekała na rozwój zdarzeń.

Chociaż nie, Emily nie snuła domysłów. Wiedziała, że operacją dowodzi Udo. Jasne. Współpracowała z kapłanem od momentu swego przebudzenia miesiąc wcześniej. Drań nie wyjawiał wówczas całej prawdy na temat czekającego ją zadania, ale odmalował przed nią dostatecznie nęcącą wizję przyszłości, by Em ochoczo zgodziła się zdradzić Colina. Dokładnie ją poinstruował, jak ma się zachowywać wobec brata, kiedy ten przyjedzie do miasteczka. Na polecenie kapłana tamtej krytycznej nocy sama zdjęła amulet, a potem opowiedziała Colinowi bajeczkę o nadopiekuńczej ciotce, cierpiącej na obsesję na punkcie uduszenia się rzemykiem.

Zatem jednak za wszystkim stał ten drań! Tyle że Udo nie kazałby Emily odsłaniać przed Colinem jej prawdziwych intencji. Ba, wręcz by się wściekł, gdyby się o tym dowiedział. Em pogrywała z bratem z własnej inicjatywy. Sprawiało jej to frajdę.

Colin dał się jej omamić, i to już wtedy. Na pocieszenie pozostawała mu świadomość, że Udo także małej nie przejrzał. Kapłan sądził, że ciężko pracuje nad

przekonaniem miłej, grzecznej dziewczynki, że musi zabić brata, podczas gdy Emily... Emily wypatrywała tego rodzaju okazji.

Dlaczego Colin dopiero teraz dostrzegał prawdę? Był pewien każdego szczegółu, do tego stopnia, że mógł śmiało przyjąć, że taką interpretację podpowiada mu przecucie. Czemu wcześniej milczało? Patrzył na siostrę, słuchał jej - i nie zauważał u niej fałszu, choć w tej chwili stwierdzał, że nie była nawet szczególnie dobrą aktorką. Albo też dla brata nie chciało jej się wysilać.

Stąd brała się jego obojętność. Jaki sens rozpaczać po martwej siostrze, skoro w rzeczywistości utracił ją przed wielu laty? Nie, nie wierzył, żeby grała jako trzyletni berbec, zatem owa zmiana musiała zajść w trakcie okresu rozłąki, jaki nastąpił po śmierci Godfrey'a i Vivian. Po raz ostatni Colin widział swoją Emily, gdy gliniarz wpychał ją do radiowozu, a ona wyciągała do brata rączki... A jeśli jednak grała już wówczas, instynktownie wybierając zachowania, które przynosiły jej najwięcej korzyści?

Musiał coś zjeść. Emily istniała wyłącznie jako jego wyobrażenie o kochanej siostrzyczce, a teraz po prostu Colinowi otworzyły się oczy. Przykre przeżycie, ale przecież nie był babą, żeby się nad sobą rozczulać. Musiał się posilić, zakończyć proces regeneracji. Przez chwilę skupić się na przyziemnych kwestiach i nie myśleć o siostrze.

Z niechęcią stwierdził, że nie będzie mu łatwo wydostać się z tego zagajnika. Był środek dnia, drogą mknął jeden samochód za drugim, a Colin miał wyleżeć spomiędzy drzew w zakrwawionym ubraniu, w pobliżu miejsca, gdzie niedawno podłożono bombę? Gdyby nie głód i pragnienie, przeczekałby w zaroślach do wieczora. Czuł się tu bezpiecznie.

Zmarszczył brwi. Bezpiecznie? Ta kępa drzew powinna była od razu zainteresować odpowiednie służby. Właściwie

dlaczego nie otoczono kordonem całej okolicy?

Dopiero teraz ze zdziwieniem odnotował, że wychwytyje jedynie dźwięki, do jakich przywykł w trakcie obserwacji ośrodka - niczego nadprogramowego, co świadczyłoby o trwającej na miejscu tragedii krzątanie. Czyżby organizacja podsunęła już policji winowajcę, na przykład szaleńca, który pokornie przyznał się do winy? Ostatecznie, nawet jeśli kapłani nie spodziewali się aż takiego zamieszania, ani chybi przygotowali się na wypadek kłopotów.

W zasadzie bardziej niż niemieckiej policji Colin powinien obawiać się przedstawicieli organizacji. Oriana obiecała mu nietykalność, niemniej musiała jeszcze przekonać do tego rozwiązania swoich kumpli. W tej kępie drzew Colin czuł się bezpiecznie chyba dlatego, że zakładał - albo wręcz wiedział - że Oriana nie dopuści do niej agentów. Czy jednak miała tyle władzy, żeby oficjalnie zakazać pościgu za nim?

Wysłuchał się w siebie, ale nie uzyskał odpowiedzi na to pytanie. Wypadało więc zachować ostrożność. Ponownie rozważył, czy nie zaszyć się w zaroślach do czasu, aż zrobi się ciemno. Nie, psiakrew, nie wytrzyma tak długo bez żarcia.

Żarcie. Z głodu pociemniało mu przed oczami.

Na drodze panował na tyle duży ruch, że Colin nie miał szans przemknąć niepostrzeżenie, dlatego odłamał sporą gałąź, podszedł na skraj zarośli, wziął zamach i cisnął konar pod koła nadjeżdżającego samochodu.

Kierujący oplem ostro zahamował, jednocześnie odbijając w lewo, przez co stuknął się lewym reflektorem z jadącym z przeciwka fordem. W opla uderzył od tyłu bus, no i powstał miniaturowy karambol, który skutecznie zablokował ruch w obie strony.

Kolejne auta zatrzymywały się w bezpiecznej odległości od stłuczki. Z rozbitych pojazdów wysiadali kierowcy i pasażerowie, najwyraźniej więc nikomu nie stała się krzywda. Colin mimo woli poczuł ulgę, bo niekoniecznie

marzył o tłumaczeniu się przed Tin z kolejnych trupów, nawet jeśli ona... Nie, o tym także nie zamierzał w tej chwili myśleć.

Z krótkim, grubym patykiem w dłoni wszedł bez pośpiechu na szosę. Przejrzał się w szybie starego passata, chwilowo porzuconego przez zaciekawionego szczegółami kraksy właściciela. Na ciemnej sportowej koszuli w kratę plama z krwi nie rzucała się tak bardzo w oczy, ale mimo to Colin otworzył drzwi pasażera i wziął kurtkę, którą spostrzegł na siedzeniu. Przewiesił ją sobie przez ramię, zasłaniając plamę na piersi i plecach, po czym leniwym krokiem powędrował w kierunku przeciwnym do miejsca kolizji.

Wybrał nissana z elegancko ubranym mężczyzną za kółkiem. Wsiadł do tyłu, na miejsce za kierowcą, i przyłożył facetowi do boku patyk.

- Zawracaj - powiedział po angielsku. - Już.

Myślał wyłącznie o żarciu, pał diabli dyskrecję. Musiał coś zjeść, natychmiast. Zmierzył wzrokiem delikwenta, uznał jednak, że to by już było lekkie przegięcie.

Na szczęście typ nie miał problemu ze zrozumieniem rozkazów. Trzęsły mu się ręce, tak że sam omal nie spowodował stłuczki, niemniej w końcu zdołał zawrócić.

- Zawieź mnie do najbliższego centrum handlowego - polecił Colin.

Na parkingu grzmotnął faceta w tył głowy i położył jego siedzenie, żeby wyglądało to tak, jakby znudzony mąż uciął sobie drzemkę w oczekiwaniu na szalejącą po sklepach żonę.

W centrum handlowym Colin najpierw odnalazł toaletę, gdzie zaspokoił pragnienie. W pierwszym z brzegu sklepie ze sportowymi ciuchami kupił czarną bluzę, którą włożył na koszulę, uzupełniając zestaw czapką z daszkiem, żeby osłonić twarz przed kamerami. Potem w samoobsługowym markecie nabył dziesięć kilo surowej wołowiny, z czego połowę pochłoniął, uprzednio poszukawszy znów schronienia w toalecie.

Zmieniając taksówki, dotarł w pobliże hotelu. Przeszedł dzielące go od celu kilkaset kroków.

Dopiero teraz Colin przypomniał sobie o nieświadomym. Zostawił go śpiącego w pokoju, z wywieszką „Nie przeszkadzać” na drzwiach. Skinął głową recepcjoniście, przygotowany, że ten zatrzyma go, by poinformować o dziwnym zachowaniu kolegi, nic takiego jednak nie nastąpiło.

Od śmierci Emily upłynęło jakieś osiemnaście godzin, zatem nieświadomy od dawna nie znajdował się pod jej wpływem. Wydając ostatnie polecenie, nakazała mu sen – czy możliwe, żeby jeszcze się nie obudził? A jeśli rzeczywiście tak było, to czy w ogóle da się go dobudzić?

Colin skarcił się w myślach za tworzenie teorii, zanim pozna fakty. Ze stojącej w korytarzu doniczki ze sztucznym kwiatem wydobył kartę do pokoju, którą ukrył tam przed akcją, i podszedł do drzwi.

Nieświadomy rzeczywiście spał. Oddychał miarowo, spokojnie, jakby chodziło o normalny nocny wypoczynek po niezbyt ciężkim dniu. Tyle że facet najwyraźniej leżał tak od wczorajszego wieczoru.

Colin stanął nad śpiącym. Spróbować gościem potrząsnąć? A jeśli zacznie wrzeszczeć? Powątpiewał, czy w tej chwili udałoby mu się zdominować tego nieświadomca.

Najpierw żarcie.

Przemienił głowę w wilczy łeb i zaczął metodycznie pożerać wołowinę z reklamówki. Nie myślał o niczym, po prostu jadł, wpatrzony tępo przed siebie, choć teoretycznie ów potężny głód, wywołany procesem regeneracji, powinien zaspokoić już w centrum handlowym.

Zjadłszy, poszedł do łazienki, odkręcił kran i długo chleptał wodę, ciągle z wilczym łbem zamiast ludzkiej głowy.

Wreszcie wrócił do pokoju. Ponownie stanął nad nieświadomym, zastanawiając się, co zrobić. Najchętniej sam by się przespał, ale dłuższe pozostawanie w hotelu nie wydawało się wskazane.

Spakował się, a ubranie nieświadomego rzucił na swoje łóżko. Może zostawi tu faceta? Niech obsługa go sobie dobudza. Jeśli wynikną z tego problemy, przynajmniej agenci organizacji zyskają dodatkowe zajęcie i nie będą mieli czasu dumać nad losem Colina.

Wyobraził sobie, co Tin powiedziała by na taką jego decyzję. Powinien mieć w dupie jej reakcje, a mimo to sapnął i potrząsnął mężczyzną.

Nieświadomy stęknął, mlasnął, ale spał dalej. Colin potrząsnął mocniej, niechcący zrzucając gościa z łóżka.

Typek z trudem stanął na czworakach i, mrugając, rozglądał się po pokoju. Zahaczywszy spojrzeniem o nogi Colina, podniósł wzrok i znów zamrugał. Otworzył usta, jednak najwyraźniej ten wysiłek wyczerpał go intelektualnie, bo nie wystarczyło mu weny na zadanie pytania.

- Stary, ale się wczoraj uwalileś - powiedział Colin.

- Co? - Facet na szczęście znał angielski.

- Mówiłeś, że masz doła. Tylko, sorry, nie pamiętam, z jakiego powodu. Też się nieźle schlałem.

Nieświadomy patrzył na niego, nadal kompletnie zagubiony. Potem odwrócił głowę w kierunku łóżka. Widać było, jak gromadzi siły, zanim wreszcie najpierw jedną, później drugą ręką wsparł się o materac i ciężko podźwignął z podłogi. Od razu klapnął na pościel.

Colin westchnął. Znudziła mu się ta zabawa. Kucnął, tak żeby spojrzeć nieświadomemu w oczy.

- Upiłeś się wczoraj - oznajmił. - Chlałeś przez cały tydzień.

Mężczyźnie pociekła z nosa strużka krwi. No pięknie, można by pomyśleć, że Colin pierwszy raz w życiu kogoś dominuje.

Lepiej jednak zadziałać za mocno niż za słabo. Najwyżej typ już nigdy nie będzie całkiem normalny. Colin przysunął się do nieświadomego, nadal patrząc mu w oczy.

- Jesteś zwykłym człowiekiem - ciągnął z tą samą stanowczością. - Pełnia księżycy ci zwisa. Tydzień temu poczułeś się przybity. Wypiłeś za dużo, a później wpadłeś w ciąg, z którego niewiele pamiętasz. Jakaś restauracja. Hotelowy pokój. Nic więcej.

Facet dalej plamił sobie krwią spodnie od pizamy, kupionej mu zresztą przez Colina.

- Teraz spieszy ci się do domu. Ubierz się.

Nieświadomy posłuchał, chociaż ruszał się irytująco niemrawo. No dobra, co potem? Typ poleci samolotem czy wybierze pociąg? Ile kosztuje bilet?

Ach, do cholery, czemu miał to być problem Colina? Wystarczy, że musi się zatroszczyć o środek transportu dla siebie, bo toyotę pewnie dorwała już policja albo agenci organizacji. Niech gość wraca autostopem. Albo zadzwoni do żony - czy kogo tam zostawił w Norwegii - i wyjaśni, że przepił całą kasę i jest mu potrzebne wsparcie.

Dopiero kiedy wymeldowali się z hotelu, Colina oświeciło, że nieświadomy, oprócz dokumentów, ma przy sobie także kartę kredytową. Emily okazała się przewidująca: musiała przecież kupić benzynę. Potem nie korzystali z karty, dlatego Colin zapomniał o jej istnieniu.

- Idź na dworzec - powiedział, kiedy znaleźli się na ulicy. Nieco złagodził stanowczy ton, żeby facet nie zaczął mu się na nowo wykrwawiać. - Wybierz najbliższe pasujące połączenie.

Mężczyzna chciał wrócić do domu, zatem skutek dominacji powinien okazać się trwały - polecenia Colina, zamiast napotkać bunt, dawały typkowi dodatkowego kopa, żeby zrobił to, na co tak czy owak miał ochotę.

Patrząc w ślad za nieświadomym, Colin stwierdził, że coś by jeszcze zjadł. Nie dlatego, że znów dokuczał mu głód. Po prostu już dawno powinien był odezwać się do Tin, a

kolejny posiłek pozwoli mu jeszcze nieco odsunąć ten moment w czasie.

- Tin?

Colin wpatrywał się w stojące przed nim piwo.

Zatem wreszcie zdobył się na to, żeby ją zawołać. Od rozpoczęcia akcji minęła doba i Tin zapewne z rosnącą niecierpliwością oczekiwała na kontakt, a nawet kilkakrotnie rozważała, czy wbrew ustaleniom nie wezwać Colina. Mimo że doskonale wiedziała, co zaszło.

Chętnie odczekałby jeszcze trochę, gromadząc siły na rozmowę z nią, nie mógł jednak w nieskończoność odkładać konfrontacji. Powinien był przystać na oddanie kapłanom dzieciaka, przynajmniej w ten sposób by się zemścił.

- Colin! - odpowiedziała natychmiast. W jej głosie pobrzmiwał strach.

Nie bała się o niego, nie miała powodu. Gdyby zginął, zorientowałyby się natychmiast, tego zaś, że zostanie ranny, przypuszczalnie się spodziewała. Przeczowała, co się wydarzy, zawczasu ujrzała zdradę Emily - ale nie ostrzegła Colina. A teraz obawiała się, że on już się zorientował albo dozna olśnienia lada moment.

Milczał. Czekał na jej ruch. Spróbuje grać czy przyzna się od razu?

- Jak poszło? - zapytała cicho. Zatem wybrała grę.

Nie odpowiedział.

- Emily nie żyje? - zapytała takim tonem, jakby przeczucie dopiero w tej chwili poinformowało ją o zdarzeniu.

Czyżby jednak się co do niej pomylił?

- Zaskoczona? - rzucił. - Caramel ją zabił.

Oriana mówiła, że w myślach można wypowiadać jego przydomek bez obawy, że się drania wezwie, ale czy na pewno ta prawidłowość dotyczyła także rozmów telepatycznych? Aktualnie Colin czuł się tak rozżalony, że

niewiele go obchodziło, czy lajdak za sekundę pojawi się koło niego, żeby dokończyć dzieła.

- Colin... Przecież wiesz, na jakiej zasadzie funkcjonuje moje przeczucie. Nie podsuwa mi obrazów przyszłych zdarzeń, pomaga jedynie dokonać trafnej oceny bieżącej sytuacji. Nie widziałam śmierci Emily, ale... ona prowadziła cię w zasadzkę. Świadomie, bez skrupułów. Byłeś tak oczarowany faktem, że prawie wcale się nie zmieniła...

- A ty wiedziałaś, że kłamie! - przerwał jej ostro.

- Uwierzyłybyś mi? Czy uznałbyś, że przemawia przeze mnie zazdrość?

- I dlatego sądzisz, że miałaś prawo zataić przede mną tę informację? Nie uwierzyłbym ci, trudno. Mógłbym teraz zgłaszać pretensje wyłącznie do siebie.

- Ona była niebezpieczna - zaproponowała Tin. - Gdybyś wykonał niewłaściwy krok...

- Co by zrobiła? - warknął. - Zdominowała mnie i siłą woli doprowadziła do tego cholernego bożka?

Od razu zrozumiał, że Em tak właśnie by postąpiła. Dziwił się, że w ogóle zawracała sobie głowę czarowaniem go, zamiast po prostu nakazać mu przyjść; najwyraźniej dobrowolność działań Colina faktycznie miała znaczenie.

No tak, oczywiście, Oriana mówiła przecież, że tamten ugryzłby alfę, tylko będąc przekonanym o jej niskiej samokontroli. Niewykłuczone, że wyczułby psychiczną obecność Emily w głowie swej niedoszłej ofiary, nawet gdyby dziewczynka wycofała się na chwilę przed konfrontacją. W każdym razie Em musiała uwzględnić takie ryzyko, chociaż fakt, że Caramelowi udało się oszukać bydlaka, kazał przypuszczać, że tego rodzaju obawy były nieuzasadnione. Z drugiej strony, diabli wiedzą, może kamuflaż chłopaka obejmował także sferę umysłu, natomiast Emily nie zdołałaby zamaskować swojego wpływu na Colina? Jakkolwiek było, gdyby Colin okazał, że powątpiewa w intencje siostry, dominacja stałaby się dla niej jedynym rozwiązaniem.

Przy okazji Em wydobyłaby z jego umysłu wiadomość o obecności Caramela - i zlikwidowałaby go rękami Colina. Sama nie umiała zdominować chłopaka, wtedy, w podziemiach, kiedy poleciała mu złożyć broń...

- Nie musiał jej zabijać - powiedział Colin. - Nie zdołała nakazać mu, żeby rzucił broń, wiedział więc, że ona nie ma nad nim władzy. Nie zagrażała mu.

Dlaczego więc Caramel zabił dziewczynkę, a oszczędził Colina? Czyżby oddawał kuzynowi przysługę? Niewątpliwie tak uważała Tin, choć tego nie powiedziała. Gdyby Emily przeżyła, raczej nie przeprosiłaby brata, ze łzami w oczach, za to, że tak okropnie zbłądziła. Przeciwnie, uczyniłaby z niego swoją marionetkę, żeby jednak coś ugrać w tej partii albo dla zapewnienia sobie bezpieczeństwa. Co z tego, że Colin byłby gotów wybaczyć siostrze i że broniłby jej z oddaniem? Musiałaby się z nim liczyć, a Emily nie chciała odpowiadać przed nikim.

Niewykluczone jednak, że kuzyn wcale nie myślał wtedy o Colinie, ale mimo wszystko obawiał się mocy dziewczynki, bo choć zbuntował się przeciw jej rozkazowi, nie przyszło mu to łatwo, a do pojedynku z wolą tamtego potrzebował pełnej koncentracji.

Tin milczała, jakby zdawała sobie sprawę z dokonywanych przez Colina na bieżąco odkryć i nie chciała w nich przeszkadzać.

- Kiedy odzyskałaś przeczucia? - rzucił.

Nawet jeśli wszystko zakończyło się najlepiej, jak tylko mogło, nie zmieniało to faktu, że Tin go zdradziła. Odzyskała przeczucia, ale nie zająknęła się na ten temat ani słowem. „Nie wiem”, tak niezmiennie reagowała na pytania Colina, podczas gdy na wiele z nich znała odpowiedź.

- Kiedy byliście w Norymberdze - wyznała. - Rozmawialiśmy o Caramelu i...

- ...pojęłaś, co zamierza - dopowiedział.

Zalała go furia. Norymberga! Od tamtej pory upłynęły przeszło dwa tygodnie! Dwa tygodnie, w trakcie których Tin

wytrwale go okłamywała. Zrozumiałby, gdyby chodziło o parę dni, ale pół cholernego miesiąca...

- Pojęłam, że nie jest wobec ciebie szczery - sprostowała. Podczas gdy ona grała w otwarte karty! - Ale nie mogłam się zdecydować... odbierałam sprzeczne sygnały odnośnie do słuszności jego decyzji. Nie wiedziałam, co zamierza, nie wtedy...

- Dlatego do niego zadzwoniłam - wtrącił znowu.

Wydobyła od Colina numer telefonu, motywując swoją prośbę niepokojem o niego!

- Tak. Powiedział mi, co wie. Szczerze. O bestii, przepowiedni, swoich planach. A moje przeczucie... Colin, wiem, że nigdy mi tego nie wybacysz, ale czułam, że Caramel odkrył najlepsze wyjście. I że nie możesz poznać prawdy, bo wtedy na pewno coś pójdzie źle. Ten... potwór wkrótce by się wyzwolił, a to oznaczałoby koniec społeczności. Polowałby na nas, najpierw na najsilniejszych świadomych, z zemsty za wieki spędzone w niewoli, ale też dlatego, że tylko oni stanowiliby dla niego wyzwanie. Zyskalibyśmy nieco czasu, parę miesięcy, nawet lat, ale w końcu zginęlibyśmy oboje. Z kolei przepowiednia... Mówiła ogólnie o rodzeństwach, parach takich jak ty i Emily: porywczy męczyźnie i zdolnej nim pokierować młodszej siostrze, niemniej w zaistniałej sytuacji wy dwoje byliście ostatnią szansą na zabicie bestii. Tylko że Emily nie wypełniłaby woli kapłanów. Kiedy Caramel wyłożył mi swój plan, nabrałam przeświadczenia, że właśnie on proponuje najrozsądniejsze rozwiązanie. Nieważne, że kierował się czysto egoistycznymi pobudkami. Powiedziałabym nawet, że one stanowiły swoistą gwarancję sukcesu. Caramel nigdy nie przejawiał skłonności samobójczych, prawda? Skoro podjął taką decyzję, musiał mieć pewność, że sobie poradzi. Nie było innej drogi, Colin. Choćbym jakimś cudem zdołała cię nakłonić, żebyś zarzucił poszukiwania siostry... Sądzisz, że kapłani by cię nie odnaleźli? Nie doprowadzili na miejsce pod przymusem? Chcieli, żebyś pojawił się u nich dobrowolnie, żebyś działał wiedziony miłością do

Emily, ale gdyby nie mieli innego wyjścia, spróbowaliby rozwiązania siłowego. Zginąłbyś, a przy okazji ucierpiałby na tym ogół...

- Świata do tego nie mieszaj - warknął.

Faktycznie jednak nie czuł złości, do jakiej miał pełne prawo. Tin usiłowała mu powiedzieć, że podjęła taką decyzję dla dobra Colina. Zaryzykowała utratę jego zaufania, nawet miłości, żeby tylko go ocalić. Rozwiązanie zaproponowane przez Caramela wydawało się najmniejszym złem, Colin także dostrzegał tę oczywistość.

Tin go zdradziła, ale podobny zarzut mógł postawić własnemu przeczuciu. Ono również nie udzieliło mu podpowiedzi w tych najważniejszych kwestiach, jakby, wzorem Tin, obawiało się, że każdy podszept zaowocuje błędną decyzją Colina. A teraz, znów podobnie jak Tin, łaskawie odsłaniało przed nim całą intrygę.

- Kiedy właśnie o dobro ogółu toczyła się gra - zaproponowała łagodnie Tin. - Dobro ludzi i społeczności. Nasze przeczucia nie zasugerowałyby nam niczego, co, choć potencjalnie korzystne dla nas, groziłoby katastrofą na skalę światową.

Dobro świata. Rzeczywiście, także z tego punktu widzenia plan Caramela wydawał się najlepszy, przy założeniu, że nie było możliwości przekonania Emily, by jednak postąpiła zgodnie z zawartymi w przepowiedni wytycznymi. Gdyby kapłani zrezygnowali ze swych zamiarów, domyśliwszy się, że Emily ich oszukuje, albo dlatego, że powiodłby się któryś z zorganizowanych przez Gordona zamachów na życie Colina, potwór wyrwałby się na wolność, zanim pojawiłoby się kolejne przepowiedziane rodzeństwo. Gdyby z kolei Colin został ugryziony, Emily nie zdołałaby w dłuższym okresie sprawować kontroli nad bestią. Początkowo, owszem, podporządkowałyby ją swej woli, zwłaszcza że nie żądałaby od niej niczego, czego sama bestia chętnie by nie zrobiła. Wyprowadziłaby ją na wolność... a potem bestia wchłonęłaby osobowość Colina i oparła się wpływowi dziewczynki. Em zapewne

spróbowałyby wówczas nakłonić ją do samobójstwa, ale na takie posunięcie byłoby już grubo za późno.

Caramel natomiast miał szansę wygrać pojedynek albo przynajmniej trwale utrzymać równowagę w relacjach z wolą tamtego. Za ledwie szansę... niemniej było to więcej niż w pozostałych przypadkach. Tak sądziła Tin, tak najwyraźniej uważały siły odpowiedzialne za zsyłanie przeczuć. I chyba owo zdanie podzielała Oriana.

Uzmysłowił sobie, że kapłanka sprawiała wrażenie zadowolonej z rozwoju wypadków. Oczywiście, wołałaby, żeby wszystko przebiegło zgodnie z przepowiednią – żeby potwór ugryzł Colina i zginął za sprawą umiejętności Emily – kiedy jednak zorientowała się, że takie zakończenie nigdy nie wchodziło w grę, plan Caramela również i jej wydał się najlepszą alternatywą.

Nadal jednak zwycięstwo Caramela pozostawało bardziej nadzieją niż pewnikiem. Katastrofa ciągle mogła nastąpić, po prostu w przypadku tego rozwiązania prawdopodobieństwo, że tak się stanie, było najmniejsze. Jak małe?

- Kiedy wrócisz? - zapytała Tin.

Tak naprawdę pytała, czy Colin w ogóle do niej wróci.

Westchnął, w realu, nie pozwalając jej tego usłyszeć. Powrót. Będzie musiał wytłumaczyć sytuację Matowi. Kiedy ruszył za Celią, uzgodnili z Tin, że od tego momentu będą utrzymywać chłopaka w niewiedzy na temat rozwoju zdarzeń. Mat wiedział tylko, że Colin przyczaił się w Norymberdze w oczekiwaniu na kolejną pełnię. A teraz na Colinie spoczywało karkołomne zadanie przekonania brata, że śmierć Emily była najlepszym możliwym wyjściem.

Cholera, przez chwilę zmagał się z myślą, że chętniej stanąłby twarzą w twarz z Caramelem w jego nowym wydaniu niż z Matem, ciągle przekonany, że Em ma się dobrze i wypatruje odsiecz.

- Daj mi kilka dni - powiedział. - Muszę pobyć trochę sam. Odezwę się.

Nie skomentowała tego, ale, kiedy się z nim zegnała, wychwycił w jej głosie ulgę.

Spodziewała się po Colinie gwałtowniejszej reakcji. Trochę żałował, że ją zawiódł. Wszyscy wkoło uparcie mieli go za furiata i półgłówna, może więc należało pielęgnować ów wypracowany w pocie czoła wizerunek? Uspłoby jej czujność, tak że nie wpadłaby na to, że tym razem Colin zechce coś przed nią zataić.

Kapłanka pozostawiła Colinowi decyzję, czy opowiedzieć Tin o jej rodzicach. Czy Tin powinna usłyszeć, kogo faktycznie zastrzelił przed laty Antoine?

Jej przybrani rodzice, dwoje świadomych, pod których opieką dorastała, nie współpracowali z kapłanami. Kochali Tin jak własne dziecko i nie mieli pojęcia o czekającym ją losie. A Ingrid i Walter zabili ich bez skrępułów, na oczach rodzonej córki. Czy Tin ta prawda nie zabolii jeszcze bardziej od znanej jej teraz wersji zdarzeń?

W gruncie rzeczy problem nie sprowadzał się jednak do tego, czy Colin powinien otwierać dawne rany albo czy w ogóle miał prawo zataić przed Tin takie informacje. Zasadnicze pytanie brzmiało: czy uświadamiać dziewczynę, co jej grozi ze strony nowego wcielenia Caramela? Nie zdołałby bowiem przekazać Tin historii jej rodziców, nie wspominając o pierwotnej przyczynie tamtych zająć.

O tym, że ów nowy Caramel jest niebezpieczny, Colin nie musiał jej nawet mówić, oczywiste więc było to, że Tin zastosuje się do wszelkich zaleceń, żeby uniknąć spotkania z bestią. Czy w czymkolwiek będzie jej pomocna wiedza o tym, że niegdyś została obiecana bogu-wilkowi, który uważał ją za swoją własność i nie dało się wykluczyć, że zechce wyegzekwować swoje prawa?

Colin nie chciał straszyć Tin. I tak czekało ich życie w ciągłym poczuciu zagrożenia. Po co dodawać do tego świadomość, że w każdej chwili nieśmiertelny potwór może się o nią upomnieć?

Tylko czy Tin na pewno o niczym nie wiedziała? Ujrzała przecież oczy tamtego, odebrała jego emocje. Niewątpliwie

analizowała owo zdarzenie również później, kiedy znów odezwało się w niej przeczucie. Czyżby nie podszeptało jej wyjaśnienia?

Właściwie Colin nie zdziwiłby się, gdyby jej przeczucie nie dawało o sobie znać. Wewnętrzny głos miał pomagać, a w tej konkretnej sytuacji mógł co najwyżej udzielić zbędnego ostrzeżenia. Bo, jak powiedziała Oriana, jeśli tamten zapragnie odnaleźć dziewczynę, zrobi to, i ani Tin, ani Colin nie zdołają go powstrzymać czy nawet przez jakiś czas zwodzić.

Niemniej, no jasne, to już nie był „tamten”, ale po prostu Caramel, z niewielkim dodatkiem obcej jaźni. Chłopak sobie poradzi. Na mur. Tin była o tym przekonana, a przecież poddawała ocenie przeczucia każdą deklarację Caramela. Colin nie znał bardziej opanowanego gościa. Czy Caramel kiedykolwiek stracił nad sobą kontrolę? Teraz, gdy cel jego działań stał się znany, nie ulegało wątpliwości, że wszystkie związane z osobą Gordona wybuchy chłopaka stanowiły element gry.

Caramel miał ojca w głębokim poważaniu. Realizował własny plan, a że przy okazji dopieklł Gordonowi – super, potraktował to jako miły bonus. Jasne, że Caramel zwycięży w cuglach z jakimś tam bożkiem.

Colin był wściekły na siebie za to, że nie zapytał Oriany, jak szybko postępuje wchłanianie osobowości ugryzionego. Kiedy powinien zacząć wypatrywać wiadomości o jatkach w wykonaniu kudłatej bestii? Za tydzień? Miesiąc? Parę godzin? Kiedy będzie mógł odetchnąć, pewien, że Caramel mocno trzyma ster?

Wierzył, z całych sił, że ze strony samego Caramela nic nie grozi ani Tin, ani jemu. Tin ufała chłopakowi, a Colina kuzyn oszczędził, ba, nawet podesłał kapłankę, żeby mu udzieliła wyjaśnień. Chyba nie kierowało nim pragnienie przeprowadzenia bardziej wyrafinowanej zemsty? Nie, do diabła, oczywiście, że nie. W minionych tygodniach oni dwaj wręcz się zaprzyjaźnili. Jeśli Caramel kogoś nie lubił, to Dustina. Colin przez chwilę rozważał, czy powinien

zadzwoić i ostrzec dawnego kolegę. Cóż, i tak by mu nie pomógł, a postąpiłby nielojalnie wobec przyjaciela.

Mimo głębokiego przeświadczenia o dobrych intencjach kuzyna, Colina nagle ogarnęła chęć, żeby wykrzyczeć jego przydomek i raz na zawsze rozwiązać wątpliwości dotyczące ich wzajemnych relacji.

Może jednak powinien poczekać, aż Caramel upora się ze swoją podwójną osobowością? Tak, zdecydowanie lepiej będzie nieco odczekać. W końcu Caramel nie zając... niestety.

Koniec